



WINSTON GRAHAM

POLDARK

Jeremy Poldark

WINSTON GRAHAM

POLDARK
Jeremy Poldark

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1790-1791

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Tytuł oryginału:

JEREMY POLDARK

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

W sierpniu 1790 roku trzech mężczyzn przejechało drogą dla mułów obok kopalni Grambler i skręciło w stronę chat rozrzuconych na końcu wioski. Był wieczór i niedawno zaszło słońce, a na niebie płynęły obłoki gnane zachodnim wiatrem, oświetlone łuną zachodu. Nawet kominy kopalni, z których prawie od dwóch lat nie buchały już kłęby dymu, przybrały żółtopomarańczową barwę. W wyższym uwiły sobie gniazdo gołębie i w ciszy rozlegał się trzepot ich skrzydeł. Kilkoro obdartych dzieci huśtało się na prymitywnej huśtawce z liny zawieszanej między dwoma budynkami, a kilka kobiet stało w drzwiach chat, podpierając się pod boki i obserwując milczących jeźdźców przejeżdżających przez wioskę.

Wyglądali poważnie, odziani w czarne urzędowe stroje, i siedzieli na koniach z dumnymi minami. Niewielu takich ludzi pojawiało się teraz w tej na poły zrujnowanej, na poły opuszczonej wiosce, która powstała i istniała wyłącznie po to, by służyć kopalni, a teraz, gdy kopalnię zamknięto, stopniowo umierała. Wydawało się, że mężczyźni po prostu przejadą przez wioskę – jak można by się spodziewać – lecz w końcu jeden skinął głową i ściągnęli wodze obok wyjątkowo zrujnowanej chaty. Była to parterowa lepianka ze starą żelazną rurą służącą za komin i dachem połatany workami i deskami wyrzuconymi przez morze. Przed wejściem na odwróconej do góry dnem skrzynce siedział krzywonogi mężczyzna i strugał patyk. Był dość niski, mocno zbudowany, lecz już starszy. Miał na sobie zniszczone buty do jazdy konnej związane sznurkiem, żółte bryczesy ze świńskiej skóry, przybrudzoną koszulę z szarej flaneli z rękawem urwanym na wysokości łokcia oraz sztywny kaftan z czarnej skóry z kieszeniami wypchanymi mnóstwem bezwartościowych przedmiotów. Pogwizdywał niemal bezgłośnie, a kiedy mężczyźni zsiadli z koni, rozchylił usta i popatrzył na nich czujnymi przekrwionymi oczyma. Bacznie im się przyglądał, a jego kozik znieruchomiał nad patykiem.

Przywódca, wysoki, wychudzony człowiek o oczach osadzonych tak blisko siebie, że wydawało się, że ma zeza, powiedział:

– Dzień dobry. Nazywasz się Paynter?

Krzywonogi mężczyzna powoli opuścił kozik. Uniósł kciuk i podrapał się po najbardziej lśniącym miejscu na łysej czaszce.

– Może tak, może nie...

Drugi z przybyłych machnął niecierpliwie ręką.

– Dajże spokój, człowieku! Albo jesteś Paynter, albo nie. Istnieje tylko jedna odpowiedź.

– Pewny żeś nie jest, panie. Nazwisko łatwo się zmienić. Może so dwie odpowiedzi? Może trzy? Zależy, czego panowie chco.

– To Paynter – odezwał się mężczyzna stojący z tyłu. – Gdzie twoja żona, Paynter?

– Polazła do Marasanvose. Jak panowie chco z nio gadać...

– Nazywam się Tankard – rzucił ostro pierwszy mężczyzna. – Jestem prokuratorem królewskim w zbliżającej się sprawie Korona kontra Poldark. Chcemy ci zadać kilka pytań, Paynter. To Blencowe, mój skryba, i Garth, zainteresowany sprawą. Wprowadzisz nas do chaty?

Na ciemnej, pomarszczonej twarzy Juda Payntera pojawił się wyraz zranionej niewinności, ale pod tą maską malował się autentyczny popłoch.

– Tak się turbować, coby przyjechać do mnie? Wyznałem wszystko przed syndzio, a i tak wim tyle, co nic. Tera prowadze chrześcijański żywot jak sam święty Piotr, siedze przed własno chałupo i do niczego nosa nie wtykam. Zostawcie mnie w spokoju.

– Postępowanie sądowe toczy się zgodnie z przepisami – odparł Tankard i czekał, aż Jud wstanie.

Po chwili, zerkając podejrzliwie na twarze przybyszów, Jud wprowadził ich do chaty. Zajęli miejsca w ciemnym pomieszczeniu; Tankard rozejrzał się z niesmakiem i uniósł poły surduta, by nie dotykały śmieci. Żaden z gości nie miał delikatnego nosa, ale Blencowe, blady, przygarbiony człowieczek, spoglądał tęsknie na piękny wieczór za drzwiami.

– Nic nie wiem, nic a nic. Szczekacie pod złym drzewem.

– Mamy podstawy do przypuszczeń – rzekł Tankard – że twoje zeznanie przed sędzią było fałszywe. Jeśli...

– Bardzo przepraszam, panie Tankard – przerwał cicho Garth. – Może pozwoli mi pan porozmawiać przez chwilę z Paynterem? Pamięta pan, jak przed przyjazdem wspomniałem, że istnieje wiele sposobów...

Tankard skrzyżował na piersi chude ramiona.

– Och, bardzo dobrze.

Jud popatrzył oczami buldoga na nowego adwersarza. Miał wrażenie, że widział już wcześniej Gartha, chyba przejeżdżającego przez wioskę. Może szpiegował?

– Rozumiem, że byłeś kiedyś sługą kapitana Poldarka – rzekł przyjaznym, konwersacyjnym tonem Garth. – Ty i twoja żona pracowaliście dla niego przez wiele lat, a wcześniej dla jego ojca, prawda?

– Może tak, może nie...

– I po długoletniej wiernej służbie nagle was zwolniono i wyrzucono z domu bez uprzedzenia?

– Tak. To naprzeciw prawu, klnę się na swojo matkę.

– Mówi się, ale to tylko plotki, pamiętaj, że traktował cię haniebnie już przed twoim odejściem. Podobno pobił cię szpicrutą i omal nie utopił pod pompą za jakieś wymyślone wykroczenie. Czy to prawda?

Jud splunął na ziemię, obnażając dwa wielkie zęby.

– To niezgodne z prawem – wtrącił Tankard, patrząc wzdłuż długiego, cienkiego nosa. – Przestępstwo przeciwko nietykalności cielesnej: napaść i pobicie. Mogłeś oskarżyć go przed sądem, Paynter.

– Założę się, że nie był to jedyny raz – dodał Garth.

– Nie, nie był – powiedział po dłuższej chwili Jud, ssąc przednie zęby.

– Ludzie, którzy źle traktują wiernych służących, wcale na nich nie zasługują – rzekł Garth. – Za granicą pojawiły się nowe idee. Wszyscy ludzie są równi. Popatrz, co się dzieje we Francji.

– Ano, wim – odpowiedział Jud, po czym umilkł. Nie należało zdradzać tym wężącym szpiclom, że odwiedza w sekrecie Roscoff. Gadki o Poldarku mogły być pułapką, by się przyznał do udziału w przemyśle.

– Masz brandy, Blencowe? – spytał Tankard. – Napilibyśmy się po kieliszku i Paynter na pewno też by nie odmówił.

Łuna zmierzchu przygaśla i cienie wypełniające chatę stały się gęstsze.

– Wierz mi, arystokracja jest skończona – ciągnął Garth. – Jej czas minął. Zwykli ludzie odzyskują swoje prawa. A jedno z nich to nie być traktowanym gorzej od psów, nie być wykorzystywanym jak niewolnicy. Rozumiesz, czym jest prawo, Paynter?

– Dom Anglika to jego twierdza – odpowiedział Jud. – Habeas corpus i nie bedziesz przesuwiał znaku granicznego sąsiada.

– W przypadku masowych zamieszek jak te, do których doszło w styczniu, wymiarowi sprawiedliwości czasem trudno działać we właściwy sposób – rzekł Garth. – Dlatego prokuratura korzysta z różnych sposobów. Gdy dochodzi do rozruchów, rabunku i podobnych przestępstw, trzeba przede wszystkim ukarać prowodyrów, a nie zwykłych ludzi, którzy dali się zwieść.

– Może tak, może nie...

– Żadne może, Paynter. Ale trudno zdobyć wiarygodne dowody. Zeznania odpowiedzialnych ludzi, takich jak ty... Pamiętaj, że jeśli wymiar sprawiedliwości nie zdoła udowodnić przestępstwa prowodyrom, wtedy szuka dalej i tropi mniej ważnych sprawców. To prawda, Paynter, jak tu siedzę, więc najlepiej dla wszystkich, by właściwy człowiek stanął przed sądem.

Jud wziął szklaneczkę i odstawił ją na stół, ponieważ była pusta. Blencowe śpiesznie wyciągnął butelkę brandy. Rozległ się miły bulgot, gdy Jud napełniał

naczynie.

– Nie wim, czego panowie ode mnie chco, bo przecie mnie tam nie było – powiedział, w dalszym ciągu starając się zachować czujność. – Człek nie widzi na odległość.

– Posłuchaj, Paynter – odezwał się Tankard, ignorując ostrzegawczy znak Gartha. – Wiemy znacznie więcej, niż myślisz. Śledztwo trwa już blisko siedem miesięcy. Lepiej byś zrobił, gdybyś szczerze wszystko wyznał.

– Szczerze wszystko wyznał...

– Wiemy, że czynnie współpracowałeś z Poldarkiem rano w dniu katastrofy. Wiemy, że byłeś na plaży w czasie zamieszek w ciągu całego dnia i następnej nocy. Wiemy, że odgrywałeś główną rolę w stawianiu oporu celnikom, gdy jednego z nich ciężko zraniono, i pod wieloma względami jesteś równie winny jak twój pan.

– W całym swym żywocie nigdy nie słyshał takich łgarstw! Ja?! Nigdy nie był bliżej dziadowania co tera...

– Ale, jak wyjaśnił to Garth, jesteście skłonni patrzeć na to przez palce, jeśli zostaniesz świadkiem oskarżenia. Mamy wiele dowodów przeciwko Poldarkowi, lecz chcielibyśmy, aby były jeszcze mocniejsze. To zrozumiałe, że czujesz się wobec niego lojalny. A przecież potraktował cię w tak haniebny sposób! Daj spokój, człowieku, zdrowy rozsądek każe ci powiedzieć nam prawdę, a poza tym to twój obowiązek.

Jud wstał z godnym wyrazem twarzy.

– Poza tym ci zapłacimy – dodał Garth.

Jud z namysłem obrócił się na pięcie i znowu usiadł.

– Eee?

– Oczywiście nieoficjalnie. Nie należy tego robić oficjalnie. Ale są inne sposoby.

Jud wyciągnął szyję i wyjrzał przez drzwi. Ciągłe nie było śladu Prudie. Kiedy szła się spotkać z kuzynką, zawsze się spóźniała. Popatrzył z ukosa na mężczyzn siedzących w chacie, jakby chciał zrozumieć ich intencje.

– Jakie inne sposoby?

Garth wyjął sakiewkę i zabrzęczał monetami.

– Korona chce ukarać przestępcę. Korona chce zapłacić za właściwe informacje. Naturalnie po cichu. Wyłącznie między przyjaciółmi. To jak nagroda za pomoc w schwytaniu zbrodniarza, można powiedzieć. Prawda, panie Tankard? Nie ma żadnej różnicy.

Tankard nie odpowiedział. Jud wziął szklaneczkę i dopił brandy.

– Najpierw grożo, a tera chco mnie przekupić! – szepnął do siebie w duchu. – Przekupić, jak amen w pacierzu! Myślo, że wezme złoto jak Judasz. Że oskarże w sundzie dawnego druha. Gorzej jak Judasz, bo on zdradził po cichu. I za co? Trzydzieści srebrników. Pewnikiem nie dadzo aż tyle. Dadzo dwadzieścia albo dziesięć. To naprzeciw prawu, to nierozumne, to nie po chrześcijańsku, to złe.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Dziesięć gwinei z góry i dziesięć po procesie – powiedział Garth.

– Ha! – zawołał Jud. – Takem właśnie myślał!

– Moglibyśmy podnieść nagrodę do piętnastu.

Jud wstał, tym razem powoli. Ssał zęby i próbował zagwizdać, lecz miał suche wargi. Podciągnął bryczesy i wsunął dwa palce do kieszeni kamizelki, by wyjąć szczyptę tabaki.

– To naprzeciw prawu tak na mnie napadać – rzucił gderliwym tonem. – Kręci mi się we łbie. Niech panowie przyjadą za miesiąc.

– Rozprawę wyznaczono na początek września.

Tankard również wstał.

– Nie potrzebujemy długiego zeznania – powiedział. – Po prostu kilku zdań opisujących główne fakty, które są ci znane. Musisz się również zobowiązać, że w stosownym czasie powtórzysz je przed sądem.

– Co niby miałbym gadać? – spytał Jud.

– Prawdę, oczywiście, którą możesz potwierdzić przysięgą.

– Tak, prawdę, ale moglibyśmy udzielić ci wskazówek, na czym najbardziej nam zależy. Potrzebujemy świadka ataku na żołnierzy. Doszło do niego w nocy z siódmego na ósmy stycznia. Byłeś wtedy na plaży, prawda, Paynter? Niewątpliwie widziałeś rozgrywające się tam wydarzenia.

Jud wydawał się stary, lecz miał czujny wzrok.

– Nie... nic z tego tera nie pamiętam.

– Gdyby twoja pamięć się polepszyła, mogłoby to być warte dwadzieścia gwinei.

– Dwadzieścia tera i dwadzieścia potem?

– Tak.

– A warto tyle płacić za takie głupie gadki...

– Chcemy prawdy, człowieku! – rzucił niecierpliwie Tankard. – Byłeś czy nie byłeś świadkiem napaści?

Garth położył sakiewkę na starym, rozklekotanym stole, który należał niegdyś do Joshui Poldarka. Zaczął odliczać dwadzieścia złotych monet.

– Co tam... – wyjąkał Jud, wpatrując się w pieniądze. – Jak temu żołnierzowi rozbili łeb, reszta mi giem dała drapaka z plaży Hendrawna. Śmiałem się z tego, o mało żem nie skonał ze śmiechu. O to panom chodzi?

– Oczywiście. A kapitan Poldark brał w tym udział?

Zbliżała się noc i chata stawała się coraz ciemniejsza. Brzęk monet był miły i przez chwilę wydawało się, że całe światło dnia skupiło się w mdłym odbłasku złotych krążków.

– No – rzekł Jud, przełykając ślinę. – Chyba coś se przypominam. Ależem nie brał w tym udziału. Byłem... byłem w okolicy. – Zawahał się i splunął. – Dlaczegoś nie gadali, że jeno o to chodzi?

Następnego dnia przez wioskę Grambler przejechała konno młoda kobieta, zmierzając w przeciwnym kierunku. Minęła kościół w Sawle, okrążyła Trenwith i zjeżdżała stromą ścieżką w stronę zatoki Trevaunance. Była młoda, ciemnowłosa, średniego wzrostu albo trochę wyższa, ubrana w obcisły strój do jazdy konnej i niewielki trójrożny kapelusik. Koneserzy kobiecej urody mogliby się sprzeczać, czy jest piękna, lecz niewielu mężczyzn przeszłoby obok niej obojętnie.

Dama minęła odlewnię, której trujące wyziewy zniszczyły roślinność w zatoce, i pojechała na drugą stronę wioski, gdzie nad morzem, opierając się wichrom i sztormom, wznosił się masywny, kamienny dwór Place House. Kiedy młoda kobieta zsiadła z konia, stało się jasne, że jest zdenerwowana. Trzymała uzdę dłonią odzianą w rękawiczkę, a kiedy pojawił się stajenny, by odebrać rumaka, odezwała się do niego niepewnym głosem.

– Sir John Trevaunance, pani? Spytałem, czy jest we dworze. Jakie nazwisko mam podać?

– Pani Poldark.

– Pani Poldark. Eee... tak jest. – Czy szybkie zerknięcie świadczące o zainteresowaniu to tylko jej wyobraźnia? – Zechce pani łaskawie podążyć za mną.

Damę wprowadzono do niewielkiego, ciepłego pomieszczenia, z którego wchodziło się do oranżerii. Czekala kilka minut, mniąc w dłoniach rękawiczki, po czym usłyszała zbliżające się kroki. Służący oświadczył, że sir John jest w domu i przyjmie gościa.

Sir John Trevaunance znajdował się w długim gabinecie z oknem wychodzącym na morze. Z ulgą spostrzegła, że jest sam i że towarzyszy mu tylko wielki dog niemiecki leżący u jego stóp. Sir John okazał się mniej wyniosły, niż się obawiała. Był niewiele wyższy od niej, miał czerwoną twarz, jowialne oczy i łagodny zarys szczęki.

– Do usług, pani – rzekł. – Proszę łaskawie usiąść.

Kiedy dama przycupnęła na brzegu jednego z foteli, zajął miejsce za biurkiem. Przez dłuższą chwilę spuszczała wzrok, wiedząc, że jej się przygląda, i przyjmując obserwację jako nieuniknioną udrękę.

– Nie miałem jak dotąd przyjemności pani poznać – rzekł ostrożnie sir John.

– Nie... ale dobrze zna pan mojego męża.

– Oczywiście. Byliśmy współnikami... Do niedawna.

– Likwidacja spółki bardzo zmartwiła Rossa. Zawsze był z niej bardzo dumny.

– Hmmm! Pokonały nas okoliczności. Nikt nie ponosi winy. Wszyscy straciliśmy pieniądze na tym interesie.

Uniosła wzrok i spostrzegła, że jest zadowolony z wyników obserwacji. Łatwość zjednywania sobie mężczyzn była jednym z nielicznych miłych aspektów życia towarzyskiego Demelzy. Nie traktowała tego jeszcze jako narzędzia manipulacji, lecz jako sposób na podbudowanie pewności siebie. Zdawała sobie sprawę, że jej

wizyta jest niezgodna z zasadami etykiety – i sir John musiał również to wiedzieć. Z gabinetu, w którym siedzieli, widać było dymy odlewni na przeciwległym brzegu zatoki. Po chwili Trevaunance rzekł dość sztywno:

– Jak pani... hm... niewątpliwie wie, odlewnia działa pod nowym zarządem. Bankructwo było dla nas wszystkich ciężkim ciosem, ale na pewno rozumie pani moje położenie. Budynek znajduje się na mojej ziemi – pod samym moim nosem – i utopiłem w tym przedsięwzięciu więcej kapitału niż inni udziałowcy, toteż byłoby szaleństwem, gdybym pozwolił im stać bezczynnie. Pojawiła się sposobność uzyskania nowego kapitału i rozsądek nakazywał z niej skorzystać. Ufam, że kapitan Poldark to rozumie.

– Jestem tego pewna – odpowiedziała Demelza. – Jestem pewna, że życzy panu powodzenia w nowym przedsięwzięciu, nawet jeśli sam nie może w nim uczestniczyć.

Oczy sir Johna rozbłyły.

– Miło, że pani to mówi. Na razie ledwo pokryliśmy koszty, ale myślę, że sytuacja się poprawi. Czy mogę zaproponować pani coś do picia? Może kieliszek madery?

– Nie, dziękuję... – Demelza się zawahała. – Wolalabym porto, gdyby nie było to dla pana kłopotliwe.

Sir John uniósł ironicznie brew, po czym wstał i pociągnął za sznur dzwonka. Przyniesiono wino, a oni prowadzili uprzejmą konwersację. Rozmawiali o kopalniach, bydło, powozach i wiejskiej pogodzie w lecie. Demelza odzyskała swobodę, a sir John stał się mniej czujny.

– Szczerze mówiąc, uważam, że zimna pogoda źle wpływa na zwierzęta – zauważyła. – Mamy dobrą krowę o imieniu Emma. Dwa tygodnie temu dawała dużo mleka, a teraz zupełnie je straciła. Podobnie druga, choć w tym przypadku nie było to takie niespodziewane.

– Ja mam świetną krowę rasy hereford, wartą mnóstwo pieniędzy – odparł sir John. – Dwa dni temu ocieliła się po raz drugi, a teraz choruje na paraplegię. Już przeszło pięć razy wzywaliśmy weterynarza Phillipsa. Będę niepokojony, jeśli ją stracę.

– Cielę jest zdrowe?

– O tak, ale poród był ciężki, a później Minta nie mogła stać. Rozchwiały jej się zęby, a ogon zrobił się wiotki i bezwładny. Phillips nie wie, co z tym począć, i mój człowiek tak samo.

– Pamiętam, że kiedy mieszkałam w Illuggan, zdarzył się podobny przypadek – powiedziała Demelza. – Krowa pastora zachorowała na to samo. Również po ocieleniu się.

– Znalazł na to lekarstwo?

– Tak, znalazł, sir Johnie.

– Co to było?

– Cóż, nie chcę oceniać, czy pastor postąpił słusznie. Zdecydował się wezwać starą znachorkę, nazywała się Meggy Dawes i pamiętam, że mieszkała nad strumieniem. Doskonale leczyła kurzajki i skrofuły. Pewnego razu poszedł do niej chłopiec z jęczmieniem na oku. Wyglądało to źle, ale gdy tylko...

– Ach, proszę opowiedzieć o krowie, pani!

– A tak. Czy mogłabym ją zobaczyć, sir Johnie? Bardzo bym chciała się przekonać, czy to ta sama choroba, na którą cierpiała krowa pastora.

– Zaprowadzę panią do niej, jeśli może pani rzucić na nią okiem. Chciałaby pani się pokrząć jeszcze jednym kieliszkiem porto?

Kilka minut później znaleźli się na brukowanym dziedzińcu na tyłach dworu i weszli do obory. Demelza zauważyła, że budynki gospodarcze wzniesiono z wielkich głazów, i żałowała, że w Namparze nie ma podobnych. Krowa leżała na boku; jej łagodne brązowe ślepia były smutne, lecz nie malowała się w nich skarga. Mężczyzna siedzący na drewnianym zydłu wstał z szacunkiem i stanął przy wejściu.

Demelza pochyliła się, by zbadać krowę – z fachowością, której nabrała w czasie siedmiu lat spędzonych w Namparze, nie zaś w dzieciństwie w Illuggan. Zwierzę miało sparaliżowane nogi, a ogon wydawał się złamany w połowie długości.

– Tak, to dokładnie to samo – powiedziała. – Meggy Dawes nazwała to postrzałem w ogon.

– A lekarstwo?

– To jej lekarstwo, nie moje, niech pan pamięta.

– Tak, tak, rozumiem.

Demelza oblizwała wargi czubkiem języka.

– Kazała rozciąć ogon w tym miejscu, około trzydziestu centymetrów od końca, gdzie doszło do złamania, a później włożyć do środka posoloną cebulę i obwiązać szorstką szmatką. Cebulę należało trzymać w tym miejscu przez tydzień, a później zdjąć szmatkę. Tylko trochę jedzenia raz w tygodniu i napar z rozmarynu, jagód jałowca i nasion kardamonu bez łupin. Dobrze to pamiętam. Właśnie to powiedziała.

Niepewnie zerknęła na baroneta. Sir John przygryzał dolną wargę.

– Cóż... – rzekł. – Nigdy nie słyszałem o takiej kuracji, ale to rzadka choroba. Jest pani pierwszą osobą, która wcześniej się z nią zetknęła. Do licha, mam ochotę spróbować tej metody. Co ty na to, Lyson?

– Lepsze to, niż patrzeć, jak zwierzę się męczy.

– Myślę dokładnie to samo. Słyszałem, że stare znachorki potrafią zdziałać cuda w przypadku mniej znanych chorób. Czy mogłaby pani powtórzyć instrukcje mojemu człowiekowi, pani Poldark?

– Z przyjemnością.

Po kilku minutach przeszli przez dziedziniec i wrócili do dworu.

– Ufam, że kapitan Poldark jest dobrej myśli w związku ze zbliżającym się procesem – odezwał się sir John.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, pożałował, że jest taki nieostrożny. Miał wrażenie, że Demelza celowo unika tej kwestii, starając się go skłonić, by poruszył ją jako pierwszy. Ale nie podjęła jej tak chętnie, jak się obawiał.

– Oczywiście jesteśmy bardzo nieszczęśliwi z tego powodu. Martwię się bardziej od Rossa.

– Szybko będzie po wszystkim. Moim zdaniem jest duża szansa na uniewinnienie.

– Naprawdę tak pan uważa, sir Johnie? Bardzo mnie pan pocieszył. Będzie pan w Bodmin w czasie rozprawy?

– Hę? Hm... jeszcze nie wiem. Dlaczego pani pyta?

– Słyszałam, że we wrześniu odbędą się wybory do Izby Gmin, a skoro rozprawę wyznaczono na szóstego, pomyślałam, że może pan tam przybyć.

– Żeby pomóc bratu? To pani ma na myśli? Och, on potrafi sam zadbać o miejsce w parlamencie. – Baronet zerknął nieufnie na spokojną twarz Demelzy. Weszli z powrotem do dużego pomieszczenia pełniącego funkcję gabinetu. Łatwo było odgadnąć myśli Demelzy. – Nawet gdybym był w mieście, miałbym zbyt wiele zajęć, by pojawić się w sądzie. Poza tym, z całym szacunkiem, pani, nie chciałbym widzieć starego przyjaciela w trudnej sytuacji. Dobrze życzę pani mężowi i nie chciałbym traktować rozprawy jako rozrywki.

– Podobno ma być dwóch sędziów.

– Będą prowadzić sprawę na zmianę, tak przynajmniej sędzę. Wentworth Lister nie jest złym człowiekiem, choć nie widziałem go od wielu lat. Pani mąż będzie miał uczciwy proces, może pani być pewna. Zadba o to brytyjski wymiar sprawiedliwości.

Do sir Johna podszedł dog, a baronet wyjął z szuflady kawałek ciastka i dał go psu.

– Bardzo mnie zastanawia, w jaki sposób człowiek, sędzia, może przyjechać ze środkowej Anglii, prowadzić sprawę i w ciągu kilku godzin zorientować się w miejscowych zwyczajach. Wydaje mi się to niemożliwe. Czy nigdy nie zasięga prywatnie informacji przed rozpoczęciem rozprawy, by się zorientować, jaka jest prawda?

Sir John się uśmiechnął.

– Byłaby pani zdziwiona szybkością, z jaką wyćwiczony umysł potrafi podsumować udowodnione fakty. I proszę pamiętać, że werdykt nie zależy od sędziego, lecz od ławy przysięgłych, a to Kornwalijczycy tacy sami jak my, więc można być dobrej myśli. Jeszcze kieliszek porto?

Demelza odmówiła.

– Chyba trochę za bardzo idzie do głowy. Ma doskonały smak. Chciałabym, żeby przyjechał pan do nas któregoś dnia, gdy będzie po wszystkim. Ross prosił, bym to

powiedziała.

Sir John odparł, że byłby oczarowany. Pies rozsypywał okruchy ciastka po całym pokoju. Demelza wstała, zbierając się do odejścia.

– Będę się modlił, by pani kuracja Minty okazała się skuteczna.

Demelza odrzekła, że również będzie się modlić, lecz nie okazała swoich wątpliwości.

– Może mógłby mnie pan zawiadomić, jakie są efekty?

– Naturalnie. Wyślę pani wiadomość. A tymczasem... Gdyby znalazła się pani w tej okolicy, czułbym się zaszczycony.

– Dziękuję, sir Johnie. Czasami dla zdrowia jeżdżę konno wzdłuż wybrzeża. Droga jest zbyt nierówna dla dobrego konia, ale lubię widoki i świeże powietrze.

Sir John odprowadził Demelzę do drzwi i pomógł jej zająć miejsce w siodle, podziwiając jej smukłą sylwetkę i proste plecy. Kiedy wyjeżdżała przez bramę, minął ją mężczyzna na siwku.

– Kto to był? – spytał Unwin Trevaunance, rzucając szare rękawice do jazdy konnej na stos rachunków. Młodszy brat sir Johna robił wszystko z wielkim namaszczeniem, nadając wagę czynnościom pozbawionym znaczenia. Trzydziestosiedmio-, trzydziestoośmioletni, wysoki, z dumnym, władcym obliczem, wywierał o wiele większe wrażenie niż baronet. Sir John zdobył jednak majątek, a Unwinowi się to nie udało.

– Żona Rossa Poldarka. Atrakcyjna młoda kobieta. Nigdy wcześniej jej nie spotkałem.

– Czego chciała?

– Jeszcze nie wiem – odparł sir John. – O nic nie prosiła.

Unwin miał bruzdę między oczami, która pogłębiała się, gdy marszczył brwi.

– Nie była wcześniej pomywaczką u Poldarka czy kimś w tym rodzaju?

– Nie jest pierwszą kobietą z nizin, która zrobiła karierę dzięki małżeństwu. Zdołała już nabrać trochę ogłady. Za kilka lat nikt jej nie odróżni od szlachetnie urodzonej damy.

– I przyjechała bez powodu? Wątpię. Wygląda na niebezpieczną kobietę.

– Niebezpieczną?

– Wymieniliśmy spojrzenia, gdy odjeżdżała. Mam wprawę w ocenie ludzi, Johnie.

– Cóż, ja też, Unwinie, i chyba zaryzykuję. – Sir John dał psu kolejne ciastko.

– Wymyśliła kurację dla Minty, choć nie wierzę, że pomoże, do licha! Znalazłeś Raya?

– Tak. O tak. Powiedziałem mu, że Caroline zamierza się tu zatrzymać w czasie jazdy do Bodmin na wybory, ale sama do niego napisała, więc nie był zaskoczony. Cała Caroline: prosić mnie, bym porozmawiał z jej wujem, a później do niego napisać!

– To młoda panna. Okaż jej wyrozumiałość, Unwinie. Musisz być cierpliwy. Jest chimeryczna i przekorna. Nie jesteś jedyną osobą, która uważa ją za dobrą partię.

Unwin zagryzł rękojeść szpicruty.

– Jej ojciec to potworny skąpiec. Przyjechał tu dziś rano, przejrzał rachunki, dotykając ich swoimi parszywymi dłońmi, a tymczasem dom – przecież nigdy nie był to pałac – prawie się rozpada z powodu braku remontów. Nie nadaje się na miejsce, gdzie Caroline miałyby spędzić pół życia.

– Będziesz mógł to wszystko zmienić.

– Tak. Któregoś dnia. Ale Ray ma zaledwie pięćdziesiąt trzy lub pięćdziesiąt cztery lata. Może żyć jeszcze dziesięć. – Unwin podszedł do okna i spojrzał na morze, które tego ranka było spokojne. Nad poszarpanymi klifami wisiały niskie chmury, a woda miała ciemnozielony kolor. Na murze posiadłości przycupnęło kilka mew, które głośno skrzeczały. Dla wysokiego mężczyzny, przyzwyczajonego do życia w Londynie, sceneria wydawała się melancholijna. – Penvenen ma dość kontrowersyjny pogląd. Dziś rano wyraził opinię, że w Izbie Gmin jest zbyt wielu posłów z Kornwalii. Uważa, że należałoby przekazać miejsca nowym miastom w środkowej Anglii. Kompletny nonsens.

– Nie zwracaj uwagi na jego nawyki. Często mówi takie rzeczy, by drażnić ludzi. Taką ma naturę.

Unwin się odwrócił.

– Cóż, mam nadzieję, że nie będziemy mieć wyborów przez najbliższe siedem lat. Przyjemność ponownego dostania się do Izby Gmin będzie mnie kosztować przeszło dwa tysiące funtów, a sam wiesz, że to jeszcze nie koniec. Raczej początek.

W oczach sir Johna, jak zwykle gdy rozmawiano o pieniądzach, pojawił się ostrożny, chłodny wyraz.

– Sam musisz wybrać profesję, mój chłopcze. Bywa znacznie gorzej. Carter z Grampound wspomniał mi kiedyś, że musi płacić trzysta gwinei za głos. – Baronet wstał i pociągnął za sznur dzwonka. – Pani Poldark pytała, czy przyjadę do Bodmin na rozprawę. Zastanawiam się, o co jej chodziło.

Rozdział drugi

Kiedy Demelza wracała na swoim koniu Caerhaysie do Nampary, by zjeść obiad, zbliżało się już południe. Mijając granicę posiadłości Poldarków z Trenwith, żałowała, że nie może wpaść na kilkuminutową przyjazną pogawędkę z Verity. Bardzo jej brakowało towarzystwa kuzynki i nie mogła się przyzwyczaić do rozstania. Ale Verity przebywała w Falmouth, jeśli nie jeszcze dalej – wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że mimo uzasadnionych obaw wielu ludzi stała się szczęśliwą mężatką. Demelza brała aktywny udział w przemianie życia siostry stryjecznej Rossa, więc mogła być z siebie zadowolona. Jednak ucieczka Verity doprowadziła do ostrej kłótni między dwiema gałęziami rodziny i mimo wysiłków Demelzy w ostatnie Boże Narodzenie nie doszło do całkowitego pogodzenia się. Nie zależało to teraz od Francisa. Po chorobie i śmierci małej Julii pragnął koniecznie okazać Demelzie wdzięczność za pomoc, lecz Ross nie chciał o tym słyszeć. Wciąż dzieliło ich bankructwo Carnmore Copper Company. Ross podejrzewał, że Francis ponosi za nie część odpowiedzialności. Demelza nie mogła winić męża, ale byłaby szczęśliwsza, gdyby sprawa się wreszcie wyjaśniła. Zawsze wolała proste rozwiązywanie sporów od ciągnących się gorzkich podejrzeń.

Zanim straciła z oczu dwór w Trenwith, zauważyła Dwighta Enysa, który jechał za nią drogą, więc ściągnęła wodze, by na niego poczekać. Zrównawszy się z Demelzą, młody chirurg zdjął kapelusz.

– Piękny ranek, pani. Cieszę się, że korzysta pani ze świeżego powietrza.

– Wyjechałam z domu w konkretnym celu – odpowiedziała, pociągając nosem. – Wszystko, co teraz robię, ma jakiś cel. To chyba wysoce moralne, jeśli się nad tym zastanowić.

Odwzajemnił jej uśmiech – trudno było się od tego powstrzymać – i podjechał do Demelzy. Droga była dostatecznie szeroka, by mogli jechać obok siebie. Fachowe oko lekarza spostrzegło, że po chorobie, którą Demelza przeszła w styczniu, dziewczyna jest ciągle bardzo wychudzona.

– Moim zdaniem wszystko zależy od tego, czy cel jest moralny. Poprawiła kosmyk włosów rozwiany przez wiatr.

– Ach, tego nie wiem. Powinniśmy spytać pastora. Byłam w Place House, leczyłam krowę sir Johna.

Dwight zrobił zdziwioną minę.

– Nie wiedziałem, że zna się pani na weterynarii.

– Wcale się nie znam. Modłę się tylko do Boga, by jego krowa rasy hereford wyzdrowiała. Jeśli zdechnie, niczego nie uzyskam.

– A jeśli przeżyje?

Zerknęła na niego.

– Dokąd pan jedzie, Dwight?

– Zbadać kilku mieszkańców Sawle. Zdobywam wielką popularność wśród pacjentów, których nie stać na honoraria. Choake jest coraz bardziej leniwy.

– I chyba coraz bardziej nieprzyjazny. Dlaczego chcą skazać Rossa? Co się za tym kryje?

Młody lekarz zrobił niepewną minę. Potrząsnął wiodzami, zrzucając je z rękawa czarnego aksamitnego surduta.

– Zdaje się, że wymiar sprawiedliwości...

– O tak, wymiar sprawiedliwości. Ale to nie wszystko. Od kiedy wymiar sprawiedliwości tak się zamartwia tym, że ktoś splądruje wrak statku albo pobije kilku celników – nawet zakładając, że Ross brał w tym udział, choć wiemy, że tak nie było. Takie rzeczy dzieją się od setek lat. Słyszałam o tym wiele razy, odkąd się urodziłam.

– Nie jestem zupełnie pewny, czy to się zdarza aż tak często. Zrobiłbym wszystko, by pomóc Rossowi, i dotrzymam słowa, wie pani o tym...

– Tak, wiem.

– Moim zdaniem można zlekceważyć prawo dziesięć razy i wykręcić się sianem, ale za jedenastym razem, jeśli wymiar sprawiedliwości dopadnie człowieka, przysysa się do niego jak pijawka i nie chce puścić, dopóki nie utoczy krwi. Taka jest prawda. Oczywiście w tym przypadku można się dziwić, że wymiar sprawiedliwości zaczął w ogóle działać. Ktoś mógł na niego wpłynąć zakulisowymi metodami.

– W okolicy pojawili się ludzie wypytyjący mieszkańców, nawet Gimlettów, naszych służących. Nie ma chaty, której ktoś nie odwiedził, i przez cały czas próbują zrzucić winę na Rossa! To przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, niewątpliwie, ale mają mnóstwo pieniędzy i czasu. Marnują go, bo żaden z dzierżawców Rossa nigdy go nie oskarży. Tamci powinni o tym wiedzieć. Ross ma wrogów, ale nie wśród górników, którzy pomagali mu przy wraku!

Dotarli do kościoła w Sawle, którego wieża pochylała się jak Krzywa Wieża w Pizie. Dwight zatrzymał się na skraju kotliny Sawle. Na stoku wzgórza kobiety kosily zboże. Wycięto je na obrzeżach, lecz pozostawiono w środku; pole wyglądało jak chusteczka obszyta koronką.

– Nie zjedzie pani ze mną?

– Nie. Ross czeka na mój powrót.

– Jeśli ktoś usiłuje zakulisowo wpływać na wymiar sprawiedliwości, nie podejrzewałbym pompatycznego głupca takiego jak doktor Choake – rzekł Dwight.
– Jest nikim, nie ma pieniędzy, nie jest dostatecznie zjadliwy, by komuś naprawdę zaszkodzić.

– Ja też nie podejrzewam Choake’a, Dwight. Ani Ross.

– Nie... Chcę, by państwo wiedzieli, że nie odwiedzałem Warlegganów od dwunastu miesięcy.

– Właściwie znam tylko George’a. Jacy są inni członkowie rodziny?

– Znam ich bardzo pobieżnie. Nicholas, ojciec George’a, to twardy, apodyktyczny człowiek, ale ma opinię uczciwego bankiera, którą niełatwo zdobyć. Stryj George’a, Cary, trzyma się w cieniu i domyślam się, że jeśli ktoś dokonuje jakichś machinacji, to on w tym uczestniczy. Ale muszę przyznać, że zawsze traktowali mnie przyzwoicie.

Demelza wpatrywała się w srebrzystoszary trójkąt morza widoczny na krańcu kotliny.

– Sanson, który zginął w katastrofie, był ich bliskim krewnym. Są też inne sprawy między Rossem a George’em, jeszcze przed konfliktem o odlewnię miedzi. Dobra okazja, by uregulować stare porachunki.

– Nie martwiłbym się tym zanadto. Sąd weźmie pod uwagę tylko fakty.

– Nie jestem taka pewna – odpowiedziała.

Plaża Hendrawna wyglądała zupełnie inaczej niż zatoka Trevaunance. Nie było skał, między którymi przelewała się woda, a morze uderzało w płaski piaszczysty brzeg zasnuty mgłą wiszącą w nieruchomym powietrzu. Wróciwszy z codziennego porannego spaceru do Czarnego Klifu, Ross spojrzął w stronę zabudowań Wheal Leisure na szczycie urwiska i ledwo je dostrzegł przez mgłę. Miał wrażenie, że spaceruje w łaźni parowej.

Po śmierci Julii i oskarżeniu go o udział w plądrowaniu żaglowców starał się odbywać ten spacer codziennie. Jeśli był w nastroju i panowała dobra pogoda, wypływał nową łodzią aż do St Ann’s. Nie zapominał o kłopotach, lecz widział je w odpowiednich proporcjach, zajmując się innymi sprawami. Jego córka nie żyła, zdradził go brat stryjeczny, odlewnia, w którą włożył mnóstwo pracy, splajtowała, miał stanąć przed sądem i groziła mu kara śmierci lub dożywotnia deportacja – nawet gdyby przypadkiem przeżył, po kilku miesiącach nastąpiłoby bankructwo i więzienie za długi. Tymczasem należało obsiać pola i zebrać plony, wydobywać i sprzedawać rudę miedzi, ubierać i karmić Demelzę, a także okazywać jej uczucia – w takim stopniu, w jakim mógł w tej chwili okazywać komukolwiek uczucia.

Najbardziej przeżył śmierć Julii. Demelza odczuwała równie głęboki żal, lecz łatwiej ulegała wpływom i mimo woli reagowała na bodźce, które niewiele dla niego znaczyły. Glistnik jaskółcze ziele zakwitający w niespodziewanym momencie, młodziutkie kocięta znalezione nagle na strychu, ciepłe promienie

słońca po okresie chłódów, zapach pierwszego pokosu trawy – zawsze przynosiło jej to chwilową ulgę i smutek nie ranił jej tak mocno jak Rossa. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, w tym roku to ona okazywała mu więcej uczucia.

Po sztormach szalejących w okresie Bożego Narodzenia nadeszła spokojna zima, ale Ross miał wrażenie, że w hrabstwie nie zapanował spokój. Ceny miedzi wzrosły jedynie na tyle, by działające kopalnie przynosiły nieco większe zyski, lecz nic nie usprawiedliwiało rozpoczynania nowych robót lub otwierania zamkniętych szybów. Ludzie w dalszym ciągu walczyli o przetrwanie.

Kiedy opuścił plażę i przeszedł przez zrujnowany murek, zauważył Demelzę jadącą konno w dół doliny. Spostrzegła go w tej samej chwili i pomachała ręką, a on zrobił to samo. Dotarli do domu prawie jednocześnie. Pomógł jej zsiąść i oddał konia Gimlettowi, który śpiesznie wyszedł z za rogu dworu.

– Wystroiłaś się dziś na poranną przejażdżkę – powiedział.

– Uznałam, że nie powinnam wyglądać niechlujnie. Ktoś mógłby pomyśleć, że pani Poldark nie jest dumna ze swojego statusu żony Rossa Poldarka.

– Są ludzie, którzy mogą tak uważać.

Ujęła go pod ramię i poprowadziła wokół ogrodu.

– Moje malwy nie udały się w tym roku – rzekła. – Za dużo deszczu. Żniwa też będą spóźnione. Przydałby się wyjątkowo ciepły wrzesień.

– W sądzie byłoby duszno.

– Nie spędzimy w sądzie całego miesiąca, tylko jeden dzień. Potem będziesz wolny.

– Skąd wiesz? Rozmawiałaś z czarownicami?

Zatrzymała się i podniosła ślimaka przyklepionego do liścia pierwiosnka.

Spoglądała na niego z niesmakiem, trzymając między palcem wskazującym a kciukiem.

– Nigdy nie wiem, co z nimi robić.

– Połóż go na kamieniu.

Demelza spełniła polecenie i odwróciła się, gdy Ross rozgniał ślimaka.

– Biedny mały winniczek. Są takie żarłoczne. Nie miałabym nic przeciwko ślimakom, gdyby zadowolili się jednym liściem lub dwoma... Skoro już mówimy o czarownicach, Ross, czy słyszałeś o chorobie krów zwanej postrzałem w ogon?

– Nie.

– Tylne nogi są sparaliżowane, a zęby rozchwiane.

– Krowom zawsze chwieją się zęby – odparł Ross.

– A ogon jest dziwny, wiotki, wydaje się złamany. Właśnie stąd ta nazwa. Myślisz, że można wyleczyć tę chorobę, nacinając ogon i wsadzając do środka ugotowaną cebulę?

– Nie – odparł Ross.

– Ale nie zaszkodziłoby to krowie, gdyby i tak miała wyzdrowieć?

– Czym się zajmowałaś dziś rano?

Popatrzyła na pełną charakteru, szczupłą twarz męża.

– Spotkałam Dwighta w drodze do domu. Będzie na rozprawie.

– Nie wiem, po co miałby się tam pojawiać. Wydaje się, że przyjdzie pól Sawle i wioski Gambler. Prawie jak igrzyska w starożytnym Rzymie.

Spacerowali w milczeniu. Powietrze w ogrodzie było nieruchome, a na niebie wisiały niskie chmury. Liście i kwiaty dojrzewały w ciepłe, nabierając sił – wydawały się wieczne. Ross pomyślał, że nie istnieje nic wiecznego, tylko ulotne chwile ciepła i bliskości, cenne sekundy spokoju w upływających dniach pełnych trosk.

Z chmur lunął rzęsisty deszcz i zmusił ich do schronienia się w domu. Stali przez chwilę w oknie salonu, patrząc na wielkie krople uderzające w liście bzu i zabarwiające je na ciemny kolor. Kiedy zaczęło padać, Demelza odruchowo pomyślała, że powinna wyjść i sprawdzić, czy Julia nie śpi na dworze. Przez chwilę chciała powiedzieć o tym Rossowi, lecz się powstrzymała. Prawie nigdy nie wymieniali imienia córki. Czasami podejrzewała, że Julia tworzy między nimi niewidzialny mur, że Ross wbrew samemu sobie w dalszym ciągu nie może zapomnieć, że Demelza poszła pomóc chorym w Trenwith, igrając z zarazą.

– Czy nie pora, żebyś się znów zobaczył z notariuszem Pearce'em? Ross mruknął coś pod nosem.

– Ten człowiek działa mi na nerwy. Im mniej go widzę, tym lepiej.

– Wiesz, że nasze życie znalazło się w niebezpieczeństwie, twoje i moje – rzekła cicho.

Objął ją ramieniem.

– Nie przesadzaj. Jeśli coś mi się stanie, jest wiele rzeczy, dla których możesz żyć. Dwór i ziemia będą należeć do ciebie. Zostaniesz głównym udziałowcem kopalni Wheal Leisure. Będziesz miała obowiązki – wobec ludzi i okręgu...

– Nie, Ross – przerwała. – Nic mi nie zostanie. Znowu stanę się żebraczką, ubogą córką górnika.

– Będziesz urodziwą młodą kobietą w wieku dwudziestu kilku lat z niewielką posiadłością i górą długów. Najlepsza część życia będzie dopiero przed tobą...

– Żyję tylko dzięki tobie. To ty sprawiłeś, że jestem tym, kim jestem. Ty uznałeś mnie za urodziwą, ty uczyniłeś mnie żoną ziemianina.

– Nonsens. Na pewno znowu wyszłabyś za męża. Gdybym odszedł, zlecieliby się tutaj mężczyźni z całego hrabstwa. To nie pochlebstwo, tylko trzeźwa ocena sytuacji. Mogłabyś wybrać spośród kilkunastu...

– Nigdy nie wyszłabym znów za męża. Nigdy!

Zacisnęła rękę na jej dłoni.

– Ciągłe jesteś bardzo wychudzona.

– Nie jestem. Powinieneś wiedzieć, że nie jestem.

– Cóż, a zatem szczupła. Twoja talia była kiedyś krągła.

– Tylko po narodzinach Julii. Wtedy... było inaczej.

Imię córki wreszcie padło.

– Tak – odparł.

Przez minutę lub dwie panowała cisza. Ross opuścił powieki i Demelza nie mogła odczytać wyrazu jego oczu.

– Ross... – zaczęła.

– Tak?

– Może z czasem wszystko się zmieni. Może będziemy mieć następne dzieci? Odsunął się od niej.

– Myślę, że żadne dziecko nie byłoby zadowolone, gdyby miało ojca szubienicznika. Zastanawiam się, czy obiad jest już gotowy.

Kiedy Dwight rozstał się z Demelzą, pojechał wąską, stromą drogą do wioski Sawle, w której szemrał strumień i rozlegał się dźwięk młotów w stemplowniach cyny. Przybył w te strony dość niedawno jako niedoświadczony, młody lekarz o radykalnych poglądach na medycynę, lecz wydawało się, że minęło już wiele lat. W tym czasie zdobył zaufanie i sympatię ludzi, wśród których pracował, w niewybaczalny sposób złamał przysięgę Hipokratesa, a później z bólem odzyskał dobre imię – całkowicie w oczach miejscowych wieśniaków, którzy obwiniali dziewczynę, i tylko częściowo we własnej duszy, bo zawsze był bardzo krytyczny i wymagający wobec samego siebie.

Wiele się nauczył: że ludzie są nieskończenie różni i nieskończenie nielogiczni, że wszelkie kuracje wymagają cierpliwego stosowania metody prób i błędów, że chirurg i lekarz często są tylko widzami walki toczącej się na ich oczach, że żadne medykamenty nie są tak potężne jak naturalna zdolność organizmu do przezwyciężania choroby, że pastylki i napary czasem szkodzą, a nie pomagają.

Gdyby był człowiekiem skłonny do samozadowolenia, mógłby się cieszyć, że dotarł tak daleko, ponieważ wielu lekarzy i aptekarzy, których znał, nigdy nie zdobyło takiej wiedzy i było mało prawdopodobne, że kiedykolwiek ją zdobędą. Unikał kolegów po fachu, bo stale popadał z nimi w konflikty. Jediną pociechą było to, że równie często sprzeczą się między sobą. Mieli tylko jedną cechę wspólną – absolutne przekonanie, że ich własne metody są doskonałe, i wiary tej w żaden sposób nie podważała śmierć pacjenta. Jeśli zmarł w trakcie kuracji, była to wina chorego, a nie metody leczenia.

Dwight nie był pewny, jakie poglądy na medycynę ma doktor Thomas Choake. Po początkowej kłótni rzadko się widywali, ale ponieważ pracowali na tym samym obszarze, musieli się czasem widywać. Choake zawsze miał gotowe remedium – niekiedy wydawało się nawet, że wybrał je jeszcze przed zbadaniem pacjenta. Ale Dwight nigdy nie zdołał się domyślić, czy te remedia to produkt ścisłej teorii medycznej, czy po prostu kaprysy starszego lekarza.

Tego ranka Dwight miał odwiedzić kilku pacjentów. Pierwszym był Charlie Kempthorne. Dwa lata wcześniej Kempthorne cierpiał na suchoty. Miał zaatakowane jedynie górne części obu płuc, lecz i tak równało się to wyrokowi śmierci. Teraz już od roku był z pozoru zdrowy, przestał kaszleć, przybrał na wadze i zaczął pracować – nie jako górnik, lecz żaglomistrz. Był w domu, jak Dwight się spodziewał. Siedział przed drzwiami chaty i szył, posługując się grubą igłą. Kiedy ujrzał lekarza, na jego szczupłej, spalonej przez słońce twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Wstał, by powitać gościa.

– Proszę wejść do środka, doktorze. Miło pana widzieć. Odłożyłem dla pana trochę jajek.

– Muszę szybko jechać dalej – odrzekł przyjaźnie Enys. – Wpadłem na chwilę, by sprawdzić, czy przestrzegasz zaleceń. Ale i tak dziękuję.

– To leczenie nie jest trudne. Dzień w dzień siedzę sobie w cieple i szyję, a do tego zarabiam więcej grosza niż jako górnik!

– A Lottie i May? – Kempthorne miał dwie chude córki, pięcio- i siedmioletkę. Trzy lata wcześniej stracił żonę, która utopiła się po wywrotce łodzi.

– Są u pani Coad. Chociaż martwię się, czego mogą się od niej nauczyć. – Kempthorne poślinił nic i spojrzał z ukosa na lekarza, szykując się do nawleczenia igły. – Chyba pan doktor wie, że w okolicy coraz więcej ludzi choruje na febrę. Ciotka Sarah Tregeagle kazała mi to panu powiedzieć.

Dwight milczał. Nie lubił dyskutować o chorobach z pacjentami.

– Curnowowie mają febrę, tak samo Betty Coad i Ishbelowie, tak mówi ciotka Sarah. Oczywiście w sierpniu to nic dziwnego.

– Piękny, duży żagiel.

Charlie wyszczerzył zęby.

– Tak, panie doktorze. Dla One and All z St Ann's. Trzeba jej wymienić wszystkie żagle.

– Szyjesz żagle także dla kutrów celników?

– Wtedy szyję wadliwe, by się podarły, jak będą gonić naszych.

Z chaty Kempthorne'a nie można było bezpiecznie zjechać konno do placu u stóp wzgórza, więc Dwight zszedł pieszo stromą, pokrytą koleinami Stippy-Stappy Lane. Po jednej stronie drogi znajdowały się lepsze chaty w wiosce, a po drugiej, za zarośniętym murkiem z kamieni, stok doliny opadał stromo do wąwozu, gdzie jedna z odnóg strumienia Mellingey docierała do morza i poruszała maszyny w stemplowniach cyny. Różnica wysokości między sąsiednimi chatami wynosiła prawie dwa metry. Dwight uwiązał konia przy ostatnim domu. Kiedy zastukał do drzwi, spomiędzy chmur na chaty stłoczone w dole padły pomarańczowe promienie słońca. Dachy nabrały wilgotnego połysku, czekając na deszcz.

Mieszkał tu Jacka Hoblyn, który miał własną stemplownię cyny, jego żona Polly, córka Rosina, kulejąca na jedną nogę, a także młodsza córka Parthesia, drobna,

żywa dziewczynka w wieku jedenastu lat. To ona teraz otworzyła drzwi. Na dole znajdowały się dwie niewielkie izby z podłogą z wapienia zmieszanego z popiołem. Jedna z nich była przeznaczona na warsztat pracy Rosiny, która zajmowała się szyciem i wyrobem chodaków. Parthesia powiedziała, że matka leży w łóżku, i pobiegła przed Dwightem. Wyszli przed dom i wspięli się po kamiennych schodach prowadzących na belkowany strych, gdzie sypiali wszyscy członkowie rodziny. Wprowadziwszy Dwighta do pomieszczenia, Parthesia wyszła, by poszukać ojca. Powiedziała, że on też jest chory.

Czterdziestoletnia, lecz wyglądająca na pięćdziesiąt osiem lat Polly Hoblyn powitała pogodnie Dwighta. Młody lekarz odwzajemnił uśmiech, zauważając wszystkie typowe objawy ataku malarii trzeciaczki: drżenie mięśni, bladą, ściągniętą twarz, zbielełe palce. Atak był wyjątkowo silny. Pocieszające było to, że go wezwano – chociaż nieśmiało i przepraszająco – by spróbował pomóc chorej. Dwa lata wcześniej cierpiący na pospolite dolegliwości kupowali podejrzanym medykamenty, jeśli było ich na nie stać, od Irby'ego, aptekarza z St Ann's, albo od jednej ze znachorek mieszkających w okolicy. Nigdy nie ośmielali się wzywać doktora Choake'a, chyba że złamali kończynę lub byli bliscy śmierci. Powoli doceniali to, że doktor Enys nie ma nic przeciwko leczeniu ludzi, którzy mogą płacić tylko w naturze lub których w ogóle na to nie stać. Oczywiście część społeczeństwa twierdziła, że prowadzi eksperymenty na ubogich, lecz zawsze znajdą się złośliwe języki.

Przygotował dla kobiety dawkę wyciągu z kory chinowca, a kiedy połknęła ją z zaciśniętymi zębami, wręczył jej dwa proszki na febrę, które miała zażyć później, oraz dawkę siarczanu potasu i rabarbaru na wieczór. W tym momencie w drzwiach pojawił się Jacka Hoblyn, zasłaniając światło.

– Dzień dobry, panie. Thesia, przynieś z dołu chusteczkę. Spociłem się okropnie. I cóż dolega Polly?

– Nawrót febry. Powinna zostać w łóżku jeszcze co najmniej dwa dni. A ty? Moim zdaniem też masz febrę. Stań w świetle, dobrze?

Kiedy się zbliżył, Dwight poczuł silny zapach ginu. A zatem Jacka znów zaczął pić. Pojawiła się Parthesia z czerwoną kwadratową szmatką, którą Hoblyn otarł spocone czoło. Miał nitkowate, przyspieszone tętno. Choroba znajdowała się w późnej fazie i wywoływała nieznośne pragnienie.

– Znowu dopadło mnie to świństwo. Najlepiej się wtedy ruszać, a nie gnić w wyrze. Im szybciej człowiek chodzi, tym szybciej wyzdrowieje.

– Posłuchaj, Hoblyn. Chcę, żebyś to teraz wypił, a dziś przed snem zażył z wodą ten proszek, rozumiesz?

Jacka przesunął dłoń po sterczących włosach i spojrzał na Dwighta z niezadowolaniem.

– Nie przepadam za miksturami.

– Mimo to powinieneś wziąć te lekarstwa. Poczujesz się znacznie lepiej.

Mierzyli się wzrokiem, lecz Dwight miał zbyt duży autorytet, by zwykły płukacz cyny mógł odmówić. Młody lekarz z pewną dozą satysfakcji obserwował, jak Hoblyn połyka silną dawkę rozpuszczalnego kamienia winnego. Proszek przeznaczony na noc, jeśli górnik będzie dostatecznie trzeźwy, by go zażyć, zawierał dziesięć granów wilca przeczyszczającego, lecz nie miało to większego znaczenia. Dwight bardziej się niepokoił o zdrowie trzech kobiet mieszkających 0 chacie.

Kiedy wychodził, zauważył, że Rosina wdrapuje się, kulejąc, z dzbanem mleka na wzgórze. Miała siedemnaście lat. Jej pięknych oczu nie zepsuły jeszcze długie godziny szycia w złym świetle. Uśmiechnęła się i dygnęła, gdy się spotkali.

– Twoi rodzice powinni się jutro poczuć lepiej. Dopilnuj, by matka zażyła proszek.

– Na pewno to zrobię. Dziękuję, panie.

– Czy twój ojciec jest... niedobry, kiedy pije?

Oblała się rumieńcem.

– Wpada w zły humor i czasem trudno z nim wytrzymać.

– Biję was?

– O nie, panie, bardzo rzadko. Ale później nam to wynagradza.

Dwight minął niewielkie wykuszowe okno sklepu ciotki Mary Rogers i dotarł do grupy zrujnowanych chat u stóp wzgórza. Miejsce to zwano Guernsey. Panowała tu straszliwa nędza. Okna zasłonięte deskami i szmatami, wyjęte z otworów drzwi stojące obok, otwarte szamba, między którymi przemykały szczury, dziurawe dachy, walące się przybudówki, gdzie biegały i bawiły się półnagie dzieci. Przebywając w tym miejscu, Dwight zawsze miał świadomość, że jego przyzwoity strój wydaje się tu zjawiskiem z innego świata. Zastukał do pierwszej chaty, zdziwiony, że obie połowy drzwi są zamknięte, ponieważ światło wpadało do środka tylko przez drzwi. Tydzień temu odebrał poród Betty Carkeek, która wydała na świat pierwородnego syna. Wcześniej próbowały jej pomóc dwie handlarki ryb zajmujące się położnictwem, lecz poniosły fiasko.

Usłyszał w środku płacz niemowlęcia, a po chwili Betty podeszła do drzwi i podejrzliwie wyjrzała przez szparę.

– Ach, to pan, doktorze. Proszę wejść.

Betty Carkeek z domu Coad była twardą młodą kobietą, która niełatwo poddawała się chorobom. Dwight z ulgą zauważył, że minął już czwarty i piąty dzień po porodzie, a u Betty nie pojawiły się żadne oznaki gorączki połogowej. Powinna dość do siebie. Pochylił głowę na progu i wszedł za dziewczyną do kamiennej budy – miejsce to trudno było nazwać domem – po czym zobaczył Teda Carkeeka, który siedział przy niewielkim palenisku i mieszał jakiś wywar. Ted i Betty byli małżeństwem dopiero od miesiąca. Przebywali w domu, choć mieli

pracę, a przecież było o nią trudno. Wydawało się to dziwne.

Dwight skinął głową młodemu mężczyźnie i poszedł obejrzeć niemowlę. Ted wstał i zamierzał wyjść, lecz Betty go zatrzymała. Prychnął i znów zajął się wywarem. Dziecko sprawiało wrażenie przeziębionego i szybko oddychało. Dwight zastanawiał się, co zrobiła niedoświadczona dziewczyna. Nieustannie zmagał się z ignorancją i niedbałością.

– Nie ma tu twojej matki, Betty?

– Nie, panie. Matka źle się czuje.

Oczywiście. Kempthorne wspomniał o Coadach.

– Febra?

– Chyba tak.

Wywar zaczął bulgotać i rozległ się syk, gdy kropelki cieczy wpadły w ogień. Z otwartego paleniska unosiły się kłęby dymu i wiły wokół poczerniałych belek dachu.

– A ty jak się czujesz?

– Dobrze. Ale Ted nie ma pomysłu...

– Zamknij dziób – odezwał się Carkeek od ognia. Dwight nie zwrócił na niego uwagi.

– Za wcześnie wstałaś – zwrócił się do dziewczyny. – Jeśli Ted jest w domu, może się tobą opiekować.

– Bardziej się zajmuje sobą – odpowiedziała. Ted wykonał kolejny niecierpliwy ruch, lecz dziewczyna ciągnęła: – Niech doktor cię obejrzy, Ted. Nic nie zyskasz, jak będziesz siedział przy ogniu. Nikomu nie powie, wiemy o tym.

Ted podniósł się z ponurą miną i stanął w świetle padającym przez drzwi.

– Skaleczyłem się w ramię, to wszystko. Medykamenty na nic się zdadzą.

Dwight zdjął worek, którym mężczyzna przykrywał ramię. Kula z muszkietu otarła się o kość i przeszła ciało, pozostawiając dość czystą ranę. Ale wdarł się już stan zapalny, na który nie pomógł okład z naparu z liści krwawnika.

– Macie tu czystą wodę? Co gotujesz na ogniu? – Dwight zajął się opatrywaniem rany, nie pytając o okoliczności jej powstania.

Ponieważ nie pytał, po zakończeniu opatrunku otrzymał wyjaśnienie, po tym jak upuścił rannemu krew i zbierał się do wyjścia. Ted Carkeek i czterej inni mężczyźni wypłynęli w morze niewielką łodzią, którą przy dobrej pogodzie mogli zaryzykować długi, niebezpieczny rejs do Francji, by przywieźć stamtąd alkohol na sprzedaż. Nie było to przedsięwzięcie na miarę tego, jakie prowadził Trencrom, ale cztery lub pięć wypraw w ciągu roku pozwalało utrzymać rodzinę. Wyruszyli w ostatnią sobotę i wrócili w środę. Wylądowali w Zatoce Vaughana, na kawałku plaży przylegającym do zatoki Sawle, gdzie czekał na nich Vercoe i dwóch innych celników zamierzających ich aresztować. Doszło do walki, łódź wpadła na skały i zatonała, a Ted Carkeek otrzymał postrzał w ramię. Niezbyt przyjemna historia,

która mogła mieć groźne konsekwencje.

– Nie robił nic złego – rzekł gniewnie. – Zarabiałem pieniądze jak inne ludzie, a teraz trza zaczynać od nowa. Nic nam nie zostało. Niedługo żołnierze będą przeszukiwać nasze chaty, jak to zrobili w St Ann's!

– Chcemy wiedzieć, skąd celnicy wiedzieli, gdzie chłopcy wylądują. To dziwne. Ktoś ich zdradził – dodała Betty.

Dwight zapiął klamry skórzanej torby, niespokojnie zerkając w stronę niemowlęcia. Nie mógł wiele zrobić, bo pani Coad z pewnością zmusi córkę, by nie stosowała się do jego zaleceń i podała dziecku zrobione przez nią lekarstwo. To, czy dziecko przeżyje, zależało od jego kondycji zdrowotnej.

– Celnicy mają długie uszy – rzekł. – Musisz dbać o bark, Ted.

– To nie pierwszy raz – odparł Carkeek. – W kwietniu złapali starego Pendarvesa i Fosterę Pendarvesa. Na gorącym uczynku. To naprzeciw naturze.

– Wielu mieszkańców wioski wiedziało o waszej wyprawie?

– Och, pewnikiem tak... Trudno, coby się nie domyślili, jak człowiek znika na pół tygodnia. Ale nikt nie wiedział, gdzie wyląduje towar, jeno sześciu albo siedmiu. Jakbym dostał w swoje ręce tego, kto miał ozorem albo umyślnie nas zdradził...

W chacie było ciemno i duszno. Dwight poczuł nagłą ochotę, by położyć ręce na ukośnych belkach i odepchnąć je. Ci ludzie równie dobrze mogliby żyć w jaskini, bez światła i słońca.

– Czy pozostali w twojej rodzinie też są chorzy, Betty?

– Nie, nie bardzo. Joan i Nancy dostały febry, ale dobrze się wypoczęły i zdrowieją.

– Opiekowały się twoim dzieckiem?

Betty popatrzyła na niego. Bardziej zależało jej na udzieleniu prawidłowej odpowiedzi niż na prawdzie.

– Nie, panie – wykrztusiła w końcu. Dwight wziął torbę.

– Nie powinnaś im na to pozwalać. – Zbierał się do wyjścia. – Nie podejrzewaj wszystkich, Ted. Wiem, że łatwo jest udzielać rad, ale podejrzliwość bywa niebezpieczna, bo czasem trudno powiedzieć sobie dość.

Kiedy wyszedł z chaty i ruszył przez plac w stronę piwnic do składowania ryb, gdzie wegetowało kilka rodzin, zastanawiał się nad problemami związanymi z wybuchem epidemii febry. Przez całe lato niepokoił się nowymi, niebezpiecznymi objawami tej okresowej choroby, nie tylko tym, że niekiedy miała ciężki przebieg, jak w przypadku pani Hoblyn. Pojawiły się przebarwienia skóry, opuchlizna i utrata sił. Niedawno zmarło dwoje dzieci – najwyraźniej z powodu febry – a kilku dorosłych było w bardzo złym stanie. Dzieci, które wyzdrowiały, były żółte i słabe, miały opuchnięte brzuchy i ledwo trzymały się na nogach. Jeśli pojawi się odra,

będą padać jak muchy. Dwight stosował wszystkie preferowane przez siebie lekarstwa, lecz żadne z nich nie pomagało. Zastanawiał się czasem, czy nie powinien opisać nowej dolegliwości o nazwie choroba głodowa, która obejmowałaby wszystkie przypadki, z jakimi miał do czynienia.

Rozdział trzeci

W następnym poniedziałek Ross pojechał do Truro. Demelza chętnie by mu towarzyszyła, lecz wyczuła, że wolał odbyć podróż sam. W tej chwili tak się zachowywał.

Po przyjeździe natychmiast odwiedził Nathaniela Pearce'a.

W lutym, gdy w sprawę tak niespodziewanie zaangażował się wymiar sprawiedliwości, Ross głęboko przeżywał żalobę i skutki kilku swoich porażek, natomiast przesłuchanie przez sędziego wywołało w nim gniew i niechęć. Szybko stało się jasne, że musi wynająć adwokata, by go reprezentował – a któż nadawał się do tego lepiej niż prawnik jego i ojca, notariusz Pearce, który był również współnikiem kopalni Wheal Leisure i pożyczył mu tysiąc czterysta funtów?

Jednak w ciągu miesięcy oczekiwania Rossowi kilkakrotnie przychodziło do głowy, że powinien zmienić adwokata, nim będzie za późno. Pearce był dobrym negocjatorem, mistrzem przekonywania, inteligentnym i zręcznym w kwestiach finansowych, lecz istnieli młodsi i inteligentniejsi prawnicy mogący poprowadzić obronę przed sądem. W zaciętym sporze, który podzielił hrabstwo na dwie frakcje, Pearce pozostał jedną z nielicznych osób utrzymujących dobre stosunki z obiema stronami. Był przyjacielem zarówno Rossa, jak i Warlegganów. Miał udziały w Wheal Leisure, lecz korzystał z usług banku Warlegganów – choć czasami załatwiał sprawy prawne z Pascoe'em. Był przyjacielem doktora Choake'a, ale pożyczał pieniądze Dwightowi Enysowi. W teorii postępował przykładnie: rezerwa i bezstronność zasługują na podziw. Jednak ostatnio, gdy na skutek walki dochodziło do bankructwa i rozpadu rodzin, przestało to być miłe.

Ross zastał Pearce'a w lepszym nastroju niż zwykle. Chroniczna podagra, na którą cierpiał notariusz, nieco złagodniała i wykorzystywał odzyskaną zdolność poruszania się, by z furią atakować pudła starych dokumentów prawniczych wypełniające pokój. Pomagali mu w tej orgii kancelista i praktykant. Dźwigali pudła na biurko, a następnie wynosili kruche, pożółkłe pergaminy, przejrzone i rzucone na podłogę przez Pearce'a.

– Ach, kapitan Poldark! – rzekł na widok Rossa. – Cóż za miła niespodzianka! Proszę usiąść na fotelu, jeśli znajdzie pan wolny. Noakes, uprzątnij fotel dla kapitana Poldarka! Przeglądam stare papiery, nic nowego, rozumie pan: stare

dokumenty, które trzeba wyrzucić. Mam nadzieję, że jest pan w dobrym zdrowiu, ta niepewna pogoda służy niektórym. – Rzucił na podłogę kilka zakurzonych listów i poprawił perukę. – Zaledwie wczoraj moja córka powiedziała... Noakes, weź te trzy pudła. Wszystkie papiery Bassetów i Tresize'ów mają pozostać nienaruszone... To taki żarcik, kapitanie Poldark; można go zrozumieć, jeśli zna się sprawę z tysiąc siedemset piątego roku... Stare rody zawsze oczekują, że prawnicy będą przechowywać całą związaną z nimi korespondencję, ale przeszkodą jest brak miejsca. Potrzeba do tego piwnic. Moja córka mówiła, że wilgotne lato sprzyja zdrowiu. Podziela pan ten pogląd?

– Nie zajmę panu dużo czasu – powiedział Ross.

Pearce spojrział na niego i odłożył podniesiony plik dokumentów.

– Tak, naturalnie. Mam dziś wolny ranek. Jest kilka spraw. Noakes i ty, Biddle, możecie nas zostawić. Przesuńcie pudła. Nie, nie, nie przed biurko. Dobrze... Nareszcie jesteśmy sami, kapitanie Poldark. Jedną chwileczkę, najpierw poprawię ogień...

Siedzieli w przegrzanym, zawalonym papierami pokoju. Pearce podrapał się i poinformował Rossa, jak toczą się przygotowania do procesu. Sesja sądu miała zostać oficjalnie otwarta czwartego września w sobotę, choć rozprawy miały się rozpocząć dopiero w poniedziałek. Ross miał obowiązek zameldować się u naczelnika więzienia nie później niż drugiego września w czwartek. Sędziami będą czcigodny Wentworth Lister oraz czcigodny H.C. Thornton, dwaj sędziowie królewscy z Najwyższego Sądu Cywilnego. Sprawami *nisi prius* zajmie się prawdopodobnie Thornton, a Wentworth Lister oskarżeniami Korony. Na wokandzie jest bardzo wiele spraw, ponieważ w czasie zimowej sesji sądu w Launceston wybuchła epidemia febry i prawnicy nie chcieli przyjechać do miasta, dlatego niemal wszystko odłożono do lata. Jednak sprawa Rossa, uważana za istotną, rozpocznie się prawdopodobnie we wtorek lub środę.

– Kto będzie reprezentował Koronę?

– Sądzę, że Henry Bull. Wolałbym kogoś innego, choć, proszę pamiętać, nigdy go nie spotkałem i słyszałem tylko, jaką ma reputację. Podobno bywa nieco brutalny, można to tak określić. Oczywiście nie jest to wybitny prawnik, lecz zależy mu na uzyskaniu wyroku skazującego. Tak wygląda sytuacja. Może pan liczyć na sympatię ławy przysięgłych, kapitanie Poldark. Mój Boże, dobra wola ze strony przysięgłych może bardzo pomóc. – Pearce wyciągnął rękę z pogrzebaczem i poprawił ogień na kominku.

– Dobra wola i zła wola – rzekł Ross, obserwując twarz notariusza.

– Istotnie, zdarza się i to drugie. Wszyscy mamy wrogów, trudno przejść przez życie, nie mając wrogów. Ale niewielu ludzi, którzy mają stanąć przed sądem, może liczyć na to, że kaucję wpłaci dwóch sędziów przysięgłych. Po pańskich zeznaniach w czasie postępowania przygotowawczego uważam to za wielki gest z ich strony.

Był pan trochę... hm... hm... nierozważny, delikatnie mówiąc. Już o tym wspominałem.

– Powiedziałem tylko to, co myślę.

– Och, nie wątpię, doprawdy. Ale jeśli wolno mi coś zasugerować, kapitanie: nie zawsze warto tak dokładnie wyrażać swoje myśli, nie zważając na okoliczności, jeśli ktoś chce... hm... Lord Devoran i Boscoigne mają dla pana wiele zrozumienia, więc można by znaleźć jakąś formułę, ale przedstawił pan swoje stanowisko w tak jasny sposób... Mam nadzieję, że gdy będzie pan przemawiał w sądzie, okaże pan więcej troski o własne bezpieczeństwo. Moim skromnym zdaniem wiele będzie od tego zależeć.

– Na przykład to, czy mnie powieszają. – Ross wstał, przeszedł między papierami i stanął przy oknie.

– Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie. O Boże, nie! Ale proszę pamiętać, że musi pan brać pod uwagę reakcje sędziów przysięgłych, zawsze podatnych na dobre lub złe wrażenia. Może pan bardzo sobie pomóc, proszę mi wierzyć. Oczywiście pański adwokat udzieli panu stosownych rad i ufam, że je pan zaakceptuje.

Ross patrzył na pająka idącego po pajęczynie w rogu okna.

– Proszę posłuchać, Pearce, jest jedna rzecz, której jak dotąd nie zrobiłem i którą powinienem zrobić, to znaczy sporządzić testament. Czy może pan przygotować dokument, bym go podpisał przed odjazdem?

– Ależ tak, nie jest to niemożliwe, jeśli nie zamierza pan dokonywać jakichś skomplikowanych zapisów. Noakes może przygotować dokument w dogodnym dla pana momencie.

– Nie będzie żadnych skomplikowanych zapisów. Proste stwierdzenie, że pozostawiam cały swój majątek żonie. W praktyce są to długi.

Pearce uniósł księgę i przesunął tłustym palcem po grzbiecie, szukając śladów kurzu.

– Z pewnością nie jest aż tak źle, ha, ha! W tej chwili ma pan wiele zobowiązań, ale sytuacja na pewno się poprawi.

– Poprawi się, jeśli na to pozwolimy. Gdyby w Bodmin sprawa poszła źle, może mieć pan trudności z odzyskaniem swoich pieniędzy. Dlatego wyrok uniewinniający to nie tylko kwestia sprawiedliwości. To leży w pańskim interesie.

– Istotnie, istotnie. Wszyscy będziemy nad tym pracować, proszę mi wierzyć. Wiele zależy od ławy przysięgłych. Wyznaję, że byłbym spokojniejszy, gdyby nie wydarzenia we Francji. Musimy brać to pod uwagę. Te rozruchy w Redruth na jesieni. Przed dziesięcioma laty zapadłyby niskie wyroki, a teraz jednego powieszono, a dwóch skazano na deportację... – Pearce podrapał się pod perukę. – Mam wezwać Noakesa?

– Bardzo proszę.

Notariusz uniósł się z fotela i pociągnął za sznur dzwonka.

– Musimy jeszcze skończyć przygotowywanie oświadczenia dla sądu. Najważniejsze, by nie przyznał się pan do winy.

Ross odwrócił się od okna.

– Zostawmy to na razie. Dziś nie jestem w nastroju do takich rzeczy. Czekaając na pójście do więzienia, postaram się lepiej zrozumieć istotę sprawy...

Ross miał stałe zaproszenie na obiad w domu Harrisa Pascoe'a. Kiedy opuścił kancelarię Pearce'a, była już druga po południu i ruszył wolnym krokiem w stronę banku znajdującego się na Pydar Street. Wiał silny północno-zachodni wiatr, który przynosił rześiste ulewy, a palące słońce pojawiające się między opadami nie miało czasu osuszyć ulic, bo zaraz nadciągały nowe chmury i znów lało. W Truro woda płynęła rynsztokami nawet w najsuchsze lata, a w każdym zaułku pluskały ukryte strumyki. Z miasta można było wyjechać tylko przez most albo w bród. Wszystkich osaczała wilgoć. W nisko położonych miejscach na ulicach tworzyły się błotniste kałuże, które powoli zmieniały się w jeziora.

Ross skręcił w Church Lane, by ominąć jedno z takich jezior, pokrywające połowę Powder Street, gdy wtem wiatr przybrał na sile, uniósł poły surduta Rossa i próbował mu zerwać z głowy kapelusz. Mężczyzna idący za nim miał mniej szczęścia i po mokrych kocich łbach potoczył się czarny filcowy kapelusz z szerokim rondem. Zatrzymał się u stóp Rossa, a ten go podniósł. Kiedy właściciel się zbliżył, Ross spostrzegł, że to Francis. Po kłótni w sierpniu zeszłego roku ich stosunki tak się zmieniły, że powitali się jak obcy ludzie. Pamiętali dawne emocje, ale już ich nie czuli.

– Na Boga, co za przekłęty wiatr! – rzucił Francis. – Wichura niesie człowieka jak ziarno grochu. – Wziął podany przez Rossa kapelusz, lecz nie włożył go na głowę. Miał rozwiane włosy. – Dziękuję, kuzynie.

Ross skinął prędko głową i chciał iść dalej.

– Ross...

Odwrócił się. Zauważył, że Francis schudł. Nie groziła mu już nadwaga, lecz mimo to nie wyglądał lepiej.

– Tak?

– Spotykamy się dość rzadko, niewątpliwie uważasz, że i tak za często. Nie potępiam tego, ale chciałbym powiedzieć kilka rzeczy na wypadek, gdybyśmy mieli się zobaczyć dopiero za rok.

– Tak? – Niespokojne oczy Rossa spoglądały poza Francisem.

Francis uniósł wysoki aksamitny kołnierz płaszcza.

– Rozmowa w tej wichurze jest denerwująca. Przejdę z tobą parę kroków.

Ruszyli. Francis odezwał się dopiero, gdy dotarli do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej i podążyli wzdłuż ogrodzenia cmentarza.

– Najważniejsze są chyba dwie kwestie. Nie zależy ci na mojej życzliwości i nie jesteś w nastroju, by ją docenić, ale kiedy w przyszłym miesiącu pojedziesz do

Bodmin, i tak możesz na nią liczyć.

– Dziękuję.

– Po drugie, gdybyś potrzebował pomocy w trakcie procesu, chętnie jej udzielę.

– Nie sędzę, bym jej potrzebował.

– Ja również nie sędzę, bo inaczej proponowałbym to z większym przekonaniem. Ale w jednym wypadku... – Zawahał się, umilkł i przystanął. Ross czekał. Francis uderzył laską w pręty ogrodzenia. – Cmentarze to dobre miejsce do omawiania rodzinnych sekretów, nie ma co do tego wątpliwości. Przypuśćmy, że w przyszłym miesiącu coś pójdzie nie tak. Jak jest zabezpieczona Demelza?

Ross uniósł głowę, jakby zdawał sobie sprawę z wyzwania – nie ze strony Francis, lecz ze strony losu, który prowokował ludzi i jego samego do podobnych myśli.

– Da sobie radę. Dlaczego pytasz?

– Pomoc można okazać na różne sposoby. Niewątpliwie jestem takim samym bankrutem jak ty, a może większym, ale jeśli w przyszłym miesiącu trafisz do więzienia, Demelza może się do mnie zwrócić, gdyby potrzebowała rady lub pomocy. Ciągle mam nazwisko i trochę odłożonych pieniędzy. Mogłaby z nich skorzystać w razie potrzeby. Służę jej wszystkim, co mam.

Ross miał ochotę zawołać: „Jak śmiesz coś takiego proponować?! Miałaby prosić o pomoc zdrajcę i podstępного szubrawca, który nadużył zaufania kilkunastu uczciwych ludzi i doprowadził ich do bankructwa z powodu małostkowej złości?!”. Lecz nie miał dowodów, a poza tym sprawa odlewni należała do przeszłości. Nienawiść, gorzka i dawne urazy plamiły ręce jak soki wypływające z gnijącego trupa. Tuż po śmierci Julii Demelza powiedziała: „Wszystkie nasze kłótnie wydają się małe, nieważne. Czy nie powinniśmy odnaleźć przyjaźni, dopóki jest jeszcze czas?”.

– Elizabeth też tak uważa? – spytał.

– Nie rozmawiałem z nią. Jestem pewien, że tak.

Chmury zasłoniły słońce i zbliżała się następna ulewa. Światło miało w sobie coś twardego, metalicznego. Nieruchoma, bezbarwna ulica przypominała staloryt.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że Demelza nie będzie musiała skorzystać z tej propozycji.

– Oczywiście ja także mam taką nadzieję.

Ross pomyślał nagle, że gdyby nie Francis, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Odlewnia działałaby normalnie, Julia by żyła. Nie poniósłby klęski. A jednak spokojnie rozmawiał z Francisem, jakby nic się nie stało. Policzek.

– Przed chwilą sporządziłem testament – rzekł zmienionym głosem. – Ma go Pearce. Niewątpliwie spełni swój obowiązek, jeśli zdarzy się najgorsze.

Nie patrząc kuzynowi w oczy, uniósł szpicrutę na znak pożegnania, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę domu Harrisa Pascoe'a.

Kiedy Ross wszedł, bankier siedział w kantorku, ale natychmiast zaprosił gościa skinieniem dłoni, po czym udali się do prywatnego gabinetu.

Pascoe nalał Rossowi kieliszek brandy i powiedział:

– Zaprosiliśmy na obiad młodego Enysa, po raz pierwszy od kilku miesięcy. Joan jest zadowolona, ale mam pewne wątpliwości, czy w końcu się zaręczą. Znają się już tak długo, że moim zdaniem wszystko skończy się niczym, zwłaszcza po zeszłorocznym romansie Dwighta z tą kobietą.

– Ta Cyganka koniecznie chciała go uwieść – odparł Ross. – Mam nadzieję, że nie będę dziś nieproszonym gościem.

– Nie, bynajmniej. Odwiedza pan nas równie rzadko jak Enys. Proszę wejść. Przyjdę do pana za chwilę.

– Mam również sprawę do załatwienia – rzekł Ross. – Jest związana ze zbliżającą się rozprawą.

Bez zaangażowania obserwował reakcje różnych ludzi na wzmiankę o nadchodzącym procesie. W oczach niektórych, mimo demonstracyjnie wyrażanego współczucia, pojawiał się przesadny, badawczy błysk, a inni okazywali zażenowanie, jakby mówił, że wkrótce mają mu amputować nogę. Harris Pascoe skrzywił się z niesmakiem i ostentacyjnie poprawił okulary, nakładając je mocniej za uszy.

– Mamy nadzieję, że wszystko szczęśliwie się skończy.

– Ale roztropny człowiek powinien uporządkować wcześniej swoje sprawy.

– Myślę, że w tej chwili nie ma wiele do zrobienia.

– Oprócz odzyskania wypłacalności.

– Taak... Istotnie, istotnie. Chciałby pan przejrzeć swoje rachunki?

Weszli do banku. Pascoe otworzył wielką czarną księgę, strzepnął trochę starej tabaki z jednej ze stron i odkaszlnął.

– W skrócie sytuacja wygląda następująco. Ma pan kredyt do wysokości stu osiemdziesięciu funtów. Pański majątek jest obciążony hipoteką na kwotę dwóch tysięcy trzystu funtów. Oprocentowanie wynosi siedem procent rocznie. Rozumiem, że ma pan jeszcze inny dług, na tysiąc funtów, prawda? Na czterdzieści procent. Kiedy należy go spłacić?

– W grudniu tego lub przyszłego roku.

– W grudniu tego lub przyszłego roku. A pański przybliżony dochód?

– Niewiele więcej niż trzysta funtów rocznie netto.

Harris znów się skrzywił.

– Eee... tak. Po pokryciu kosztów utrzymania, prawda?

– Tak, zwykłych wydatków na żywność.

– Cóż, to po prostu się nie bilansuje. Pamięta pan, że kiedy planował zaciągnąć drugą pożyczkę, doradzałem sprzedaż akcji Wheal Leisure. Ale nie chcę robić panu wymówek. Ma pan jeszcze inne znaczące długi?

– Nie.

Przez okno wleciała duża mucha i badała pokój z wielką energią. Bankier przesunął księgę po stole, a Ross podpisał się pod ostatnią pozycją swojego rachunku.

– Chciałbym zapewnić jakieś zabezpieczenie żonie – powiedział. – Staram się nie patrzeć pesymistycznie na wynik procesu, ale nie należy chować głowy w piasek. – Uniósł pozornie senne oczy, w których pojawiła się lekka ironia. – Wymiar sprawiedliwości ma wiele sposobów, by pozbawić moją żonę środków utrzymania, więc czułbym się spokojniejszy, gdybym miał pewność, że nie pozostanie bez dachu nad głową w razie wdowieństwa, prawdziwego lub słomianego.

– Myślę, że może pan być tego pewny – odparł cicho bankier. – Pańskie aktywa wystarczą na spłatę drugiej hipoteki. Gdyby zabrakło jakiejś kwoty, ja pokryję różnicę.

Wrócili do gabinetu.

– Jest pan moim przyjacielem – odezwał się Ross. – To pana stawia w trudnej sytuacji.

– Wcale nie.

– Nie zapomnę przysług, jakie mi wyświadczono. Oczywiście jeśli wymiar sprawiedliwości pozwoli mi zachować pamięć.

– Jestem pewien, że wszystko dobrze się skończy. – Po chwili bankier zmienił temat, nieco zażenowany, że rozmowa nabiera emocjonalnych akcentów. – Chciałbym panu powiedzieć jedną rzecz, Poldark. Nie jest to jeszcze powszechnie wiadome. Rozszerzam zakres interesów i będę miał współników.

Ross napełnił swój kieliszek. Nie była to dla niego dobra wiadomość, lecz nie mógł tego okazać, bo był w tej chwili zależny od dobrej woli bankiera.

– Poważny krok. Naturalnie nie podjąłby go pan bez ważnych powodów.

– Nie. Myślę, że mam ważne powody. Kiedy mój ojciec zajął się handlem cyną, prowadzenie interesów wyglądało zupełnie inaczej. Trzydzieści lat temu było to proste i do chwili mojego ślubu nie emitowaliśmy trat bankowych. Zawsze mieliśmy dobrą reputację, wszystko opierało się na zaufaniu, nie potrzebowaliśmy tworzyć skomplikowanych mechanizmów finansowych. Ale sytuacja się zmieniła i musimy iść z duchem czasu. Obecnie bank wykonuje wiele nowych zadań, podlega naciskom. Jeden człowiek, a nawet jedna rodzina już sobie z tym nie poradzi.

– Kim będą pańscy nowi współnicy?

– St Aubyn Tresize, którego pan zna. Ma pieniądze, prestiż i szerokie kontakty. Drugi to Annery, adwokat. Miły człowiek. Trzeci nazywa się Spry.

– Nie znam go.

– Pochodzi ze wsi Come-to-Good. Kwakier. Będę kierował firmą, a spółka będzie nosiła nazwę Pascoe, Tresize, Annery i Spry. Posiłek jest już chyba gotowy. Dolać panu kropelkę brandy?

– Dziękuję.

Gdy szli w stronę schodów prowadzących do części mieszkalnej, Pascoe dodał:

– W istocie postanowiłem podjąć te działania po naszych doświadczeniach zeszłej jesieni.

– Ma pan na myśli bankructwo Carnmore Copper Company?

– Tak... Kiedy toczył pan walkę, nieustannie zmagał się pan z przeciwnościami, wyraźnie odczuwał presję wrogów: innych odlewni miedzi i zainteresowanych banków. Ale siedząc tutaj – wie pan, że prawie nie ruszam się z domu – siedząc tutaj w spokojnym banku, ja również miałem do czynienia z subtelnymi naciskami.

– Również wrogimi.

– Również wrogimi. Jak pan wie, nie byłem bezpośrednio zaangażowany w odlewnię. Jestem strażnikiem pieniędzy swoich klientów i nie mogę podejmować spekulacyjnego ryzyka. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że gdybym się bezpośrednio zaangażował, nie byłbym dostatecznie silny, by się oprzeć naciskom, które na mnie wywierano. Kredyt to nieprzewidywalna rzecz, równie niestała jak rtęć. Można go łatwo stracić. Emisja trat bankowych wiąże się z ryzykiem, że ktoś nagle zażąda ich spłaty. Zeszłej jesieni uświadomiłem sobie, że dni banków zarządzanych jednoosobowo są policzone. Wytrąciło mnie to z równowagi, wyrwało z wygodnych kolein, w których tkwiłem od wielu lat. Przez cały czas szukałem drogi, by stworzyć większe przedsiębiorstwo.

Wspięli się po schodach i poszli na obiad.

Rozdział czwarty

Francis dotarł do domu tuż po szóstej. Przez cały czas wiał mu w twarz silny wiatr i kilkakrotnie padał ulewny deszcz, częściowo z gradem. Lodowe kulki uderzały w łeb konia, pelerynę Francisa i twarz pod wiotkim kapeluszem; za kołnierz spływała woda, a bryczesy do jazdy konnej przemokły pod gumowymi ochraniaczami. Dwa razy o mało nie wypadł z siodła, gdy koń poślizgnął się w błotnistych, głębokich na trzydzieści centymetrów koleinach, więc nie był w dobrym nastroju.

Tabb, ostatni z dwóch pozostałych służących, odebrał konia od Francisa. Chciał coś powiedzieć, ale podmuch wiatru i kolejne strugi ulewy zagłuszyły słowa. Francis wszedł do dworu.

Teraz w domu panowała cisza. Widać było oznaki biedy i zaniedbania. Burzliwa pogoda i słone powietrze szybko niszczą ludzką pracę; na suficie holu pojawiły się wilgotne plamy i czuć było pleśń. Z wiszących na ścianach portretów spoglądały chłodno podobizny Poldarków i Trenwithów.

Francis podszedł do schodów, zamierzając iść na górę i zmienić ubranie, ale otworzyły się drzwi salonu zimowego i wybiegł z niego Geoffrey Charles.

– Tato! Tato! Przyjechał wujek George i przyniósł mi konia na biegunach! Ślicznego! Z brązowymi oczami, brązową grzywą i strzemionami. Mogę w nich trzymać stopy!

Francis spostrzegł, że Elizabeth podeszła do drzwi salonu, więc nie miał możliwości ucieczki i musiał powitać niespodziewanego gościa.

Wszedłszy do pokoju, zobaczył George'a Warleggana stojącego przy kominku. Bankier miał na sobie tabaczkowy surdut, jedwabną kamizelkę, czarny halsztuk, jasne bryczesy i nowe brązowe buty do jazdy konnej. Elizabeth wydawała się trochę zarumieniona, jakby zaskakująca wizyta sprawiła jej przyjemność. Ostatnio George rzadko pojawiał się w Trenwith, gdyż nie był pewny, czy jest mile widziany. Francis miewał dziwne humory i złościł się z powodu swoich długów.

– George przyjechał przed godziną – wyjaśniła Elizabeth. – Mieliśmy nadzieję, że wrócisz, zanim odjedzie.

– To wielki zaszczyt w dzisiejszych czasach. – Francis pochylił się, by pochwalić nową zabawkę Geoffreya Charlesa, i na twarzy chłopca pojawił się radosny

uśmiech. – Powinieneś zostać, aż przestanie padać. Zmokłem kilka razy, jadąc do domu.

– Schudłeś, Francisie – rzekł uprzejmym tonem George. – Ja również. Pod koniec osiemnastego wieku będziemy wyglądać jak sankiuloci.

Francis spojrział na potężną sylwetkę George'a.

– Nie zauważam żadnej zmiany na lepsze.

Kremowe zasłony w oknach były zasunięte bardziej, niż Francis lubił: rozpraszają światło, nadając mu miękka, ciepłą barwę, która budziła w nim irytację. Przeszedł przez salon i rozsunał je gwałtownym ruchem. Kiedy się odwrócił, zauważył, że Elizabeth się zarumieniła, jakby ponosiła odpowiedzialność za niezbyt grzeczną uwagę męża.

– My, zwykli ludzie, podlegamy kaprysom fortuny – rzekł George. – Nasze oblicza i sylwetki zmieniają się pod wpływem przeciwności losu. Ale uroda twojej żony, drogi Francisie, opiera się nieszczęściom i chorobom. Nawet w chwili próby staje się jeszcze bardziej olśniewająca.

Francis zdjął pelerynę.

– Myślę, że powinniśmy się czegoś napić. Jeszcze nas stać na trunki, George. Niektóre stare nawyki pozostają.

– Nalegałam, by George zjadł z nami kolację, ale nie chce – wtrąciła Elizabeth.

– Nie mogę – odparł George. – Muszę wrócić przed zmrokiem do Cardew. Byłem dziś po południu w St Ann's w sprawach kopalni i nie mogłem się oprzeć pokusie złożenia wam wizyty, gdy znalazłem się tak blisko. Rzadko przyjeżdżacie ostatnio do miasta.

George ma rację, pomyślał cynicznie Francis, kiedy żona wzięła od niego kieliszek. Uroda Elizabeth jest zbyt czysta, by wpływały na nią codzienne wydarzenia. George wciąż zazdrościł mu żony.

– Co z twoimi kopalniami? – spytał. – Wycofanie się z górnictwa ma tę zaletę, że można się interesować następującymi w nim zmianami w sposób czysto akademicki. Myślisz o zamknięciu Wheal Plenty?

– Bynajmniej. – George uderzał w dywan długą laską z rattanu. Po chwili przestał, bo tkanina zaczęła się wycierać. – Cyna i miedź drożeją. Jeśli ta tendencja się utrzyma, któregoś dnia możemy jeszcze uruchomić kopalnię Gambler.

– Gdybyż to było możliwe! – westchnęła Elizabeth.

– Niestety, to wykluczone. – Francis jednym haustem opróżnił kieliszek. –

George fantazjuje, by nam sprawić przyjemność. Miedź musiałaby być dwa razy droższa, by opłacało się inwestować w Gambler, kiedy kopalnia jest nieczynna i zalana wodą. Gdyby jej nie zamknięto, sytuacja wyglądałaby inaczej. Nie zostanie ponownie otwarta za naszego życia. Pogodziłem się z myślą, że do końca swoich dni pozostanę ubogim farmerem.

George się zgarbił.

– Jestem pewien, że popełniasz błąd. Nawet teraz, w dobie kryzysu, w życiu można wiele osiągnąć. Poldark to wciąż dobre nazwisko, Francisie. Gdybyś obracał się w towarzystwie, miałbyś wiele okazji poprawienia swojej sytuacji. Można zdobyć możnych protektorów, płatne urzędy, które nie powodują zobowiązań i utraty prestiżu, lecz raczej go dodają. Jakbym chciał, mógłbym w każdej chwili zostać radnym miejskim, ale nie mam teraz ochoty angażować się w politykę. Jeśli chodzi o ciebie...

– Jeśli chodzi o mnie – przerwał Francis – jestem dżentelmenem i nie potrzebuję protektorów: ani dżentelmenów, ani ludzi z innej sfery.

Wypowiedział te słowa spokojnie, lecz zabrzmiały dwuznacznie. George się uśmiechnął, nie była to jednak uwaga, którą mógłby łatwo zapomnieć. Obecnie niewielu ludzi ośmielało się mówić do niego w taki sposób.

Elizabeth poruszyła się niecierpliwie.

– Z pewnością klótnie nie są rzeczą rozsądną, zwłaszcza wśród przyjaciół. I w chwili, gdy można zdobyć przyjaźń. Duma może zaprowadzić człowieka zbyt daleko.

– Skoro już mówimy o Poldarkach – ciągnął Francis, nie zwracając uwagi na żonę – widziałem dziś w Truro drugiego przedstawiciela rodu. Nie wydawał się szczególnie przygnębiony nadchodzącym procesem, choć nie chciał ze mną o tym rozmawiać. Trudno go winić.

Francis pochylił się i powiedział coś do syna. George i Elizabeth milczeli.

– Oczywiście chciałbym, by go uniewinniono – rzekł w końcu Warleggan. – Moim zdaniem wynik nie rzuci cienia na twoje dobre imię, Francisie. Nikt nie jest stróżem swojego brata, prawda? ¹ A tym bardziej brata stryjecznego.

– Są szanse na uniewinnienie, jak sądzisz? – spytała Elizabeth.

– Piękny konik – powiedział łagodnie Francis do Geoffreya Charlesa. – Piękny konik.

– Nie wyobrażam sobie, by Ross mógł zostać całkowicie uniewinniony – odparł George. Otarł usta koronkową chusteczką, obserwując wyraz twarzy Elizabeth. – W czasie katastrofy odpowiadał za swoje czyny. Nikt go nie zmuszał, by robił to, co robił.

– Jeśli się wierzy, że cokolwiek zrobił!

– Naturalnie. Sąd będzie to musiał ustalić. Ale już wcześniej kilkakrotnie odnosił się z pogardą do prawa, co raczej przemawia na jego niekorzyść.

– Kiedy wcześniej? Nic o tym nie wiem.

– Sędziowie też nie powinni wiedzieć, ale to nie może pozostawić ich w nieświadomości – odparł Francis, prostując się. – Natknąłem się dziś w Truro na tę ładną, małą ulotkę. W przyszłym tygodniu na pewno dotrze również do Bodmin.

– Wyjął z kieszeni pognieciony arkusz papieru, rozprostował go i, ignorując wyciągniętą rękę Geoffreya Charlesa, podał go Elizabeth. – Zastanawiałem się, czy

nie pokazać tego Rossowi, lecz doszedłem do wniosku, że lepiej pozostawić go w niewiedzy – dorzucić.

Elizabeth spojrzała na arkusz papieru. Typowa tania ulotka o sensacyjnej treści wydrukowana na kiepskiej prasie drukarskiej. Farba była rozmazana i nierówno nałożona.

Prawdziwa, sensacyjna historia życia kapitana R...sa P...rka, śmiałego awanturnika i uwodziciela podejrzanego o morderstwo, który w przyszłym miesiącu stanie przed sądem w B...in oskarżony o przestępstwa kryminalne, przez bliskiego przyjaciela spisana. Cena jeden pens.

Po chwili odłożyła arkusz i popatrzyła na Francisa, który również spojrzał na nią z ciekawością. Tekst napisano na kształt biografii, nie pomijając żadnej z wulgarnych plotek – wszystkie przedstawiono jako niepodważalne fakty.

Francis podał ulotkę George'owi, ale ten machnął lekceważąco ręką.

– W Truro krąży sporo egzemplarzy. Wczoraj przyłapano na czytaniu jednego z naszych woźniców. To nieważne.

– Nieważne dla wszystkich z wyjątkiem Rossa – rzekł cicho Francis.

– Uważaj, chłopcze, bo wodze owinęły się wokół siodła – zwrócił się do chrześniaka George. – Popatrz, trzeba je trzymać w ten sposób.

– Ale jeśli sędziowie przysięgli w to uwierzą, będą uprzedzeni – rzekła Elizabeth.

– Wszyscy będą uprzedzeni! Mówią o sprawiedliwym procesie...

– Nie denerwuj się, droga Elizabeth – powiedział George. – Stale pojawiają się takie paszkwile na temat różnych osób. Nikt nie zwraca uwagi na te pomyje. Ba, zaledwie w zeszłym miesiącu ukazał się pamflet, w którym w bardzo barwny i szczegółowy sposób dowodzono, że wielu członków rodziny królewskiej to głupcy i szaleńcy, a ojciec króla, Fryderyk, jest wyjątkowym dewiantem
0 degeneratem.

– A czyż nie jest? – spytał Francis.

George wzruszył ramionami.

– Nawet w najpodlejszych oszczerstwach może być ziarno prawdy. Aluzja Warleggana była oczywista.

– Piszą, że Ross uczestniczył w wojnie w Ameryce tylko po to, by uniknąć podobnych oskarżeń wysuwanych wcześniej – odezwała się Elizabeth. – Przecież był wtedy zaledwie chłopcem. Owszem, wydarzyła się jakaś młdzieńcza eskapada, ale nic poważnego... A to... o Demelzie... I tutaj...

Francis zaczął czytać: *Poza tym cała okolica pełna jest bękartów, których pochodzenie mogłoby budzić wątpliwości, gdyby nie dziwna szrama, którą Diabeł naznaczył potomstwo kapitana – szrama ta jest tak podobna do jego własnej, jakby wszystkich napiętnowano tym samym rozpalonym żelazem. Jest to niezaprzeczalny dowód...*

– O co tu chodzi? – spytała Elizabeth.

– Syn Jinny Carter ma bliźnię – wyjaśnił Francis. – Teraz nazywa się Jinny Scoble. Autor paszkwilu zadał sobie dużo trudu, by zebrać wszystkie... eee... jak to nazwał...? wszystkie pomyje. „Bliski przyjaciel”. Zastanawiam się, kto to może być. Nie ty, George, prawda?

George się uśmiechnął.

– Zarabiam na chleb w bardziej tradycyjny sposób. Takie rzeczy mógłby pisać za pieniądze tylko bankrut.

– Pieniądze nie zawsze są najsilniejszym motywem – odpowiedział, rewanżując się, Francis.

Warleggan pochylił głowę i oparł podbródek na gałce laski.

– Tak, również złość może odgrywać jakąś rolę... Tak czy inaczej, sprawa nie jest ważna, prawda? Jeśli te historie są zmyślane, łatwo to udowodnić.

Ale dotknął Francisca do żywego i w charakterystyczny dla siebie sposób zemścił się za zniewagę. George od dawna miał zwyczaj przełykać afronty w milczeniu, a później nagle odpłacać pięknym za nadobne. Francis nie potrafił panować nad sobą w taki sposób. Na szczęście w tej samej chwili Geoffrey Charles spadł z konia, który się przewrócił. Kiedy krzyki ucichły, najgorszy moment minął. Elizabeth starała się nie dopuścić do kolejnej scysji z dwóch powodów. Po pierwsze, George był właścicielem Trenwith. Po drugie, z osobistych powodów nie chciała tracić jego przyjaźni. Rzadko spotykała ludzi, którzy tak ją podziwiali. Wierzyła, że to się jej należy, i owa świadomość sprawiała, że tym trudniej było bez tego żyć.

Rozdział piąty

W 1790 roku, w czasie letniej sesji sądu, Bodmin było miastem liczącym trzy tysiące mieszkańców i mającym dwadzieścia dziewięć szynków.

Historyk przejeżdżający przez Bodmin dwieście lat wcześniej odnotował, że miasto wzniesiono w niezdrowym miejscu; napisał, że domy ciągnące się wzdłuż półtorakilometrowej głównej ulicy stoją w cieniu góry, dlatego nie dociera do nich słońce ani świeże powietrze. Dodał, że w czasie ulewy fekalia z wychodków i stajni wypływają na ulice, a główny wodociąg biegnie przez dziedziniec kościoła służący za cmentarz, gdzie chowa się zmarłych z terenu miasta i parafii.

Późniejsze lata nie zmieniły tej sytuacji, ale Ross nie zauważył u twardych, doświadczonych przez życie mieszkańców niczego, co świadczyłoby, że czują szczególny strach przed chorobami lub zarazą. Zeszłego lata, kiedy wokół szalała cholera, miasto było od niej wolne.

Stawił się w więzieniu w czwartek drugiego września, a Demelza przybyła w sobotę. Nie chciał, aby obserwowała proces, lecz tak gwałtownie nalegała, że tym razem skapitulował. Zarezerwował dla niej pokój w zajęzdzie Pod Jerzym i Koroną oraz miejsce w południowym dylizansie, ale poczyniła własne przygotowania w tajemnicy przed mężem. Dylizans rozpoczął długą jazdę z południowo-zachodniej Anglii w Falmouth, a kiedy o jedenastej czterdzieści pięć pojawił się w Truro, zobaczyła w nim podróżującą Verity.

Demelza i siostra stryjeczna Rossa powitały się jak stare przyjaciółki, z wielką sympatią, która zawiązała się w trudnych chwilach. Łączyła je miłość do Rossa i wspólny cel.

– Verity! Och, jakże się cieszę, że cię widzę! Nie widziałyśmy się od wieków! Nie mam w tej chwili nikogo, z kim mogłabym rozmawiać tak jak z tobą!

Demelza chciała natychmiast wsiąść do dylizansu, ale Verity wiedziała, że postój potrwa kwadrans, więc zaprowadziła kuzynkę do zajazdu. Usiadły w rogu przy drzwiach i rozmawiały podekscytowanymi, ściszonymi głosami. Verity pomyślała, że Demelza wygląda kilka lat starszej niż podczas ostatniego spotkania, jest chudsza i bledsza, lecz w jakiś sposób pasowało to do jej ciemnych włosów i brwi oraz kapryśnych oczu.

– Chciałabym umieć pisać tak jak ty – szepnęła Demelza. – Listy, które coś

znaczą. Piszę jak Prudie Paynter i nigdy się nie nauczę. Mam wszystko na końcu języka, ale kiedy biorę do ręki pióro, brakuje mi słów, a myśli wylatują z głowy jak para z dziobka czajnika.

– Powiedz, jak się nazywa adwokat Rossa – poprosiła Verity. – Jakich świadków wezwała obrona? Nie mam pojęcia o sprawach sądowych. Jak się wybiera ławę przysięgłych? Czy to obywatele miasta i czy mogą okazać pobłażliwość?

O sędzia...

Demelza próbowała zaspokoić ciekawość Verity, podając znane sobie informacje. Ze zdziwieniem skonstatowała, że kuzynka wie o prawie równie mało jak ona. Wspólnie próbowały rozwikłać złożone problemy.

– Andrew również chciał przyjechać, ale jest na morzu – rzekła Verity. – Szkoda, że nie mogę liczyć na jego wsparcie, chociaż może tak będzie lepiej... Czy Francis przyjedzie na rozprawę? Wiesz coś o tym?

– Nie... Nie, nie sądzę. Ale będą ogromne tłumy. Podobno mamy szczęście, że zdobyliśmy lokum, bo w najbliższym tygodniu w Bodmin odbywają się wybory do Izby Gmin. Unwin Trevaunance i Michael Chenhalls, kandydaci Bassetów, współzawodniczą z sir Henrym Corrantem i Hugh Dagge'em, kandydatami Boscoigne'ów. Będzie wielki rozgardiasz.

– Jesteś świetnie poinformowana. Unwin Trevaunance to brat sir Johna?

– Tak. Poznaliśmy... to znaczy poznałam sir Johna. Ross zna go od lat, ale ja... Okazało się, że ma chorą krowę. Wyleczyłam ją... albo wyzdrowiała sama z siebie. Byłam kilka razy w jego majątku i opowiedział mi o szczegółach wyborów.

– Chorą krowę?!

Demelza lekko się zarumieniła.

– To nic ważnego, Verity. Jeśli w sobotę i w niedzielę będę się dziwnie zachowywała, nie przejmuj się. Wpadłam na pewien pomysł, może coś z tego będzie, a może skończy się na niczym. Po prostu wymyśliłam plan, mam nadzieję, że zrozumiesz. Jesteś naprawdę szczęśliwa z Andrew?

– Bardzo szczęśliwa, dziękuję. Zawdzięczam to tobie, kochana. Co zamierzasz robić w sobotę i w niedzielę?

– Może w ogóle nic. Po prostu cię uprzedzam. Poznałaś już dzieci Andrew?

Verity otworzyła nową aksamitną torebkę, wyjęła chusteczkę i zaciągnęła troczki. Spojrzała na biały kwadrat tkaniny, marszcząc brwi.

– Nie... jeszcze nie. Nie znam ich, James jest ciągle na morzu, a... Ale opowiem ci o tym później. Chyba powinniśmy wsiąść do dylizansu.

Poszły do czekającego pojazdu. Wypoczęte konie niecierpliwily się w uprzęży, pocztylioni próbowali je uspokoić. Wsiadły jako pierwsze. Po chwili pojawiło się trzech innych pasażerów, a kilku zajęło miejsca na dachu. Czekala je podróż w ścisiku.

Zbieżność dat wyborów do Izby Gmin i sesji sądu sprawiła, że rozsądniejszych

mieszkańców Bodmin ogarnął lekki niepokój – połączenie obu wydarzeń zdawało się, delikatnie mówiąc, niekorzystne. W pierwszym tygodniu gospody będą wypełnione po brzegi, a w drugim puste; poważna atmosfera rozpraw sądowych mogła zostać zakłócona przez równie ważną, lecz hałaśliwą rywalizację wyborczą, w której zdążyła się już ujawnić wzajemna niechęć kandydatów. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że w mieście urzęduje dwóch burmistrzów, którzy reprezentują współzawodniczących patronów, lecz nikt nie potrafił przewidzieć, kto odniesie zwycięstwo.

W spokojniejszych okolicznościach wybory posłów do Izby Gmin mogłyby trwać dwie godziny i nie wzbudzić większych emocji: było zaledwie trzydziestu sześciu elektorów, członków rady miejskiej pod przewodnictwem burmistrza. Niestety spory dotyczące urzędu burmistrza doprowadziły do podważenia mandatu rady miejskiej – każdy burmistrz miał własną listę elektorów. W składzie rady Lawsona, jednego z burmistrzów, znajdowali się jego brat, szwagier, kuzyn, bratanek i czterech synów, a drugi burmistrz, Michell, zaciekle to krytykował.

Jeśli chodzi o pracę sądu, na wokandzie znajdowało się wiele spraw odwołanej sesji wiosennej, w więzieniu tłoczyli się przestępcy, a w gospodach – uczestnicy procesów cywilnych i świadkowie. W piątek Ross odbył pierwszą rozmowę ze swoim adwokatem, mecenasem Jefferym Clymerem, radcą królewskim, barczystym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, z wydatnym nosem i ciemnym zarostem, którego nie sposób zgolić nawet najostrzejszą brzytwą. Ross mimo woli pomyślał, że prawnik postąpił słusznie, przybywając do więzienia w todze, bo klucznik mógłby go nie wypuścić.

Mecenas Clymer uważał, że sprawa Korona kontra R.V. Poldark rozpocznie się dopiero w środę rano. Tymczasem przeglądał streszczenie sporządzone przez Pearce'a, zadawał klientowi pytania, chrząkał, słysząc odpowiedzi, i przykładł do nosa chusteczkę nasączoną octem. Przed wyjściem oznajmił, że wróci w poniedziałek z listą świadków oraz projektem linii obrony, którą zaleca klientowi. Streszczenie przygotowane przez Pearce'a było bezużyteczne – potwierdzało zbyt wiele zarzutów. Kiedy Ross powiedział, że Pearce przygotował swoją propozycję według jego wskazówek, Clymer stwierdził, że to bzdury: wydawanie takich instrukcji nie należy do klienta. Klient powinien przestrzegać zaleceń swoich doradców prawnych, bo w przeciwnym wypadku jaką by miał z nich korzyść? Nie można nie przyznać się do winy, a później powiedzieć: „A jednak to zrobiłem”. Wielka szkoda, że kapitan Poldark tak dużo zeznał i wyraził tyle opinii w trakcie wstępnego przesłuchania przez sędziego. To najprostszy sposób, by napytać sobie biedy. Celem obrony powinno być podważenie tych zeznań, a nie ich akcentowanie. Ignorując spojrzenie Rossa, oznajmił, że kapitan Poldark powinien przemyśleć tę sprawę w ciągu następnego tygodnia, a także zastanowić się, czy jest w stanie przypomnieć sobie coś, co mogłoby pomóc. W końcu – jak powiedział,

pocierając sine policzki – tylko oskarżony zna wszystkie fakty.

Ross zgodził się na przyjazd Demelzy do miasta pod jednym warunkiem – że w żadnym wypadku nie podejmie próby widzenia się z nim w więzieniu. W gruncie rzeczy była z tego zadowolona, bo nie musiała mówić mężowi, czym się zajmuje. Mówiła o tym tylko Verity, która niestety nie miała nad Demelzą żadnej kontroli.

Kłopoty zaczęły się natychmiast po wejściu do gospody, ponieważ oberżysta wstawił do ich pokoju drugie dwuosobowe łóżko i oznajmił, że ma prawo przenocować jeszcze dwie inne kobiety. Dopiero długa, nieprzyjemna sprzeczka prowadzona przez Verity i dodatkowa opłata sprawiły, że zostały same. Zjadły razem posiłek i słuchały trzaskania drzwi, krzyków stajennych, tupotu biegających pokojówek i śpiewów pijanych włóczęgów pod oknem.

– Chyba musimy zatkać sobie uszy, by zasnąć – powiedziała Verity, wyjmując szpilki z włosów. – Jeśli taki hałas jest już o siódmej wieczorem, co będzie za kilka godzin?

– Nie martw się – odpowiedziała Demelza. – Będą kompletnie pijani. – Przeciągnęła się, prężąc plecy jak kotka. – Och, ten stary dyliżans: podskok, podskok, trzask. Trzy razy miałam wrażenie, że się przewróci i spędzimy noc w błocie.

– Okropnie boli mnie od tego głowa – odparła Verity. – Napiję się kordiału i pójdę wcześniej spać.

– Jeszcze godzina, a chyba poczułabym to samo. Co chciałaś mi powiedzieć o swoich pasierbach, Verity?

Kuzynka pokręciła głową i włosy opadły jej na ramiona. Ruch ten przywodził na myśl rozkwitnięcie pąka i świadczył o tajemnej przemianie jej osobowości. Nie wyglądała już na jedenaście lat starszą od Demelzy. Jej pełne szczęścia oczy znów przyciągały energią i inteligencją, a zaokrąglone policzki sprawiały, że szerokie, grube wargi nie wydawały się nieproporcjonalnie duże.

– To bez znaczenia – powiedziała. – Bez znaczenia w porównaniu z tym, co się dzieje z Rossem.

– Opowiedz mi o nich – poprosiła Demelza. – Jeszcze nigdy ich nie widziałaś?

– To w tej chwili jedyna skaza na naszym szczęściu. Andrew bardzo kocha swoje dzieci i jest mi przykro, że nie chcą przyjechać z mojego powodu.

– Dlaczego miałyby się tym przejmować? To nie twoja wina.

– Nie powinnam się martwić, ale... – Rozdzieliła włosy po lewej stronie głowy na trzy pasma i zaczęła je splatać. – Sytuacja jest wyjątkowo delikatna. Pierwsza żona Andrew zmarła w dziwnych okolicznościach i dzieci wcześniej zostały sierotami. Mają po tym bliźny: matka nie żyje, ojciec w więzieniu, wychowanie przez krewnych. Ojciec zawsze miał z nimi kłopoty. Czasem przyjeżdżały w odwiedziny, ale nigdy po naszym ślubie. Naturalnie James nie mógł, bo służy w marynarce i nie wolno mu opuścić okrętu, ale ani razu nie napisał. Esther jest

w Plymouth... Andrew prawie o nich nie wspomina, ale wiem, że o nich myśli. Wiem, że byłby bardzo szczęśliwy, gdybyśmy mogli się spotkać. Zastanawiałam się czasem, czy nie pojechać do Saltash, by poznać Esther pod nieobecność Andrew, nic mu nie mówiąc.

– Nie – powiedziała Demelza. – Nie robiłabym tego na twoim miejscu. To ona powinna przyjechać.

Verity popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, a później na Demelzę, która zmieniała pończochy.

– A jeśli nigdy nie przyjedzie?

– Namów Andrew, by ją zaprosił.

– Już to zrobił, ale się wykręca.

– W takim razie musisz użyć przynęty.

– Przynęty?

Demelza poruszyła palcami stóp i z namysłem spojrzała na trzy pary butów, z których musiała wybrać jedną.

– Kocha brata?

– Tak sądzę.

– W takim razie zaproś go do Falmouth. Może to tylko nieśmiałość i brat zdoła ją skłonić do przyjazdu.

– Chciałabym wierzyć, że masz rację, bo James wkrótce wróci do Anglii. Spodziewaliśmy się go na Wielkanoc, ale jego okręt skierowano do Gibraltaru... Co się dzieje? – Na ulicy krzyczał mężczyzna, zagłuszając zwyczajne miejskie hałasy. Miał donośny głos i dzwonek. – Herold miejski! – domyśliła się Verity.

Demelza zdjęła przed chwilą strój do jazdy konnej, ale podeszła do okna znajdującego się na poziomie ulicy, po czym uklękła i wyjrzała przez koronkowe firanki.

– Nie słyszę, co mówi.

– Nie... To ma coś wspólnego z wyborami.

Verity popatrzyła w lustrze na klęczącą Demelzę, która miała w sobie czujność młodego zwierzęcia. Kuzynka była w kremowej halce z satyny i gorsecie z gandawskich koronek z niewielkim dekoltem. Trzy lata wcześniej pożyczyła Demelzie pierwszą delikatną bieliznę. Dziewczyna szybko się uczyła. Na wargach Verity pojawił się serdeczny uśmiech.

Herold nie zdołał w stronę gospody, ale hałas panujący na ulicy ucichł na pewien czas i usłyszały kilkanaście oderwanych słów:

– Słuchajcie, słuchajcie! Z rozkazu szeryfa... Obwieszczenie o wyborach... Burmistrz i radni miejscy okręgu Bodmin... Przewodniczący Izby Gmin wydał rozporządzenie, że we wtorek, siódmego dnia września roku Pańskiego...

– To znaczy, że wybory odbędą się we wtorek? Myślałam, że w czwartek – odezwała się Demelza.

- W mieście pojawią się ogłoszenia. Możemy je przeczytać jutro.
- Verity...
- Tak?
- Jesteś zmęczona?
- Jutro rano wszystko będzie w porządku.
- Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym wyszła na chwilę?
- Dziś wieczorem?! O nie, moja droga! To kompletne szaleństwo! Byłabyś w wielkim niebezpieczeństwie!

Demelza podeszła do strojów, które rozpakowała, i przyjrzała im się w słabnącym świetle.

- Będę chodzić głównymi ulicami.
- Nie zdajesz sobie sprawy, co to za miasto! W Falmouth nie można wyjść bez eskorty nawet w zwykły sobotni wieczór. A teraz, gdy można pić za darmo i na ulicach roi się od przyjezdnych...
- Nie jestem bezbronną lilią, która się złamie od jednego dotknięcia.
- Nie, moja droga, to szaleństwo, wierz mi! Nie zdajesz sobie sprawy... – Verity obserwowała twarz przyjaciółki. – Jeśli się upierasz, będę musiała ci towarzyszyć.
- Nie, nie... Wiele razy mi pomagałaś, Verity, ale tym razem to niemożliwe. To coś... między mną a Rossem...
- Między tobą a... Ross cię o to prosił?

Demelza walczyła z wyrzutami sumienia. Wiedziała, ile zła wyrządziły wcześniej jej niewinne kłamstwa. Lecz również dobra!

- Tak – odpowiedziała.
- W takim razie... Jesteś pewna, że nie ma nic przeciwko temu, byś wyszła sama? Trudno mi uwierzyć, że mógłby się zgodzić na...
- Jestem córką górnika – przerwała Demelza. – Nie urodziłam się w arystokratycznej rodzinie. Stałam się damą – czy to właściwe słowo? – dopiero jako młoda dziewczyna. Jestem za to wdzięczna Rossowi i tobie. Ale w głębi serca wcale się nie zmieniłam. Ciągle mam ślady na plecach po tym, jak ojciec lał mnie pasem. Potrafię sobie poradzić z kilkoma pijakami, odpłacę im pięknym za nadobne. Potrafię to zrobić, jeśli jestem w odpowiednim nastroju.

Verity spoglądała przez chwilę na twarz kuzynki. W miękkich, kobiecych rysach była jakaś determinacja.

- Doskonale, kochanie. – Verity z rezygnacją skinęła dłonią. – Niezbyt mi się to podoba, ale masz prawo robić, co chcesz.

Rozdział szósty

Tej nocy miasta nie oświetlał księżyc, ale w każdym sklepie, szynku i domu paliły się żółtawe światła. Zgodnie ze zwyczajem obie strony uczestniczące w wyborach oferowały swoim zwolennikom darmowe trunki i wielu już chodziło chwiejnie lub siedziało w otępieniu w niszach pod ścianami.

Demelza opuściła gospodę, zeszła ze wzgórza i po kilku minutach znalazła się na głównej ulicy, która tego wieczoru wydawała się wyjątkowo wąska i zatłoczona. Przed sklepami, szynkami i domami, położonymi obok siebie, znajdowały się niewielkie portyki kryte dachówką i wspierane przez kamienne kolumny; tworzyły zadaszony pasaż po obu stronach ulicy. Wolna przestrzeń pośrodku była tak wąska, że mieścił się tam tylko jeden powóz, a ponieważ w przypadku sklepów w portykach często wystawiano towary, piesi bez przerwy musieli schodzić na jezdnię. Funkcjonowało to jakoś w zwykłe dni, lecz w tej chwili panował zbyt wielki tłok.

Ludzie na ulicy nieustannie się potracali, mocno, lecz jak dotąd bez złości. Kilka metrów od Queen's Head Demelza musiała się zatrzymać, bo ścisk uniemożliwiał dalszy marsz. Coś się działo w zajeździe, ale na początku zauważyła tylko czerwone i pomarańczowe flagi wiszące w oknach na piętrze. Ludzie krzyczeli i śmiali się. W pobliżu portyku, przy którym stała, jęczał jakiś ślepiec i usiłował odnaleźć drogę; kobieta wyklócała się z ludwisarzem o cenę dzwonka; podpity mężczyzna siedział na kamiennym stopniu wykorzystywanym do wsiadania na konie i głaskał po policzku wiejską dziewczynę o pustej twarzy i obfitym biuście, która przycupnęła nieco niżej. Dwóch obdartych uliczników w surdutach z obciętymi połami nagle zaczęło się bić, rzucając na zaschnięte błoto, drapiąc się i gryząc. Sześciu ryczących ze śmiechu gapiów otoczyło ich tak, że zniknęli z pola widzenia.

Nagle rozległy się krzyki i tłum rzucił się w stronę Queen's Head. W miejscu gdzie stała Demelza, zrobiło się luźniej. Na piętrze gospody otworzyło się okno, a ludzie wiwatowali i krzyczeli do widocznych w nim postaci. Inni walczyli ze sobą, tarzając się na ulicy. Znowu dzikie wrzaski, tłum popędził naprzód. Z góry coś rzucono, po ziemi toczyły się drobne przedmioty. Wśród stłoczonych ludzi biegł zgięty wpół ulicznik, trzymał ręce pod pachami, miał wykrzywioną twarz, lecz malował się na niej triumf. Trzech mężczyzn biło się ze sobą, a Demelza musiała

się schować przed nimi w portyku. Jeden uderzył w stragan ludwisarza, który wybiegł na ulicę, wrzeszcząc i miotając przekleństwa, żeby odpędzić awanturników.

– Co się dzieje? – spytała go Demelza. – Co tu się dzieje?

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Rozrzucają rozgrzane do czerwoności monety. Z patelni. To zwyczaj.

– Rozgrzane do czerwoności monety?

– Tak, to zwyczaj, mówię. – Podeszedł do straganu.

Demelza przepchnęła się bliżej i zobaczyła w oknie kucharza w wysokiej białej czapce oraz dwóch mężczyzn ze złotymi wstążkami wpiętymi w klapy surdutów. Wrzeszczący tłum rzucił się do przodu, gdy znów ciśnięto pieniądze. Ludzie kłębiący się w blasku ognia poruszali się pod wpływem zbiorowego impulsu, zatracając swoją indywidualność, nie stanowiąc odrębnych jednostek. Czuli, że jeśli nie będzie ostrożna, może się stać częścią tłuszczy wirującej w żółtawym półmroku, zatopić się w niej, utracić wolę i indywidualność, biec w stronę okna z każdą kolejną falą ludzi. Znalazła się obok ślepcy.

– Sam się tędy nie przedostaniesz, starcze – powiedziała. – Dokąd chcesz iść?

– Do ratusza, pani – odpowiedział, ukazując połamane zęby. – To niedaleko, tylko kawałek.

– Weź mnie pod rękę. Pomogę ci.

Odczekała, aż tłum znów rzucił się w stronę okna, po czym przepchnęła się do przodu, zadowolona, że ktoś jej towarzyszy, że może komuś pomóc.

Ślepiec cuchnął ginem.

– Rzadko kto chce pomóc staremu człowiekowi. Któregoś dnia zrobię to samo dla ciebie. – Zaśmiał się, gdy przeciskali się przez najgęstszy tłum. – Straszny dziś ścisk, a będzie jeszcze gorzej.

– Gdzie urzęduje Basset? – spytała, patrząc w górę ulicy. – Myślałam, że dziś po południu tutaj?

Ślepiec ścisnął jej ramię.

– Kilka kroków stąd. Ale może poszłabyś ze mną Arnold Passage? Mogę ci dać kapkę dobrego ginu. To by cię rozgrzało.

Usiłowała wyswobodzić rękę, lecz ścisnął ją mocno, poruszając nerwowo palcami.

– Puść mnie – powiedziała.

– Bez obrazy, panienko. Nie miałem nic złego na myśli. Pomyślałem, że jesteś grzeczną małą dziewczuszką. Nic nie widzę, rozumiesz, i wszystko biorę na czucie, a ty się wydajesz młoda i przyjazna. Młoda i przyjazna.

Ulicą nadciągnęło dwóch jeźdźców, którzy przeciskali się przez tłum. Usiłowali uspokajać konie, często nie mogąc się posuwać do przodu. Demelza przeprowadziła ślepcę obok nich i uwolniła rękę. Bez powodzenia próbował chwycić jej palce, ona zaś ruszyła do przodu.

Kiedy znalazła się naprzeciwko ratusza, od zachodu ulicą nadciągnęła kolejna fala ludzi, którzy krzyczeli i śpiewali, niosąc kogoś na rozchybotanym fotelu. Ledwo zdołała się wślizgnąć do łukowatego wejścia do zajazdu Pod Koroną. Wydawało się, że przejdą obok, lecz niektórzy się zatrzymali, a jeden z mężczyzn stanął na barkach drugiego, by dosięgnąć błękitno-złotej chorągwi wiszącej nad ich głowami. Złapał za róg, gdy wtem obok Demelzy przebiegło kilkunastu mężczyzn, którzy wypadli z zajazdu. Ściągnęli mężczyznę na ziemię i po chwili doszło do bójk. Ktoś rzucił cegłę. Demelza cofnęła się w głąb dziedzińca i próbowała doprowadzić do porządku swój strój.

Z trudem podjęła decyzję, jak się ubrać na tę okazję, i nie była zadowolona z efektu. Chciała wyglądać jak najlepiej, ale nie mogła wyjść na ulicę w sukni wieczorowej. Rezultatem był kompromis, który nieco osłabił tak potrzebną pewność siebie.

– Tak, pani? – Stał przed nią młody służący o bezczelnym wyrazie twarzy. Widziała po jego oczach, że nie zaklasyfikował jej jeszcze do żadnej warstwy społecznej.

– Czy sir John Trevaunance zatrzymał się w zajeździe?

– Nie wiem, pani.

Demelza postanowiła zaryzykować.

– Moim zdaniem jest tu w tej chwili. Mówił mi, że będzie tu dziś wieczorem.

– Nie potrafię powiedzieć, pani. Jedzą kolację. Są goście.

– Ciągle jedzą kolację?

– Powinni niedługo skończyć. Zaczęli o piątej.

– Zaczekam – powiedziała. – Daj mi znać, kiedy skończą.

Usiadła w sieni zajazdu, udając swobodę i spokój. Na ulicy panował coraz większy hałas i zastanawiała się, jak wróci do gospody. Próbowała się nie denerwować. Z sali po lewej stronie wybiegali kelnerzy, po chwili wracali. Demelza nie chciała, by ją tu zobaczono, siedzącą jak żebraczka, która czeka na jałmużnę. Skinęła na jednego z kelnerów.

– Czy jest tu jakiś salonik, gdzie mogłabym poczekać na sir Johna Trevaunance'a w bardziej komfortowych warunkach?

– Eee... Tak, pani. Na szczycie schodów. Czy mam podać coś do picia? Znakomity pomysł.

– Tak, proszę – odpowiedziała. – Chętnie wypiłabym trochę porto.

Nie była to kolacja z okazji wyborów, którą zaplanowano na poniedziałek, ale wprawka, jak określił to sir Hugh Bodrugan. A ponieważ uczestniczyło w niej niewiele kobiet, panowała swobodniejsza atmosfera niż w czasie oficjalnej uroczystości w poniedziałek. Kilku gości o słabszych głowach było pijanych, lecz większość trzymała się niezłe.

U szczytu stołu siedzieli sir John Trevaunance i jego brat Unwin. Między nimi

zajmowała miejsce Caroline Penvenen, a po lewej stronie sir Johna – żona Gilberta Daniella, u której zatrzymało się trzech gości. Za panią Daniell siedział Michael Chenhalls, drugi kandydat, a dalej panna Treffry, burmistrz – ich burmistrz – Humphrey Michell oraz sir Hugh Bodrugan. Resztę gości stanowili miejscy notable, ważne osobistości hrabstwa, kupcy handlujący wełną i urzędnicy.

Kiedy damy wyszły, mężczyźni siedzieli pół godziny przy porto, po czym postanowili rozprostować nogi i stanęli w niewielkich grupkach w pobliżu stołu z pozostałościami posiłku, gawędząc i ziewając. Do długiej jadalni nie docierały hałasy z ulicy, lecz gdy weszli na piętro, krzyki, wiwaty, śmiechy i odgłosy bójek stały się dobrze słyszalne. Kiedy Unwin wchodził po schodach obok starszego brata, zbliżyła się do niego Caroline Penvenen z maleńkim pieskiem na rękach. Na jej twarzy malowała się wystudiowana irytacja.

– Horacy boi się hałasu – powiedziała, gładząc długimi palcami jedwabiste uszy i głowę. – Jest nerwowego usposobienia i strach mu szkodzi.

– Horacy jest bardzo szczęśliwym psem, że skupia się na nim tak wielki afekt – zauważył Unwin.

– Nie powinnam była go zabierać, lecz obawiałam się, że będzie samotny tylko w towarzystwie starego pana Daniella. Jestem pewna, że byłby bardzo nieszczęśliwy, gdyby cały wieczór spędził w tym koszmarnym salonie z przeciągiem wiejącym przez szparę pod drzwiami, słuchając pochrapywania staruszka siedzącego w najlepszym fotelu...

– Chciałbym zauważyć, moja droga – rzekł cicho sir John – że jesteśmy gośćmi pana Daniella, a pani Daniell stoi tuż za twoimi plecami.

Caroline uśmiechnęła się promiennie do młodszego mężczyzny.

– Sir John mnie nie aprobuje, Unwinie. Wiesz o tym? Sir John jest przekonany, że kiedyś go skompromituję. Sir John uważa, że kobieta powinna siedzieć w domu, nie wtrącać się i nie sprawiać kłopotów w czasie wyborów. Sir John patrzy na kobiety łaskawie dopiero wtedy, gdy skończą co najmniej trzydzieści lat i staną się statecznymi matronami, a nawet wówczas...

Kiedy dwaj mężczyźni uprzejmie starali się przekonać Caroline, że jest w błędzie, Demelza wyszła z bocznego pokoju i zobaczyła przed sobą człowieka, którego szukała. Zbliżyła się do niego z mniejszym wahaniem, niż okazałaby pół godziny wcześniej, i zastanawiała się, kim jest wysoka, urodziwa dziewczyna z rudymi włosami i żywiołowymi szarozielonymi oczyma.

Kiedy sir John spostrzegł Demelzę, na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

– Ależ, pani Poldark, cóż za miła niespodzianka! Mieszka pani tutaj?

– Znalazłam schronienie w zajeździe – odpowiedziała. – Na dworze jest wielkie zamieszanie. Zastanawiam się, czy ma coś wspólnego z wyborami.

Sir John się roześmiał.

– Tak mi się zdaje... Czy mógłbym przedstawić... Mam wrażenie, że nie zna

jeszcze pani panny Caroline Penvenen... Przez część roku jest pani sąsiadką w Killewarren. Pani Demelza Poldark z Nampary.

Damy oznajmiły, że są oczarowane, choć Caroline przyglądała się sukni Demelzy, która zdawała sobie z tego sprawę.

– Mieszkam ze stryjem, Rayem Penvenenem, którego może pani znać – rzekła Caroline. – Nie mam rodziców i on musi się opiekować osieroconą bratanicą, co traktuje jako dopust boży. Chwilami uwalniam go od tego ciężaru, wyjeżdżając z posiadłości, i inni muszą pokutować. Przed chwilą współczułam sir Johnowi z tego powodu.

– Traktujesz się niesprawiedliwie, wierz mi – odrzekł Unwin, który nie wydawał się zbyt zadowolony z pojawienia się Demelzy. – Jeśli jesteś ciężarem, w co wątpię, wielu ludzi chciałoby go dźwigać. Połowa mężczyzn w hrabstwie padłaby ci do stóp na jedno twoje skinienie. A jeśli...

– Mężczyzn? – przerwała Caroline. – Tylko mężczyźni? A co z kobietami? Czy zgodziłaby się pani z poglądem, że mężczyźni błędnie oceniają swoje znaczenie?

– Nie jestem tego pewna – odpowiedziała Demelza. – Widzi pani, jestem mężatką i patrzę na te sprawy z innego punktu widzenia.

– Czy pani mąż jest naprawdę taki ważny? Nie przyznawałabym się do tego, gdyby to była prawda! Unwin, czy nie wspominałeś mi, że jeden z Poldarków ma zostać w tym roku osądzony w czasie sesji sądu? Czy to krewny tej damy?

– To mój mąż, pani – odrzekła Demelza. – Może pozwoli to pani zrozumieć, dlaczego w tej chwili jest dla mnie taki ważny.

Przez chwilę Caroline wydawała się skonfundowana. Poklepała psa po płaskim nosie.

– Czy zrobił coś złego? O co jest oskarżony?

Sir John wyjaśnił burkliwie, jakie zarzuty postawiono Rossowi, a Caroline powiedziała:

– O la la, gdybym była sędzią, skazałabym go na natychmiastowy powrót do żony. Myślałam, że celników nie uważa się za istoty ludzkie.

– A zatem szkoda, że nie jest pani sędzią – rzekła Demelza.

– Ja również żałuję, ale skoro tak już jest, dobrze życzę pani mężowi i mam nadzieję, że powróci do domowego szczęścia.

Rozmowę przerwał Michael Chenhalls.

– Wołają nas, Unwinie. Proponuję, byśmy wyszli na balkon, nim spróbują się włamać do zajazdu.

– Jak chcesz.

– Pójdę z tobą – rzekła Caroline. – Lubię słuchać ryczącego motłochu.

– Ryczącego na mnie? – spytał Unwin.

– Nie... po prostu ryczącego.

– Równie dobrze mogłabyś rzucić cegłą w bukiet kwiatów.

– Właśnie. Ostre porównanie.

Ruszyli przez salę w stronę balkonu, a Demelza wreszcie została sama z człowiekiem, którego szukała. Uznała, że ma niewiele czasu.

– Ujmująca młoda dama, sir Johnie.

Trevaunance krótko skinął głową.

– Ma dopiero osiemnaście lat, proszę pamiętać. Jest trochę przekorna, ale z czasem jej przejdzie.

– Nie jestem dużo starsza.

Spojrzał na nią z wyraźnym zaciekawieniem. Widzieli się po raz czwarty, a on rzadko spotykał kobiety, z którymi tak szybko się zaprzyjaźniał.

– Małżeństwo sprawia, że ludzie dojrzewają... – Zaśmiał się. – Chociaż, do licha, wystarczy zdjąć obrączkę i każdy wydaje się trochę starszy.

Demelza szczerze spojrzała mu w oczy.

– Nie chcę zdejmować obrączki, sir Johnie.

Wzruszył ramionami z zażenowaną miną.

– Nie, nie, naturalnie. Proszę się nie obawiać, pani mąż będzie miał uczciwy proces. Może nawet przesadnie uczciwy. Wentworth Lister to bardzo zdolny człowiek. Żadnych uprzedzeń. Mogę za to ręczyć.

Demelza się rozejrzała. Cóż, przyszła pora, by skoczyć na głęboką wodę.

– Właśnie o tym chciałabym z panem porozmawiać.

Kandydatów stojących na balkonie powitał potężny ryk, jakby wydany przez stado lwów.

– Wyglądają jak pole rzepy, tylko mniej schludnie – powiedziała Caroline, gdy można było ją usłyszeć. – Co za motłoch, drogi Unwinie! Po co tak im pochlebiać?

– To tylko zwyczaj – odpowiedział Unwin, kiwając kształtną głową w stronę tłumu. – Trwa to zaledwie pięć lub sześć dni, a później można o nich zapomnieć na pięć lub sześć lat. Mam nadzieję, że wyglądasz elegancko, bo to pomaga.

– Czy mogłabym wyglądać inaczej? Wiesz, byłabym dla ciebie wspaniałą żoną...

– Unwin się odwrócił – gdybym postanowiła cię poślubić. Zachowywałam się dziś wieczorem wyjątkowo taktownie: krytykowałam pana Daniella w obecności jego żony, wspomniałam o procesie Poldarka przy jego żonie. Jakiż triumf odniosłabym wśród twoich przyjaciół z Izby Gmin!

Unwin nie odpowiedział. Skłonił się tłumowi na dole i pokiwał mu dłonią. Na końcu ulicy, w pobliżu Queen's Head, rzesze ludzi znów zaczęły się poruszać.

Caroline naciągnęła na ramiona piękny haftowany szal.

– Mam nadzieję, że Horacy nie pogryzie lokaja. Ma ostre zęby i talent do wybierania bolesnych miejsc. Pani Poldark to bardzo ładna kobieta. Tajemnica jej urody to oczy i cera. Szkoda, że nie wie, jak się ubierać.

– Możemy wrócić do domu – rzekł Unwin. Zmarszczka między jego brwiami się pogłębiła. – Już się przyzwyczaili do naszej obecności i jeśli zostaniemy dłużej na

balkonie, będą oczekiwać nowych rozrywek.

- Chętnie wybrałabym się kiedyś na rozprawę sądową – odezwała się Caroline.
- Nigdy nie uczestniczyłam w procesie i uważam, że byłoby to bardzo zabawne.

Odwrócili się, by wejść do sali.

- Zabawne, jeśli dostaniesz febry.

– Och, w takim razie spędziłabym kilka dni w łóżku, a ty mógłbyś mnie odwiedzać. Czy to nie miła perspektywa? Daj spokój, przecież obiecałeś. Po co komuś wpływy, jeśli z nich nie korzystasz?

W sali za ich plecami sir John zsunął perukę na tył głowy, by otrzeć czoło.

– Droga pani, nie mam takich wpływów! Nie wie pani, o co pani prosi! Zaszkoziłoby to sprawie pani męża, a nie pomogło!

- Nie, gdyby przedstawić wszystko we właściwy sposób.

– Każda wzmianka by zaszkodziła! Sędziowie Jego Królewskiej Mości nie mogą rozpatrywać takich próśb, gdy sprawa jest w toku!

Demelza, rozczarowana i zrozpaczona, poczuła chłód w sercu. Spojrzała z zainteresowaniem na twarz sir Johna.

– Gdyby powiedział mu pan całą prawdę przed rozpoczęciem rozprawy, wiedziałby, czego się spodziewać. Co w tym złego? Czy sędziom nie zależy na prawdzie? Czy chcą wymierzać prawdziwą sprawiedliwość, czy sprawiedliwość opartą na kłamstwach świadków na sali sądowej?

Sir John spojrzał na nią bardziej ze smutkiem niż z gniewem. Było jasne, skąd się wzięło przyjazne zachowanie i urok Demelzy.

– Droga pani, jest trochę za późno, by to tłumaczyć, ale mogę panią zapewnić, że moja rada jest dobra. Przede wszystkim Wentworth Lister by mnie nie posłuchał. Moja przyjaźń nie jest tyle warta. Na Boga, naraziłbym się wszystkim prawnikom w hrabstwie!

Demelzę zauważył sir Hugh Bodrugan, który zapewne zamierzał podejść.

– Nie oferowałby mu pan pieniędzy, tylko prawdę – rzekła. – Czy należy nią gardzić?

– Może tak to wygląda z pani punktu widzenia. Ale skąd miałby wiedzieć, że to prawda?

– Kiedy siedziałam tu przed pana przyjściem, słyszałam, jak ktoś mówił, że pana brat zapłacił dwa tysiące funtów za miejsce w Izbie Gmin. Czy to prawda, sir Johnie?

- Co to ma z tym wspólnego?

Jego chłodny ton sprawił, że skapitulowała.

– Przepraszam. Nie mam zamiaru narażać pana na przykrości. Po prostu nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego można płacić elektorom za głosy, a zwrócenie się do sędziego jest straszliwą zbrodnią. Może lepiej, gdybyśmy zaproponowali mu pieniądze?

– Wtedy wtrącono by panią do więzienia. Nie, pani, najlepiej się do tego nie mieszać. – Kiedy zmieniła ton, on również zaczął mówić łagodniej. – Proszę nie myśleć, że pani nie współczuję. Mam nadzieję, że pod koniec tygodnia Poldark znów będzie wolnym człowiekiem. Najprostszy sposób, by osiągnąć przeciwny efekt, to próbować wpłynąć na jego lordowską mość. To jeden ze szczególnych angielskich zwyczajów. Nie potrafię wytłumaczyć przyczyny, ale wymiar sprawiedliwości zawsze był wolny od korupcji.

Spojrzał w stronę drzwi, gdzie pojawili się Caroline, Unwin i Chenhalls. Dlatego nie zauważył błysku w oczach Demelzy. Trwał tylko sekundę, jak ostatnia iskra oporu w twierdzy, która niemal się poddała.

Rozdział siódmy

W niedzielę rano odbyła się procesja, na której czele podążała brać prawnicza. Pochód przeszedł St Nicholas Street tuż obok gospody, a Demelza i Verity, klęcząc, patrzyły na uczestników. Demelzie zmiękły kolana na widok dwóch sędziów w oficjalnych strojach – czerwonych togach i ciężkich perukach; jeden był wysoki i kościsty, a drugi średniego wzrostu i tęgi. Miała nadzieję, że Wentworth Lister to ten tęgi. Widok ludzi, z którymi sir John musiałby pertraktować, uświadomił jej potworność własnej prośby. Po południu doszła trochę do siebie, zajrzała znowu do zajazdu i, zaproszona przez sir Hugh Bodrugana, wypita z nim herbatę. Zachowywał się przyzwoicie i rozmowa przebiegła w kulturalnej atmosferze. Zdawała sobie jednak sprawę, że długo nie uda jej się trzymać go na dystans.

W poniedziałek rano mecenas Jeffery Clymer odbył ostatnią rozmowę z Rossem. Szybko przeczytał nowe notatki przygotowane przez oskarżonego, unosząc czarne brwi, przypominające teraz jeden z nieregularnych portyków na Fore Street.

– To się nie nadaje, kapitanie Poldark – rzekł w końcu. – Po prostu się nie nadaje.

– Co jest w tym złego?

– Powiedziałem panu w piątek. Musi pan sobie uświadomić, że rozprawa przed sądem kryminalnym to nie walna bitwa, ale ciągłe manewry. Może pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, ale wszystko zależy od tego, jak pan ją wypowiada! Należy być taktownym, przekonującym, prosić wymiar sprawiedliwości o pobłażanie i litość. Należy manifestować pokorę i niewinność, a nie zachowywać się dumnie i wyzywająco. Po wyroku może pan mówić, co pan chce, ale wcześniej trzeba uważać. Niech pan waży każde słowo. Proszę posłuchać: w sprawie tego rodzaju musi pan próbować zjednać sobie przysięgłych.

Ross wziął z pulchnej, owłosionej dłoni adwokata pergamin i usiłował się skupić, nie zważając na hałasy dobiegające z innych cel. Po chwili odłożył dokument.

– Nawet jeśli człowiek ryzykuje życie, są pewne granice.

Clymer obrzucił wzrokiem swojego klienta, fachowo go oceniając. Wysoka, silna sylwetka, koścista, inteligentna twarz, napięta i nieprzenikniona, blizna, włosy i niebieskoszare oczy. Wzruszył ramionami.

– Gdybym miał mówić zamiast pana, właśnie to bym powiedział.

– Gdyby mógł pan mówić za mnie, mógłbym pozwolić panu to powiedzieć.

– Cóż to za różnica? Oczywiście może pan zrobić wszystko, co pan zechce, ze swoim życiem i swoją wolnością, jeśli tak pan to nazywa. Ma pan żonę, rodzinę? Nie sądzi pan, że warto iść na ustępstwa przez wzgląd na nich? Proszę pamiętać, nie obiecuję, że moja linia obrony z pewnością przyniesie panu uniewinnienie. Ale jeśli zastosuje pan własną, może się pan obyć bez adwokata i zaoszczędzić trochę pieniędzy.

W innej celi kilku więźniów wszczęło awanturę, a z tyłu dwóch złodziei grało w kości o chustę pozostawioną przez kompana. Żona? Rodzina? Czy warto iść na ustępstwa przez wzgląd na nich? Jakie są prawdziwe motywy Rossa – czy broni się ze względu na Demelzę, czy samego siebie? Jego niespokojna natura nie znosiła myśli o uwięzieniu. W tych dniach widział dostatecznie dużo. Czy może w ostatniej chwili zmienić linię obrony, by ocalić skórę?

– Ma pan listę świadków wezwanych przez prokuraturę? – spytał krótko.

Clymer wręczył mu kolejny papier i machał chusteczką przed swoim nosem, gdy Ross czytał dokument.

Vigus, Clemmow, Anderson, Oliver, Fiddick...

– Nikt nie może powiedzieć, że wymiar sprawiedliwości traktuje tę sprawę pobieżnie.

– Zawsze tak jest, gdy dochodzi do rozruchów. Można to nazwać uporem. Kiedy dwustu ludzi popełnia przestępstwo, zwykle wszystko skrupia się na jednej lub dwóch osobach, najbardziej prawdopodobnych sprawcach, może najbardziej winnych, choć nie zawsze, bo oskarża się kilku ludzi i zmusza pozostałych do złożenia obciążających zeznań. Prokuratura szuka kozła ofiarnego. Jest pan kozłem ofiarnym, kapitanie. To przykre. Ci ludzie to pańscy przyjaciele?

– Niektórzy z nich.

– Oczywiście nic z tego nie wynika. Przyjaciele są gorsi od wrogów, gdy chcą ocalić własną skórę. To zła cecha ludzkiej natury, skłonność do tchórzostwa. Piętno Kaina. Nigdy nie wiadomo, kiedy się ujawni. Wszyscy mamy tę cechę i wychodzi na jaw pod wpływem strachu.

– Rozumiem, że ci ludzie muszą się pojawić w sądzie, jeśli zostaną wezwani na świadków – rzekł Ross, ledwo słuchając. – Paynter! Nie spodziewałem się go.

– Kto to taki? Ktoś nowy?

– Przez lata był moim służącym.

– Uczestniczył w grabieży?

– O tak. Obudziłem go jako pierwszego i wysłałem, by zawiadomił Sawle.

– Sawle to mężczyzna?

– Nie, wioska.

Clymer wachlował się energicznie chusteczką.

– Strasznie tu cuchnie, strasznie. Czy ten Paynter był na plaży, gdy pojawili się

celnicy?

– Tak, ale był zbyt pijany, by cokolwiek widzieć.

– Kłopot z pewnymi ludźmi polega na tym, że gdy zawodzi ich pamięć, zaczynają zmyślać. Obrona może to wykorzystać. Inteligentny człowiek?

– Raczej nie.

– Ach, na pewno zdoła pan podważyć jego zeznanie. Chociaż niektórzy z tych tępaków są na sali sądowej wściekle uparci. Uparci jak muły, właśnie na taką nazwę zasługują.

Ross oddał adwokatowi listę świadków oskarżenia.

– Środa rano, sędzi pan?

– Środa rano. – Clymer wstał i okręcił się togą. – Nie wiem, dlaczego się tym przejmuję. Jeśli chce pan wisieć, to pańska sprawa. – Zbliżył się strażnik więzienny, lecz adwokat odprawił go skinieniem dłoni. – Pamiętam, widziałem raz człowieka powieszzonego w Tyburn. Odcięli go, bo myśleli, że nie żyje, ale wykrzywił się i rzucał jeszcze przez pięć minut.

– Widziałem to samo w przypadku człowieka, któremu kula armatnia urwała głowę – powiedział Ross. – Kiedy głowa i ciało znajdują się w odległości kilku kroków, wygląda to jeszcze dziwniej.

Clymer wytrzeszczył oczy.

– Tak?

– Tak.

– Ha, cóż... Zostawiam panu szkic mowy obrończej. Proszę to przemyśleć. Po wyroku może pan żałować, że jej nie wykorzystał, ale wtedy nie da się już nic zrobić. Prokurator i tak powie o panu mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy, nawet jeśli nie ułatwi mu pan zadania, okazując przesadną dumę. Duma jest potrzebna, ale ma swoje miejsce. We mnie też jest dużo dumy. Nie mógłbym bez niej żyć. Ale sala sądowa nie jest miejscem na popisywanie się dumą.

Dwight Enys wynajął pokój w niewielkiej gospodzie na Honey Street. Zatrzymała go nagła choroba w przysiółku Mellin i dotarł do Bodmin dopiero w poniedziałek po południu. W sądzie zauważył, że sprawy Rossa nie wyznaczono na wtorek, potem zajrzał do gospody Pod Jerzym i Koroną, lecz zastał tam tylko Verity.

Niebawem wyszedł i zjadł samotnie obiad w oberży. Poprzednio się śpieszył, lecz teraz przez cały dzień nie miał nic do roboty i musiał jakoś zabić czas. Pomyślał, że rankiem może odwiedzić leprozorium, obok którego przejeżdżał, odległe o półtora kilometra od miasta. Nigdy nie widział trędowatych i ich obserwacja mogła wzbogacić jego wiedzę.

Niewielką jadalnię oberży oddzielały od głównej sali tylko małe uchylne drzwi sięgające do piersi. Kiedy Dwight kończył pasztet z gołębia, usłyszał jakieś zamieszanie i wypowiedane słowo „chirurg”. Nie była to jednak jego sprawa, więc nałożył sobie galaretki z moreli ze śmietaną. Po chwili w drzwiach ukazał się

właściciel oberży, który podbiegł do Dwighta, oblewając się potem.

– Bardzo łaskawego pana przepraszam, ale czy jest pan chirurgiem, aptekarzem albo kimś w tym rodzaju?

– Jestem.

– Cóż, panie, przed chwilą przybiegł do nas sługa z Priory House i powiedział, że ktoś ciężko zaniemógł. Pyta, czy jest u nas lekarz. Podobno to pilne. Wyświadczylibyśmy grzeczność Daniellom, spełnili chrześcijański obowiązek, można powiedzieć...

W głównej sali stał służący w liberii; dyszał ze zmęczenia i wydawał się nieco zaniepokojony. Zachorowała panna Penvenen, Caroline Penvenen, stały gość zajazdu. Nie, nie widział jej na własne oczy i nie wie, co jej dolega, ale to pilne, a aptekarz panny Penvenen mieszka na drugim końcu miasta.

– Dobrze. Przyjdę do was za chwilę.

Dwight wbiegł po schodach i wziął niewielką torbę z lekarstwami i narzędziami chirurgicznymi, z którą rzadko się rozstawał.

Była piękna noc. Miał do pokonania zaledwie kilka kroków: musiał minąć Church Square i wspiąć się na wzgórze po przeciwnej stronie. Skręcili w bramę i udali się do dużej, zbudowanej na planie kwadratu rezydencji ziemskiej otoczonej niewielkim parkiem. Między ozdobnymi drzewami lśniła woda.

Służący wprowadził Dwighta do kwadratowego holu oświetlonego przez grube świece, których chybotliwe płomyki pochylały się przed nimi jak dygające służki. Przez uchylone drzwi Dwight ujrzał stół nakryty do kolacji – lśniące noże, kolorowe owoce, kwiaty. Głos mężczyzny mówiącego równym, cichym tonem, przyzwyczajonego, że inni go słuchają. Schody na piętro. Ładna poręcz z kutego żelaza i mnóstwo białej farby. Portrety. Dwa pędzla Opiego, a jeden Zoffany'ego.

Korytarz wyłożony czerwonym dywanem, zakręt. Służący zastukał do drzwi.

– Proszę.

Wprowadził Dwighta do pokoju i wyszedł. Na niskiej kanapie siedziała smukła, uderzająco elegancka dziewczyna we wzorzystym szlafroku z białego batystu.

– Och, jest pan aptekarzem? – spytała.

– Lekarzem, pani. Mogę pani w czymś pomóc?

– Tak. Jeśli zna się pan na lekarstwach równie dobrze jak aptekarz.

– Naturalnie. O co chodzi?

– Regularnie leczy pan Daniellów?

– Nie. Jestem obcy w tym mieście. Pani służący przybiegł do gospody, gdzie jadłem kolację, i powiedział, że nagle pani zachorowała i że sprawa jest pilna.

– Tak, rozumiem. Po prostu chciałam mieć pewność. – Wstała. – Nie jestem chora. Chodzi o mojego pieska Horacego. Niech pan spojrzy. Miał dwa ataki konwulsji, a teraz leży senny, jakby zemdłał. Bardzo się o niego niepokoję. Proszę natychmiast go zbadać.

Dwight zauważył, że na kanapie leży mały czarny mops zwinięty na jedwabnej poduszce. Spojrzał na psa, a potem na dziewczynę.

– Chodzi o pani pieska?!

– Tak – odrzekła niecierpliwie. – Od pół godziny strasznie się o niego martwię. Nie chce pić i ledwo mnie poznaje. Wszystko przez to zamieszanie w mieście, jestem pewna. Powinnam była go przyprowadzić do domu, to moja wina.

Pokój był piękny, utrzymany w czerwono-złotej tonacji. Świece na toaletce odbijały się w nieskończoność w ustawionych naprzeciwko siebie zwierciadłach. Z pewnością salon. Bogata młoda dama.

– Pani służący się pomylił – stwierdził łagodnie Dwight. – W istocie potrzebuje pani weterynarza.

Zanim pochyliła głowę, dostrzegł błysk w jej oczach.

– Nie mam zwyczaju zatrudniać weterynarzy, by leczyli Horacego.

– Och, niektórzy z nich są dość zręczni.

– Możliwe. Wolę nie korzystać z ich usług.

Dwight się nie poruszył.

– Potrzebuję najlepszej porady medycznej – rzekła ostro. – Zapłacę. Otrzyma pan normalne honorarium. Co pan na to? Może pan dostać pieniądze z góry.

– To może poczekać do chwili, gdy będę miał zaszczyt leczyć panią.

Ich spojrzenia się spotkały. Coś w zachowaniu dziewczyny zirytowało go bardziej niż przyczyna wezwania.

– Cóż, zbada pan psa czy nie zna pan swojego fachu dostatecznie dobrze? – spytała. – Jeśli jest pan początkującym lekarzem, może powinien pan odejść, a my wezwiemy kogoś innego?

– Właśnie miałem zamiar to zasugerować – odparł.

– Proszę zaczekać – powiedziała, gdy dotarł do drzwi.

Odwrócił się. Zauważył, że dziewczyna ma na czubku nosa jasne piegi.

– Miał pan kiedyś psa? – spytała. Ton jej głosu się zmienił.

– Tak, dawno temu.

– Pozwoliłby mu pan umrzeć z powodów ambicjonalnych?

– Nie...

– Więc pozwoli pan umrzeć Horacemu?

– Wyobrażam sobie, że sprawa nie jest aż tak poważna. – Dwight zawahał się na moment. Wrócił do pokoju. – Ile ma lat?

– Rok.

– Młodym psom zdarzają się konwulsje. Moja ciotka miała spaniela...

Pochylił się, by zbadać Horacego. Wydawało się, że zwierzęciu nie dolega nic poważnego; miało tylko rzęzący oddech. Puls był dość równy. Dwight nie dostrzegł śladów gorączki. Pomyślał, że mops wydaje się nieszczęśliwy. Był zbyt gruby i rozpieszczony. Enys czuł na sobie uważne spojrzenie aroganckiej młodej damy.

Uniósł wzrok.

– Nie ma powodów do niepokoju. Pojawił się nadmiar złych humorów i doradzałbym nie przekarmiać psa. Proszę unikać podawania mu słodczy i ciastek. I proszę kazać jednemu ze służących, by codziennie dbał o jego kondycję. Każdy pies potrzebuje wysiłku fizycznego. Musi biegać, skakać. Powinien się pozbyć trucizn wywołujących konwulsje. Tymczasem wypiszę pani receptę na specyfik, który może przygotować każdy aptekarz.

– Dziękuję.

Dwight wyjął notatnik, a młoda dama potulnie przyniosła pióro i atrament. Wypisał receptę na nalewkę z czeremchy z dodatkiem opium.

– Dziękuję – powtórzyła, biorąc kartkę. – Zaczął pan coś mówić.

– O czym?

– O ciotce.

Dwight myślał już o czymś innym. Nagle się uśmiechnął, gniew minął.

– Och, moja ciotka miała spaniela. Dostawał konwulsji, gdy grała na szpincie. Można się zastanawiać, czy był muzykalny, czy nie.

Na gładkiej, młodzieńczej twarzy Caroline, przed kilkoma minutami tak bardzo napiętej, również pojawił się uśmiech, choć w dalszym ciągu tliła się w niej niechęć.

– Jak się pan nazywa, doktorze? – spytała.

We wtorek o świcie padały ulewne deszcze, które zmieniły ulice w błoto, lecz nie miały wpływu na nastrój tłumów zamierzających jak najlepiej wykorzystać dzień wyborów. Na początku Dwight poszedł do gmachu sądu, ale nie wywieszono jeszcze wokandy na następny dzień, toteż postanowił przedstawić się panu Jeffery'emu Clymerowi, by się czegoś dowiedzieć.

Mecenas Clymer jadł śniadanie, a jego świeżo ogolone policzki były mniej sine niż zazwyczaj. Bardzo się śpieszył, lecz pozwolił Dwightowi usiąść przy stole i zerknąć na listę spraw, które miano rozpatrzyć w środę. Sądowi przewodniczył czcigodny Wentworth Lister:

Korona kontra Smith, oskarżony o wykroczenie

Korona kontra Boynton, oskarżony o kradzież

Korona kontra Polkinghorne i Norton, oskarżeni o włóczęgostwo

Korona kontra Poldark, oskarżony o udział w rozruchach i napaść

Korona kontra mieszkańcy osiedla Liskeard, oskarżeni o zaniedbanie naprawy gościńca

Korona kontra Corydon, oskarżony o paserstwo

Korona kontra mieszkańcy parafii St Erth, oskarżeni o zatamowanie ujścia rzeki

Dwight odłożył dokument na stół.

– Jak rozpatrzą te wszystkie sprawy w ciągu jutrzejszego dnia?

– Muszą, mój drogi człowieku – odparł Clymer z pełnymi ustami. – Bardzo długa wokanda. Nie chcą siedzieć w Bodmin cały miesiąc. Szesnastego zaczyna się sesja sądu w Exeter. Ale niech pan się nie martwi, na pewno zdążą. Większość to proste sprawy.

– Również Korona kontra Poldark?

– O nie, hm... – Clymer umilkł i dłużej w zębach małym palcem. – Wręcz przeciwnie. Ale damy sobie radę. Szkoda tylko, że mój klient nie podchodzi do sprawy inaczej. Człowiek o sztywnym karku, trzeba to powiedzieć. Nie rozumie prawa. W dalszym ciągu się upiera. Może zmieni zdanie na widok sędziego. Wentworth Lister to nie oferma. Cóż, muszę zaraz wyjść. Mam sprawę o jedenastej. Staruszka oskarżona o otrucie wnuka tłuczonym szkłem. Ma siedemdziesiąt dwa lata i ani grosza. Lepiej dla wszystkich, by umarła lekką śmiercią na szubienicy, ale musimy się przekonać, co powie sędzia.

Kiedy Dwight wstał i zbierał się do wyjścia, do drzwi zastukał służący.

– Chciałby się z panem zobaczyć pan Francis Poldark, panie.

Clymer wypił łyk kawy.

– Jeszcze jeden Poldark? Co to znaczy? Zna go pan? – zwrócił się do Dwighta, który pokrótce wyjaśnił, o kogo chodzi. – Następny świadek, sądzi pan? Ten cały Pearce nie zna się na fachu, skoro pozwala ludziom przychodzić ze swoimi historiami na pięć minut przed procesem. W streszczeniu sprawy w ogóle o nim nie wspomnia!

– Był chory w czasie katastrofy. Może przyszedł, by się czegoś dowiedzieć o kuzynie.

Clymer z irytacją rozpiął poranny szlafrok.

– Nie jestem niańką kapitana Poldarka! Mam inne sprawy, którymi muszę się zająć. Foster!

– Słucham, panie mecenasie? – Urzędnik wychylił głowę zza framugi drzwi.

– Przynieś mi akta spraw Korona kontra Penrose i Korona kontra Tredinnick.

– Tak jest, panie mecenasie.

– Cała ta farsa z wyborami... W wyjątkowo niedogodnym momencie, bardzo nieprzyjemne... Wszędzie roi się od pijanych szumowin i kieszonkowców. Nędzna obsługa w zajazdach. Pluskwy. Hańba! Tak właśnie należy to określić. – Adwokat spojrzał na służącego, który wytrzeszczał na niego oczy. – Cóż, wprowadź tego człowieka, skoro musisz. Wprowadź pana Poldarka!

– Wyjdę przed jego nadejściem – rzekł Dwight. – Nie będę panu przeszkadzał. Spotkamy się jutro.

– Proszę przyjść o dziesiątej. Poranne sprawy mogą się toczyć bardzo szybko. Schodząc po schodach, Dwight spotkał Francisca idącego na górę.

– Przyjechałem w wielkim pośpiechu, ale podobno rozprawa odbędzie się

dopiero jutro – powiedział Francis. Był brudny i zabłocony.

– To prawda.

– Wie pan, gdzie mogę znaleźć pokój na noc? W mieście jest pełno ludzi.

– Myślę, że powinien pan poszukać kwatery na przedmieściach.

– W której gospodzie zatrzymał się Ross?

– Pod Jerzym i Koroną. Ale pańska siostra wspomniała, że tam też jest tłoczno. Francis szybko spojrzał na Dwighta.

– Moja siostra?

– Zatrzymały się w tym samym zajeździe. – Dwight mimo woli dostrzegł fachowym okiem lekarza, że Francis jest blady i wydaje się przemęczony. Schudł i opuściła go energia. – Nie towarzyszy panu żona?

– Są to nie miejsce dla kobiet. Co to za przekłute flagi i sztandary powiewają na wietrze?

Dwight wytłumaczył.

– Ach, rozumiem, zapomniałem – kontynuował Francis. – W Kornwalii jest mnóstwo małych okręgów wyborczych i ambitnych ludzi, którzy chcieliby wejść do Izby Gmin. Myśli pan, że ten adwokat na górze ma jakieś zdolności prawnicze? Wielu z nich to pyszałkowaci, starzy rozpustnicy, których nie interesują klienci, tylko honoraria i dziewczki.

Dwight się uśmiechnął.

– Wydawał się drażliwy, lecz bystry. Jutro lepiej go ocenię. – Ruszyli dalej, a później Dwight znów odwrócił się w stronę Francis'a. – Jeśli nie znajdzie pan nigdzie pokoju, może pan przenocować ze mną, choć jest tam tylko jedno łóżko. Zajazd Londyński w pobliżu kościoła.

– Może skorzystam z pana propozycji. Prześpię się na dywanie, jeśli znajdzie się trochę miejsca. Dziękuję.

Dwight wyszedł z zajazdu i ruszył ulicą. Rozpogodziło się i spacer powinien dobrze mu zrobić. Tuż za miastem minęła go kareta ciągnięta przez cztery siwki, z woźnicą i pocztylionem w biało-zielonych liberjach. Jechała powoli po koszmarnie nierównym gościńcu. Dwight zauważył w środku samotnego George'a Warleggana.

Kiedy wrócił z leprozorium – przebywało tam tylko siedmiu trędowatych, w większości pijanych, a budynek był bliski zawalenia wskutek braku podstawowych napraw – w ostatniej chwili zdążył się wcisnąć do ratusza, by obserwować wybory.

Na podium na końcu sali siedzieli miejscy notable i Dwight ze zdziwieniem zauważył, że jest między nimi wysoka, rudowłosa dziewczyna, której psa badał. Na zewnątrz panował zgiełk, ponieważ setki ludzi, którzy nie zdołali wejść do środka, szczelnie wypełniały sąsiednie ulice i wykrzykiwały hasła współzawodniczących ze sobą kandydatów. Procedura rozpoczęła się od zwykłego przemówienia szeryfa,

a później gruby sędzia okręgowy o nazwisku Fox wstał, by odebrać przysięgę od przewodniczącego sesji. Był to ważny moment. Dwaj mężczyźni roszczący sobie prawo do stanowiska burmistrza, Michell i Lawson, zerwali się na równe nogi na przeciwległych krańcach podium i oznajmili, że mają prawo pełnić tę funkcję. Doszło do długiego sporu prawniczego. Obie strony przyprowadziły adwokatów, by uzasadnili ich roszczenia, ale nie przekonali się nawzajem i górę zaczęła brać irytacja. Przebywający w sali ludzie krzyczeli i tupali, aż trzęsła się podłoga.

Dwight patrzył na kiwające się głowy i rozmyślał, jak się czuje Horacy. Zerknął na stłoczonych dokoła ludzi, niektórych w perukach, innych z kucykami z tyłu głowy, parobków i robotników z długimi włosami opadającymi na ramiona. Dwóch stojących w pobliżu cierpiało na choroby skórne, a trzeci, z zaawansowanymi suchotami, pluł krwią na słomę pod stopami. W rogu stała syfilityczka bez nosa.

Nagle na podium zawarto kompromis, choć nastąpiło to raczej pod wpływem ryków tłuszczy niż pragnienia załagodzenia sporu. Zgromadzeniu mieli przewodniczyć wspólnie obaj burmistrzowie, których należało zaprzysiąc. Wszyscy rozumieli, że doprowadzi to do dalszych komplikacji, gdy rozpoczną się właściwe wybory, ale przynajmniej procedura ruszyła z miejsca.

Dwight, coraz bardziej znużony widowiskiem, zrobił kilka kroków w stronę drzwi, choć nie widział większej szansy wyjścia przed zakończeniem wyborów. Wśród publiczności zapadła cisza i zobaczył, że wystąpił pierwszy głoszący, radny miejski Harris, człowiek o wielkim brzuchu i równie wielkiej sławie. Oddał głos na Trevaunance'a i Chenhallsa. W sali rozległy się gromkie wiwaty i tylko kilku widzów buczało. Później pojawił się Roberts, wig i kwakier, którego głosu również nie zakwestionowano. Wystąpił kolejny wig, a Michell, równie ostrożny jak rywal, przepuścił go bez komentarza. Jednak trzeci wig okazał się trudny do zaakceptowania. Adwokat reprezentujący Basseta zgłosił sprzeciw, motywując to tym, że Joseph Lander już dawno utracił miejsce w radzie miejskiej z powodu choroby psychicznej i że był trzykrotnie skazywany na dyby za przestępstwa przeciwko moralności.

W sali wybuchło zamieszanie i dwóch mężczyzn stojących obok Dwighta wszczęło bójkę. Jeden z nich pchnął lekarza na beznosą syfilityczkę, która otworzyła szeroko usta i wrzasnęła, jakby ją mordowano. Kiedy w końcu się uciszyła, Dwight zauważył lekarza składającego zeznanie – oznajmił, że matka i ojciec Josepha Landera pozostawali w związku kazirodczym i oboje zmarli w domu dla obłąkanych – lecz nim zdążył rozwinąć swoje argumenty, dwaj mężczyźni znów zaczęli się bić. Kiedy jednego z nich podniesiono nieprzytomnego z ziemi, Joseph Lander zniknął ze sceny.

Dwight żałował, że przyszedł. Kwestionowano prawomocność każdego następnego głosu i spory przeciągały się w nieskończoność. Do sali wniesiono na

noszach mężczyznę, najwyraźniej na progu śmierci. Postawiono nosze na podłodze, a prawnicy zaczęli się kłócić nad mężczyzną niczym mewy walczące o zdechłą rybę. Pozwolono oddać głos sir Hugh Bodruganowi, tęgiemu, kudłatemu i władcemu. Dwight doszedł do wniosku, że nikt nie ośmielił się go prowokować. Trudno było się domyślić, skąd się wziął w radzie miejskiej, lecz było paru innych podobnych ludzi, którzy mieszkali w odległości kilkunastu kilometrów i nie mieli żadnych związków z Bodmin.

Rudowłosa dziewczyna na podium wyglądała na zgrzaną i znudzoną. Nagle pochyliła się w stronę Unwina Trevaunance'a i szepnęła mu coś do ucha. Sprzeczał się z nią przez chwilę, wyraźnie zirytowany, lecz wstała i wymknęła się przez boczne drzwi. Dwight przepychał się w stronę wyjścia.

Po długich zmaganiach, które budziły niechęć i opór pozostałych, znalazł się wreszcie w korytarzu prowadzącym na dwór, spocony, posiniaczony i zdyszany. Korytarz był zapchany ludźmi, a na schodach na ulicę tłoczyło się ich jeszcze więcej. Dwight skręcił w bok, zdając sobie sprawę, że Caroline Penvenen nie mogła wyjść przez główne drzwi.

Na końcu korytarza tłum nie był tak gęsty. Dwóch konstabli pilnowało drzwi prowadzących na podium. Obrzucili go podejrzliwym wzrokiem, gdy się zbliżył.

– Dokąd poszła panna Penvenen?

Jeden z konstabli wskazał głową.

– Tam, panie.

Dwight zauważył drzwi w przeciwległej ścianie i przepchnął się do nich. Prowadziły na tyły sklepu, skąd można było wyjść na główną ulicę. Kiedy znalazł się na dworze, pomyślał, że Caroline sobie poszła. Przed znajdującą się po przeciwnej stronie piwiarnią kłębił się wrzeszczący tłum, a portyki utrudniały rozejrzenie się po ulicy. Później się odwrócił i zauważył ją pod ścianą w pobliżu drzwi sklepu. Patrzyła na niego.

Była bez kapelusza, najwyraźniej nie przejmując się etykietą. Na ramiona splotywały jej bujne, dość niesforne rude włosy. Kosztowny naszyjnik z pereł mógł skusić złodzieja.

– Dlaczego idzie pan za mną, doktorze Enys? – spytała, gdy się skłonił. Znow poczuł ukłucie irytacji.

– Zauważyłem, że pani wychodzi, i pomyślałem, że może pani potrzebować pomocy.

– Uważa pan to za prawdopodobne?

– Dzień wyborów nie jest zbyt spokojny.

– To przedstawienie wydawało mi się bardzo nudne.

Drzwi sklepu gwałtownie się otworzyły i ukazał się w nich służący. Zatrzymał się na ich widok i uniósł dłoń do czoła.

– Och, panno Penvenen, pan kazał mi odprowadzić panią bezpiecznie do domu.

Sam nie mógł wyjść, nie w tej chwili. To...

– Nie potrzebuję niańki, by odprowadzała mnie do domu – odparła niecierpliwie Caroline. – Wracaj do pana Unwina i zaopiekuj się nim. Może tego potrzebować. Idź, no idź! – dodała, gdy mężczyzna się zawahał. – Nie chcę cię!

Część tłumu śpiewała triumfalny marsz, lecz inni buczeli szyderczo. Ktoś rzucił cegłą w jedno z okien ratusza, ale trafił w ścianę. Cegła pękła na drobne kawałki, które obsypały ludzi stojących na ulicy.

– Motłoch – rzekła Caroline. – Jak nędzni żebracy i złodzieje, którzy zdobyli władzę we Francji. Anglia byłaby szczęśliwsza, gdyby było ich kilka tysięcy mniej.

Za ich plecami sklepikarz zakładał okiennice. Rozległ się tupot butów, gdy ktoś przebiegł przez portyk, po czym wyskoczył na jezdnię, klnąc i wołając, by sklepikarz zszedł z drabiny.

– W masie to motłoch, owszem – odparł Dwight. – Pijany motłoch może być niebezpieczny, bo nie da się przewidzieć jego zachowań, ale poszczególni ludzie bywają sympatyczni. Mają swoje słabostki, potrafią odczuwać zazdrość i małostkową złość, bywają egoistyczni, czegoś się obawiają. Ale często są wspaniałomyślni, łagodni i spokojni, ciężko pracują i dobrze traktują swoje rodziny. To normalni ludzie. Na pewno nie są gorsi od przeciętnego dżentelmena.

Caroline spojrzała na młodego lekarza.

– Jest pan jakobinem jak pański przyjaciel Ross

Poldark? A zatem już kogoś o niego wypytywała.

– Nie zna pani Rossa Poldarka, to jasne.

– Nie. Spodziewam się, że zobaczę go jutro, i mam nadzieję, że dostarczy mi to znacznie więcej rozrywki niż dzisiejszy dzień.

– Niewątpliwie jest pani jedną z tych kobiet, które siadają w oknach w Tyburn, by sycić się widokiem ludzi wieszanych na szubienicy – rzekł ostro Dwight.

– Nawet jeśli jestem, co to pana obchodzi?

– Nic. Na szczęście nic.

– Uważam, że jest pan trochę impertynencki jak na człowieka swojej kondycji, doktorze Enys.

– Nie jestem lokajem, pani.

– Mógłby pan usprawiedliwić swoje roszczenia, okazując odrobinę grzeczności. Dwight w dalszym ciągu się czerwienił.

– Kornwalia to surowy kraj, panno Penvenen. Przekona się pani o tym, gdy się pani rozejrzy wokół siebie. Zresztą nie zauważyłem, by szczególnie starannie przestrzegała pani konwenansów.

Uniosła głowę.

– Powinny istnieć pewne granice, nie sądzi pan? Wydaje się, że kiedy wymieniam nazwisko Poldark, natychmiast wpada pan we wściekłość i te granice przekracza. Czy to pański bohater, doktorze Enys? Czy jutro zamierza pan wygłosić żarliwą

mowę w jego obronie? Niech pan się stara nie zapomnieć o dobrych manierach, bo sędzia nie zechce pana wysłuchać.

– Sędzia nie jest kobietą, pani.

– Co pan przez to rozumie?

– To, że nie będzie się opierał na uprzedzeniach.

– Nie ulegnie nawet wstrętnej zarozumiałości, którą okazują niektórzy mężczyźni?

– Och, zarozumiałość. Nie uważam, żeby to była cecha szczególna tylko dla płci męskiej.

Kiedy wypowiedział te słowa, jego uwagę przyciągnęło nagłe zamieszanie po przeciwnej stronie ulicy. Dwóch mężczyzn biło się lub mocowało ze sobą. Wydawało się, że chcą sobie coś wyrwać.

– To bardzo miło z pana strony, że udziela mi pan nauk – rzekła Caroline. –

Zastanawiam się, dlaczego jest pan tak uprzejmy dla kogoś, kim pan tak bardzo gardzi.

– Całkowicie źle pani zrozumiała to, co... – urwał.

– Naturalnie.

Po drugiej stronie ulicy rozległy się krzyki i śmiechy, wysoko w powietrze wzbily się jakieś papiery i rozsypały nad tłumem. Do walki włączyli się teraz inni mężczyźni. Dwight wyjaśnił Caroline, co zamierza zrobić, i przebiegł przez ulicę. Usiłował się przepchnąć przez krąg gapiów.

Nie przyszło mu to łatwo, bo nikt nie chciał się przesunąć nawet na centymetr, lecz w końcu znalazł się w tłumie i zobaczył Francisza szarpiącego się z trzema mężczyznami, którzy próbowali go powstrzymać od pobicia czwartego. Ten kulił się w rynsztoku wśród stosu papierów.

– Ty padlinożerny kuku! – rzucił Francis. Mówił dość cicho jak na człowieka uczestniczącego w bójkę. – Wyrwę ci jeszcze kilka piór! Chcesz rozdawać to świństwo, tak? Zaraz ci pomogę. Tędy... – Prawie się wyrwał, lecz mężczyźni znów go chwycili.

– Uspokój się, panie – powiedział jeden z nich. – Oskubałeś go prawie do czysta.

Rozległy się śmiechy. Francis był pijany. Mężczyzna siedzący w rynsztoku, ubrany w postrzępiony czarny surdut, trzymał się za głowę i jęczał, starając się wzbudzić współczucie tłumu. Wokół walały się w błocie dziesiątki kartek. Dwight podniósł jedną z nich, leżącą u jego stóp. Ulotka nosiła tytuł *Prawdziwa, sensacyjna historia życia kapitana R...sa P...rka*.

– Robaki żyjące w łajnie roznoszą zarazę – odezwał się Francis. – Powinny wrócić do gnoju, gdzie ich miejsce. Puść mnie, człowieku! Zabierz te parszywe łapy!

– Panie Poldark. Ci ludzie pana napadli? Co się stało?

– Ach, doktor Enys. Przyczepili się do mnie jak muchy, ale gdyby ktoś myślał, że

mnie to bawi, byłby w błędzie. – Wyrwał się mężczyznom, którzy nieco rozluźnili uścisk na widok poważnie wyglądającego Dwighta. – Niech to diabli, w tym mieście nie ma szacunku dla zasad! Nie można nawet rozdeptać... O, tam pełźnie!

Kiedy oberwaniec siedzący w rynsztoku zobaczył, że napastnik znów jest wolny, popęzł między nogami gapiów jak robak, do którego go porównano. Francis rzucił za nim laską, lecz trafiła w golenie jakiegoś grubasa.

– Uciekł składać jaja gdzie indziej. To, co zostawił, jest już brudne. – Francis wdeptał papiery w błoto. Później przesunął halsztuk do przodu i próbował go poprawić. – Wynoście się, wynoście! – zwrócił się do gapiów. – Nie będzie już żadnych rozrywek. Wracajcie do składania skrzeku...

– Te plugawe paszkwile... – mruknął Dwight. – Ale nie warto brać sprawiedliwości w swoje ręce. To w niczym nie pomoże.

– A czy autor tych świństw nie bierze sprawiedliwości w swoje ręce? Zatrzuwa ludziom umysły przed rozprawą. To wyjątkowo ohydne naruszenie prawa. Zniszczę każdy paszkwil, jaki znajdę.

Dwight mruknął coś niezobowiązująco i chciał odejść.

– A jeśli chodzi o ciebie – zwrócił się Francis do mężczyzny, który wcześniej go trzymał – kiedy konstable tej zapchlonej dziury będą potrzebować twojej pomocy, sami cię o nią poproszą. Do tego czasu przestań się wtrącać, bo możesz wpaść w tarapaty. – Przesunął dłonią po włosach. – Napijmy się czegoś, Enys.

– Bardzo mi przykro... Kiedy usłyszałem hałasy, byłem w czyimś towarzystwie i przerwałem rozmowę. – Dwight popatrzył na tłum ludzi na ulicy, lecz nie zauważył Caroline.

– Potrzebuję rozmowy – rzekł Francis. – Inteligentnej rozmowy. Spędziłem dzień w towarzystwie szubrawców, złodziei i awanturników, poczynając od największego łotra ze wszystkich. Teraz marzę o przyzwoitej kompanii, przynajmniej na godzinę. Moim zdaniem może mi pan jej dostarczyć.

Dwight się uśmiechnął.

– Innym razem byłbym zaszczycony. Jednak w tej chwili, gdyby zechciał mi pan wybaczyć...

Przepchnął się z powrotem do ratusza, rozglądając się na wszystkie strony, ale nie zobaczył Caroline. Najwyraźniej się nie bała i poszła sama.

Z początku tego nie spostrzegł, lecz w tłumie zapadła nagle cisza. Później usłyszał czyjś głos i wiedział, że ogłaszano wyniki wyborów. Niestety przybył zbyt późno, by zrozumieć, co mówiono. Na koniec rozległ się ryk tłumu – wyrażał frustrację i gniew.

Niezależnie od tego, jaki był rezultat, rywalizacja się nie zakończyła.

Rozdział ósmy

Verity siedziała na niskim fotelu przy oknie, patrząc na czterdzieści lub pięćdziesiąt koni, które masztalerze zajazdu prowadzili z pastwiska na wzgórzu nad miastem. Każdego wieczoru wracały o tej porze do stajni niebezpiecznie wąską ulicą, tupiąc i parskając. Każdego ranka pędzono je na pastwisko.

Od chwili przyjazdu Verity spędziła wiele czasu w oknie, patrząc na głowy przechodniów. W Falmouth, gdy Andrew wypływał w rejs, również siadała w oknie nad gankiem z robótką w ręce i patrzyła na port. Tu nie było widoku morza, tylko wąskie ulice na wzgórzach i ciągły ruch przechodniów tam i z powrotem.

Godzinę wcześniej poznała wyniki wyborów – fiasko, które w nieunikniony sposób doprowadzi do serii petycji i kontrpetycji do Izby Gmin oraz niekończących się sporów w Bodmin. Dwóch przewodniczących zgromadzenia podało inne rezultaty. Lawson ogłosił, że wygrał wig i torys, a Michell, że dwaj torysi. W mieście wrzało.

Andrew powinien być teraz w Lizbonie. Jutro, gdy rozpocznie się proces Rossa, wypłynie do Anglii. Jego syn James znajduje się w Gibraltarze, czyli niezbyt daleko od ojca, lecz równie dobrze mógłby przebywać na drugiej półkuli. Verity czasem wątpiła, czy kiedykolwiek zobaczy dzieci Andrew. W głębi serca, mimo tego, co powiedziała Demelzie, lęk przed spotkaniem z nimi był większy od pragnienia ich poznania. James i Esther byli trwałym dowodem pierwszego, tragicznego małżeństwa Andrew. Może sami to czują i dlatego zwlekają z przyjazdem? Może po prostu uważają, że nowa żona ojca zepchnęła ich na margines? Tak czy inaczej, drugie małżeństwo Andrew Blameya okazało się szczęśliwe, a Verity czuła trwogę, że wizyta dzieci męża może wszystko popsuć.

Rozległo się pukanie do drzwi i stanęła w nich Joanna, niechlujna służąca z rozczochranymi włosami wystającymi spod czepka i smugą sadzy na policzku.

– Przepraszam, pani, ale chciałby się z panią zobaczyć jakiś dżentelmen. Nazywa się pan Francis Poldark.

Verity mocno zabiło serce.

– Pan Francis Poldark?!

– Tak. Mówi, że pani go zna. Może chodzi o inną damę...

– Właśnie o tę damę – przerwał Francis, który wszedł do pokoju. – Jestem

bratem pani Blamey, dziewczko, więc nie rozpowiadaj sprośnych plotek, jak zejdziesz na dół. Zajmij się rozlewaniem piwa i zostaw nas samych. I wytrzymaj swój zasmarkany nos.

Joanna wybałuszyła oczy i wyszła, a brat i siostra popatrzyli na siebie po raz pierwszy od czternastu miesięcy, od dnia, gdy Verity uciekła i poślubiła Andrew Blameya, wspierana przez Demelzę mimo gwałtownych sprzeciwów Francisa.

Z przerażeniem zauważyła, że jest pijany. Dobrze wiedziała, co to znaczy. Sześć lub siedem lat wcześniej ich ojciec skarżył się, że Francis ma słabą głowę i niczym byle kancelista spada pod stół po wypiciu pierwszej butelki. Ale czas i cierpliwość sprawiły, że nabrał wprawy. Obecnie upijał się dopiero po wypiciu morza alkoholu.

– Jesteś sama? – spytał.

– Tak... Nie wiedziałam, że przyjechałeś do Bodmin, Francisie.

– Wszyscy są w Bodmin. Aptekarz, oracz, nędzarz, złodziej... Myślałem, że mieszkasz z Demelzą.

– Wyjechała dziś wieczorem. Spędziłyśmy razem cały dzień.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi, jakby chciał popatrzeć na nią chłodnym okiem. Miał koszulę rozdartą na szyi i ubłocony surdut. Tylko ona wiedziała, jak wściekle gniewa go jej małżeństwo. Kiedy dorośli, kochał ją w sposób egoistyczny, zaborczy – było to coś więcej niż braterska miłość. Brak zaufania do Blameya z powodu jego niechlubnej przeszłości stał się główną siłą napędzającą jego uczucia.

– Pani Blamey... – rzekł z pogardą. – Jak się czujesz, gdy cię nazywają panią Blamey?

– Kiedy przyszedłeś... miałam nadzieję...

– Co takiego? Że przyszedłem się pogodzić? – Rozejrzał się, szukając wzrokiem fotela. Przeszedł przez pokój, zajął miejsce, położył kapelusz obok krzesła i wysunął do przodu jedną z ubłoconych nóg. Jego ruchy były podejrzanie spokojne. – Kto wie? Ale nie z panią Blamey. Moja siostra – to coś innego. Zdradziecka dziwka – powiedział to bez przekonania i złości.

– Tak chciałam przyjechać i was wszystkich zobaczyć – rzekła Verity. – Pytałam Demelzę. Wasza choroba na Boże Narodzenie i śmierć córeczki Demelzy. W Falmouth też panowała epidemia, ale... Jak się czuje Elizabeth? Nie towarzyszy ci, prawda?

– A jak się czuje Blamey? – odrzekł Francis. – Nie towarzyszy ci, prawda? Powiedz mi, Verity, czy nie uważasz małżeństwa za coś w rodzaju wnyków? Wpadamy w nie, biedni głupcy, przekonani, że jest w nich coś wspaniałego. Ale to szczęki z żelaznymi zębami, a kiedy już nas pochwyca... Gdzie Blamey? Domyślam się, że chłoscze swoich marynarzy w Zatoce Biskajskiej albo na Bałtyku. Nabrałaś ciała, jako panna zawsze byłaś chudziutka. Masz brandy albo rum?

– Nie, tylko porto.

– Oczywiście, ulubiony trunek Demelzy. Uwielbia porto. Powinna uważać, bo może się rozpić. Dwa tygodnie temu widziałem Rossa w Truro, wydawał się prawie nie przejmować sprawą sądową i ohydny paszkwilami. To twardy człowiek i nie złamię go tymi oskarżeniami, chociaż bardzo na to liczą.

– Popatrzył ze ściągniętą, gniewną twarzą na siostrę, lecz wydawało się, że spogląda poprzez Verity, a nie na nią. – Szkoda, że nie jestem Rossem i nie stanę jutro przed sędziami. Powiedziałbym im kilka rzeczy, zaszokowałbym ich. Ja, Francis Poldark z Trenwith, dżentelmen.

Jeszcze jeden wysiłek.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Francisie. Czułabym wielką ulgę, gdyby ten konflikt się skończył. To jedyna rzecz, która mąci moje szczęście.

Francis oderwał od mankietu kawałek podartej koronki, w zamyśleniu zwinął ją w kulkę między kciukiem a palcem wskazującym i rzucił przez pokój w stronę kominka.

– Szczęście, nieszczęście. Etykiety, które można przyczepić do tego samego nastroju! Ładne wstążki, które znaczą równie mało jak flagi w czasie tych przeklętych wyborów. Prrrt!, jak mawiał ojciec. Dziś rano pokłóciłem się z George'em Warlegganem.

Verity wstała.

– Każę przynieść coś do picia, mój drogi. – Pociągnęła za sznur dzwonka i dodała: – Wszyscy będziemy się modlić, by jutro uniewinniono Rossa. Podobno sprawa nie jest wcale beznadziejna. Demelza przez cały tydzień podejmowała jakieś starania. To coś związanego z procesem, ale nie wiem, o co chodzi. Nie może usiedzieć na miejscu.

– Uniewinnienie! Ja na jej miejscu też nie mógłbym usiedzieć. Dziś rano poszedłem do adwokata, który broni Rossa, i powiedziałem: „Niech pan mi powie prawdę, nie głupoty, tylko prawdę. Jakie są szanse w czasie jutrzejszej rozprawy?”. A on na to: „Jeśli chodzi o trzeci zarzut, mamy spore szanse, ale nie widzę sposobu uwolnienia się od pierwszych dwóch. Kapitan Poldark sam się przyznał i upiera się przy błędnej linii obrony. Ciągłe jest czas, by ją zmienić i walczyć, ale nie chce tego zrobić, więc sprawa jest z góry przegrana”.

W drzwiach znów pojawiła się służąca, lecz przez chwilę byli zbyt zaabsorbowani, by zwrócić na nią uwagę. W końcu Francis posłał ją po gin.

– Zaraz potem spotkałem George'a w gospodzie Pod Wołem Garlanda. Był tak bogato ubrany i zadowolony z siebie, że nie mogłem wytrzymać. Zdenerwowałem się i wygarnąłem mu mnóstwo rzeczy. Dobrze mi to zrobiło.

Milczeli przez dłuższy czas. Verity jeszcze nigdy nie widziała Francis'a w takim nastroju. Nie wiedziała, czy zmiana nastąpiła w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, czy dopiero dziś. W jej sercu zmagaly się dwa uczucia: troska o brata i zaniepokojenie tym, co powiedział o Rossie.

– Czy mądrze było się kłócić z George'em? Ciagle jesteś mu winien pieniądze, prawda?

– Powitałem go słowami: „Cóż to, ścierwojady zbierają się przed zabiciem jelenia?”. Kiedy z pozoru przyjął to spokojnie, ale był wściekły w głębi duszy, doszedłem do wniosku, że pora przedstawić moje stanowisko bez cienia wątpliwości. Jego przekłeta uprzejmość w niczym mu nie pomogła. Z równą grzecznością omówiłem jego wygląd, strój, moralność, rodziców i antenatów. Kłóciliśmy się coraz energiczniej. Nasze stosunki wymagały wyjaśnienia już od jakiegoś czasu.

– Wyjaśnienia... – odparła z niepokojem Verity. – To dopiero będzie szczęśliwe wyjaśnienie, jeśli zażąda spłaty twoich weksli. Wiem, że długo się przyjaźniliście, ale moim zdaniem może posunąć się do wszystkiego, by się zemścić za zniewagę.

Joanna wróciła z ginem. Francis wręczył jej napiwek i patrzył, jak służąca odchodzi. Nalał trochę trunku do kieliszka i wypił.

– Och, George z pewnością uważa, że jutro się na mnie zemści. Ale może się przeliczyć. – Wpatrywał się w pusty kieliszek z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał, jakby obserwował gorzkie koleje swojego życia, następujące po sobie ponure dni znikające w odmętach czasu, aż nadeszła ta nieszczęśliwa chwila i pozostały tylko popioły. Szaleństwo i nierozsądek stały się nieodłączną częścią egzystencji. – Jutro jest ciągle daleko – powiedział. – Może nigdy nie nadejść.

– Procedura była całkowicie sprzeczna z zasadami – rzekł sir John Trevaunance, otrzepując tabakę z rękawa. – Na Boga, gdybym tam był, nigdy bym na to nie pozwolił!

– Łatwo powiedzieć – odparł Unwin. Wyglądał jak ponury olbrzym. – Żadna ze stron nie chciała ustąpić, a na dworze wył motłoch. Musiałem podać jakiś wynik, nim tłuszcza wszystko zdemoluje. Kiedy Michell i Lawson podeszli razem do okna, myślałem, że ich ukamienują.

– Wynik Michella został natychmiast wysłany?

– Tak, przez konnego posłańca. Podobnie jak wynik Lawsons.

– Ważne, który z nich dotrze jako pierwszy do szeryfa. Nie ma to formalnego znaczenia, ale większą uwagę poświęca się zwykle pierwszemu wynikowi.

Sir John i Unwin uczestniczyli w bankiecie, który rozpoczął się po uroczystym obiedzie z okazji wyborów. Po pośpiesznych konsultacjach postanowiono postępować w taki sposób, jakby przytłaczająco zwyciężyli torysi. Koteria Boscoigne'ów zrobiła to samo i obie frakcje spotkały się na poobiednim przyjęciu w ratuszu. Przybyli na nie obaj sędziowie i kilku notabli z terenu hrabstwa, którzy nie byli zaangażowani w wybory.

– Pojawiają się naciski, bym zrezygnował – rzekł jadowitym tonem Unwin. – Już pojawiły się takie sugestie. Beze mnie Chenhalls i Corrant mogliby spokojnie objąć mandaty poselskie. Jeśli muszę zrezygnować, Basset o tym usłyszy.

– Twoja rezygnacja nie wchodzi w rachubę. – Sir John przygryzł dolną wargę. – Zająłeś drugie miejsce w obu głosowaniach, więc tak naprawdę tylko ty zostałeś prawidłowo wybrany.

Rozpoczęły się tańce. Unwin obserwował wysoką, zgrabną sylwetkę Caroline, która tańczyła z Chenhallsem i kilkoma kuzynami Robartesów – tworzyli razem kwadrat.

– Cóż, są trzy wybrane osoby i dwa miejsca w Izbie Gmin. To nie przejdzie.

– Czas pracuje dla nas – odpowiedział sir John, patrząc na ciemnowłosą młodą kobietę rozmawiającą z jednym z sędziów Jego Królewskiej Mości. – Nie ma wątpliwości, że Sąd Kanclerski orzeknie, iż Lawson sprawuje urząd burmistrza nielegalnie. To automatycznie sprawi, że głosy jego przedstawicieli staną się nieważne. Zresztą ci ludzie wyglądają na oszustów. Czy ktoś kiedyś słyszał, by burmistrz wig wybrał torysa, gdy są dwaj inni kandydaci z jego partii?

– To sugeruje bezstronność.

– Nonsens, to sugeruje oszustwo. Tak czy inaczej, jeśli ta sprawa nie zostanie rozstrzygnięta przed pierwszą sesją Izby Gmin, bez wahania żądam uznania twojego wyboru. Podobne rzeczy wydarzyły się w ostatnich latach w Helston i Saltash. Daniell przypomniał mi, że w Saltash dwa rywalizujące kolegia elektorские istniały przez bardzo długi czas, a różne komisje uznawały je na przemian za legalne i nielegalne. To nie wszystko, Unwinie. Cztery lub pięć lat temu dwa rywalizujące kolegia wybrały swoich posłów i w końcu obaj zasiedli w Izbie Gmin!

– Tak, słyszałem o tym w Londynie.

– Cóż, to się zdarzyło w osiemdziesiątym piątym lub szóstym roku. Daniell zapewnia mnie, że mimo petycji i kontrpetycji obaj wybrani posłowie w dalszym ciągu pełnią swoją funkcję. Jeśli zdarzają się takie rzeczy, nie należy się martwić rezultatem obecnych wyborów. Moim zdaniem jest wyjątkowo istotne, byś uważał się za ponownie wybranego i postępował jak poseł.

Taniec się skończył i rozległy się uprzejme brawa. Caroline nie spojrzała na Trevaunance'ów i ruszyła wraz z Chenhallsem w stronę sali z bufetem. Relacje między narzeczonymi nie były obecnie najlepsze. Uparła się, by uczestniczyć w zgromadzeniu wyborczym – wbrew radom Unwina. Później, nagle znudzona, ostentacyjnie wyszła z sali, gdy nie mógł jej towarzyszyć, po czym odprawiła służącego, który miał ją zaprowadzić do domu. Następnie wróciła na podium w czasie ogłaszania wyników wyborów i zrobiła Unwinowi awanturę, kiedy spytał, co się stało. Jak zostanę twoim mężem... – pomyślał, patrząc na Caroline stojącą w drzwiach. Ramiona dziewczyny lśniły bielą w przyćmionym świetle. Jeśli zostanę twoim mężem... była to niepokojąca myśl. Wybory kosztowały więcej niż kiedykolwiek. Wątpliwości co do wyników sprawiły, że Unwin znalazł się w trudnej sytuacji, choćby John mówił coś innego. I miał coraz większe długi w Londynie. Ruszył w jej stronę, lecz sir John chwycił go za rękę.

Spojrzał niecierpliwie na brata, spodziewając się kolejnych mądrych rad, na których wcale mu nie zależało, ale sir John patrzył w inną stronę.

– Powiedz mi... kto stoi obok Wentwortha Listera? Jak się nazywa kobieta, która z nim rozmawia?

Między brwiami Unwina pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Zdaje się, że to Demelza Poldark.

– Boże, cóż... – Sir John przełknął ślinę. – Tak właśnie sądziłem. Więc nie pogodziła się z odmową.

– Co masz na myśli?

– Jak, do licha, się tu dostała?! – spytał z gniewem Trevaunance. – Kto mógł ją przedstawić sędziemu?! Rozmawia z tym chudzielcem Listerem, tak jak sobie postanowiła! Na Boga, jej mąż zawiśnie przez nią na szubienicy, jeśli nie będzie ostrożna, a ona trafi do więzienia za obrazę sądu! Igra z ogniem!

– Widywałem ją w towarzystwie Hugh Bodrugana.

Sir John wyjął chusteczkę i otarł twarz.

– Nie mam z tym nic wspólnego, to najważniejsze! Hugh zawsze był lubieżnym durniem i odbierze swoją zapłatę. Cóż, życzę jej szczęścia w czasie rozmowy z sędzią. Będzie go potrzebowała.

– Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, mówiłem ci, że to niebezpieczna kobieta – zauważył Unwin.

Demelza doskonale zdawała sobie sprawę, że igra z ogniem. Gdy zobaczyła z bliska wysokiego, trupio bladego sędziego, wiedziała, że będzie to najtrudniejsze spotkanie w jej życiu.

Włożyła jasnioletową jedwabną suknię z rękawami do łokci i jasnozielonym gorsetem w kwiaty. Verity wybrała dla niej ten strój trzy lata wcześniej.

Sir Hugh Bodruga nie znał Listera, ale sprawił, że Demelzę przedstawił pan Coldrennick, poseł do Izby Gmin z Launceston. Sapiący i kudłaty odszedł z Coldrennickiem i zostawił Demelzę z sędzią, jak obiecał.

Czcigodny sędzia Lister miał około sześćdziesięciu lat, przeszło sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, długie, nieco krzywe, szczupłe nogi i surową, pobrużdżoną twarz, na której widać było piętno czterdziestu lat pracy na salach sądowych. Udział w przyjęciu nie sprawiał mu przyjemności, bo poza salą sądową był nieśmiałym człowiekiem i nie interesowały go tani blichtr ani moda. Pojawił się, gdyż kwatery sędziów były tak ponure, że co wieczór jadał posiłki na mieście – a poza tym nie mógł odmówić organizatorom, którzy pełnili funkcję gospodarzy.

Kiedy poznał tę młodą kobietę, spodziewał się, że zada mu z głupawym uśmiechem kilka absurdalnych pytań, a później odejdzie, jak robiły to inne osoby w jej wieku. Nie interesował się kobietami, choć stanowiły motyw wielu przestępstw, którymi zajmował się jako sędzia. Był kawalerem i pesymistą.

Ale rozmawiała z nim dłużej niż większość dam. W tym momencie zadała mu

pytanie, ale go nie dosłyszał. Pochylił głowę.

– Co pani powiedziała?

– Czy wasza lordowska mość tańczy? Pokręcił głową.

– Nie, ale nie chcę pani zatrzymywać. Niewątpliwie jest wielu partnerów, którzy chcieliby skorzystać z przywileju tańca z panią.

– O nie, milordzie. Wolę patrzeć, jak tańczą inni. Uważam, że największą przyjemność sprawia obserwowanie tańczących.

Lister wysunął do przodu dolną wargę.

– Jestem w wieku, pani, gdy patrzeć na wysiłki innych daje więcej satysfakcji niż sam wysiłek. Nie przypuszczałem, że może pani sądzić podobnie.

– Cóż ma z tym wspólnego wiek? – spytała Demelza. – Czy nie warto czasem stanąć z boku i patrzeć na innych, by się przekonać, jak samemu wyglądałoby się na ich miejscu?

Sędzia spojrzał na Demelzę trochę uważniej.

– Jeśli będzie pani przestrzegać tej zasady w sprawach większej wagi, dobrze pani na tym wyjdzie w życiu.

– W sprawach większej wagi życie nie zawsze daje możliwość wyboru – odparła Demelza.

– Każdy człowiek jest panem swojej duszy – rzekł Lister. – Nikt inny nie ponosi za nią odpowiedzialności.

– O tak, milordzie, ma pan absolutną rację. Ale czasami dusza jest jak ptak w klatce. Jej słodki śpiew dobiega nawet z dna studni.

Lister uśmiechnął się sucho.

– Pani argumenty są bardzo dowcipne.

– Wasza lordowska mość jest zbyt łaskawy. To zarozumiałość z mojej strony, że w ogóle o tym mówię. Moja wiedza o tych sprawach jest minimalna. Wasza lordowska mość dysponuje mądrością.

– Wiem to, co wiemy z woli tego, co istnieje ponad nami – odparł Lister. – Najlepszym sędzią jest sumienie.

– Zastanawiam się, czy to czasem nie martwi waszej lordowskiej mości...

– Co?

– Sądenie. – Zauważyła wyraz jego twarzy i dodała szybko: – Trudno jest dokonać idealnego osądu, jeśli nie ma się wiedzy idealnej, prawda? Proszę mi wybaczyć, jeśli źle to wszystko rozumiem.

– Moja droga pani, w każdej dziedzinie istnieje miejsce na postęp. Nieomyślność to cecha boska, nie ludzka.

W sali jadalnej Unwin spytał:

– W jaki sposób cię obraziłem?

– W żaden, mój drogi – odpowiedziała Caroline, przesuwając dłoń po włosach. –

Dlaczego miałbyś mnie obrazić?

– Nie wiem. Wychodzę ze skóry, by sprawić ci przyjemność, zabieram cię na wybory, co wywołuje dezaprobatę moich stronników, ale dziś wieczorem mnie ignorujesz, wolisz Chenhallsa albo pierwszego lepszego bawidamka w średnim wieku. Jestem zaskoczony, że jeszcze nie tańczyłaś z Bodruganem.

– Dziękuję, mój drogi. Szczucie niedźwiedzi powinno się odbywać na wolnym powietrzu. – W głosie Caroline było coś lodowatego. – Dlaczego miałabym nie tańczyć z bawidamkami w średnim wieku, skoro sprawia mi to przyjemność? Nie jestem jeszcze twoją marionetką – dzięki Bogu, bo dziś wieczorem byłoby to przykre, smutne i męczące. Chybabym tego nie wytrzymała.

Unwin wziął się w garść i zdobył się na uśmiech.

– Przykro mi, Caroline. To te przekłete wybory. Wybacz mi, proszę. Kiedy sytuacja się wyjaśni, będę lepszym kompanem, obiecuję. Chciałbym być nim teraz, gdybym mógł.

– Zawsze tylko: „Po wyborach, po wyborach”. W tej chwili ciągle trwają wybory. Och, John, John!

– Tak? – spytał kwaśno starszy Trevaunance. Nie lubił, gdy ta chuda krewna mówiła do niego po imieniu. Znosił to tylko ze względu na brata.

– Znasz lekarza o nazwisku Enys mieszkającego koło Sawle? Nazywa się Dwight Enys, jeśli dobrze pamiętam.

– Hm, tak. Mieszka w majątku Poldarków albo na granicy posiadłości Treneglosa. Niewiele o nim wiem. Czemu pytasz?

– Jest w Bodmin. Zdaje się, że jutro ma składać zeznania w sądzie. Ciekawe, czy ma majątek...

– Dlaczego cię to interesuje? – spytał podejrzliwie Unwin. – Poznałaś go?

– Przez przypadek wezwaliśmy go, by zbadał Horacego. Wspominałam ci o nim. Był bardzo niezadowolony, że wezwano go do psa.

– Wyjątkowa bezczelność. Gdybym tam był, natychmiast bym mu to powiedział.

– Och, ja też mu powiedziałam. Ale bezczelność nie jest ciężkim grzechem, Unwinie. Oznacza pewną siłę ducha...

W sali balowej przestano rozmawiać na niebezpieczne tematy. Wentworth Lister spoglądał zmrużonymi oczyma na ciemnowłosą dziewczynę.

– Skromność, jak powiedział niegdyś jeden z greckich filozofów, to twierdza broniąca piękna i cnoty. Podstawową cnotą jest niewinność, a drugą poczucie wstydu. Ta zasada od wielu lat pomaga mi oceniać kobiety.

– A mężczyzn? – spytała Demelza.

– Tak, również mężczyzn. – Taniec dobiegł końca i sędzia rozejrzał się powoli po sali. Było w niej ciepło i żałował, że włożył grube pończochy. – Nie będę pani dłużej zatrzymywać – rzekł z niezadowoloną miną. – Jestem pewien, że ma pani wielu ciekawszych partnerów, i nie chcę zajmować pani czasu.

Demelza oblizwała wargi.

– Boże, myślałam, że to ja zajmuję czas waszej lordowskiej mości!

Lister musiał grzecznie zaprzeczyć, a Demelza szybko popatrzyła wokół. Chociaż po sali krążyło mnóstwo ludzi, w tej chwili nie wydawało się, że ktoś chce przerwać ich tête-à-tête. Sędzia nie był interesującą postacią.

– Chciałabym, by następnym razem zagrali coś lżejszego – powiedziała. – Trudno tego słuchać. Za dużo fletów i piszczałek.

– Gra pani na jakichś instrumentach? – spytał.

– Tylko troszeczkę. – Uśmiechnęła się promiennie. – I śpiewam, gdy jestem sama.

– Podziela pani zamiłowanie do instrumentów, ja jestem miłośnikiem skrzypiec i wioli. Co do śpiewu, w dzisiejszych czasach nie warto go słuchać.

Coś w tonie głosu sędziego zwróciło uwagę Demelzy, która miała słuch wyostrzony jak zwierzę. Tchnienie uczucia wśród suchego szelestu trzciny, z którym kojarzył się Lister.

– Kornwalijczycy pięknie śpiewają. Uśmiechnął się.

– Łączą głosy. Niewątpliwie to ma pani na myśli. Chór kościelny w niedzielę.

– Oczywiście. Ale w Londynie na pewno można usłyszeć piękny śpiew?

– Bardzo rzadko. Wszystko jest skażone modnymi nowinkami. Frywolne, bezbarwne pieśni na trzy lub cztery głosy. Pastisze pieśni włoskich i głupawa afektacja. Aby odnaleźć czyste źródło, trzeba się cofnąć dwieście lat lub więcej.

Lister mocno zacisnął wargi i zażył szczyptę tabaki. Strzepnął brązowy proszek koronkową chusteczką, splótł dłonie na plecach i spojrzał na salę, jakby postanowił nie dać się więcej sprowokować do wyrażania opinii.

– Czy muzyka kościelna jest taka brzydka, milordzie? – spytała z rozpaczą Demelza. – Nie rozumiem.

– Ha! – rzekł Lister.

Z sali bufetowej wyszli Trevaunance'owie. Rudowłosa Caroline była nieco wyższa od sir Johna i niższa od Unwina.

– W kościele w Truro są organy – powiedziała Demelza. – Nigdy wcześniej nie słyszałam gry na organach. Mają wspaniały dźwięk, lecz wolę starszą muzykę, jeśli jest dobrze wykonywana.

Sędzia pociągnął nosem, ocierając go chusteczką.

– Ma pani szczęście, że pani słuch muzyczny nie jest całkowicie zmanierowany przez modne nowinki. Niewątpliwie nigdy nie słyszała pani śpiewu organum?

– Nie, milordzie. Czy to śpiew przy akompaniamencie organów?

– Nie, nie...

Sir Hugh Bodrugan rozmawiał z panem Coldrennickiem o konsekwencjach wyborów i miał ochotę jeszcze się czegoś napić. Bodmin zmęczyło go i znudziło. Był zadowolony, że jutro wróci do domu – do swoich psów, koni, macochy i jej

przekleństw, do pokoju w wielkim zrujnowanym dworze, gdzie będzie mógł rozsiąść się w fotelu i bekać. Czuł, że dusi się w mieście. Jedynym jasnym momentem wizyty było spotkanie z Demelzą Poldark, która ożywiała atmosferę inteligentnymi uwagami i potrafiła sprawić, że się nie nudził. Spoglądał na nią, gdy rozmawiała z wysokim, chudym sędzią. Potrafiła po mistrzowsku kluczyć, na tym polegał problem. Podchodzenie zwierzyny to dobra zabawa, zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał ochoty zbyt łatwo ustrzelić tej łani, ale jak dotąd zdołał ją tylko dwukrotnie pocałować – raz w usta – i dwa razy pomacać w ciekawych miejscach. Kusząca długonoga kokietka beczelnie się z nim droczyła. Pora do niej wrócić.

Powiedział Coldrennickowi o swoim spostrzeżeniu dotyczącym osaczenia sędziego przez Demelzę, przerywając jego nudne uwagi na temat czynszów dzierżawnych w miastach.

– Tak – stwierdził pan Coldrennick. – Muszę przyznać, że rzadko się zdarza, by nasz uczony sędzia był taki rozmowny. Młoda pani Poldark ma dar zjednywania sobie ludzi.

– O tak, ma dar zjednywania sobie ludzi – odparł pośpiesznie Bodrugan. – Do diabła, tak! Brakuje jej tylko woli, by ich ostatecznie zjednać.

Kiedy się zbliżyli, usłyszeli głos sędziego.

– Moja droga pani, harmonia, choćby najbardziej prymitywna, pojawiła się w muzyce kościelnej dopiero w jedenastym lub dwunastym wieku. Śpiew gregoriański polegał na rezygnacji z unisono; na początku interwałami między niższymi i wyższymi głosami były kwarty lub kwinty. Niewątpliwie minęło wiele lat, nim odkryto, że tercje lub seksty lepiej do siebie pasują, że są nieskończenie bardziej melodyjne i pozwalają tworzyć bardziej różnorodne efekty. Istnieje hymn szkocki... hę, do świętego Magnusa...

– Hmm! – chrząknął sir Hugh Bodrugan.

Czcigodny sędzia Lister uniósł głowę i spojrzał na arystokratę takim wzrokiem, jakim zwykle patrzył na przestępców. Widząc to, Coldrennick miał ochotę odejść, lecz Bodrugan nie był człowiekiem, którego można onieśmielić.

– Ha, pora coś zjeść, moja droga. Jest taki tłum, że musi mi pani wskazać drogę do bufetu. Jego lordowska mość niewątpliwie nam wybaczy.

– Wcale nie jestem głodna, sir Hugh – zaprotestowała Demelza. – Może moglibyśmy na razie to odłożyć? Jego lordowska mość bardzo interesująco opowiada o muzyce kościelnej i chciałabym skorzystać z rzadkiej możliwości dowiedzenia się czegoś ciekawego.

– Nie, to może poczekać na inną okazję, prawda, milordzie? Muzyka kościelna, na Boga! Cóż za temat na dzień wyborów...

– Temat na każdy dzień, jeśli ktoś potrafi go rozumieć – odparł Lister. – Jest oczywiste, że są ludzie, których to nie interesuje. – Miał zamiar powiedzieć coś jeszcze przez zaciśnięte usta, ale z sali jadalnej wyszły dwie damy, zbliżały się także

inne osoby. Zwrócił się do Demelzy: – Jest również muzyka elżbietańska, pani. Byrd i Tallis to nazwiska godne zapamiętania. A także Thomas Morley, choć to inny, lżejszy styl.

– Zapamiętam je – odpowiedziała i bardzo grzecznie podziękowała. Bodruga czekał, by iść do bufetu, a dwie kobiety nawiązały rozmowę z sędzią. Ale po chwili Lister odwrócił głowę w stronę Demelzy. Kiedy obejrzał ją od stóp do głów, w jego głęboko osadzonych oczach pojawił się błysk aprobaty.

– Nie przypominam sobie pani nazwiska i nie wiem, z kim miałem przyjemność rozmawiać.

– Nazywam się Poldark – odpowiedziała i przełknęła ślinę. – Jestem żoną Rossa Poldarka.

– Czuję się zaszczycony – odpowiedział i skłonił głowę. Nazwisko najwyraźniej nic mu nie mówiło. Na razie.

Rozdział dziewiąty

Po zmroku pijaństwo i hałasy na ulicach osiągnęły apogeum. Na początku Dwight nie zamierzał już wychodzić. Caroline zapewne udała się na bal, on zaś nie miał zaproszenia ani stroju wieczorowego. Po kolacji siedział przez chwilę w sypialni, czytając podręcznik medyczny, ale bez przerwy myślał o upartej pannie Penvenen i jej postępkach. Była w kącikach jego oczu, w głębi uszu, na dnie umysłu. Przypominał sobie szelest jej jedwabnej sukni jak coś nowego, słyszanego po raz pierwszy, widział czubek języka, gdy oblizywała wargi; słyszał jej głos, chłodny i irytujący, lecz niemożliwy do zapomnienia jak melodia. W końcu rzucił książkę na łóżko i zszedł na dół czegoś się napić, ale w sali jadalnej kłębił się hałaśliwy tłum, więc z braku innego zajęcia postanowił przespacerować się na wzgórze do niewielkiego szpitala, którym kierował doktor Halliwell. Bodmin było jednym z nielicznych postępowych miast mających taką instytucję – większość ofiar wypadków umierała na ulicy lub we własnym łóżku – i uznał, że ciekawie byłoby porównać ten mały zakład z wielkimi szpitalami Londynu.

Dlatego nie spotkał się z Francisem, który wszedł do gospody po jego wyjściu. Francis spytał o Dwighta i, dowiedziawszy się, że młody lekarz wyszedł, oznajmił, że doktor Enys pozwolił mu spędzić noc w swoim pokoju. Właściciel gospody spojrział na niego niepewnym wzrokiem, usiłując się zorientować, z kim ma do czynienia. Sposób mówienia i postawa Francisca świadczyły, że jest dżentelmenem, choć nosił zabłocone, podarte ubranie. Podejrzewał, że gość jest pijany, aczkolwiek nie pasowało to do dumnego wyrazu jego twarzy i rezolutnego tonu.

– Bardzo przepraszam, panie, ale jako gospodarz nie mogę wpuścić jednego dżentelmena do pokoju drugiego, nie uzyskawszy zgody zainteresowanego. Nie byłoby to właściwe.

– Nonsens. Doktor Enys mnie zaprosił. Kiedy wróci?

– Nie wiem, panie. Nie powiedział.

Francis postawił juki na podłodze.

– Dżentelmeni często dzielą pokoje w razie potrzeby. To normalny obyczaj i dobrze o tym wiesz. Nie jesteśmy nieznajomymi, tylko przyjaciółmi. No już, powiedz, ile płaci doktor Enys, a ja zapłacę tę samą stawkę.

– Chętnie przyjmę pieniądze, ale dopiero po powrocie doktora Enysa.
– Nie mam ochoty czekać przez całą noc. – Francis wyjął sakiewkę i wysupłał z niej kilka złotych monet. – Zapłacę z góry, więc na pewno nie będziesz stratny.

Gospodarz wybałuszył oczy.

– To niewielki pokój, wasza dostojność, i łóżko dla jednej osoby.

– Nie obchodzi mnie rozmiar łóżka.

Właściciel zajazdu znów zerknął na monety i zwrócił się do młodziutkiego służącego.

– Hej, Charlie, zaprowadź tego dżentelmena do pokoju numer sześć.

Francis dokonał opłaty i ruszył trzeszczącymi schodami za chłopcem. Kiedy znalazł się w pokoju i pozbył się służącego, zamknął drzwi i przekręcił klucz. Niska, wąska kłitka z prostym stołem z desek przed wygasłym kominkiem, jednoosobowe łóżko pod oknem w połowie zasłoniętym okiennicą, dwie płonące świece rozpraszające mrok obok łóżka. Stał przez chwilę oparty o drzwi, patrząc na pomieszczenie, po czym wziął jedną ze świec i zaniósł na stół. Otworzył juki, wyjął czystą koszulę, umył się, włożył koszulę i czysty halsztuk. Usiadł przy stole, wyciągnął z torby kilka arkuszy papieru i po chwili zastanowienia zaczął pisać. Robił wszystko powoli, lecz nie była to powolność wynikająca z nadużycia alkoholu. Wytrzeźwiał i osiągnął stan śmiertelnej powagi.

Przez pięć minut w pokoju panowała cisza, w której rozlegał się tylko szelest gęsiego pióra sunącego po papierze. Od czasu do czasu na dworze rozbrzmiewały hałasy lub zza grubych ścian słychać było wybuch śmiechu dochodzący z sali na dole. Dźwięki te przywodziły na myśl echa odległego świata. Niekiedy płomień jednej ze świec się kołysał, pojawiała się smużka dymu i płynęła w bok. Francis pisał ze skupieniem, czując, że musi to jak najszybciej zrobić. Nie tylko ścigał się z czasem, lecz również odczuwał wewnętrzny imperatyw, który podpowiadał mu, że nie może dłużej czekać z realizacją swojego zamiaru.

W końcu się podpisał, wstał, znów podszedł do torby i wyjął pistolet. Był to jednolufowy pistolet pojedynkowy z zamkiem skałkowym, nabijany ciężką kulą i niewielkim ładunkiem prochu. Naładował go, odciągnął kurek i położył broń na stole. Później się rozejrzał. Wszystko gotowe. Cisza w pokoju była przytłaczająca, dźwięczała w uszach; brzmiała w niej trwoga ostatecznej decyzji, ostatecznego przymusu ogarniającego umysł i ciało. Wszystko zmierzało do tego momentu niczym rzeka płynąca w stronę morza, gdzie następuje jej kres.

Przyłożył pistolet do głowy.

Dwight odwiedził szpital, który, jak się okazało, składał się z kilku pomieszczeń na pierwszym piętrze masywnego budynku w pobliżu gmachu sądu. Na dole mieściło się Towarzystwo Czytelnictwa. Na parterze wypożyczano książki, a piętro wyżej amputowano nogi. Dwight nie miał szczęścia i nie zastał doktora Halliwella, który jeszcze nie wrócił z całodziennego polowania. Po dwóch oddziałach oprowadziła

go tęga kobieta cierpiąca na puchlinę; wcześniej podejrzliwie wypytała go przy drzwiach.

Łóżka ustawiono zgodnie z zasadami stosowanymi w Londynie. Były wbudowane w ściany, miały drewniane boki i przypominały wielkie szuflady wyciągnięte z kabinetu. Każdy oddział oświetlała jedna latarnia, w której płonęła gruba świeca. Wydarzenia ostatniego tygodnia sprawiły, że wśród tłumów zebranych w Bodmin doszło do wielu wypadków, toteż szpital był zapelniony. Straszliwie tu śmierdziało, podobnie jak we wszystkich instytucjach tego rodzaju. W każdym łóżku leżało czterech pacjentów stłoczonych obok siebie jak sardynki, ze stopami obok głów sąsiadów – nie wydawało się, by ktokolwiek próbował ich podzielić według chorób, na które cierpieli. W pobliżu latarni kobieta z amputowaną dłonią dzieliła łóżko z rodzącą; ich towarzyszka, jak dostrzegło fachowe oko lekarza, była konająca. Miała siną twarz, gorączkowała, jej dłonie pokrywały fioletowe plamy, oddychała nierówno i z wysiłkiem.

– Nierządnicza znaleziona na ulicy – wyjaśniła kobieta chora na puchlinę, wciągając brzuch. – W zeszłym tygodniu urodziła bliźniaki, dwóch chłopców. Umrze do rana, takie jest moje zdanie... Ta ma skurcze dopiero od godziny. Podobno to dziecko jej ojca, ale sama nie mówi ani słowa. Położyliśmy je razem, by się dobrze czuły... Dalej jest oddział męski.

Dwight nie spędził w szpitalu dużo czasu. Nie znał doktora Halliwella i nie wiedział, czy nie jest intruzem. Kiedy znalazł się ponownie na ulicy, kilkakrotnie z ulgą odetchnął nocnym powietrzem. W czasie jego pobytu w szpitalu spadł ulewny deszcz i z zachodu nadciągały z wiatrem ciemne chmury, lecz nie zniechęciło to dziesiątków hulaków ciągle wypełniających ulice. Zauważył dwóch szacownych kupców, których odwożono do domów na taczkach.

Właściciel gospody poinformował go o nieoczekiwanym gościu. Dwight zapomniał, że rankiem zaprosił Francisa, a po popołudniowym spotkaniu żałował, że to zrobił. Wszedł po schodach, spodziewając się zastać gościa rozwalonego na łóżku, a jego irytacja wzrosła, gdy okazało się, że drzwi są zamknięte. Niecierpliwie uderzył w nie pięścią, mając nadzieję, że Francis nie jest zbyt pijany, by go usłyszeć. Nikt nie odpowiedział. Dwight zaczął się obawiać, że Poldark obudzi się dopiero rano. Gospodarz prawdopodobnie nie miał drugiego klucza. Zresztą pierwszy klucz blokował zamek z drugiej strony.

Dwight znów z całej siły uderzył pięścią w drzwi. W kątach mrocznego, wąskiego korytarza wisały pajęczyny, a popękane ściany były wybrzuszone, jakby napierała na nie od zewnątrz jakaś potężna siła. Człowiek cierpiący na klaustrofobię czym prędzej by stąd uciekł, bojąc się, że się zawała i pogrzebią go żywcem. W jednej z szerokich szczelin w pobliżu drzwi ukazał się na chwilę czarny żuk wyrwany z letargu przez nieprzyjemny hałas. Nagle Dwight usłyszał za drzwiami ruch i zgrzyt klucza w zamku.

Z ulgą nacisnął klamkę, wszedł do pokoju i ze zdziwieniem spostrzegł, że łóżko jest nietknięte. Francis wracał powoli do stołu, na którym płonęły dwie świece.

Dwighta opuściła irytacja. Zaśmiał się niezręcznie.

– Przepraszam za hałas. Myślałem, że pan śpi.

Francis nie odpowiedział, lecz usiadł przy stole i popatrzył na dwa leżące przed nim arkusze papieru. Nie wyglądał na tak pijanego jak wtedy, gdy się ostatnio spotkali. Z narastającym zdziwieniem Dwight zauważył czystą koszulę, schludny halsztuk i bardzo bladą twarz współlokatora.

– Gospodarz powiedział mi o pana przybyciu – rzekł. – Myślałem, że ma pan kłopoty. W mieście roi się od ludzi.

– Tak – odparł Francis.

Dwight zdawał sobie sprawę, że w pokoju panuje napięcie, którego natury nie rozumie. Powoli rozpiął surdut i rzucił go na fotel, a później stał przez chwilę w koszuli, niepewny i pełen wahania. Drugi mężczyzna milczał.

– Przykro mi, że dziś po południu odszedłem tak nagle, ale, jak wyjaśniłem, musiałem się spotkać z przyjacielem. Jadł pan kolację, prawda?

– Słucham? Ach, tak.

– Jeśli pisał pan list, proszę sobie nie przeszkadzać.

– Nie.

Zapadła cisza. Dwight uważnie spojrzał na Francisca.

– Co się stało?

– Jest pan fatalistą, Enys? – Francis zmarszczył brwi i na jego kamiennym obliczu pojawił się grymas nerwowej niechęci. Przywodziło to na myśl nagły początek sztormu na spokojnym morzu. – Wierzy pan, że jesteśmy panami samych siebie? A może po prostu marionetkami na sznurkach, które mylnie wierzą w swoją niezależność?

– Obawiam się, że jestem trochę zbyt zmęczony na dyskusje filozoficzne. Czy ma pan jakiś osobisty problem dotyczący tych kwestii?

– Tylko taki. – Francis niecierpliwie odsunął papiery na bok i ujął leżący pod nimi pistolet. – Pięć minut temu próbowałem się zastrzelić. Broń nie wypaliła. Od tego czasu zastanawiam się, czy powinienem spróbować jeszcze raz.

Dwight zerknął na Francisca i zrozumiał, że to nie żart. Wpatrywał się w Poldarka, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Jest pan trochę wstrząśnięty – rzekł Francis. Wycelował pistolet w swoją twarz i zajrzał do lufy, trzymając palec na spuście. – Naturalnie wykorzystanie do tego celu pańskiej gościnności nie było w najlepszym guście, ale nie mam własnej kwatery, a zastrzelenie się w jakimś ciemnym zakątku na ulicy wydaje się lekko wulgarnie. Bardzo mi przykro. Tak czy inaczej, nic się jeszcze nie stało, więc ma pan rozmownego, a nie milczącego towarzysza.

Dwight spoglądał na Francisca, powstrzymując instynktowną chęć powiedzenia

lub zrobienia czegoś oczywistego. Niewłaściwe posunięcie mogłoby mieć fatalne skutki. Po dłuższej chwili zmusił się, by się odprężyć. Podeszedł do dzbanka i miednicy koło okna, po czym stanął odwrócony plecami do Francisa. Zaczął myć ręce, które, jak się okazało, lekko drżały. Czuł, że Francis uważnie go obserwuje.

– Nie rozumiem pana – powiedział w końcu. – Nie rozumiem, dlaczego chciałby się pan zabić i dlaczego miałby pan przejechać konno czterdzieści kilometrów do obcego miasta, by to zrobić.

Rozległ się szelest papierów, jakby Francis je składał.

– Zmarły zachowywał się irracjonalnie przed śmiercią. Czy tak by pan to określił? Ale kto zachowuje się racjonalnie, nawet jeśli chce żyć? Gdybyśmy byli myślącymi mózgami wiszącymi w słojach z płynem... Ale nie jesteśmy nimi. Mamy trzewia, mój drogi doktorze Enys, sam pan o tym wie; nerwy, krew i coś, co nazywa się emocjami. Można czuć głupią niechęć do pomysłu przelania własnej krwi w swoim domu. Nad impulsami trudno zapanować.

– Jeśli to był impuls, mam nadzieję, że minął.

– Nie, nie minął. Ale skoro pan przyszedł, może pan wyrazić opinię. Co zrobić, gdy człowiek przykładą lufę do głowy, naciska cyngiel, słysząc trzask krzesiwa i nic się nie dzieje? Czy należy się pogodzić z własną głupotą, że zabrakło nam zdolności przewidywania, by kupić świeży proch? Czy ubolewać nad tym, że proch szybko wilgotnieje w przeklętym kornwalijskim powietrzu? Czy to ostateczne upokorzenie każe zrezygnować z następnej próby?

Dwight wycierał ręce.

– To jedyna rozsądna decyzja. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie. Dlaczego samobójstwo? Jeśli wolno mi to powiedzieć, jest pan młodym, szanowanym właścicielem ziemskim, ma pan żonę i syna, szczęśliwie wyzdrowiał pan po ciężkiej chorobie, nie ma pan trosk...

– Proszę przestać, bo rozplączę się ze szczęścia – przerwał Francis.

Dwight lekko obrócił głowę i kątem oka zauważył, że pistolet znów leży na stole, a Poldark trzyma dłoń na kolbie.

– Cóż, pana brat stryjeczny miałby więcej powodów do samobójstwa. Stracił jedyne dziecko, jutro może zostać skazany, w zeszłym roku zbankrutowała odlewnia, w którą włożył całe serce...

Francis wstał, odsuwając z piskiem stół, i przeszedł przez pokój.

– Niech pana diabli porwą, proszę się uciszyć...

Dwight odłożył ręcznik.

– Niewątpliwie Ross ciągle czuje szacunek do samego siebie. A pan szacunek do samego siebie stracił...

Francis się odwrócił. Z bliska widać było, że twarz ma pokrytą smugami zaschniętego potu.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Pistolet był daleko. Dwight odzyskał poczucie, że potrafi poradzić sobie sytuacją.

– Uważam, że decyzja o samobójstwie to konsekwencja utraty szacunku do samego siebie.

– Doprawdy?

– Tak.

Francis zaśmiał się bezgłośnie. Cisza panująca w pomieszczeniu sprawiła, że grymas wykrzywający jego twarz wydawał się pełen goryczy.

– Zdarzają się chwile, gdy jest to jedyny sposób, by odzyskać szacunek do samego siebie. Potrafi pan to sobie wyobrazić? A może pana umysł jest do tego niezdolny?

– Potrafię to sobie wyobrazić, mój umysł jest do tego zdolny. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego miałoby to dotyczyć pana.

– Proszę sobie przypomnieć, jakimi słowami mnie pan opisał. Młody, szanowany właściciel ziemski. Młody według jakich kryteriów? Właściciel majątku ziemskiego, tak pan powiedział? Ale kto naprawdę posiada majątki ziemskie w tej epoce bankructw? Zwykle jakiś lichwiarz, szydlerczo uśmiechnięty parweniusz o miłym głosie i zasadach moralnych mątwy... A szacunek? – Francis wypowiedział to słowo wściekłym tonem. – Szanowany przez kogo? Wracamy do punktu wyjścia, szacunku do samego siebie, co prowadzi do pata. Alkohol łagodzi złudzenia, lecz wyostrza paradoksy. Po kuli z pistoletu nie ma się kaca.

Dwight przeszedł przez pokój i zapalił następne dwie świece na kominku. Rozproszyły one mrok na końcu pomieszczenia. Ukazała się spłowiała tapeta z weluru i zakurzone rogi jelenia. Światło było jak powrót rozsądku, przesuwano się nad mrocznymi zakamarkami umysłu.

– Kula z pistoletu to bardzo dramatyczne rozwiązanie – rzekł powoli Dwight.

– Nagłe rozwiązania zwykle są dramatyczne. Powinien pan to wiedzieć jako lekarz. Ale nie może ich pan odrzucać tylko dlatego, że obrażają pana poczucie przyzwoitości.

– Och, nie odrzucam ich. Po prostu wolę normalniejsze środki. Napijmy się i porozmawiajmy. Po co się śpieszyć? Mamy przed sobą całą noc.

– Wielki Boże... – Francis odetchnął powoli i odwrócił głowę. – Język mam suchy jak popiół...

Na ulicy przed domem ktoś śmiał się głupkowato. Dwight podszedł do kredensu.

– Mam tu brandy. Możemy jej spróbować. – Usłyszał, jak Francis składa papiery i wpycha je do kieszeni. Kiedy lekarz się obrócił, Francis znów wziął pistolet, lecz wyjmował z niego kulę. Zawahał się w połowie tej czynności i w jego oczach pojawił się dawny błysk.

– Proszę to wypić – powiedział szybko Dwight. – Tani gin to trucizna i wywołuje niezdrowe myśli.

– Mam niezdrowe myśli i bez ginu.

– Cóż, może mi pan o nich opowiedzieć, jeśli ma pan ochotę. Nie mam nic przeciwko temu.

– Dziękuję, ale zachowam swoje smutki dla siebie. – Francis przyjął kieliszek i spojrzał na trunek. – Cóż, zdrowie diabła! Nie wiem, po czyjej stronie jest dziś wieczorem.

Dwight wypił w milczeniu. Burza uczuć słabła. Przypadek sprawił, że Francis nie zrobił tego, co zamierzał. Był zmęczony i wolałby mówić o wszystkim oprócz swoich motywów. Ale właśnie dlatego należało go skłonić do mówienia. Kryzys nie powtórzy się tylko wtedy, jeśli Francis wszystko z siebie wyrzuci.

Rozdział dziesiąty

Przed reformacją w Bodmin potęgą byli franciszkanie, do których należała większość nieruchomości w śródmieściu. Pod koniec osiemnastego wieku mnisi w szarych habitach nie chodzili już po ulicach i nie opiekowali się chorymi i ubogimi, lecz pozostały po nich budynki o wybitnie kościelnym wyglądzie, choć teraz mieściły się w nich instytucje świeckie. Właśnie takim gmachem był dawny refektarz ojców franciszkanów, gdzie odbywały się posiedzenia sądu.

Wielka sala z witrażowymi oknami wychodzącymi na wschód, mająca blisko pięćdziesiąt metrów długości i dwadzieścia metrów szerokości, wyglądała imponująco, ale powstała przed pięćuset laty i nie znajdowała się w dobrym stanie. Miała również inne wady ujawniające się w czasie długotrwałych rozpraw.

W nocy zrobiło się parno i o świcie miasto pokryła gęsta mgła, która nie rozproszyła się po wschodzie słońca. Kiedy sędziowie w perukach i sobolowych szatach podążali ulicami Bodmin w stronę gmachu sądu, mgła wirowała wokół nich niczym wilgotny dym.

Demelza spędziła okropną noc. Gdy zasypiała, dręczyły ją koszmary, a po przebudzeniu miała wrażenie, że nie ma ucieczki przed rzeczywistością. Czuła, że zeszłego wieczoru poniosła kompletną porażkę, że skutkiem wszystkich jej wysiłków była daremna rozmowa bez sensu i bez celu, że całkowicie zawiodła Rossa.

Dopiero wczoraj wieczorem zrozumiała, jak głupio wierzyła w powodzenie swoich wysiłków: przez długie tygodnie oczekiwania żywiła nadzieję, że zdoła pomóc mężowi. W końcu naiwny zdrowy rozsądek powstrzymał ją przed zwróceniem się do sędziego z prośbą o łaskę, kiedy wreszcie go poznała. W tej chwili gorzko żałowała, że nie opowiedziała mu wszystkiego i nie błagała o litość, ale gdyby znów go spotkała, postąpiłaby tak samo. Nawiazała z nim kontakt wskutek błędnej oceny sytuacji, lecz wrodzony realizm uchronił ją przed katastrofą.

Kiedy Verity wróciła, była prawie tak samo wytrącona z równowagi. Odwiedził ją Francis, pijany i w dziwnym nastroju, a później odszedł w jeszcze dziwniejszy sposób, co wzbudziło w niej głęboki niepokój. Martwiła się w tej chwili o obu Poldarków i prawie nie spała, lecz widząc Francisza wchodzącego przed nią do gmachu sądu, poczuła nagłą ulgę, jakby nie spodziewała się dziś zobaczyć go

całego i zdrowego. Ale pozostał niepokój o Rossa – stał się on dwakroć silniejszy, kiedy obserwowała przebieg wcześniejszych spraw sądowych.

Zajęto dla nich miejsca w przedniej części sali, która była już zatłoczona, gdy weszli. Z przodu siedzieli konstable, strażnicy, sędziowie przysięgli, świadkowie, adwokaci i notariusze, a z tyłu znajdowały się miejsca dla publiczności. Kilka pierwszych rzędów zarezerwowano dla miejscowych notabli. Do sądu przyszło wielu ludzi przebywających w Bodmin w związku z wyborami, którzy liczyli, że rozprawa dostarczy im darmowej rozrywki. Verity zauważyła Unwina Trevaunance'a z rudowłosą dziewczyną, sir Hugh Bodrugana oraz kilka dam z wachlarzami i dżentelmenów z tabakierkami. W rogu siedział samotnie George Warleggan, trzymając długą laskę z rattanu. Z tyłu tłoczył się plebs.

Sala, choć wysoka, była duszna i należało się spodziewać, że wkrótce zrobi się gorąco. Przy drzwiach stali przekupnie sprzedający gorące paszteciki, kasztany i lemoniadę; krążyli również między ławkami, lecz tuż przed dziesiątą kazano im opuścić pomieszczenie. Później urzędnik sądowy uderzył młotkiem, wszyscy wstali i do sali wszedł czcigodny sędzia Lister, koneser muzyki kościelnej. Skłonił się z namaszczeniem sądowi, po czym zajął miejsce obok szeryfów i radnych miejskich. Przysunął do siebie wielkie naręczce aromatycznych ziół i położył na papierach chusteczkę nasączoną octem. Czekał go kolejny ciężki dzień.

Szybko załatwiono pierwszą sprawę. Demelza zupełnie nie była w stanie śledzić jej przebiegu. Przemawiający prawnik mówił tak basowym głosem, że rozumiała jedno słowo na trzy. Miała wrażenie, że przedmiotem rozprawy są zobowiązania więźnia. Po zakończeniu postępowania mężczyznę wyprowadzono z ławy oskarżonych. Potem rozległ się szmer. Do sali wprowadzono dwie kobiety i trzech mężczyzn. Jednym z nich był Ross Poldark. Jego ciemne włosy o miedzianym odcieniu były uczesane, a blizna, jak zawsze w chwilach zdenerwowania, wyraźnie widoczna na policzku. Po tygodniowym pobycie w więzieniu wydawał się bladejszy. Demelza przypomniawszy sobie los Jima Cartera.

Zaprzysiężono ławę przysięgłych, ale Demelza nic nie słyszała. Myślała o Rossie, jak przed laty zobaczyła go po raz pierwszy na jarmarku w Redruth. Miała wrażenie, że minął wiek – lecz chociaż była teraz starsza, w niewyobrażalny sposób zmieniona nie do poznania, Ross wydawał jej się w dziwny sposób młodszy, choć w istocie taki sam. Miewał zmienne nastroje, ale dla Demelzy pozostawał kimś stałym, niezmiennym, nieskończenie godnym zaufania, treścią jej życia. Nigdy nie mógł się pojawić nikt inny. Bez Rossa byłaby na poły martwa.

Tego ranka sędzia Lister miał zapadnięte oczy i wydawał się niehumaniczny, zdolny do każdego okrucieństwa. Po zaprzysiężeniu ławy przysięgłych nie zgłoszono żadnych sprzeciwów. Następnie, ku zaskoczeniu Demelzy, wyprowadzono wszystkich więźniów z wyjątkiem jednego. Rozpoczęła się sprawa F.R. Boyntona, oskarżonego o kradzież.

Demelza nie słuchała. Miała wrażenie, że unosi się w dziwnej mgle. W jakiś sposób wyraźnie zapamiętywała to, co się dzieje, choć prawie nic do niej nie docierało. Dopiero po pewnym czasie usłyszała, że ława przysięgłych uznała oskarżonego za winnego kradzieży pary damskich pończoch z dzianiny o wartości dwóch szylingów i sześciu pensów oraz pudełka zawierającego pięćset igieł o wartości sześciu pensów; do przestępstwa doszło w sklepie z pasmanterią. Sędzia Lister, biorąc pod uwagę dotychczasową niekaralność oskarżonego, skazał go na napiętnowanie ręki i wypuścił na wolność. Kiedy złodzieja wyprowadzono, rozpoczął się proces dwóch kobiet. Demelza z trwogą zdała sobie sprawę, że następny będzie Ross.

Kobiety zajmowały się włóczęgostwem. Przyłapano je na żebraniu. Nie miały żadnych źródeł utrzymania. Sprawa wydawała się oczywista i ława przysięgłych szybko uznała je za winne. Ale czcigodny sędzia Lister miał szczególny stosunek do popełnionego przez nie występku i wygłosił długą mowę, potępiając prowadzone przez nie życie. Patrząc na niego, Demelza zrozumiała, że nie można oczekiwać po nim litości. Miał piękną wymowę, wygłaszał eleganckie, krągłe zdania, jakby napisał je poprzedniej nocy. Ale ich treść sprowadzała się do potępienia. Nagle, nie unosząc głosu ani nie zmieniając tonu, skazał dwie kobiety na chłostę i sprawa była zakończona.

W tym momencie na sali zapanowało lekkie zamieszanie, bo część mężczyzn chciała wyjść i zobaczyć, jak kobiety zostaną obnażone i wychłostane na placu przed kościołem. Inni widzowie chcieli zająć miejsca, które się zwolniły, i w tym zamęcie do sali wprowadzono Rossa. Idąc w stronę ławy oskarżonych, tym razem zerknął w bok i napotkał wzrok Demelzy. Na jego twarzy pojawił się lekki pocieszający uśmiech, który po chwili zniknął.

– Spokojnie – rzekła Verity. – Spokojnie, moja droga. Musimy zachować spokój.
– Objęła ramieniem Demelzę i przycisnęła ją mocno do siebie.

Stało się jasne, że to najważniejsza sprawa dnia. Do sali weszli nowi adwokaci i zajmowana przez nich ława się zapełniła. Demelza usiłowała dostrzec jakąś zmianę w wyrazie twarzy sędziego, jakiś błysk zainteresowania, lecz niczego nie zauważyła. Wydawało się, że nigdy wcześniej nie spotkał żony Rossa Poldarka. Mecenas Jeffery Clymer zajął miejsce przed ławą oskarżonych, by móc się porozumiewać z klientem. Henry Bull, radca królewski, główny prokurator królewski, pozostawił poprzednie sprawy zastępcy, lecz tę prowadził osobiście. Był ciemnowłosym mężczyzną, przystojnym w szorstki sposób, a jego oliwkowa skóra i brązowe oczy sugerowały domieszkę krwi murzyńskiej. Przez całe życie musiał walczyć ze złośliwymi plotkami rozpuszczanymi przez kolegów i rywali – zmagania te pozostawiły swoje ślady.

Sprawę rozpoczął urzędnik sądowy, który powiedział:

– Rossie Vennorze Poldarku, unieś rękę. Czcigodni sędziowie przysięgli,

zwróćcie oczy na oskarżonego. Stojącemu przed wami Rossowi Vennorowi Poldarkowi z Nampary w Kornwalii, dżentelmanowi, zarzuca się, że siódmego stycznia roku Pańskiego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego, nie mając w sercu lęku przed Bogiem, za podszeptem diabelskim, podjudził spokojnych obywateli do rozruchów i sam uczestniczył w rozruchach sprzecznych z prawem Królestwa. A ponadto, iż rzeczony Ross Vennor Poldark zbrodniczo, celowo i z premedytacją, z użyciem siły i broni, splądrował, ukradł, zniszczył i przywłaszczył sobie różne dobra należące do dwóch statków, które uległy katastrofie. A ponadto...

Demelza miała wrażenie, że urzędnik przemawia długie godziny, wielokrotnie powtarzając to samo innymi słowami. Zrobiło jej się słabo, lecz próbowała to ukryć. W końcu głos umilkł. Później Ross powiedział: „Nie przyznaję się do winy”, a urzędnik spytał: „Jak oskarżony chce być sądzony?”, na co Ross odparł: „Przez Boga i mój kraj”. Następnie wstał śniady mężczyzna o cudzoziemskim wyglądem i zaczął mówić wszystko od początku.

Była jednak różnica. Urzędnik wypowiadał zdania monotonnym głosem – prawnicze zwroty, suche i łamliwe jak łupiny nasion, które nie mają w sobie życia. Henry Bull, radca królewski, sycił się nimi i nadawał im żywotność. Opowiadał sędziom przysięgłym prostą historię bez prawniczych ozdobników – zwykłą, prostą historię, którą każdy potrafi zrozumieć.

W czasie wielkiego sztormu w styczniu ubiegłego roku, który przysięgli niewątpliwie powinni pamiętać, żaglowiec należący do mieszkańców Kornwalii – warto podkreślić tę okoliczność – rozbił się i został wyrzucony na brzeg na plaży Hendrawna, w pobliżu dworu oskarżonego, człowieka zamożnego, właściciela kopalni i ziemianina o bardzo starym nazwisku. Sędziowie przysięgli mogliby się spodziewać, że człowiek tej kondycji, spostrzegłszy statek jako pierwszy, najpierw pomyślał o bezpieczeństwie załogi i pasażerów. Zamiast tego, jak zostanie dowiedzione na rozprawie, zajął się podburzaniem okolicznych szumowin, a ludzie ci w wielkiej liczbie przybyli na brzeg i natychmiast splądrowali wrak statku. Statek opróżniono z ładunku w ciągu kilku godzin, nie troszcząc się o bezpieczeństwo załogi, nie próbując pomóc jej w dotarciu na brzeg, co potwierdzą powołani świadkowie. Mężczyzna zasiadający na ławie oskarżonych popłynął do wraku przed innymi i kierował operacją niszczenia statku. W owym czasie na pokładzie w dalszym ciągu przebywał jeden pasażer. Nikt nie wie, czy niezwłoczna pomoc mogłaby mu uratować życie. Wiadomo tylko, że nie udzielono mu takiej pomocy i zginął.

Prokurator zasugerował również, iż oskarżony rozstawił na klifie obserwatorów, by wypatrywali następnych statków mogących się rozbić. Kiedy kilka godzin później morze wyrzuciło na brzeg drugi żaglowiec, Pride of Madras, czekały już na niego zdemoralizowane szumowiny z pięciu parafii. Nie można wykluczyć, że załoga zdołałaby odpłynąć w czasie przypiływu, gdyby statek nie był obciążony

przez ogromną liczbę ludzi. Do czynów tych podzegał oskarżony, który ponosi odpowiedzialność za perfidię swoich pomocników. Kiedy niektórzy członkowie załogi starali się przedostać na brzeg, ciężko ich pobito, ograbiono z odzieży i pozostawiono nagich i nieprzytomnych w lodowatym zimnie. Jest niemal pewne, że wielu ludzi, którzy zginęli, byłoby dziś wśród żywych, gdyby potraktowano ich po chrześcijańsku, jak ma prawo oczekiwać każdy żeglarz znajdujący się w niebezpieczeństwie. Statek rozpadł się na kawałki w czasie przyływu. Kapitan żaglowca, A.V. Clark, zostanie wezwany jako świadek, by potwierdzić, że nie został tak barbarzyńsko potraktowany nawet wtedy, gdy dwa lata wcześniej znalazł się jako rozbitek wśród dzikich mieszkańców Patagonii.

Ale to jeszcze nie wszystko – to jeszcze nie najgorsze – Henry Bull pokiwał długim, brązowym palcem wskazującym. Kiedy na miejsce przestępstwa przybyli celnicy Jego Królewskiej Mości, wspierani przez niewielki oddział spieszonych dragonów, oskarżony zastąpił im drogę i ostrzegł, by nie interweniowali, bo mogą ponieść śmierć – groził im w wyjątkowo niedwuznaczny, brutalny sposób. Gdy zlekceważyli jego słowa i zeszli na plażę, zostali zaatakowani przez oskarżonego i jego współników. Doszło do walki i jeden z celników, John Coppard, odniósł bardzo poważne obrażenia. Tej nocy na plaży zginęło dwóch uczestników zamieszek, a wielu zostało rannych. Wiarygodni świadkowie oceniają, że w plądrowaniu statków brało udział dwa tysiące ludzi.

Przemówienie trwało, głos nabierał mocy w uszach Demelzy, a inne wydawały się ciche i odległe. Prokurator bez różnicy łączył ze sobą oszczerstwa, prawdę, kłamstwa i półprawdy, aż miała ochotę krzyczeć. W sali było bardzo gorąco, okna pokryły się parą, a po ścianach spływała woda. Żałowała, że przyszła na rozprawę, bo wszystko byłoby lepsze od słuchania tych słów. Usiłowała zatkać sobie uszy, lecz nic to nie pomogło. Musiała słuchać, nawet jeśli najgorsze miało dopiero nadejść.

W końcu Bull zbliżał się do finału. W czasie obecnej rozprawy nie jest zadaniem prokuratury zwracać uwagi ławy przysięgłych na poprzednie przestępstwa popełnione przez oskarżonego, które wypaczyły jego charakter. Ale...

W tym momencie zerwał się z miejsca mecenas Jeffery Clymer, który rysował na kartce kręgi i kwadraty, i gwałtownie zaprotestował. Wentworth Lister podtrzymał sprzeciw i Bull musiał się wycofać. Zrobił to chętnie, zasiawszy w umysłach członków ławy przysięgłych wątpliwości co do uczciwości oskarżonego. Oznajmił, że jakkolwiek nie ma prawa opisywać przed sądem przeszłości więźnia, ale – owo „ale” ma wielkie znaczenie – może wyciągać wnioski z pewnych fragmentów zeznań oskarżonego złożonych przed sędzią w czasie postępowania przygotowawczego. Oskarżony próbował usprawiedliwić swoje działania, wygłaszając opinie, z których w oczywisty sposób wynika, że jest jakobinem, że pochwała rozlew krwi i tyranie we Francji. Tacy ludzie, ciągnął Bull, są wyjątkowo

niebezpieczni w czasach pełnych zamętu. Każdy członek ławy przysięgłych posiada jakiś majątek. Jeśli chce go zachować, należy przykładnie karać ludzi takich jak oskarżony. Na dawnym oficerze i dżentelmenie ciąży szczególna odpowiedzialność. Jeśli sprzymierza się z szumowinami i łotrami, jeśli zachęca ich, by popełniali akty przemocy, których sami nie byliby w stanie popełnić z braku inteligencji, dopuszcza się zbrodni przeciwko społeczeństwu. Taki człowiek powinien zostać z niego wykluczony. Powieszenie to w tym przypadku zbyt łagodna kara. Należy wymierzyć sprawiedliwość: Bull domagał się tylko sprawiedliwości.

Kiedy prokurator usiadł, na sali rozległy się szepty. Po chwili wstał zastępca prokuratora królewskiego i wygłosił kolejną mowę, ponieważ istniał zwyczaj, że w poważnych sprawach prokuratura może wygłosić dwie mowy, a obrona żadnej. Wreszcie skończył i wezwano pierwszego świadka oskarżenia. Był nim Nicholas Vigus.

Wszedł na salę sądową, mrugając, pełen wahania. Wyglądał jak anioł przyłapany na czymś nikczemnym. W epoce, gdy powszechnie noszono peruki, gładka, różowa skóra opinająca jego czaszkę nieprzyzwoicie kontrastowała z dziobatą twarzą. Mówił cienkim, nieśmiałym głosem, stopniowo nabierając pewności siebie. Zeznał, że rankiem siódmego stycznia oskarżony obudził go o świcie, głośno waląc w drzwi sąsiedniej chaty i wołając: „Zacky! Zacky! Wszyscy się obłowimy! W stronę brzegu płynie statek i możemy go splądrować! Nie zostanie nawet jedna deska!”. Później Vigus oświadczył, że widział oskarżonego na brzegu, jak kierował tłumem i wydawał polecenia, oraz że oskarżony jako pierwszy popłynął do statku i wszedł na pokład. Kierował również plądrowaniem drugiego żaglowca, przebywał na miejscu przez cały dzień. Świadek widział oskarżonego podchodzącego do przybyłych celników i mówiącego coś do nich gniewnym tonem, lecz był za daleko, by usłyszeć treść rozmowy. Później odszedł i nie był obecny w czasie walki. Na tym zakończył zeznanie. Wszyscy spojrzeli na Rossa.

Ross odchrząknął. Kolej na niego. Do tej pory spoglądał na wszystko obojętnym wzrokiem widza, krytyczny, pozbawiony emocji. Kolor paznokci Henry'ego Bulla wydał mu się bardziej interesujący od jego inwektyw, oceniał wiek sędziów i zastanawiał się, jakie są ich zawody, nie pamiętając, że mają go osądzić. Teraz musi zmobilizować się do walki, odczuwać wszystko osobiście i z pasją, jeśli chce przetrwać. Ciągle nie rozstrzygnął konfliktu między radami Clymera a własnymi pomysłami. Ale na widok Demelzy poczuł, że musi walczyć.

– Czy tego ranka wiał silny wiatr, Nick?

Vigus spojrział przebiegle na Rossa. Opuszczała go pewność siebie.

– Chyba tak.

– Czy to prawda, że chata Martinów nie sąsiaduje z twoją, lecz znajduje się między nimi jeszcze jeden dom?

– Tak. W środku jest chata Danielów.

- Musisz mieć dobry słuch, skoro z takiej odległości słyszałeś, co powiedziałem.
- Och, to wcale nie tak daleko. Dobrze słyszałem pańskie słowa.
- Byłeś wściekły, że to nie ciebie obudziłem?

W tylnej części sali rozległy się chichoty.

– Nie obchodziło mnie to – odparł ponuro Vigus. – Nie interesowałem się wrakami.

- Ale byłeś przez cały dzień na plaży?
- Mniej więcej. Poszedłem zobaczyć, czy można pomóc.
- Nie zbierałeś przedmiotów wyrzuconych na brzeg?
- Nie. Nie zajmuję się takimi rzeczami.
- Nigdy?
- Nigdy.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkasz w pobliżu plaży i nigdy nie zbierasz rzeczy wyrzuconych na brzeg?

- Och... czasami. Ale nie tym razem. Nie, kiedy jest katastrofa i giną ludzie.
- Pomagałeś załodze i pasażerom statków?
- N-nie.
- Dlaczego?
- Nikogo nie widziałem.
- Widziałeś, jak płynąłem do pierwszego żaglowca?
- Eee... tak.
- Miałem linę?
- Może. Nie pamiętam.
- Co to sugeruje?
- Nie wiem. Mnie nic.

Ross zerknął na mecenasa Clymera, który natychmiast pokręcił głową w peruce. Nickowi Vigusowi pozwolono odejść. Wezwano trzech następnych świadków, którzy potwierdzili niektóre aspekty opowieści i zeznanie Vigusa. Później woźny zawołał:

– Wezwać Juda Payntera!

Demelza spoglądała na dawnego służącego, gdy szedł powoli w stronę miejsca dla świadków. Był dziwnie skulony, jakby miał nadzieję, że nikt go nie zauważy. Nie potrafiła uwierzyć, że pojawił się w sali sądowej, gotowy bezczelnie zeznawać przeciwko Rossowi. Verity położyła dłoń na jej ramieniu, bo Demelza zrobiła ruch, jakby chciała wstać. Jud wymamrotał przysięgę, a następnie rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby splunąć. Po chwili rozsądnie postanowił tego nie robić i zerknął na Henry'ego Bulla, który czekał na rozpoczęcie przesłuchania.

- Nazywasz się Jud Paynter i mieszkasz ze swoją żoną w wiosce Grambler?
- Ano.
- Opowiedz, co się wydarzyło rankiem siódmego stycznia tego roku.

– Hm... – Jud odchrząknął. – Ja i moja stara spalim, to znaczy Prudie...

– Masz na myśli swoją żonę?

– Eee... tak, panie, tak jakby... – Jud uśmiechnął się przeproszająco. – Prudie i ja spalim, jak wpadł kapitan Ross i narobił rabanu. Nimżem zlażł z wyra i odemknął drzwi, wywala skobel, wpada do chaty i woła, że morze wyrzuciło statek na plażę Hendrawna. „Wstawaj migiem”, gada. Zawsześmy były dobre druhy, kapitan Ross i ja. Jak był brzdącem nie większym od dzbanka, wiele razy...

– Tak, tak. Nie zbaczaj z tematu. I co dalej?

Jud rozejrzał się przekrwionymi oczami po sali sądowej, unikając wzroku obecnych.

– Mów dalej.

– Potem gada do mnie: „Biegnij i obudź wszystkich chłopów we wsi, bo na statku są kobiety i dzieci. Trzeba ich uratować przed śmiercią w morskiej topieli”.

Zirytowani przedstawiciele prokuratury naradzali się przez chwilę.

– Spokojnie, człowieku, zastanów się – rzekł Henry Bull. – Pomyśl jeszcze raz.

Jud spojrzął na gotycki sufit, szukając inspiracji. Obliznął językiem bezzębne dziąsła.

– A więc?

– Więc tak powiedział, panie, na pewno.

– Proszę cię, żebyś się jeszcze raz zastanowił. To, co mówisz, nie zgadza się z twoim zaprzysiężonym zeznaniem.

– Co?

– Kiedy składałeś zeznania przed królewskim prokuratorem i jego pisarzem, mówiłeś coś innego.

– Eee...

– Powtórz to, co mówiłeś na początku.

– Kubek w kubek to co tera.

– Bzdury, człowieku! Czy mogę prosić o pozwolenie waszą lordowską mość? Powiedziałeś – za chwilę to odczytam: „Kiedy kapitan Poldark przybył do mojej chaty, kazał mi się śpieszyć i zbudzić przyjaciół, bo na plaży jest wrak. Gadał, że trza go jak najszybciej splądrować, przed tym jak przyjdzie wojsko”. Właśnie to zeznałeś.

Jud skrzywił się na moment, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz bólu i wyrzutu.

– Nie, nie, panie, nigdy nie gadał takich słów. Wysoka czołobitność, nigdy tego nawet nie pomyślał. To naprzeciw naturze, naprzeciw sprawiedliwości, naprzeciw prawu!

– Muszę ci przypomnieć, Paynter, że złożyłeś to zeznanie przy świadkach i poświadczyłeś swoim znakiem. Przeczytano ci je, nim to zrobiłeś.

– Hę, mam słaby słuch – odparł Jud, patrząc bezczelnie na prokuratora. –

Chybażem źle zrozumiał, co czytali, i źle zrozumiał, co mówili. Pewnikiem tak było, jak amen w pacierzu!

Bull gniewnie odrzucił za siebie poły togi i zaczął wypytywać Juda o przebieg dnia, lecz wkrótce znów pojawiły się rozbieżności i doszło do kolejnego gniewnego sporu. Po chwili rozległ się cichy głos sędziego Listera.

– Czy świadek wie, jaka jest kara za krzywoprzysięstwo?

– Krzywoprzysięstwo?! – powtórzył Jud. – Nigdyżem niczego takiego nie zrobił, panie syndzio. Nie potrafię nawet się podpisać, a co dopiero pisać cudze nazwiska. Byłem przy wrakach jeno raz, coby pomagać ludziskom, co walczyli z falami. Trza ich było ratować.

Sędzia przez dłuższą chwilę spoglądał uważnie na Payntera, po czym rzekł:

– Nie sądzę, by ten świadek przydał się oskarżeniu, panie Bull.

Mecenas Clymer wstał i powiedział znużonym tonem:

– Czy wolno mi zwrócić uwagę Wysokiego Sądu, że za pierwszym razem, wezwany przed oblicze sędziego w celu złożenia zeznań, Paynter nie wspomniał o faktach, które miał rzekomo opisać w późniejszym terminie? Wydaje się, że nie ma wiedzy o wydarzeniach, którymi się zajmujemy.

Wywiązał się spór. Szeleściły papiery. Ale Henry Bull nie zamierzał się poddać.

– W późniejszym okresie świadek złożył bardzo ważne zeznania, Wysoki Sądzie. Gdybym mógł mu zadać jeszcze kilka pytań...

– Dobrze.

– Przypomnij sobie wydarzenia rozgrywające się w nocy siódmego stycznia, Paynter – rzekł Bull, świdrując Juda wzrokiem. – Byłeś obecny na plaży, gdy przybyli celnicy i żołnierze. W swoim zeznaniu stwierdziłeś, że oskarżony, kapitan Poldark, był przywódcą grupy, która zaatakowała celników, i że widziałeś, jak uderzył Johna Copparda, który upadł na ziemię ciężko ranny. To prawdziwe zeznanie, tak? Pamiętaj o ostrzeżeniu pana sędziego, że zeznajesz pod przysięgą. Możesz sam trafić do więzienia!

Jud ssał dwa zęby i się wahał.

– Nie! – rzekł cicho. – Nic o tym nie wim!

– Co? Co mówisz? – spytał Lister.

– Pierwszy raz o tym słysze, panie syndzio. Nigdyżem czegoś takiego nie gadał. To nieprawda! Klne się na swojo matke!

Henry Bull odetchnął głęboko. Obrócił się szybko w stronę sędziego.

– Wysoki Sądzie, czy mógłbym wezwać pana Tankarda i pana Blencowe'a? Sędzia Lister przyłożył do nosa aromatyczne zioła.

– Chciałbym panu przypomnieć o sprawie Nairna i Ogilwiego, panie Bull. Z pewnością pan o niej słyszał. Sesja sądu trwała wówczas czterdzieści trzy godziny bez przerwy. Nie chcę dopuścić, by to się powtórzyło, a ma pan jeszcze wielu świadków do przesłuchania.

Bull z irytacją zatrzepotał toga.

– To sprawa wyjątkowej wagi, Wysoki Sądzie. Ten człowiek wysunął bardzo poważne oskarżenie przeciwko dwóm urzędnikom prokuratury królewskiej. Uważam za niezbędne...

– Sytuacja wydaje się oczywista nawet dla człowieka o ograniczonej inteligencji – przerwał ze znużeniem Lister. – Świadek popełnił krzywoprzysięstwo na jednym z etapów postępowania. Czy popełnił je wcześniej, czy popełnia je teraz, nie ma wielkiej wagi dla tej sprawy, bo zeznania krzywoprzysięzcy nie mogą być brane pod uwagę. Właściwi przedstawiciele Korony powinni zdecydować, czy chcą oskarżyć świadka o przestępstwo. Z pewnością nie zamierzam się temu sprzeciwiać, ale chciałbym podkreślić, że ten człowiek odznacza się tak niską inteligencją, że trudno będzie dociec, czy działa z premedytacją, czy z wrodzonej głupoty. Proszę przyjąć moją radę, zwolnić go i kontynuować sprawę.

– Jak Wysoki Sąd sobie życzy – odparł ponuro Bull i Juda bezceremonialnie wyprowadzono za drzwi.

Rozdział jedenasty

Na miejscu dla świadków pojawiali się kolejni ludzie, a tymczasem Verity przyglądała się sędziom przysięgłym. Byli to przyzwoicie ubrani, poważnie wyglądający ludzie, w większości w średnim wieku, drobni ziemianie i kupcy. Ogólnie rzecz biorąc, w Kornwalii nie potępiano zbyt mocno czynów, o które oskarżono Rossa. Rozbite statki uważano za godziwy łup. Ludność nienawidziła celników lub gardziła nimi. Ale Henry Bull sprytnie przygotował ostateczny atak. Wśród zamożnych panował powszechny strach przed buntem górników. Kluby jakobińskie, które powstały w Anglii, by wspierać francuskich rewolucjonistów, dzięki sceny rozgrywające się zeszłej jesieni w Redruth, powtarzające się rozruchy głodowe wynikające z powszechnego niezadowolenia – wszystko tworzyło poczucie straszliwej niepewności. Średnio zamożny obywatel oszczędzał dwadzieścia funtów rocznie, budował nową szopę na farmie lub kupował nowy wóz, lecz nie wiedział, co przyniesie jutro. Było to bardzo niepokojące, a gdyby po takich rozruchach, o jakich mówiono w sądzie, przywódca nie poniósł surowej kary...

Na miejscu dla świadków stał kapitan Clark, który opisywał sceny rozgrywające się nocą na plaży. Przywodziły na myśl obrazy z piekła Dantego. Płonące ogniska, setki pijanych mężczyzn i kobiet tańczących i walczących ze sobą, muły obładowane łupami ze statku, ataki na ocalałą załogę. On sam i dwóch innych marynarzy pilnowali pasażerów z obnażoną bronią, bo inaczej zostaliby rozdarci na strzępy.

Kiedy kapitan skończył mówić, na sali zapadła dziwna cisza. Żeglarz wyraziście opisał całą scenę i wydawało się, że ludzie obecni w sądzie starają się to sobie wyobrazić, a część jest wstrząśnięta, że wieśniacy mogli się posunąć do czegoś takiego. W końcu Ross spytał:

– Kapitanie Clark, czy przypomina pan sobie, jak podszedłem do pana na plaży i zaproponowałem panu i pańskiej załodze nocleg w swoim domu?

– Tak, panie, pamiętam – odparł Clark. – Był to pierwszy ludzki gest, z jakim spotkaliśmy się w tym straszliwym dniu.

– Czy skorzystał pan z zaproszenia?

– Tak, oczywiście. Dziewiętnastu członków załogi i pasażerów spędziło noc

w pańskim domu.

– Byliście dobrze traktowani?

– Bardzo dobrze.

– Czy kiedy przebywał pan na plaży, widział pan lub słyszał, jak zachęcam kogokolwiek do plądrowania statku?

– Nie, panie. Mogę powiedzieć, że było ciemno, paliły się tylko ogniska. Nie dostrzegłem pana, dopóki pan nie podszedł i nie zaproponował nam schronienia.

– Dziękuję. – Ross pochylił się i naradził szeptem z Clymerem. – Kapitanie Clark, czy był pan świadkiem mojej rozmowy z kapitanem dragonów?

– Tak.

– Czy doszło między nami do kłótni?

– Jeśli dobrze pamiętam, ostrzegł go pan, by nie schodził na plażę, on zaś przyjął pańskie ostrzeżenie.

– Czy uznałby pan, że ostrzegłem go w sposób przyjazny w celu uniknięcia rozlewu krwi?

– To możliwe. Tak, myślę, że można tak powiedzieć.

– Nie doszło między nami do walki?

– Na pewno nie w mojej obecności.

– Czy towarzyszyłem panu w drodze do domu?

– Tak jest.

– Jedną chwileczkę, kapitanie – rzekł Henry Bull. Szybko wstał, gdy Clark zamierzał opuścić miejsce dla świadków. – Jak długo oskarżony przebywał z panem, gdy wszedł pan do jego domu?

– Och, około dziesięciu minut.

– I kiedy później go pan zobaczył?

– Po jakiejś godzinie.

– Czy kiedy spotkał pan żołnierzy, byli wśród nich celnicy?

– Nie zauważyłem żadnych.

– I z pana wiedzy wynika, że oskarżony mógł wyjść z domu po przyprowadzeniu pana do niego i w dalszym ciągu sprzeczać się z żołnierzami?

– Tak jest.

– Dziękuję. Proszę wezwać kapitana Ephraima Trevaila.

Na miejscu dla świadków stanął niski, chudy mężczyzna. Zeznał, że widział walkę między celnikami a żołnierzami. Oznajmił, że Ross był prowodyrem, i rozpoznał go jako człowieka, który uderzył Johna Copparda. Ross nigdy wcześniej nie widział Trevaila, lecz nie potrafił podważyć jego zeznań. Mecenas Jeffery Clymer podał mu karteczkę z prośbą, by nie starał się dłużej podważać wiarygodności wrogiego świadka. Później wezwano Eliego Clemmowa, który opowiedział dokładnie tę samą historię. Ross nie widział tego człowieka od przeszło trzech lat. Poczul wzbierający gniew.

Kiedy przyszła jego kolej, spytał:

– Gdzie mieszkasz, Clemmow?

Mężczyzna rozchylił wargi, odsłaniając duże zęby. Wyglądał wyjątkowo złośliwie.

– W Truro.

– Jak to się stało, że w chwili katastrofy znalazłeś się na plaży Hendrawna, piętnaście kilometrów od domu?

– Usłyszałem o pierwszym statku i poszedłem go obaczyć, a wtedy zjawił się drugi statek.

– Poprzednio mieszkałeś w moim majątku, prawda?

– Ano.

– Ale kazałem ci się wynieść, bo sprawiałeś nieustanne kłopoty i zakłócałeś spokój w okolicy, pamiętasz?

– Wyrzucił pan z domu mojego brata, a on nie zrobił nic złego!

– Nienawidzisz mnie za to, prawda?

Eli się opanował.

– Nie... nie. To mi obojętne.

Clymer podał Rossowi notatkę, która brzmiała: „Może pan go przygwoździć, pytając o szczegóły?”.

– Powiedz mi, Clemmow – rzekł powoli Ross – który z wraków znajdował się najbliżej mego domu?

Eli cmoknął kilka razy, lecz nie odpowiedział. Po chwili Ross spytał:

– Słyszałeś moje pytanie?

– Jakem przyszedł, było już ciemno.

– Który żaglowiec był większy?

Długie milczenie.

– Pride of Madras.

– Ile miał masztów?

– Dwa... albo trzy.

– Skąd wiesz, jak się nazywał?

– Ludzie gadali.

– Czy większy statek znajdował się bliżej mojego domu, czy dalej? Kolejna pauza.

– Widziałeś ognisko na Damsel Point, prawda?

– Ano.

– Na Damsel Point ani w jego pobliżu nie było żadnego ogniska. Nie byłeś tamtej nocy na plaży Hendrawna, prawda? Nigdy nie opuszczałeś Truro.

– Byłem, byłem! Pan próbuje mi zamącić w głowie! – Eli Clemmow miał bladą, napiętą twarz. Zaczął wyjaśniać, lecz Henry Bull znów wstał i przerwał mu w pół słowa.

- Był pan kiedyś na morzu, panie Clemmow?
- No... eee... nie, nie mogę powiedzieć, że byłem na morzu, ale...
- A zatem jeśli w ciemności przy brzegu pojawiają się dwa żaglowce, może być panu trudno się zorientować, który jest większy, bo nie ma pan fachowej wiedzy, prawda?
- Ano trudno!
- Niewątpliwie znacznie trudniej niż człowiekowi, który aktywnie uczestniczył w plądrowaniu statków i atakach na załogę?
- Eli z wdzięcznością skinął głową.
- Zauważył pan, gdzie znajdowały się ogniska?
- Nie. W różnych miejscach, tu i tam.
- Jak daleko się pan znajdował od miejsca walki między więźniem a celnikami?
- Miejsca domniemanej walki – wtrącił Jeffery Clymer, który wstał i usiadł w tym samym momencie.
- Miejsca domniemanej walki.
- No... tak blisko jak stąd do pana prokuratora.
- A to, co zeznał pan pod przysięgą. Czy to prawdziwy opis wydarzeń podany przez naocznego świadka?
- Tak, to szczerą prawdą, przysięgam!

Demelza kilkakrotnie miała wrażenie, że zemdleje, lecz za każdym razem w ostatniej chwili przychodziła do siebie. Drżała i ogarniały ją mdłości. Wezwano celnika o nazwisku Coppard, który potwierdził przebieg wydarzeń, ale – co należy mu zapisać na plus – nie miał pewności, czy został zaatakowany przez oskarżonego i czy oskarżony w ogóle znajdował się na plaży. Wysłuchano zeznań sierżanta dragonów. Było już popołudnie i jak dotąd nie ogłoszono przerwy, by obecni mogli się odświeżyć. Dwóch przekupniów przedostało się przez drzwi i handlowało nielegalnie w tylnych rzędach. W sali panował upał i duszący smród.

Ostatnim świadkiem prokuratury był Hick, sędzia, który odbierał zeznania świadków, w tym również Rossa. Sąd w Truro miał pewne trudności ze sprawą. Niektórzy sędziowie byli tak przychylni oskarżonemu, że byłoby w oczywisty sposób niesprawiedliwe, gdyby objęli przewodnictwo. Inni, jak wielbny doktor Halse, byli w równym stopniu uprzedzeni wobec Rossa. W końcu na przewodniczącego wybrano Ephraima Hicka, człowieka pozbawionego jakiegokolwiek znaczenia. Hick interesował się głównie brandy – ale przeprowadził przesłuchania w stosunkowo bezstronny sposób.

Miał teraz złożyć zeznanie, które mogło się okazać wyjątkowo niebezpieczne.

Odpowiedzi składane przez oskarżonego w czasie przesłuchania świadczyły, że przyznaje się do zarzutu zaalarmowania okolicznych mieszkańców, gdy pojawił się pierwszy statek. Na pytanie: „Jaki pan miał cel?” odpowiedział: „W okręgu głodowali ludzie”. Pytanie: „Czy zaprowadził pan tych ludzi do statku?”

Odpowiedź: „Nie musiałem ich prowadzić”. Pytanie: „Czy podżegał ich pan do zaatakowania załogi Queen Charlotte?”. Odpowiedź: „Nie zaatakowano żadnego z członków załogi Queen Charlotte”. „Czy wszedł pan na pokład jako pierwszy, a jeśli tak, to w jakim celu?” „Chciałem zobaczyć, jaki wiezie ładunek”. „Czy gdy znalazł się pan na pokładzie, byli tam jeszcze członkowie załogi?” „Nie, tylko jeden pasażer, martwy”. „Czy był martwy, gdy znalazł się pan na statku?” „Naturalnie. Sugeruje pan, że go zamordowałem?” „Czy pomógł pan swoim przyjaciołom wejść na pokład po linie?” „Tak”. „Czy pomagał pan niszczyć statek i plądrować ładunek?” „Nie”. „Czy był pan obecny, kiedy to się działo?” „Tak”. „Czy próbował pan powstrzymać rabunek?” „Nie. Nie jestem konstabłem”. „Ale był pan jedynym dżentelmenem obecnym na miejscu, jedyną osobą mającą dostateczny autorytet, by powstrzymać plądrowanie?” „Wyolbrzymia pan moje wpływy”.

Dalszy ciąg przesłuchania przebiegał następująco: „Czy był pan jedną z pierwszych osób, które zauważyły drugi statek?” „Tak mi się zdaje”. „Czy zachęcał pan swoich przyjaciół do ataku na załogę Pride of Madras?” „Oczywiście, że nie”. „Czy stał pan w pobliżu i nie protestował, gdy ich napadnięto?” „Nie napadł ich żaden ze znanych mi ludzi. W owym czasie na plaży pojawiły się tłumy górników z odległych wiosek”. „Nie odpowiedział pan na pytanie”. „To jedyna odpowiedź, jakiej potrafię udzielić. Nie mogłem być wszędzie jednocześnie”. „Czy wszedł pan na pokład Pride of Madras?” „Tak”. „Na długo przed zaproponowaniem pomocy marynarzom znajdującym się na brzegu?” „Jakiś czas przedtem”. „Czy aprobeował pan rozruchy, gdy się zaczęły?” „Nie uważałem, że doszło do rozruchów”. „Czy aprobeuje je pan teraz?” „Czy aprobeuje pan sytuację, gdy rodziny nie mają jedzenia, by utrzymać się przy życiu?”

Na koniec oskarżony zaprzeczył, że miał jakąkolwiek wiedzę o ataku na żołnierzy i celników.

Były to wszystkie dowody przedstawione przez prokuraturę.

Obrona powołała tylko pięciu świadków. Na początku zeznawali John i Jane Gimlettowie, którzy mieli zaświadczyć, że oskarżony nie opuszczał domu po przybyciu z załogą rozbitego statku. Kiedy rozbitekowi podawano gorące napoje, spędził godzinę przy łóżku śpiącej żony, która była poważnie chora. Henry Bull bardzo starał się zastraszyć Gimlettów, lecz nie zdołał podważyć ich zeznań. Gdyby oskarżony znów wyszedł z domu, musiałoby to nastąpić znacznie później – długo po napaści na żołnierzy i celników. Następnie zeznawali Zacky Martin i Scoble Biała Głowa, którzy opowiedzieli o przyzwoitym zachowaniu Rossa wcześniej. Ostatnim świadkiem był Dwight Enys.

Nie znał dotychczasowego przebiegu rozprawy. Zza chmur wyszło słońce, które świeciło przez wysokie okna. Zauważył wśród widzów kobietę o rudych włosach. A zatem Demelza przyjechała do Bodmin, jak obiecała.

Dwight czuł się dziwnie, stojąc naprzeciwko Rossa i składając zeznania. Mówił

przez chwilę, po czym zwrócił się bezpośrednio do sędziego:

– Wysoki Sądzie, jestem lekarzem, który zajmował się żoną i córką kapitana Poldarka, gdy zachorowały na krup (*morbis strangulatorius*). W czasie choroby przebywałem stale w ich domu i wiem, że kapitan Poldark nie spał prawie przez tydzień. Zmarło jego jedyne dziecko i pochowano je w przeddzień katastrofy. Jego żona była w dalszym ciągu poważnie chora. Badałem kapitana Poldarka wieczorem przed katastrofą i doszedłem do wniosku, że jest na granicy załamania nerwowego. Do tego załamania, jak sądzę, doszło. Dziwne zachowanie kapitana Poldarka w czasie następnych dwóch dni należy przypisać właśnie temu stanowi.

Zapadła cisza. Wszyscy słuchali z wielką uwagą. Henry Bull zerknął na Rossa, poprawił togię i wstał. Zeznania świadka były niebezpieczne dla oskarżenia.

– Jest pan aptekarzem, doktorze Enys?

– Nie. Lekarzem.

– Rozumiem, że to rozróżnienie nie ma żadnego znaczenia, przynajmniej na prowincji.

– Nie znam wszystkich prowincji. Jest wielka różnica między lekarzem aptekarzem.

– Prawie każdy może rozpocząć praktykę jako lekarz, prawda?

– Nie, to niezgodne z prawem.

– A jakie pan ma uprawnienia?

– Jestem licencjatem Londyńskiego Kolegium Lekarskiego.

Bull wyjrzał przez okno. Nie spodziewał się tej odpowiedzi.

– Rozpoczął pan praktykę w odległej części Anglii, doktorze Enys.

– Urodziłem się w Kornwalii.

– Ile ma pan lat, jeśli wolno spytać?

– Dwadzieścia sześć.

– Kiedy uzyskał pan dyplom?

– Niespełna trzy lata temu.

– Trzy lata. Pod czyją opieką studiował pan w Londynie?

– Studiowałem praktykę i teorię medycyny pod opieką doktora Fordyce'a z Essex Street, położnictwo pod opieką doktora Leake'a z Craven Street i trochę chirurgii pod opieką Percivala Potta ze Szpitala Świętego Bartłomieja.

– Ach, studiował pan również chirurgię! A pod czyją opieką studiował pan zaburzenia psychiczne?

– Nikogo konkretnego...

– A zatem można przyjąć, że pańskie poglądy na ten temat nie mają wielkiej wagi?

Dwight popatrzył na prokuratora.

– Powinien pan wiedzieć, sir, że w tej dziedzinie nie można uzyskać wykształcenia. Wiedzę na temat zaburzeń psychicznych można uzyskać jedynie

dzięki praktyce klinicznej...

- I niewątpliwie zdobył pan duży zasób praktycznej wiedzy.
- Mam pewne doświadczenie w tym zakresie. Nie nazwałbym go dużym.
- Oczywiście odwiedził pan Bedlam i prowadził pan tam studia.
- Nie, nie odwiedziłem Bedlam.
- Nie? Nie był pan tam?
- Nie.
- W takim razie...
- Nie sugeruję, że kapitan Poldark postradał zmysły. Twierdzę, że przez pewien czas nie panował nad sobą wskutek żalu i braku snu.
- Czy z tego powodu uznałby go pan za niewinnego?
- Z pewnością. Tak.
- Uważa pan, że każdy człowiek, który straci dziecko, może bezkarnie doprowadzić do zamieszek w trzech parafiach, których konsekwencją będą wielkie straty materialne i ofiary śmiertelne?
- Nie uważam, że kapitan Poldark wywołał zamieszki. Jeśli postępował dziwnie, stało się to wskutek tymczasowej utraty kontroli nad swoją psychiką. Zwykle nie popełnia czynów sprzecznych z prawem.
- Tę kwestię rozstrzygnie sąd – odparł jedwabistym głosem Bull. – W tej chwili proszę, by nie wypowiadał się pan na temat cech charakteru oskarżonego.
- Mogę tylko wyrazić opinię jako jego lekarz.
- Już to słyszeliśmy. Dziękuję, doktorze Enys.
- Dwight się zawahał.
- Odpowiadam za tę opinię całą swoją reputacją.
- Nie mamy wiedzy na temat pańskiej reputacji. Ale mimo wszystko panu dziękujemy.
- Jedną chwileczkę – odezwał się sędzia Lister. Dwight się zatrzymał.
- Twierdzi pan, że wyrobił sobie zdanie na temat oskarżonego poprzedniego dnia. Na jakiej podstawie oparł pan swoją ocenę?
- Na... na podstawie ogólnego zachowania kapitana Poldarka, milordzie. Nie mówił spójnie. Po śmierci jego córki na pogrzeb przyszło bardzo wielu ludzi. Z różnych sfer, od arystokracji do biedoty. Cieszy się wielkim szacunkiem, rozumie pan, milordzie. Ale ponieważ żona w dalszym ciągu była chora, nie mógł urządzić stypy – a w Kornwalii panuje taki obyczaj. Kapitan Poldark bardzo się tym przejął. Wiele razy wyrażał żal, że nie może ugościć żałobników. Nie był pijany – wypił bardzo niewiele. W mojej ocenie była to wyłącznie kwestia stanu jego umysłu.
- Dziękuję – rzekł sędzia i Dwight opuścił miejsce dla świadków.
- W sali znów zapanowało poruszenie. Ludzie wstawali, prostowali nogi, pluli i szeleścili papierami. Ale nikt nie próbował wyjść, a ci, którzy chcieli wejść, nie mogli tego zrobić z powodu ścisku. Oskarżony miał ostatnią szansę, by przekonać

sąd i ławę przysięgłych, a gdyby jak zwykle zabrakło mu elokwencji, mógł odczytać mowę obrończą przygotowaną przez adwokata i ufać, że to wystarczy.

Rozdział dwunasty

Teraz albo nigdy. Mógł sam się bronić, opisać, co czuł i zrobił, krótko i bez ogródek... Albo udawać fałszywą pokorę, którą doradzał Clymer, wszystkiemu zaprzeczyć, a nawet zinterpretować inaczej to, co zeznał w czasie postępowania przygotowawczego... Lub wybrać kompromisowe rozwiązanie: wykorzystać łagodniejszą część swojej mowy obrończej i mniej nieszczerze argumenty adwokata. Gdyby podjął taką próbę, zacząłby się jąkać i zacinać.

Wszyscy czekali.

– Wysoki Sądzie! – rozpoczął. – Sprawa ta zajęła Wysokiemu Sądowi już dużo czasu, dlatego postaram się streszczać. Przede wszystkim proszę Wysoki Sąd o łaskę i zrozumienie. Pan prokurator przedstawił moją osobę w czarnych barwach. Wezwał świadków na poparcie swoich tez; ja również wezwałem świadków, by obalić przedstawione zarzuty, lub pewną ich część. Moi świadkowie zeznawali na moją korzyść. Wysoki Sąd słyszał zeznania obu stron i może sobie wyrobić własne zdanie na ten temat.

To prawda, że siódmego stycznia na plaży Hendrawna, tuż przed moim domem, pojawiły się dwa żaglowce. Mój służący poinformował mnie o pierwszym z nich o świcie, a ja wzięłem konia i powiedziałem o tym kilku ludziom z sąsiedztwa. Jeśli Wysoki Sąd pyta mnie o powód, nie pamiętam go. Zrobiłem to i z czasem na plaży zebrał się tłum ludzi, którzy splądrowali statki. Byłem na brzegu przez większość dnia, ale chociaż później przeszukano mój dom, nie znaleziono w nim żadnych przedmiotów pochodzących z żaglowców. Niczego stamtąd nie wzięłem. Dziwne, że herszt plądrującej tłuszczy nie przywłaszcza sobie żadnych łupów, prawda?

Chciałem coś powiedzieć na temat tej tłuszczy. Pan prokurator wspomniał w swojej mowie, że na plaży znajdowało się przeszło dwa tysiące ludzi. To prawda. Ale później nazwał tych ludzi, jeśli dobrze pamiętam, zdemoralizowanymi szumowinami z pięciu parafii. Zastanawiam się, czy pan prokurator zdaje sobie sprawę, jak słabo zaludniona jest ta okolica. Cała ludność pięciu parafii nie przekracza sześciu tysięcy osób, wliczając kobiety i dzieci. Czy to sugeruje, że każdy zdrowy mężczyzna z tych parafii to zdemoralizowany łajdak? Uważam, że jako rozsądni ludzie nie zgodzicie się z taką oceną.

Ross znów zwrócił się w stronę sędziego, rozgrzewając się, ponieważ w tej

chwili nie mówił bezpośrednio o sobie.

– Nie, Wysoki Sądzie, wśród dwóch tysięcy ludzi obecnych na plaży nie było nawet pięćdziesięciu, którzy pojawili się tam z zamiarem złamania prawa. Wszyscy z wyjątkiem tych dziesięciu okazaliby się wiernymi, lojalnymi poddanymi króla, gdyby mieli do tego okazję. Cała reszta pojawiła się na plaży, by zobaczyć sensacyjne wydarzenie: katastrofę statku. W ten sam sposób reagują ludzie ze wszystkich warstw społecznych, którzy przychodzą oglądać pożar, rozprawę sądową lub egzekucję. Okoliczni wieśniacy nie potrzebowali mojego zaproszenia. I tak popędziliby na brzeg. Może wskutek moich działań dotarło tam szybciej stu pięćdziesięciu. To wszystko. Na klifie w pobliżu plaży znajduje się kopalnia. Gdyby któryś z górników zauważył statek znoszony na skały – co wkrótce musiało się stać – czy nie sądzą panowie, że postąpiłby tak samo jak ja, czyli zaalarmował przyjaciół? Nie zastanawiałby się, jakie przyświecają mu motywy, lecz po prostu wszcząłby alarm.

Kiedy Ross umilkł, by zebrać myśli, ktoś zaśmiał się głośno w tylnej części sali. Ross natychmiast się domyślił, kto to. Eli Clemmow zachował się tak samo przed trzema laty w czasie rozprawy, gdy Ross przemawiał w obronie Jima Cartera. Wtedy przerwało to bieg jego myśli i odwróciło uwagę sędziów. Nie wolno dopuścić, by sytuacja się powtórzyła.

– Szanowni sędziowie przysięgli! – ciągnął. – Jeśli chodzi o to, co się wydarzyło, gdy ludzie dotarli na plażę i zobaczyli rozbite statki, proszę was, byście zechcieli przypomnieć sobie na chwilę tradycje naszego hrabstwa. To, że mieszkańcy próbują zwabiać statki na skały za pomocą fałszywych świateł, to oszczerstwo rozpuszczane przez ignorantów lub nienawistników. Wszyscy jednak sobie uświadamiają, że miejscowa ludność zbiera na wybrzeżu szczątki wyrzucone przez morze i pozostawione na plażach przez odpływ. To powszechna praktyka. Prawo głosi, że przedmioty te należą do Korony – a może właściciele dworów stojących na brzegu – ale kiedy są to przedmioty o niewielkiej wartości, nikt nie próbuje ich odbierać znalazcom. W chwilach wielkiej potrzeby rzeczy te często pozwalały utrzymać się przy życiu uczciwym, ciężko pracującym ludziom. W ten sposób powstał zwyczaj. Co się zatem dzieje, gdy na brzegu pojawia się cały statek? Tłumy ludzi pędzą na plażę, by go zobaczyć i pomagać w ratowaniu rozbitków. W mojej parafii są dwie wdowy, które straciły mężów, kiedy ci próbowali ratować marynarzy z rozbitych statków. Ale czy po zakończeniu akcji ratunkowej ludzie mają stać beczynnymi i czekać na przybycie celników? Tak mówi prawo. Prawo ma oczywiście rację. Ale wieśniakom trudno zachować jasność myślenia, gdy ich dzieci nie mają kromki chleba i chodzą w łachmanach.

Sędziowie przysięgli słuchali z uwagą.

– Pan prokurator sugerował, że ci ludzie to jakobini, że ja jestem jakobinem, i że pragną wywołać rewolucję. Moja odpowiedź jest bardzo prosta: to całkowita

nieprawda. Nie jesteśmy rewolucjonistami. Jeśli chodzi o napaść na załogę drugiego statku, było to haniebne wydarzenie, którego nie będę próbował usprawiedliwiać. Ale dokonali tego pijani ludzie przybyli z daleka, z pewnością nie na moje zaproszenie, gdy dotarli do nich wieści o pierwszym rozbitym statku.

Na koniec chciałbym wspomnieć o ataku na celników. Nie muszę się bronić ani usprawiedliwiać w tej kwestii, bo nie było mnie wówczas na plaży. Nigdy nie widziałem celników. Oni również mnie nie widzieli. Ostrzegłem sierżanta dragonów, że nie powinien w tym momencie schodzić na plażę, bo panowało wielkie podniecenie i nie chciałem dopuścić do rozlewu krwi. Żołnierze, którzy przybyli na miejsce, mogli zrobić bardzo niewiele.

Ross znów zajrzał do notatek Clymera, lecz nie znalazł niczego, co mógłby dodać, nawet będąc w obecnym nastroju.

– To wszystko, co mam do powiedzenia. Przyjmę z pokorą, co przyniesie mi los, i składam go w ręce waszej lordowskiej mości i was, rodacy, czcigodni sędziowie przysięgli, licząc na waszą mądrość, sprawiedliwość i ludzkie uczucia.

Skłonił się i usiadł na ławie oskarżonych, a w tylnej części sali rozległ się szmer aprobaty.

– Chyba nie możemy teraz wyjść – szepnęła Verity. – Drzwi i ławy są zatłoczone.

– Nie, musimy zostać. Nic mi nie będzie.

– Spróbuj znów powąchać sole trzeźwiące.

– Nie, nie. Słuchaj!

– Oskarżonemu stojącemu przed ławą przysięgłych zarzucono trzy przestępstwa – rzekł chłodno sędzia Lister. – Udział w rozruchach, grabież oraz napaść na urzędnika Korony. Przysięgłym przedstawiono dowody i mają obowiązek wydać na ich podstawie wyrok. Mogą panowie uznać oskarżonego za winnego wszystkich trzech przestępstw bądź jednego lub dwóch. Jeśli chodzi o trzeci zarzut – napaść na celnika i zranienie go – dowody pozostają ze sobą w sprzeczności. Dwóch świadków przysięgło, że oskarżony dopuścił się ataku, a dwóch zeznało, że nie mógł się znajdować na miejscu przestępstwa. Celnik ma wątpliwości, czy to oskarżony go uderzył, a prokuratura nie wezwała na świadków jego towarzyszy. Była ciemna, wietrzna noc i możliwe, że pomylono tożsamość. Musicie zdecydować, czy przyjmujecie zeznania pary służących, którzy przysięgają, że oskarżony nie opuścił domu, czy zeznania Trevaila i Clemmowa, którzy twierdzą, że widzieli, jak oskarżony powalił celnika na ziemię. Ale chciałbym przypomnieć, że w razie pojawienia się istotnych wątpliwości jedna z podstawowych zasad prawa angielskiego głosi, że należy je interpretować na korzyść oskarżonego.

Rozgorączkowana Demelza miała przez chwilę wrażenie, że sędzia zerknął w jej stronę.

– Jeśli chodzi o dwa pierwsze zarzuty – kontynuował Lister – są one oparte na różnych dowodach. Oskarżony przyznaje, że wezwał ludność na plażę, lecz

twierdzi, zdaje się twierdzić, że chodziło mu raczej o ratowanie rozbitków niż plądrowanie wraku i że do rozruchów doszło samoistnie bez jego zachęty czy namowy. Jeśli dobrze go rozumiem, taka jest w tej chwili jego linia obrony. To podstawowa kwestia, jednak niektóre twierdzenia i działania oskarżonego mogą być różnie interpretowane. Jeśli, na przykład, faktycznie zależało mu na ocaleniu pasażerów i żeglarzy, dlaczego nie był bardziej aktywny w tym względzie? Dlaczego między popłynięciem do pierwszego statku a spóźnioną propozycją udzielenia schronienia rozbitkom z drugiego statku, wiele godzin później, najwyraźniej nie podejmował żadnych innych działań ratowniczych? Rozbitkowie go nie widzieli. On twierdzi, że również ich nie widział. Ale przyznaje, że przebywał na plaży. Co tam robił przez te wszystkie godziny?

Sędzia Lister przemawiał, nie korzystając z notatek. W ogóle nie sporządzał ich w trakcie rozprawy.

– Lekarz kapitana Poldarka złożył zeznania na temat jego stanu psychicznego w czasie obu katastrof i zasugerował, że oskarżony nie odpowiadał w owym czasie za swoje czyny. Musicie zdecydować, czy uznacie te zeznania za wystarczająco wiarygodne, by przemawiały na korzyść oskarżonego. Mogę tylko stwierdzić, że oskarżony nie znajdował się w takim stanie w czasie przesłuchania przez sędziego, co nastąpiło sześć tygodni później. Odczytano wam zeznania złożone przez oskarżonego i nie wątpię, że dobrze je pamiętacie. Kiedy zadano mu pytanie: „Jaki miał pan cel, prowadząc swoich przyjaciół na brzeg morza?”, odpowiedział: „W okręgu głodowali ludzie”. Później spytano go: „Czy aprobował pan rozruchy?”, a on odparł: „Nie uważałem tego za rozruchy”. Można się zastanawiać, za co właściwie uważał te wydarzenia. Czy uznał je za usprawiedliwiony akt kradzieży i rabunku?

Moglibyście powiedzieć: „Skoro nie udowodniono trzeciego zarzutu, trudno dowieść, że oskarżony jest winny pozostałych przestępstw. Gdzie świadectwa dostarczające konkretnych dowodów jego winy? Czy na przykład ktokolwiek widział go niosącego choćby deskę pochodzącą z któregoś ze statków?”. Odpowiedź brzmi: nie. Ale jeśli zgodnie uznacie, że rzeczywiście doszło do rozruchów, wystarczy przekonanie, że oskarżony brał w nich udział, by uznać go za winnego podżegania do nich. Wspólny zamiar popełnienia przestępstwa sprawia, że wszyscy stają się winni – nie trzeba być nawet obecnym na miejscu przestępstwa, by ponosić winę. Na przykład człowiek może nie być obecny na miejscu zbrodni, ale jeśli stał na czatach, pomagając mordercom i zdając sobie sprawę z ich zamiaru, ponosi taką samą winę.

W sądzie było cicho jak makiem zasiał. Demelza czuła w sercu lodowaty chłód.

– Poza tym, zgodnie z prawem, kiedy grupa ludzi postanawia popełnić przestępstwo, a później w trakcie przestępczych działań dochodzi do jeszcze cięższej zbrodni, ponoszą za nią winę wszyscy członkowie grupy, choćby część

z nich nie miała zamiaru popełnić drugiej zbrodni i uważała ją za wstrętą. Powinniście zatem rozstrzygnąć trzy kwestie: czy oskarżony rzeczywiście przebywał na plaży w czasie katastrofy, czy miał zamiar plądrować statki wraz z innymi oraz, po trzecie, czy plądrowanie i rozruchy rzeczywiście się wydarzyły.

Niezwykła pamięć Listera chłonęła informacje jak gąbka, a teraz wyrzucał je z siebie po kolei – czasem zdawał się przemawiać na korzyść oskarżonego, ale głównie przeciwko niemu. Sędziego Listera nie można było podejrzewać o jakiegokolwiek uprzedzenia – nie fałszował wagi, lecz po prostu porównywał ciężary i dochodził do wniosku, że ciężar na jednej szalce jest większy niż na drugiej. Spełniał obowiązek nałożony przez króla i sprawiający, że zajmował wysoką pozycję w społeczeństwie.

– Oskarżony próbował uzasadniać, że rozruchy i grabież były w jakiś sposób usprawiedliwione trudną sytuacją ubogiej miejscowej ludności. Powinniście całkowicie zignorować te okoliczności łagodzące. Oskarżony poświęcił część ostatniego słowa obronie wieśniaków ze swojej okolicy, którzy nie są sądzeni na tej rozprawie. Można uznać to za szlachetne ze strony oskarżonego, ale nie wypełnilibyście swoich zobowiązań wobec społeczeństwa, gdybyście pozwolili, by na waszą decyzję wpływało współczucie lub patriotyzm lokalny. Proszę was teraz, byście spełnili obowiązek, który przysięgliście wykonać – niezależnie od konsekwencji i niezależnie od wszystkiego oprócz pragnienia wydania sprawiedliwego wyroku w sprawie między Koroną a oskarżonym. Naradźcie się w sprawie werdyktu.

W sali rozległ się gwar. Verity zauważyła, że sędzia zerka na zegar. Była prawie czwarta, a na wokandzie pozostało jeszcze kilka spraw. Sędziowie przysięgli zaczęli się naradzać. Pochylili głowy i szeptali między sobą, świdomi, że wszyscy na nich patrzą. Verity kilkakrotnie miała wrażenie, że Demelza za chwilę zemdleje, lecz na szczęście w ciągu ostatnich dziesięciu minut odzyskała nieco panowanie nad sobą. Zachowywała się tak, jakby najgorsze już nastąpiło i powoli godziła się z losem.

– Ława przysięgłych może obradować na osobności, jeśli uzna to za stosowne – rzekł sędzia Lister do przewodniczącego.

Przewodniczący nerwowo podziękował i naradził się z przysięgłymi. Później pochylił się w stronę woźnego, który podszedł do sędziego. Urzędnik sądowy uderzył młotkiem, po czym sędzia wstał, skłonił się i wyszedł. Ława przysięgłych postanowiła obradować na osobności.

To koniec, pomyślał Ross. Szkoda, że się poddałem i nie powiedziałem tego, co zamierzałem. Uniki w ostatniej chwili. Tchórzostwo i kompromis. Udawanie przed samym sobą, że to dla Demelzy. Moja słabość, tchórzostwo i przekłeta arogancja Clymera. I tak nie mam żadnych szans. Nawet gdybym się upokorzył i czołgał przed przysięgłymi, jak chciał Clymer. Próbowałem siedzieć jednocześnie na dwóch stołkach. Nie zostanie mi nawet satysfakcja, że powiedziałem to, co

naprawdę myślę – o procesie, nędzy, rozbitych statkach. Niesmak w ustach.

Sędzia o chudej, skwaszonej twarzy. Żywy automat do wymierzania prawa. Jeśli pójdę do więzienia, wyjdę stamtąd jako rewolucjonista – któreś nocy wdrapię się po ścianie i poderżnę mu gardło we śnie. Znacznie bezpieczniej mnie powiesić.

A Demelza? Trudno ją zobaczyć, nie odwracając głowy. Widzę kątem oka tylko jej suknię i ręce na kolanach. Nie możesz trzymać ich spokojnie, prawda, kochanie? Może mógłbym się czołgać, naprawdę czołgać przed sędziami ze względu na Demelzę. Litości, litości. „Cechą litości nie może być przymus, opada ona jak deszcz ciepły z niebios”². O co, do diabła, kłóca się ci ludzie? Sprawa musi być dla nich oczywista, podobnie jak dla sędziego, który udzielił im jasnych wskazówek.

Dziwne, że jest tu Verity. Muszę do niej napisać i poprosić ją, by się zaopiekowała Demelzą. Demelza słucha jej rad. Może to dobrze, że Julia umarła. Nie jest przyjemnie dorastać, wiedząc, że ojciec... Może gdyby nie umarła, to wszystko nigdy by się nie zdarzyło? Może Dwight trafnie to ocenił? Bzdura, byłem zupełnie przytomny, całkowicie zdrowy na umyśle. Tak czy inaczej, muszę do niego napisać i mu podziękować. Rozsądny młody człowiek. Szkoda, że wplątał się w taką kabałę.

Może uda mi się spędzić kilka minut z Demelzą, gdy wszystko się skończy? Ale co powiedzieć... Takie rozmowy nie mają sensu ze względu na swoje ograniczenia. Co robią przysięgli? „Lecz litość wyższa jest ponad moc berła, tron jej znajduje się w sercach królewskich, znakiem widomym jest Boga samego; boską stać może się ziemską potęgą”³. Ziemską potęgą. Czcigodny sędzia Lister. Ziemską potęgą...

Przysięgli wracali na salę rozpraw.

Narada trwała zaledwie dziesięć minut, ale wydawało się, że minął miesiąc, jak zauważył Zacky siedzący w jednym z tylnych rzędów. Dwunastu przysięgłych szło gęsiego w stronę swoich miejsc. Mieli równie poważne miny jak wtedy, gdy wychodzili, a na twarzy przewodniczącego malowało się poczucie winy, jakby się obawiał, że za chwilę on również stanie przed sądem oskarżony o przestępstwo. Wszyscy wstali, do sali wrócił sędzia Lister i usiadł na podium. Zapadła cisza.

Urzędnik sądowy wstał i spytał:

– Czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt?

– Tak – odpowiedział przewodniczący i przełknął nerwowo ślinę.

– Czy uznajecie oskarżonego za winnego, czy niewinnego?

– Uznajemy, że jest... – Przewodniczący urwał i wbił wzrok w ziemię. –

Uznajemy, że jest niewinny wszystkich trzech zarzutów.

Przez ostatnią chwilę w sali panowała głucha cisza, po czym wybuchnął gwar. Z tyłu ktoś zaczął wiwatować i inni poszli za jego przykładem. Natychmiast rozległo się buczenie i okrzyki: „Hańba!”. Później krzyki umilkły i z różnych miejsc dobiegały odgłosy rozmów. Uciszył je młotek urzędnika sądowego.

– Jeśli znów dojdzie do zakłócania porządku, każę opróżnić salę i ukarać sprawców – rzekł sędzia Lister.

Ross siedział na ławie oskarżonych, nie wiedząc, czy wierzyć w prawdziwość wyroku, czy spodziewać się, że prawo może być zdolne do innych złośliwości. Po chwili spojrzał poważnymi, błękitnymi oczyma na przewodniczącego.

– Oskarżony został osądzony przez ławę przysięgłych – odezwał się sędzia. –

Wydano wyrok uniewinniający, który obejmuje trzy zarzucane czyny. Z tego powodu jestem zobowiązany zarządzić pańskie zwolnienie z aresztu. Ale wcześniej chciałbym udzielić panu kilku rad. Nie byłoby właściwe, gdybym komentował werdykt wydany przez ławę przysięgłych, choć powinien pan odczuwać w sercu wdzięczność wobec Boga za ocalenie, którego przyczyną jest miłosierdzie, a nie logika. Za chwilę opuści pan salę sądową jako wolny człowiek i wróci do szanownej małżonki, by rozpocząć z nią nowe życie. Pańska zręczna obrona i reputacja, jaką się pan cieszy, świadczą, że jest pan człowiekiem zdolnym, utalentowanym. W pańskim własnym interesie namawiam, by stłumił pan w sobie instynkt łamania prawa, który czasem może kierować pańskimi działaniami. Proszę to uznać za ostrzeżenie. Niechaj wyda ono owoce w pana sercu i życiu.

Na dłonie Demelzy zaczęły kapać łzy.

Rozdział trzynasty

Tego samego wieczoru wrócili do domu. Ross czuł głęboki niesmak z powodu niezdrowej ciekawości, jaką wzbudzał w Bodmin, i przede wszystkim chciał się znaleźć daleko od ciekawskich spojrzeń. Nie było dyliżansu, więc wynajęli konie i wyruszyli w drogę o wpół do siódmej.

Demelza chciała, by Verity pojechała z nimi i przed powrotem do Falmouth spędziła kilka dni w Namparze, lecz kuzynka uparcie odmawiała. Instykt podpowiadał jej, że Ross i Demelza powinni być teraz sami. Miał z nimi pojechać również Dwight, ale w ostatniej chwili wezwano go do rannego człowieka. Reszta – Jud Paynter, Zacky Martin, Scoble Biała Głowa i Gimlettowie – miała wsiąść nazajutrz do dyliżansu i wrócić pieszo od St Michael.

Dlatego Ross i Demelza opuścili Bodmin zupełnie sami. Zostawili za sobą hałaśliwe miasto, z którego stopniowo wyjeżdżały tłumy ludzi przybyłych na wybory. W następnym tygodniu, gdy sędziowie i adwokaci przeniosą się do Exeter, Bodmin znów wróci do zwyczajnego życia.

Kiedy minęli Lanivet, zaczęło się ściemniać, a gdy znaleźli się w połowie drogi przez wrzosowiska, zapadł zmrok. Pojawiła się mgła i kilka razy myśleli, że zabłądzili. Prawie nie rozmawiali i dyskusja o wyborze właściwej drogi okazała się dobrym sposobem na wypełnienie ciszy. Odpoczęli chwilę we Fraddon, lecz wkrótce ponownie znaleźli się w siodłach. Około wpół do dziesiątej dotarli do majątku Treneglosa i pojechali wielkim łukiem, by ominąć przysiółek Mellin. Chcieli wrócić do domu wcześniej między innymi dlatego, że w przeciwnym razie mogliby ich witać wiwatujący dzierżawcy. Prostolinijna Demelza nie miałaby absolutnie nic przeciwko temu – to, co się stało, zasługiwało na triumfalną procesję – ale wiedziała, że Ross byłby wściekły.

W końcu dotarli do Nampary, do kamiennych słupów, gdzie znajdowała się niegdyś brama, i łagodnie opadającej w dół doliny porośniętej dzikimi leszczynami. Mgła sprawiała, że okolica wyglądała tajemniczo i dziwnie. Nie był to znajomy, przyjazny krajobraz należącego do nich majątku, lecz starsza, bardziej pierwotna kraina. Rossowi przypomniał się wieczór przed siedmioma laty, gdy wrócił do domu z Winchester i Ameryki, po czym zastał zrujnowany dwór i pijanych Paynterów leżących w łóżku. Padał wtedy deszcz, lecz dzień był podobny.

Widział psy, kurczęta i wodę kapiącą z drzew. Dowiedział się o zaręczynach Elizabeth i Francisa, ogarnęły go odrętwienie, gniew i ból z powodu krzywdy, jaka go spotkała. Czuł rozpaczliwą samotność.

Dziś wracał do jeszcze bardziej pustego domu, bo nie było w nim Julii, ale jechała obok niego kobieta, której miłość i towarzystwo znaczyło więcej niż wszystko inne. Uwolnił się od cienia, który przez sześć miesięcy padał na jego życie. Powinien czuć się szczęśliwy i wolny. W czasie pobytu w więzieniu myślał o wszystkim, co należałoby powiedzieć Demelzie i czego nigdy nie będzie miał okazji powiedzieć. Teraz, po niespodziewanym ocaleniu, znów pojawiła się dawna przekłeta nieumiejętność wyrażania uczuć.

W dolinie mgła była mniej gęsta. W końcu zobaczyli ciemny zarys dworu, przejechali przez strumień i ściągnęli wodze przed frontowymi drzwiami obok wielkiego bzu.

– Odprowadzę konie do stajni, jeśli tu zsiądziesz – rzekł Ross.

– To zabawne, że nie ma nawet Garricka, by nas przyjaźnie obszczekać. Zastanawiam się, jak się czuje u żony Zacky’ego Martina.

– Pewnie lada chwila wyczuje, że wróciłaś. Kilometr to dla niego drobnostka.

Demelza zsunęła się z siodła i przez chwilę słuchała stukotu kopyt koni odprowadzanych do stajni. Później otworzyła drzwi frontowe, które zaskrzypiały znajomo, i weszła do sieni. Zapach domu.

Ruszyła po omacku do kuchni, odnalazła naczynie z żarem i rozpałała ogień. Kiedy Ross wrócił, na palenisku grzała się woda w imbryku stojącym na chybottliwych drągach. Demelza zapaliła świece w salonie i podniosła rękę, by zaciągnąć zastony.

Zobaczył jej młode, wyprężone ciało, ciemne, lśniące włosy, oliwkową barwę policzków i nagle poczuł przyływ ciepła i wdzięczności. Ani przez chwilę nie oczekiwała, że będzie się cieszył z uniewinnienia. Mogła nie rozumieć przyczyn, lecz instynkt podpowiadał jej, że w głębi duszy jeszcze nie przyszedł do siebie. Mogło to zająć dużo czasu.

Odwróciła głowę, napotkała jego wzrok i uśmiechnęła się.

– W dzbanie zostało trochę wody. Pomyślałam, że moglibyśmy zaparzyć herbatę. Zdjął kapelusz, cisnął go w kąt i przesunął dłonią po włosach.

– Musisz być zmęczona – powiedział.

– Nie... Cieszę się, że jestem w domu.

Przeciągnął się i obszedł powoli salon, zerkając na rzeczy, z którymi tydzień temu zdążył się już pożegnać – teraz odnawiał z nimi znajomość, jakby nie widział ich wiele lat. Dom był samotny i pusty w mrocznym, nieruchomym świecie. W czasie ich nieobecności puls życia się zatrzymał.

– Mam rozpałać ogień w salonie? – spytała Demelza.

– Nie... Chyba jest już późno. Mój zegarek nie chodzi i widzę, że zegar też.

Zapomniałaś go nakręcić?

– Myślisz, że mogłam o tym pamiętać?

– Chyba nie... – Uśmiechnął się z lekkim roztargnieniem i podszedł do zegara, który Verity i Demelza kupiły przed trzema laty. – Która jest godzina, jak sądzisz?

– Około jedenastej.

Wyciągnął ręce i poruszył obciążnikami.

– Myślałem, że jest później.

– Cóż, spytaj rano Jacka Cobbledicka.

– Skąd ma wiedzieć, która godzina?

– Od krów.

– Dlaczego nie spytamy ich teraz?

Demelza się roześmiała, lecz głos lekko jej się załamał.

– Pójdę zobaczyć, czy woda już się zagotowała.

Wyszła, a Ross usiadł w fotelu i próbował uporządkować myśli, poukładać je, by zrozumieć własne uczucia. Ale uldze i odprężeniu w dalszym ciągu towarzyszył dawny niepokój, toteż wcale nie rozjaśniło mu się w głowie. Kiedy Demelza wróciła z filiżankami i parującym imbrykiem, znów chodził po salonie, jakby po tygodniu spędzonym w więzieniu nawet te cztery ściany budziły w nim irytację.

Demelza w milczeniu nałala herbatę.

– Jack mógł podejrzewać, że ktoś wróci dziś wieczorem, bo zostawił dzbanek mleka. Chodź i usiądź, Ross.

Zajął miejsce w fotelu naprzeciwko żony, wziął filiżankę i wypił kilka łyków. Na jego szczupłej, zamyślanej twarzy wyraźnie malowało się zmęczenie i napięcie. Z tej strony nie widziała blizny. Herbata była ciepła i smaczna, koła napięte nerwy, przypominała o dawnej bliskości.

– Więc zaczynamy życie od nowa – odezwał się w końcu.

– Tak...

– Clymer powiedział, że miałem niewiarygodne szczęście; że kornwalijska ława przysięgłych okazała się najbardziej uparta na świecie. Zażądał trzydziestu gwinei i uznałem to za rozsądne honorarium.

– Myślałam, że w ogóle ci nie pomógł.

– Bardzo mi pomógł. Bez przerwy udzielał mi rad. I przygotował część mowy, którą wygłosiłem. – Skrzywił się lekko. – Boże, jak tego nie znośłem!

– Dlaczego? Mowa bardzo mi się podobała. Byłam z ciebie taka dumna.

– Dumna? Niech Bóg broni!

– Inni myśleli to samo. Dwight słyszał, że podobno właśnie dzięki niej cię uniewinniono.

– Tym gorzej. Musiałem się poniżyć, by odzyskać wolność.

– O nie, Ross! Nie poniżyłeś się. Dlaczego nie miałbyś się bronić, wytłumaczyć, co zrobiłeś?

– Ale to nie była prawda! A przynajmniej... nawet jeśli nie kłamstwo, to kręctwo. Kiedy poderwałem na nogi całą okolicę, nie myślałem o ratowaniu ludzkiego życia. To był statek Warlegganów. Tylko to mnie interesowało. Gdy znalazłem Sansona martwego w kajucie, poczułem zadowolenie! Właśnie o tym powinienem powiedzieć przysięgłym dziś po południu, i zrobiłbym to, gdyby nie Clymer i jego rozsądne rady!

– I teraz nie byłbyś wolny, tylko może skazany na deportację. Uważasz, że warto byłoby tak postąpić, Ross? Zamiast tego po prostu naciągnąłeś trochę historię, by przedstawić się w korzystnym świetle. Gdybyś powiedział to, co zamierzałeś, również nie byłaby to całkowita prawda, prawdziwsza od tego, co powiedziałeś. Dwight miał rację, wiesz o tym. Szalałeś z rozpacz i ława przysięgłych wydała sprawiedliwy wyrok.

Ross wstał.

– Poza tym wybielałem swoich sąsiadów. Wiemy, że poszli na plażę, by grabić, i w ogóle nie myśleli o ratowaniu marynarzy. Kto mógłby ich za to winić?

– Słusznie. Kto mógłby winić ich albo ciebie?

Ross wykonał gniewny, niespokojny ruch.

– Mówmy o czymś innym.

Ale nie pojawił się nowy temat rozmowy i zapadła cisza. Dom wydawał się wziąć ich w posiadanie. Demelza próbowała wspomnieć o wyborach, ale nie miało to sensu. W końcu Ross znowu usiadł i napełniła mu filiżankę.

– Bardzo chciałabym to robić w nieskończoność – powiedziała.

– Pić herbatę? Po jakimś czasie stałoby się to nudne... Ale dlaczego?

– To takie domowe zajęcia – odparła.

Jedna ze świec zaczęła skwierczeć. Demelza wstała i zgasła ją. W stronę sufitu popłynęła ciemna spirala dymu, który powoli się rozproszył.

– Tylko ty i ja w naszym własnym domu – odezwała się. – Nikt nie ma ci nam spokoju, nikt nie przeszkadza. Może bierze się to stąd, że pochodzę z prostej rodziny, ale lubię domową atmosferę: płonące świece, zaciągnięte zasłony, ciepło, herbata, przyjaźń, miłość. Ma to dla mnie wielkie znaczenie. Dziś rano, nawet kilka godzin temu, myślałam, że to wszystko znikło na zawsze.

– Prostej rodziny? Nie przesadzaj. – Po dłuższej chwili dodał: – Julia była taka sama jak ty, a wcale nie pochodziła z prostej rodziny.

– To właśnie moje drugie marzenie – powiedziała, wykorzystując okazję.

– Jakie?

– Ogień, kot przy palenisku... ale przede wszystkim dziecko.

Zacisnął szczęki, ale nie odpowiedział.

– Co się stało? – spytała.

– Nic. Pora spać. Jutro znowu będę farmerem, prawda?

– Nie, powiedz, o co chodzi, Ross.

Popatrzył na Demelzę.

– Nie wystarcza ci to, co przeżyliśmy? Nie chcę dostarczać nowych ofiar epidemiom.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

– Nigdy?

Wzruszył ramionami, nieswój, trochę zaskoczony wyrazem jej twarzy. Myślał, że Demelza czuje to samo.

– Och, może się zdarzyć, że będziemy mieli następne dzieci. To naturalna kolej rzeczy. Nie możemy nic na to poradzić. Ale nie teraz, na Boga. I nigdy nie zastąpią Julii. Nie chciałbym, żeby ją zastąpiły. W tej chwili w ogóle nie chciałbym mieć dzieci.

Demelza już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. W sędzie zdawała sobie sprawę, że znów jest brzemienna, i od chwili uniewinnienia zamierzała zdradzić ten sekret mężowi w odpowiedniej chwili, by pomóc mu w walce o powrót do normalnego życia, dostarczyć nowego bodźca, celu. Teraz ta wspaniała perspektywa nagle znikła i ujawniło się coś tandetnego, nędznego – i niechcianego. Obeszła pokój, gasząc pozostałe świece. Szczypał ją w oczy dym i dziękowała Bogu, że Ross patrzy w ogień. Opuściło ją poczucie triumfu, które miała przez cały dzień. Była równie samotna jak Ross.

W tej chwili rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi frontowych. Na początku myśleli, że im się zdawało, lecz pukanie się powtórzyło. Zaskoczony Ross wyszedł do sieni i otworzył drzwi. W pełgającym świetle latarni z rogowymi szybkami ukazało się sześciu ludzi stojących we mgle. Paul Daniel, Jack Cobbledick, żona Zacky'ego Martina, Beth Daniel, Jinny Scoble i Prudie Paynter.

– Dostrzeżliśmy światło – rzekła pani Martin. – Postanowiliśmy przyjść i zobaczyć, czy wróciłeś, synu.

– Bogu niechaj będą dzięki! – dodała Beth Daniel.

– Wszystko w porządku? – spytał Paul Daniel. – Jest pan wolny i zdrowy?

– Jeszcze za wcześnie na kolędy, ale wejdźcie na kieliszek wina – odparł Ross.

– Nie, nie chcemy przeszkadzać, mój drogi. Chcieliśmy tylko wiedzieć, zobaczyliśmy światło w oknie...

– Oczywiście, że musicie wejść – przerwał Ross. – Czyż nie jesteście moimi dobrymi przyjaciółmi?

Rozdział czternasty

Późnym wieczorem przed jednym z najokazalszych domów na Princes Street w Truro zatrzymała się karetka. Zziębnięty, ziewający woźnica zeskokczył na ziemię, by otworzyć drzwiczki. George Warleggan wysiadł z powozu, ignorując służących, i wszedł powoli po schodach. Drzwi były zamknięte, więc z irytacją pociągnął za sznur dzwonka. Wpuścił go do środka kolejny ospały służący, który wziął kapelusz i płaszcz gościa, po czym odprowadził go wzrokiem. George wspiał się po pięknych schodach. W jego oczach nie było senności.

Dotarłszy na pierwsze piętro, zawahał się, zauważył światło pod drzwiami stryja i ruszył w tamtą stronę. Cary miał na sobie znoszony, postrzępiony szlafrok i szlafmycę, pracował nad rachunkami. Na biurku płonęły dwie świece. Kiedy zobaczył, kto przyszedł, zdjął okulary w stalowej oprawce i odłożył pióro. Później zdmuchnął jedną ze świec, bo w czasie rozmowy nie musiało być tak jasno.

– Oczekiwaliśmy cię wczoraj. Musiałeś nocować w Bodmin?

– Proces zakończył się dziś o czwartej. Później musiałem coś zjeść. Cary odetchnął przez nos i spojrzał na George'a.

– Na twoim miejscu zostałbym na jeszcze jedną noc. Dziwne, że nie połamałeś osi w ciemności albo nie wpadłeś do bagna.

– Raz ugrzęźliśmy, ale karetkę udało się jakoś wyciągnąć. Nie miałem ochoty spędzać jeszcze jednej nocy w brudnej, hałaśliwej gospodzie, z leniwymi służącymi i łóżkiem bez kotar. – George podszedł do karafki stojącej na stole i nalał sobie kieliszek trunku. Wypił łyk, czując, że stryj w dalszym ciągu go obserwuje.

– Przypuszczam, że nie przyjechałeś tu o tej porze dla przyjemności mojego towarzystwa – powiedział Cary.

– Wykręcił się – odparł George. – Przeklęta, niedouczona ława przysięgłych całkowicie zlekceważyła dowody i uznała, że jest niewinny. Spodobał im się jego kolor oczu.

– Uniewinnili go od wszystkich zarzutów?

– Wszystkich. Później sędzia wygłosił kazanie, polecił mu się grzecznie zachowywać i zwolnił go z więzienia.

Cary siedział w całkowitym bezruchu. Jego małe, jasnobrązowe oczka wpatrywały się w idealnie pionowy płomień świecy.

– Nie zasugerowano nawet, że zamordował Matthew? To powinien być główny zarzut, mówię ci!

– Drogi stryju, taki zarzut nie miałby najmniejszych szans. Matthew znaleziono utopionego. Nie było żadnych dowodów, że go zabił, i nie mogliśmy ich sfabrykować. Dowody, które usiłowaliśmy wzmocnić, okazały się niewiele warte. Niektóre były nawet dla niego korzystne. Paynter zmienił front. Rano muszę porozmawiać z Garthem.

– A pozostałe sprawy tego łotra? – spytał Cary. – Dawne występki? Zaledwie dwanaście miesięcy temu włamał się do więzienia Launceston i porwał więźnia. Nic w tej sprawie nie zrobiono. Później pomógł uciec temu mordercy Danielowi. Czy to nie ma żadnego znaczenia?!

George wziął kieliszek, podszedł do fotela i usiadł. Obejrzał wino pod światło.

– Wymiar sprawiedliwości, jak z pewnością wiesz, zajmuje się tylko tymi przestępstwami, które obejmuje akt oskarżenia. Naszego przyjaciela mogłyby obciążyć dawne wyroki, ale nie podejrzenia. Sędzia znał fakty, ale nie mógł ich użyć. Pokrzyżowano nam szyki, drogi Cary, i musimy się pogodzić z porażką. –

Wydawało się, że George celowo prowokuje stryja, by złagodzić własną frustrację.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Nicholas Warleggan. Był już gotowy do snu: miał na sobie szeroką koszulę nocną i czarną myckę.

– Myślałem, że jesteś w Cardew, ojciec – odezwał się z ironicznym zdziwieniem George.

– Twoja matka pojechała sama. Usłyszałem przed domem karetę. Jak to się skończyło?

– Uniewinniono go ze wszystkich zarzutów i w tej chwili na pewno śpi w Namparze jako wolny człowiek.

– Ten bydlak ponosi odpowiedzialność za hańbę Matthew, a później za jego śmierć! – rzucił Cary.

Nicholas Warleggan zerknął ostro na brata.

– Zawsze istnieje groźba, że podejrzenia zmieniają się w obsesję. – Zwrócił się do George'a: – A zatem twoje wysiłki spełzły na niczym, synu. Przez cały czas miałem wątpliwości co do tego przedsięwzięcia.

George w dalszym ciągu obracał w palcach kieliszek, trzymając go za nóżkę.

– Kiedy chodzi o honor rodziny, twoje sumienie staje się coraz bardziej wrażliwe. Drogi stryju, dlaczego kupujesz tanie wino? Uważam, że takie oszczędności są zupełnie nie na miejscu.

– Bardzo mi smakuje – odparł Cary. – Możesz nie pić, jak ci się nie podoba. George zerknął na ojca.

– Wywarliśmy nacisk, by wspomóc wymiar sprawiedliwości, to wszystko, prawda? Oczywiście teraz się wycofamy, bo nie można nic więcej zrobić. Zgadzasz

się, Cary?

– Nie zamierzam rezygnować ze swoich wysiłków – oznajmił Cary, prawie nie otwierając ust. – Poldark ma poważne problemy finansowe. Możemy wtrącić go do więzienia albo zmusić do opuszczenia hrabstwa.

– Krótko mówiąc, istnieje wiele sposobów zabicia kota – zauważył George.

– Nie możesz nas winić, ojcze, że interesujemy się jego kopalnią.

– Nie mam żadnych obiekcji wobec normalnych posunięć finansowych – rzekł Nicholas, spacerując po pokoju. – Nie lubię Poldarków. To zubożali ziemianie, aroganccy, napuszeni i nieudolni. Jeśli możesz zakupić udziały kopalni Poldarka, koniecznie to zrób, bo to jedna z najbardziej zyskownych kopalni tej wielkości w hrabstwie. Ale zachowaj proporcję. Za kilka lat, George, dzięki mojemu prestiżowi i twoim zdolnościom Poldarkowie nie będą godni naszej uwagi. W istocie już teraz nie są jej godni. Ten spór nam nie przystoi i rzuca cię na nasz honor.

– Zapominasz o Matthew – rzucił ostro Cary.

– Nie, nie zapominam. Popęłnił błąd i sam ściągnął na siebie kłopoty.

– Widziałeś wczoraj Pearce'a? – spytał George.

Cary prychnął.

– Tak. Mówi, że pani Jacqueline Trenwith jest gotowa sprzedać swoje udziały. Nie lubię Pearce'a. To krętacz. Myśli, że może trzymać z obiema stronami.

– Wyleczymy go z tego. Bardzo łatwo zmienia poglądy. Usiądź, ojcze; biegasz, jakby się paliło.

– Nie, pójdę spać – odparł Nicholas. – Muszę wstać wcześniej rano.

– W Bodmin rozmawiałem z Francisem Poldarkiem – rzekł George. – Spotkaliśmy się przypadkowo. Był trzeźwy i chciał omówić swoją sytuację finansową, więc zaprosiłem go do gospody na szklaneczkę. Ale kiedy tam weszliśmy, zrobił się niegrzeczny i usiłował mnie sprowokować.

– Co powiedział?

– Otwarcie mi zarzucił, że stoję za oskarżeniem jego kuzyna, że podstępnie próbuję zrujnować jego rodzinę i że zachowuję się nieuczciwie, jak można by się spodziewać po wnuku kowala, który ciągle mieszka w norze w pobliżu St Day, bo rodzina Warlegganów wstydzi się do niego przyznać.

W pokoju panowała cisza i słychać było tylko oddech Cary'ego. Szyja Nicholasa Warleggana spurpurowiała.

– Siedziałeś i spokojnie tego słuchałeś?! – spytał Cary.

George spojrział na swoje dłonie.

– Mógłbym złamać mu kręgosłup jak zapałkę, ale mam ważniejsze sprawy niż nauka strzelania poprzez pojedynkowanie się z Francisem Poldarkiem. Nie zamierzam pozwolić, by taki słabeusz dyktował mi, co mam robić.

– Całkiem słusznie – mruknął Nicholas. – Była to rozsądna decyzja. Ale jestem

zaniepokojony, że to powiedział. Jeszcze w zeszłym roku dał koty ze swoim kuzynem...

– Moim zdaniem właśnie to go męczy – odpowiedział uprzejmie George. – Ma z tego powodu wyrzuty sumienia.

– I jak się rozstaliście? – spytał Cary.

– W uprzejmej wrogości.

Cary gniewnym ruchem zamknął jedną z ksiąg rachunkowych, aż trzasnęła okładka.

– Wszystkie jego weksle są w naszych rękach. Możemy go złamać choćby jutro – finansowo, co jest lepszą drogą...

George zgarbił ramiona.

– Nie... Nie możemy tego zrobić. Przynajmniej nie tak jawnie. W tej chwili nie zamierzam podejmować żadnych kroków.

– Dlaczego? Nie możesz już liczyć na jego dobrą wolę.

– Tak, na jego dobrą wolę nie – odparł George i wstał. – Ale muszę brać pod uwagę jeszcze jedną osobę.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

Kiedy skończyła się jesień i nadeszła zima, Ross postanowił zapomnieć o dawnych kłopotach i lękach. Próbował prowadzić zwyczajne życie drobnego ziemianina mającego udziały w kopalni miedzi – życie, z którego z żalem zrezygnował zaledwie dwa lata wcześniej. Ale chociaż w owym czasie z przykrością wyrzekł się spokojnej rutyny, powrót do dawnej egzystencji nie sprawił, że stał się znowu szczęśliwy.

W jego relacje z Demelzą wkradł się chłód. Po uniewinnieniu, co dziwne, rzadziej się śmiali i przestali rozumieć się bez słów. Wiele razy próbował przełamać dystans, lecz zawsze ponosił fiasko, co wpłynęło na jego zachowanie.

Chociaż był rad, że nie grozi mu już proces sądowy, ciągle myślał o niebezpieczeństwie bankructwa. Nie zdołałby spłacić długów, nawet gdyby sprzedał wszystkie udziały w Wheal Leisure. Jako człowiek dumny nienawidził długów. W dalszym ciągu czuł złość na wspomnienie procesu. Prawdopodobnie uniknął skazania wskutek zmiany frontu dokonanej w ostatniej chwili, ale nieustannie gardził sobą, że się na to zdecydował.

Kilka tygodni po rozprawie Verity napisała list.

Mój Drogi Kuzynie Rossie!

Tym razem piszę do Ciebie, a nie do Demelzy, bo to, co chcę powiedzieć, jest przeznaczone bardziej dla Ciebie niż dla Twojej żony, choć oczywiście możesz jej dać do przeczytania ten list, jeśli chcesz.

Przede wszystkim dziękuję Bogu za Twoje ocalenie – a Andrew szczerze łączy się ze mną w modlitwie. Wiem, jakie to złośliwe, że w ogóle Cię o coś oskarżono, i z tego powodu uniewinnienie po prostu Ci się należało. A jednak Twoi przyjaciele powinni być głęboko wdzięczni, że nie doszło do pomyłki sądowej. Mamy szczerą nadzieję, że to Szczęśliwe Zakończenie złagodzi gorycz wywołaną pobytem w więzieniu.

W Bodmin widziałam się dwa razy z Francisem. Za pierwszym razem przyszedł do gospody i chociaż był trochę pijany, czułam, że ma zamiar się ze mną pogodzić, ale kiedy zaczęliśmy o tym mówić, nie potrafił znaleźć właściwych słów i odszedł niezadowolony. Dlatego odszukałam go po rozprawie i znowu próbowałam z nim rozmawiać.

To drugie spotkanie potwierdziło przypuszczenie, które powstało podczas pierwszego: dzieje się z nim coś niedobrego. Ma w sobie przerażającą gorycz – podobnie jak czasem Ty, Rossie. Ale objawia się ona inaczej niż u Ciebie, bo moim zdaniem Francis bardziej szkodzi samemu sobie niż innym.

Wiem, że pokłóciłeś się z Francisem, ale mam bardzo silne wrażenie, że chciałby się z Tobą pogodzić. Nie wiem dokładnie, jaka była przyczyna kłótni, gdyż oczywiście doszło do niej po mojej ucieczce z Andrew – dlatego dalszy rozwój sytuacji budzi moją wielką troskę. Gdyby Francis się z Tobą skontaktował, proszę, bądź dla niego wyrozumiały, jeśli nie ze względu na niego, to na mnie. Może pomógłbyś mu odzyskać równowagę?

Nie podoba mi się to, co się dzieje we Francji. To nieprzyjemne, gdy król jest przywożony do Paryża, jakby był więźniem. Panuje tu poruszenie z tego powodu. Staraj się nie wypowiadać zbyt otwarcie w obronie wolności i równości, Rossie, bo można to łatwo źle zrozumieć. Człowiek jest atakowany za najmniejszą wzmiankę o takich rzeczach – przez ludzi, którzy zaledwie rok wcześniej z całego serca popierali reformy. Pewnie uznasz ten list za kazanie.

Wczoraj pojechaliśmy do Gwennap na zaproszenie jednego z przyjaciół Andrew. Straszliwe miejsce, ponure jak pustynia, z hałdami żużlu i wielkimi maszynami, które skrzypią i sapią. Wszystkie kołowroty są obracane przez muły nieustannie chłostane przez biedne, zagłodzone dzieci. Nad wszystkim unoszą się trujące opary i wyciewy. Aż dziw bierze, że Wesley ośmielił się tam pojechać. Kiedy znalazłam się w połowie drogi do domu, poczułam ukłucie w sercu.

Podobno mój pasierb może wrócić w lecie do Anglii – dwanaście miesięcy przed planowanym przybyciem jego okrętu. Mam nadzieję, że go wtedy poznam.

Z wyrazami najgłębszej miłości dla Was obojga Verity

W grudniu Demelza robiła świece z panią Gimlett – czynność wymagająca doświadczenia i zręczności. Trzcinę ścięto w październiku i włożono do wody, by nie wyschła ani się nie skurczyła. Po wyjęciu rdzeni ułożono je na trawie, by zbiały i przez tydzień „piły rosę”, a później wyschły na słońcu. Ostatnią czynnością było zanurzenie rdzeni w gorącym łoju, który później zastygał. W zeszłym roku Demelza kupiła za dwa szylingi trzy kilogramy łoju od ciotki Mary Rogers, ale w tym roku, rozpaczliwie próbując robić drobne oszczędności, gromadziła tłuszcz, nawet wytopiony z boczku w trakcie gotowania, i miała nadzieję, że okaże się równie dobry.

Te drobne oszczędności były jedynym sposobem, by poprawić sytuację finansową rodziny. Ponieważ grudzień okazał się pogodny, Demelza brała czasem łódź Rossa i odpływała dwadzieścia lub trzydzieści metrów od brzegu, gdzie mogła złowić makrele lub płaszczyki dla wszystkich domowników. Ross nic o tym nie wiedział, a Demelza skłoniła Gimletta, by jej pomógł i przyrzekł zachować

wyprawy w tajemnicy. Tego dnia w kuchni pryskał tłuszcz i unosiły się kłęby pary, gdy nagle rozległo się energiczne pukanie do frontowych drzwi. Demelza poznała po dźwięku, że to ktoś obcy.

Jane Gimlett podeszła do drzwi i po chwili wróciła, śpiesznie wycierając dłonie pokryte tłuszczem.

– Bardzo przepraszam, proszę pani, to sir Hugh Bodrugan. Zaprosiłam go do salonu. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy sir Hugh odwiedzał od czasu do czasu Namparę, ale Demelza nie widziała go po rozprawie. Przyszło jej do głowy, że jeśli wyjdzie do niego z twarzą poplamioną tłuszczem, może go to wyleczyć z afektu. Ale próżność i pamięć o własnym skromnym pochodzeniu były zbyt silne. Pobiegła na górę i szybko doprowadziła się do porządku.

Kiedy weszła do salonu, sir Hugh siedział wyciągnięty w najlepszym fotelu Rossa i oglądał inkrustowane srebrem pistolety pojedynkowe, które zdjął ze ściany. Miał na sobie czerwony myśliwski surdut, bryczesy z brązowego sztruksu i nową perukę, której Demelza jeszcze nie widziała. Wstał i ucałował jej dłoń.

– Do usług, pani. Pomyślałem sobie, że wpadnę i odnowię naszą przyjaźń.

Spędziliśmy miłe chwile w Bodmin, lecz niestety niewiele z tego wynikło. –

Wyprostował się i spojrzał na Demelzę lśnącymi, sprośnymi oczkami.

Znajdowały się prawie na tej samej wysokości co oczy Demelzy, choć była nieco wyższa.

– Może traktował pan pobyt w Bodmin inaczej ode mnie, sir Hugh? Dla mnie był on dość wyczerpujący.

Roześmiał się.

– Cóż, w dalszym ciągu ma pani męża, choć wszyscy myśleli, że go pani straci. Ufam, że się cieszy.

– Och, oboje się cieszymy, sir Hugh. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, zapewniam pana.

Na twarzy arystokraty pojawił się cień niezadowolenia.

– Ale nie tak szczęśliwi, by nie pomóc baronetowi, który ma kłopoty?

– Kłopoty? – zdziwiła się Demelza, odwracając wzrok przed śmiałym spojrzeniem Bodrugana. – Nie wiedziałam, że baronetowie w ogóle mogą mieć kłopoty.

– O tak – odparł z głuchym śmiechem. – Są śmiertelnikami jak wszyscy inni ludzie. Przeżywają troski i rozczarowania, a także, powinna pani to wiedzieć, pokusy.

Demelza podeszła do stolika.

– Czy miałby pan ochotę na porto, sir Hugh, czy raczej woli pan brandy?

– Brandy, jeśli łaska. Jest lepsze na trawienie.

Nalewając trunek, była świadoma, że arystokrata się jej przygląda, i żałowała, że

ma na sobie tanią suknię, choć doskonale rozumiała, że to nie suknia budzi jego zainteresowanie.

Podszedł, by wziąć kieliszek, i ujął go lewą ręką, jednocześnie obejmując ją w talii. Po chwili znów usiedli. Pił łąpczywie, a Demelza przysiadła w bezpiecznej odległości i sączyła trunka.

– Ufam, że nie chodzi o pokusy? – spytała poważnie.

– Całkiem możliwe, pani, całkiem możliwe.

– W takim razie obawiam się, że nie mam dla pana lekarstwa.

– Ma je pani, ale nie chce mi go pani ofiarować, bo ma pani twarde serce. Jednak teraz nie szukam pomocy w tej sprawie. Chodzi o moją klacz Sabę.

Popatrzyła na niego znad krawędzi kieliszka, a rubinowe wino dodało dodatkowego blasku jej ciemnym oczom.

– Sabę? Co się jej stało i co mogłabym dla pana zrobić?

– Jest chora. Dostała piekielnej gorączki, która nie chce ustąpić. Ma spuchnięte powieki i męczy ją kaszel. Ledwo chodzi, a kolana trzeszczą jej przy każdym ruchu jak suche patyki.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała. Wysunęła do przodu stopę, po czym zerknęła na nią i szybko ją cofnęła. – Ale dlaczego przychodzi pan do mnie?

Sir Hugh wydał wargi.

– Dlaczego? Dziś rano rozmawiałem z Trevaunance'em i powiedział, że wyleczyła pani jego rasową krowę, gdy wszyscy weterynarze zawiedli! Właśnie dlatego zwracam się do pani. Czy to nie wystarczający powód?

Demelza zarumieniła się i dopiła porto. W tej samej chwili usłyszała przed domem stukot końskich kopyt, a potem Ross zeskoczył z siodła przed drzwiami. Gimlett przebiegł obok okna, by odprowadzić Czarnulkę do stajni.

– To tylko szczęśliwy przypadek, sir Hugh. Tak się złożyło...

– Wszystkie kuracje sprowadzają się do szczęśliwego przypadku, ale nie każdy jest na tyle uczciwy, by to przyznać. Trevaunance mówi, że zna się pani na ziołach i arkanach sztuki medycznej lepiej od Cyganów. Gdyby pani zechciała...

– O nie... – zaczęła Demelza. Nagle do salonu wszedł Ross.

Wydawał się zdziwiony i niezbyt zadowolony, gdy zobaczył przysadzistego, kudłatego baroneta wyciągniętego w jego własnym fotelu i rozmawiającego z Demelzą w tak familiarny sposób. Nigdy nie kłócił się z sir Hugh, lecz niezbyt za nim przepadał. Poza tym po wizycie w Truro myślał o swoich sprawach i nie miał ochoty skupiać uwagi na nieoczekiwanym gościu.

– Sir Hugh odwiedził nas... – podjęła Demelza.

– Moja klacz Saba jest chora, Poldark, i przyjechałem prosić pańską żonę o przysługę. Niedomaga od przeszło dwóch tygodni – mam na myśli Sabę –

i Connie jest wściekła z tego powodu. Przysięga, że to wina masztalerza. W każdym razie, tak długa choroba klaczy nie jest normalna. Saba ma zaledwie

sześć lat. Treneglos mówił, że jeden z jego koni miał coś podobnego i zdechł! Nie możemy jej stracić! To wbrew naturze!

Ross rzucił na fotel rękawice do jazdy konnej i nalał sobie trochę brandy.

– Jak Demelza mogłaby panu pomóc?

– Cóż, słyszałem, że ma rzadki talent do ziół, zaklęć i podobnych rzeczy. Trevaunance powiedział mi o tym dopiero dziś rano, inaczej przyjechałbym już wcześniej. Do kataru, weterynarze są głupi jak but!

– Weterynarze... – zaczął Ross.

– Właśnie mówiłam sir Hugh – wtrąciła pośpiesznie Demelza – że sir John przykłada zbyt wielką wagę do mało znaczącej rady, której udzieliłam mu w sierpniu. Szepnęłam słówko na temat jego chorej krowy i wyzdrowiała przez przypadek.

– Więc niech pani przyjedzie i szepnie słówko o mojej chorej klaczy, by również wyzdrowiała przez przypadek! Do kataru, to na pewno nie zaszkodzi!

Demelza się zawahała i otworzyła usta, by coś powiedzieć.

– W końcu to tylko przysługa za przysługę – ciągnął sir Hugh. – Jesteśmy sąsiadami i powinniśmy sobie pomagać. Właśnie tak uważałem w Bodmin. Niech pan też przyjedzie, Poldark, jeśli ma pan ochotę. Connie serwuje dobre jedzenie, trzeba jej to przyznać. Jemy obiad o trzeciej. Moglibyśmy się państwa spodziewać jutro?

– Bardzo mi przykro – odparł Ross. – Mam pilne sprawy i spędzę cały dzień w kopalni. Może umówimy się na przyszły tydzień?

Demelza wstała, by dolać sir Hugh brandy.

– Może pojechałabym sama, Ross? – spytała łagodnie. – Nie na obiad, tylko po prostu na pół godziny, by obejrzeć klacz. Oczywiście niczego nie obiecuję, ale jeśli sir Hugh nalega i nic innego go nie zadowoli...

Bodrugan przyjął kieliszek.

– To mi odpowiada. Będę pani oczekiwał po jedenastej. Dostarczę wszystkiego, czego pani potrzeba: lekarstw, plastrów, lewatyw, ziół. Proszę tylko powiedzieć. Masztalerz może natychmiast pojechać do Truro.

Po kilku następnych zdaniach Ross poszedł na górę, ale sir Hugh się nie śpieszył. Dopił brandy i rozpoczął trzeci kieliszek, a tymczasem Demelza zastanawiała się, jak Jane radzi sobie ze świącami. W końcu wstał z fotela – masywny, władczy i pełen wigoru. Długo ścisnął dłoń Demelzy, wsiadł na wielkiego konia, po czym przejechał kłusem przez mostek i ruszył w górę doliny.

Poszła do kuchni. Okazało się, że Jane skończyła pracę i sprząta. Po mniej więcej dziesięciu minutach usłyszała Rossa schodzącego na dół i podażyła za nim do salonu.

– Zjadłeś coś w Truro? Zostało trochę zapiekanki.

– Jadłem w Truro.

Zerknęła na męża, zauważyła jego ponurą minę i uznała, że wyraża krytyczną ocenę jej postępowania z sir Hugh.

– Jesteśmy sąsiadami, Ross. Nie możesz oczekiwać, że go nie przyjmę.

– Kogo? Ach, Bodrugana. – Uniósł brew. – Chyba jutro nie pojedziesz?

– Oczywiście, że pojedę – odparła z lekką irytacją. – Przecież obiecałam, prawda?

– Rzeczywiście sądzisz, że chce, byś mu wyleczyła klacz? – spytał z ironią. – Miałem lepsze wyobrażenie o twojej inteligencji.

– Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie cenisz mojej inteligencji.

– Bardzo ją szanuję. Czasami. Ale musisz zdawać sobie sprawę, o co w istocie chodzi Bodruganowi. Bardzo jasno daje to do zrozumienia.

Uwaga Rossa była w trzech czwartych prawdziwa, co rozżłościło Demelzę.

– Chyba potrafię to osądzić sama.

– Nie wątpię, że tak myślisz. Uważaj, by nie zaślepił cię jego tytuł. Działa w ten sposób na niektórych ludzi.

– Zwłaszcza na córkę prostego górnika, która niewiele umie.

Spoglądał na nią przez chwilę.

– To ty musisz dowieść, że jesteś kimś więcej niż córką prostego górnika.

– To wstrętne, że mówisz takie rzeczy!

– Na pewno nie ja zacząłem się kłócić.

– Nie, ty nigdy nie zaczynasz się kłócić, ze swoimi chłodnymi spojrzeniami i kaśliwym językiem! Mrozisz wszystkich dokoła i gardzisz ludźmi, którzy nie spełniają twoich standardów. To... to niesprawiedliwe, okropne! Może chcesz, żebym zawsze się czuła jak córka górnika?! Może żałujesz, że się ze mną ożeniłeś?!

Odwróciła się, wybiegła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Usłyszał, jak pędzi po schodach na górę.

Tego wieczoru kolacja była spóźniona.

Jane Gimlett powiedziała, że panią boli głowa i nie zejdzie, więc Ross zjadł posiłek samotnie. Podano gotowanego królika z apetycznymi dodatkami, ale miał wrażenie, że potrawa jest smaczniejsza, gdy gotuje ją Demelza. Na deser była szarlotka ze śmietaną i gorące bułeczki. Kiedy skończył, położył na talerzu trochę ciasta i dwie bułeczki i poszedł na górę.

Zastał Demelzę leżącą na łóżku w sypialni. Było to miejsce, gdzie lubiła się zaszywać w rzadkich chwilach rozpacz. Wtuliła twarz w poduszkę i nie poruszyła się, gdy wszedł i usiadł na łóżku.

– Demelzo...

Żadnej reakcji. Wyglądała jak martwa.

– Demelzo, przyniosłem ci trochę szarlotki.

– Nie chcę jeść – odrzekła stłumionym głosem.

– Tak czy inaczej, kilka kęsów ci nie zaszkodzi. Chcę z tobą porozmawiać.

– Nie teraz, Ross.

– Tak, teraz.

– Nie teraz.

Spojrzał na zmierzwione włosy i wyprężone ciało pełne oszałamiającego wdzięku.

– Masz dziurę w pończosze – powiedział.

Przekręciła się i po chwili usiadła. Na twarzy miała ślady łez. Otarła je koronkowym mankietem. Była wściekła na Rossa, ale nie chciała wyglądać brzydko w jego obecności.

– Zjedz to, kochanie.

Pokręciła głową. Odstawił talerz.

– Posłuchaj, Demelzo, jeśli mamy się kłócić, chciałbym, żeby obie strony miały do siebie uzasadnione pretensje. Ale gruby, kudłaty starszy mężczyzna, który przyjeżdża do Nampary, by się tobie narzucać, nie jest rozsądnym powodem do kłótni. W głębi duszy doskonale wiesz, kim jest Bodrugan, podobnie jak ja. Więc może jest jakiś inny powód tej awantury? Powiesz mi, o co chodzi?

Skinęła dłonią, lecz milczała.

– Mówisz o moim chłodnym spojrzeniu i kaśliwym języku – ciągnął. – Ale mieszkasz w tym domu sześć lub siedem lat, od przeszło trzech jako moja żona, i moje cechy charakteru nie są dla ciebie niespodzianką. Przyznaję się do nich, ale nie pojawiły się w ciągu jednej nocy jak broda Billy’ego Thomsona. Już od dawna przysparzają ci cierpień, już od dawna potrafisz sobie z nimi radzić. Dlatego nie mogę się oprzeć podejrzeniu, że skoro nagle stały się nie do zniesienia, musi istnieć jakaś szczególna przyczyna. Zauważyłem, że spędzamy ze sobą mniej czasu i że sprawia nam to mniej przyjemności. A ty nie?

– Nie zastanawiam się nad tym – odparła niewyraźnie.

– Może liczymy na zbyt wiele, jeśli spodziewamy się, że początkowe uniesienie będzie trwać wiecznie – powiedział. – Pierwsze piętnaście lub osiemnaście miesięcy, które spędziliśmy razem, były bliskie ideału. Nikt nie może liczyć na nic lepszego. Ale teraz, na początku drugiego etapu, jesteśmy rozczarowani, że nie odczuwamy już absolutnego szczęścia, i obwiniamy o to siebie nawzajem. Wyolbrzymiamy drobne nieporozumienia i zaczynamy się kłócić. Tak to wygląda, prawda?

– Tak ci się wydaje – odpowiedziała, odwracając głowę.

– A tobie tak się nie wydaje? Cóż, jeszcze nie, ale może z czasem to zrozumiesz.

Nie tylko nie chce naszego dziecka, ale nie chce również mnie, pomyślała.

– Tymczasem – ciągnął łagodnie Ross – spróbujmy tolerować to, co nas drażni. Postaram się nie traktować cię protekcjonalnie. Nie mam w stosunku do ciebie żadnego poczucia wyższości, wierz mi. Jeśli uważasz, że jestem chłodny i nudny, postaraj się mi wybaczyć, bo mam wiele absorbujących spraw, a moja kwaśna mina

jest prawdopodobnie wywołana czymś, co sobie nagle przypomniałem, a nie niezadowoleniem z ciebie.

Wypowiedziawszy te słowa, pochylił się i pocałował ją w policzek, a potem wyszedł. Udało mu się jedynie sprawić, że jeszcze mniej się rozumieli.

Bardzo późnym wieczorem Demelza zeszła na dół i zastała Rossa przy stole w salonie, ślęczącego nad księgami rachunkowymi. Dawniej przysiadłaby na poręczu fotela i próbowała zrozumieć, jak sporządza bilans, ale w tej chwili nie wydawało jej się to dobrym pomysłem. Obok łokcia Rossa stała do połowy wypełniona butelka brandy; zastanawiała się, czy pod wieczór otworzył nową. Kiedy weszła, zerknął na nią i przelotnie się uśmiechnął, lecz wkrótce znów zabrał się do pracy.

Przeszła przez salon, poprawiła pogrzebaczem ogień, dorzuciła do kominka dwie szczapy drewna, a później usiadła i w milczeniu patrzyła na niebieskawe płomienie.

Słyszała plusk strumienia, czasem w mroku rozlegało się pohukiwanie sowy. Cicha noc. Jak dotychczas cały grudzień był taki sam: rosa wczesnym rankiem, wilgotne liście pod stopami, półmrok utrzymujący się w ciągu dnia, jakby stanowił naturalny element świata. Pogoda była ładna, ale czuło się jakby zgniliznę. Wydawało się, że na ziemi nie ma nic nowego ani młodego.

Demelza obgryzała paznokiec. Nagle uniosła wzrok i spostrzegła, że Ross ją obserwuje.

– Ciągłe ci nie płacą za to, że jesteś głównym skarbnikiem kopalni? – spytała, by ukryć swoje myśli.

– To oszczędność. Mamy dzięki temu większe zyski.

– Korzystają na tym wszyscy udziałowcy. W kopalni, gdzie pracował ojciec, główny skarbnik zarabiał czterdzieści szylingów miesięcznie. Jesteśmy teraz tak biedni, że bardzo by to nam pomogło.

– I tak niczego by to nie zmieniło. – Zaczął nabijać długą fajkę. – To nie tylko księgi Wheal Leisure, ale też moje prywatne rachunki. Za trzy tygodnie nie będę w stanie spłacić swoich zobowiązań.

– Widziałeś się dziś z bankierem, prawda? – Próbowała to powiedzieć lekkim tonem, choć wiedziała, co to znaczy dla nich obojga.

– Gdyby Pearce usłyszał twoje określenie, uznałby to za pochlebstwo. Tak, rozmawiałem z nim. Zgodził się prolongować dług o kolejny rok.

– Zatem...

– Pascoe również zgodził się dodać odsetki do hipoteki, choć ostrzegł mnie, że teraz, gdy ma współników, w przyszłym roku może się to okazać niemożliwe. Ale jest mało prawdopodobne, że go o to poproszę, bo nie mam skąd wziąć czterystu funtów dla Pearce'a, więc muszę sprzedać udziały w kopalni, a bez tego długo nie pociągniemy.

Demelza nagle poczuła wstyd, że kłóciła się z Rossem właśnie tego dnia.

– Ile ci brakuje?

– Przeszło dwieście funtów.

– Nie mógłbyś...

– O tak, może mógłbym pożyczyć taką kwotę od jednego z przyjaciół, ale czy to ma jakikolwiek sens? Jeszcze bardziej bym się pograżył. Lepiej byłoby, jak radził Pascoe, sprzedać udziały Warlegganom, skończyć z tym i pozbyć się najgorszych długów.

– Nie pasuje do ciebie ta ponura mina, Ross. Nie miałam na myśli pożyczania pieniędzy od przyjaciół. Mamy... trochę rzeczy, które powinny być warte dwieście funtów.

– Na przykład?

– Cóż... moja broszka z rubinem. Mówiłeś, że jest warta sto funtów.

– Broszka należy do ciebie.

– Dałeś mi ją. Mogę ci ją zwrócić, jeśli zechcę. Jest też Caerhays. Poradzę sobie bez konia. Bardzo rzadko odwiedzam miejsca, do których nie mogłabym dojść piechotą. Od dzieciństwa chodzę pieszo. Suknia też by coś przyniosła, podobnie zegar i nowy dywan z naszego pokoju.

– Nie planowałem pozbycia się tych rzeczy. Gdybym poszedł do więzienia, musiałabyś się utrzymać z ich sprzedaży. Nie chcę ich wrzucić w otchłań bez dna.

– Jest również trochę żywego inwentarza – ciągnęła Demelza, zadowolona, że może mówić o czymś konkretnym. – Zwierzęta są dobre, ale nie potrzebujemy ich tak wiele. Wydaje mi się to proste. Jeśli spłacisz odsetki od długu, znowu zarobisz pieniądze. Ale jeśli sprzedamy udziały, te rzeczy do niczego się nie przydadzą. Nie dostarczą nam środków do życia. Wheal Leisure to źródło stałych dochodów. Poza tym... kapitulacja przed Warlegganami nie byłaby w twoim stylu.

Dotknęła bolesnego miejsca. Ross wstał, odsunął gwałtownie krzesło i zapalił fajkę papierową tutką.

– Argumentujesz jak adwokat, zawsze taka jesteś.

Słowa męża sprawiły jej przyjemność. Rozjaśniła jej się twarz.

– Zrobisz to, prawda, Ross?

– Nie wiem.

– Moglibyśmy zebrać dwieście funtów, jestem tego pewna – zakończyła.

Rozdział drugi

Nazajutrz Demelza pojechała z wizytą do Bodruganów w Werry House. Była w przekornym, lekkomyślnym nastroju i przez chwilę zupełnie nie przejmowała się tym, że nie ma pojęcia o koniach. Kiedy zobaczyła chorą klacz, pożałowała, że przyjechała, ale było oczywiste, że sir Hugh oczekuje od niej zaordynowania zwierzęciu jakiegoś śmierdzącego specyfiku, a kiedy oznajmiła, że nie chce ingerować w działanie natury, uznał to za oznakę fałszywej skromności. Wyleczyła Mintę sir Johna i może przynajmniej spróbować zrobić to samo tutaj.

Spoglądała przez pewien czas na klacz, a później zerknęła na Constance Bodrugan. Na zdziwionej twarzy kobiety malowało się wyzwanie. Cóż, skoro tak na to patrzą... Jeśli klacz zdechnie, pogodzą się ze stratą, a sir Hugh może raz na zawsze zapomni o swoim afekcie. Jeśli Demelza ma popełnić przestępstwo, może to zrobić z fantazją.

Kazała wyrzucić wszystkie okłady, lewatywy, maści, balsamy, pigułki i kompresy, które przygotowali weterynarze. Powietrze w stajni od razu zrobiło się świeższe. Później kazała wszystkim wyjść i przynieść dziewięć liści mlecza oraz dziewięć kwiatów kurzyśladu, włożyć je do jedwabnego woreczka i przywiązać do szyi klaczy. Kiedy przyniesiono rośliny, wyrecytowała nad zwierzęciem wiersz:

*Kurzyśladzie, kurzyśladzie,
Rosłeś na poletku Pana.
Jezus dał ci wielką moc,
Gdy cię skropił własną krwią.
W tej godzinie zło przeminie,
Kto cię nosi, ten nie zginie. Amen!*

Ułyszała tę rymowaną od starej Meggy Dawes z Illuggan. Miała wrażenie, że Meggy leczyła nią kurzajki, ale z pewnością nie mogło to zaszkodzić klaczy.

Później zaordynowała zwierzęciu ten sam napar z rozmarynu, jałowca i kardamonu, który wcześniej zaleciła krowie rasy hereford. Wrócili do dworu, gdzie wypita dwa kieliszki porto, zjadła ciasteczko i patrzyła na dwa szczeniaki gryzące dywan u jej stóp. Porto pomogło zapomnieć o narastających wyrzutach

sumienia. Nie przyjęła zaproszenia na obiad i odjechała przed pierwszą z nietkniętą cnotą, żegnana tubalnymi pozdrowieniami sir Hugh Bodrugana i zamyślonymi spojrzzeniami lady Constance Bodrugan. Domyślała się, co powie Constance, jeśli klacz zdechnie.

Ross nie wspomniał o wizycie przy obiedzie, ale w czasie kolacji spytał:

– Co dolegało rasowej klaczy Bodrugana? Myślisz, że to influenza?

A zatem pogodził się z myślą, że pojechała mimo jego sceptycznych uwag.

– Nie mam pojęcia, Ross. Bardzo możliwe. Jest w koszmarnym stanie, drżą jej mięśnie jak Ramothowi przed zdechnięciem.

– Jak próbowałaś ją leczyć?

Opowiedziała niepewnym głosem. Ross się roześmiał.

– Znienawidzą cię wszyscy weterynarze w hrabstwie. Odbierasz im pacjentów.

– Nic mnie to nie obchodzi. Ale to bardzo piękna klacz. Mam nadzieję, że wyzdrowieje. Byłaby wielka szkoda, gdyby zdechła.

– Na pewno jest warta ponad trzysta gwinei.

Demelza upuściła nóż. Zbladła.

– Żartujesz, Ross!

– Oczywiście mogę się mylić. Ale jej ojcem był Król Dawid, a on...

– Boże! – Demelza wstała. – Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś?!

– Myślałem, że wiesz. A poza tym byłem pewien, że jej nie zaszkodziś. Demelza podeszła do stolika pod ścianą.

– To straszne, że mi nie powiedziałeś!

– Myślałem, że wiesz! Bodrugan zawsze się tym chełpi, a znasz go od przeszło roku. Ale kiedy go spotykasz, na pewno nie rozmawiacie o koniach...

Nie zareagowała na prowokację, lecz niespokojnie przestawiała talerze. Po dłuższej chwili wróciła do stołu i usiadła.

– Ale, ale, co się właściwie działo w Bodmin? – spytał Ross. – Jak to się stało, że spotkałaś Bodrugana? I czemu uważa, że masz wobec niego jakieś zobowiązania?

– Nie rozumiem, dlaczego nie bał się mnie wezwać – odpowiedziała.

Kiedy Demelza podejmowała drugą nieroztropną wyprawę do krainy weterynarii, Dwight Enys leczył mieszkańców Sawle. Starał się to robić sumiennie i umiejętnie, ale poznawał własne ograniczenia. Odkrył, że medycyna to ciągła walka nie tylko z ignorancją innych, lecz również z własną niewiedzą.

Dziąsła Parthesii Hoblyn dostarczyły mu wskazówki na temat natury choroby, która szerzyła się w wiosce przez całą jesień. Jedynym wytłumaczeniem jego niekompetencji była malaria, która nie pozwalała dostrzec objawów poważniejszej choroby. W tym przypadku, podobnie jak w innych, dziewczynka zapadła na febrę, wyzdrowiała i znów zachorowała. Po drugim ataku leżała prawie bez życia, była wyczerpana i ledwo oddychała. Przebarwienia ramion podobne do siniaków sprawiły, że Dwight podejrzewał jej ojca, a później, gdy mężczyzna okazał się

niewinny, chorobę znaną pod nazwą purpura. Od czasu do czasu dawał jej lekarstwo na febrę, by oczyścić krew. Poza tym kazał jej siedzieć na dworze w pogodne dni i pić zimną wodę – choć Jacka Hoblyn stanowczo tego nie aprobował. (Mówił, że powinna się krzątać w domu. Praca usunie złe humory znacznie skuteczniej niż siedzenie przy drzwiach i wdychanie wilgoci i pary).

Później Dwight spotkał Teda Carkeeka (rana postrzałowa barku dawno się zagoiła i prawie odeszła w niepamięć), który przypadkiem wspomniał, że jego ojciec zginął na morzu. Rozstawszy się z nim, Dwight natknął się na Vercoe'a, brodatego celnika z St Ann's – dawniej służył w marynarce wojennej – który zapytał o ropień pod zębem swojej żony i opowiadał o życiu na pokładzie okrętu. Zaraz potem młody lekarz odwiedził Hoblynów i obejrzał dziąsła Parthesii. Wszystko stało się nagle jasne i przeklinał samego siebie, że był tak karygodnie ślepy. Apatyczni, pokryci czerwonymi plamami mieszkańcy Sawle, z krwotokami z nosa i żółtawą cerą, byli ofiarami szkorbutu. Choake, jeśli w ogóle odwiedzał wioskę, nie zauważał tego. Dwight również nie rozpoznał choroby, toteż ludzie cierpieli i byli leczeni w niewłaściwy sposób.

– Parthesio, zmienię ci lekarstwo. Myślę, że potrzebujesz zmiany, prawda? Nie mam przy sobie składników – zwrócił się do Rosiny, stojącej obok krzesła – ale uważam, że może pomóc siarka. A tak przy okazji, macie w wiosce jakieś świeże warzywa?

– Warzywa? Nie, panie. Jest tylko trochę kartofli. Warzywa pojawiają się dopiero w kwietniu, maju.

– Albo owoce. Szczególnie cytryny lub limony... Nie, oczywiście, że ich nie macie. Czasami sam nie jem świeżych warzyw i owoców. Nie moglibyście ich zdobyć w Truro?

– Są dla nas za drogie. Wydalibyśmy wszystkie pieniądze.

Dwight w zamyśleniu spojrzął w piękne oczy Rosiny.

– Taak. Mimo to muszę was namawiać, byście je zdobyli. To sprawa życia i śmierci. Pomogłyby Thesii znacznie bardziej niż wszystkie moje lekarstwa albo domowe sposoby twojej matki.

– Spytał ojca – odpowiedziała Rosina. – Może moglibyśmy coś sprowadzić, gdy do Truro wyruszy następna karawana mułów.

Dwight odszedł, zastanawiając się nad sytuacją. Hoblynowie, którym powodziło się stosunkowo dobrze, mogliby skorzystać z jego rady, ale co z resztą mieszkańców? Mieli takie same szanse zdobycia świeżych warzyw lub owoców jak żeglarze na środku Pacyfiku. Czy pomogą im mikstury z siarką i środki napotne? W najlepszym razie to tylko środki uśmierzające. Prawdopodobnie nawet nie. Taka sytuacja może doprowadzić do furii każdego lekarza. W medycynie często pojawiają się wątpliwości i rozczarowania, lecz istnieje niezawodne lekarstwo na szkorbut – i to lekarstwo jest niedostępne.

Dwighta nie stać było na dożywianie wieśniaków ani wybranych rodzin, kupowanie im warzyw i owoców.

Dwór w Trenwith ciągle stanowił domenę Thomasa Choake'a, ale Dwight niespodziewanie zaczął się opiekować panią Tabb, która kilka dni wcześniej upadła i mocno skaleczyła się w ramię, po czym nie zgodziła się, by opatrzył ją ktokolwiek inny niż doktor Enys. Poszła do domu młodego lekarza, ale później źle się poczuła, więc obiecał, że następnym razem przyjedzie, by oszczędzić jej jedenastokilometrowego marszu. Okazało się, że rana już prawie nie ropyje; zastosował maść z hiszpańskiej muchy, by powstrzymać rozwój infekcji. Zostawiwszy trochę maści na później, zszedł po schodach w towarzystwie Tabba i zobaczył w holu Elizabeth Poldark.

– Niezbyt często widzimy pana w naszym domu, doktorze.

– Nie, pani. – Uśmiechnął się. – Staram się nie odbierać pacjentów koledze.

– Mógłby pan nas czasem odwiedzić na gruncie towarzyskim, a nie zawodowym – odparła powoli.

– Dziękuję pani. Będę o tym pamiętał. Nie widziałem pani męża od spotkania w Bodmin.

– Francis wspominał o pana uprzejmości. Po zakończeniu procesu poczuliśmy wszyscy wielką ulgę... Wypije pan kieliszek wina?

Ruszyli w stronę salonu zimowego. „Gdyby wystarczał wyrafinowany gust, nasze życie małżeńskie byłoby idyllą” – powiedział Francis w czasie tamtej długiej nocy w Bodmin. Wyrafinowany gust? Czy to wszystko, co ta kobieta ma do zaoferowania? Jej dziewczęca, spokojna uroda zawsze chwyciła Dwighta za serce. Och, wiedział, że jest wrażliwy, ale...

W salonie, skulona przed dymiącym kominkiem, siedziała ciotka Agatha. Staruszka bez przerwy poruszała drżącymi dłońmi leżącymi na kolanach – przypominały parę pomarszczonych kretów szukających czegoś, czego nie da się odnaleźć. Jednak jak zawsze miała w sobie ducha witalności i spojrzała na Dwighta starymi, bystrymi oczami, gdy znów go przedstawiono. Naturalnie pamiętała, że spotkała go na chrzcinach córki Rossa – obecnie nie miała zwyczaju przyznawać się do zapominania czegokolwiek. Zawsze potrafi rozpoznać twarz adwokata. Prawnicy rzadko... Co takiego? Co takiego? Tak, doktora, właśnie to miała na myśli. Jak wygląda w tej chwili praktyka lekarska w Truro? Za jej młodych lat był tam niejaki doktor Seabright, który miał wielu pacjentów. Przepisywał świeży nawóz koński jako lekarstwo na zapalenie płuc. Mieszkał w miejscu, gdzie stoi teraz zajazd Pearce'a. Bardzo popularny lekarz, ale nabawił się nosacizny, gdy leczył konia. Zmarł przed upływem miesiąca.

– Ciotka Agatha nas nie słyszy, jest kompletnie głucha – powiedziała Elizabeth i podjęła rozmowę o banalnych sprawach związanych z okolicą.

Dwight poczuł się swobodniej – jak zawsze w towarzystwie sympatycznej kobiety

– i tylko od czasu do czasu niepokoiły go wspomnienia nocy w Bodmin. Pojawiały się w jego głowie jak fantasmagorie, wizje świata ze snu. Spokojne płomienie świec, widmowa twarz Francisa, gorzka i ściągnięta; nieprzyjemne zwierzenia, które najpierw Dwight chciał poznać, lecz później wolał o nich zapomnieć. W tym wszystkim przewijała się Elizabeth, kochana, ale niekochająca, Galatea, która nigdy się nie obudzi.

Może na twarzy Dwighta pojawił się cień, bo Elizabeth nagle zmieniła temat:

– Doktorze Enys, czy mogłabym pana o coś spytać? Na podstawie jednej z pańskich uwag zaczęłam podejrzewać, że mój mąż... że Francis próbował popełnić samobójstwo w czasie pobytu w Bodmin. Czy to prawda? Wie pan coś o tym?

Trudne pytanie. Zażenowany Dwight zerknął na staruszkę, która w dalszym ciągu na niego patrzyła, jakby słyszała każde słowo.

– Jak pani wie, pani mąż i ja dzieliliśmy pokój w Bodmin. W mieście panowało wówczas wielkie podniecenie, wielu ludzi zachowywało się lekkomyślnie i piło. Pan Poldark uległ ogólnej atmosferze. Długo... długo rozmawialiśmy, aż do późnej nocy. Myślę, że rozmowa pomogła mu w trudnym momencie. Moim zdaniem nie powinna się pani martwić.

– Pamiętam, że miałam półpasiec – rzekła ciotka Agatha. – Doktor Seabright dał mi kocią krew zmieszaną z krowim mlekiem, by smarować bolesne miejsce rano i wieczorem. I wodę z melasą na noc. Był małym, śmiesznym człowieczkiem, radosnym jak pszczołka.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie, doktorze Enys – rzekła Elizabeth.

– To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić. W tym hrabstwie krąży wiele wyjątkowo szalonych plotek i radzę pani je ignorować.

Elizabeth odwróciła się z błyskiem w oczach.

– Może nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy tu odcięci od świata, doktorze Enys.

– Nie... nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Nasi kuzyni z Nampary nie przyjeżdżają, nie stać nas już na przyjmowanie gości, a Francis rzadko jest w nastroju, by składać komuś wizyty. Może wyjaśni to panu, dlaczego muszę prosić o informacje obcą osobę.

– Byłoby mi przykro, gdyby tak mnie pani traktowała. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł pani w czymś pomóc albo wyświadczyć przysługę. Mam nadzieję, że będzie pani zwracać się do mnie we wszystkim, co uważa pani za stosowne.

– W tamtych czasach żaden dżentelmen nie ruszał się z domu bez szpady – ciągnęła ciotka Agatha. – Nie śmiał. Kiedyś widziałam rozbójnika wieszanego w Bargus. Przystojny mężczyzna w czerwonym kaftanie i kapeluszu ze złotą lamówką. Umarł bardzo dzielnie, spokojny i odważny do ostatniego wierzgnięcia.

Wtedy nie mógłby pan pojechać do Truro bez szpady, młody człowieku, ubrany, jakby się pan wybierał na pogrzeb.

– Mieszkam między Namparą a Mingoosie – rzekł Dwight podniesionym głosem.

– Tak, wiem, że dziś to łatwe. Podobno droga z Trenwith do Truro jest tak bezpieczna jak nasz ogród. Świat stracił całego ducha!

– Francis wspominał panu o ochłodzeniu swoich stosunków z bratem stryjecznym? – spytała Elizabeth.

– Wiem o tym, owszem.

– Uważa pan, że Ross doszedł do siebie po kłopotach?

– Zawsze mam wrażenie, że Ross jest jak wulkan – odparł Dwight. – Wygląda spokojnie, ale jutro może wybuchnąć. – Zauważył w jej oczach wyraz, który wydawał się oznaczać potwierdzenie. – Widuję Demelzę rzadziej niż dawniej – dodał. Była to prawda. Czasami wręcz miał wrażenie, że Demelza go unika, choć nie wiedział, z jakiego powodu.

– Gdzie jest Geoffrey Charles? – odezwała się ciotka Agatha. – Gdzie nasz chłopiec?

– Uważa pan, że są ze sobą szczęśliwi? – spytała Elizabeth.

– Wyrośnie z niego prawdziwy Tatar – ciągnęła starsza pani. – Nie ma jeszcze siedmiu lat, a już robi bezczelne psikusy. Dam mu dobre lanie. Każdy smarkacz powinien czasem poczuć kij na plecach.

– Niestety, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie – odrzekł Dwight.

– Była dla nas dobra w zeszłym roku – powiedziała Elizabeth. – Bez jej pomocy ktoś z nas mógł umrzeć. Czy może pan jej przekazać wiadomość ode mnie? Proszę jej powiedzieć... niech pan powie, że kiedyś spędziliśmy razem w Trenwith szczęśliwe Boże Narodzenie i że pragnę, by w tym roku znów przyjechali. Niech pan ją przekona, że naprawdę tego chcemy, potrzebujemy. Zrobi pan to dla mnie?

– Naturalnie.

– Może pan również by dołączył? Nie mamy specjalnych atrakcji do zaoferowania, ale...

Podziękował, powiedział, że będzie uszczęśliwiony, i się pożegnał. Wychodząc, ujrzał zbliżającego się Francisca, który szedł podjazdem od strony głównej bramy. Nie minęli się w bliskiej odległości, lecz Francis z ironicznym uśmiechem uniósł palec do czoła. Był ubrany w prosty, wiejski strój i miał zabłocone buty, ale wyglądał lepiej niż w czasie ostatniego spotkania w Bodmin.

Krótki dzień się kończył i Dwight powinien dotrzeć do wioski Grambler już po zmroku. Posępne morze, chwilami widoczne między stokami wzgórz, zasnuła już wieczorna mgiełka. Po niebie płynęły ciemne deszczowe chmury niczym postać zapowiadający długą noc.

Dwight dotarł do głównej drogi biegnącej nad wioską Grambler i zauważył przed sobą przysadzistą, krzywonożą postać. Był to Jud Paynter, który zdawał się

śpieszyć. Obejrzał się nerwowo, usłyszawszy końskie kopyta, ale kiedy poznał jeźdźca, jego zaniepokojona twarz się rozpogodziła.

– Dobry wieczór, Paynter – rzekł Dwight, przejeżdżając koło Juda, który uniósł rękę na powitanie.

– Ładna pogoda, panie. Ciepło jak na ten czas. Idzie letka zima.

Dwight udzielił kurtuazyjnej odpowiedzi, po czym poruszył wodzami, by jechać dalej.

– Panie...

– Tak?

– Wybaczta, panie, te prośbe, ale czy możesz jechać obok mnie aż do wioski Grambler?

– Jeśli jest jakiś ważny powód. To mniej niż kilometr.

– Kilometr to szmat drogi. Ano jest powód, jasne. Skradały się za mno dwa wielkie draby, co bardzo mi się nie podobały. Wcale a wcale, jakem Jud Paynter. Nie spieszno mi na cmentarz. Widział ich pan?

– O co chodzi?

– No o tym gadam. Siedze se w St Ann's, a obok mnie normalne ludzie, przyzwoite, rozsądne, szacowne, dobre, uczciwe, gdy nagle obaczyłem tych dwóch drabów, co gapili się na mnie, jak na święteczno gęś do upieczenia. Opryszki, myślę se. Abo inne gagatki. Lepiej wracać do chaty, bo nim się obejrze, poderżno mi gardło. Hańba! Kraj upada! – zawołał Jud. – Strach wyjść przed chałupę, coby nie napadli na człowieka zbiry! To naprzeciwno naturze, to nieuczciwe, to niedobre!

– Podejrzewali, że możesz mieć pieniądze?

– Ja?! – zdumiał się Jud. – Ni mam piniendzów. Jeno pare pensów, coby zapłacić za szklaneczkę rumu.

– To dlaczego ktoś chciałby cię obrabować? Dlaczego nie mnie? Sam mój koń byłby więcej wart.

Jud wzruszył ramionami.

– No tak bywa. Tak się dzieje w życiu. Może se myśleli, co łatwo im pójdzie robota, jak mnie capno. Tak, tak, złe ludzie polują na wdowy i sieroty.

– Jesteś wdową czy sierotą? – spytał Dwight.

– Kto, ja?! – zdziwił się Jud. – Sieroto, odkąd ociec i matka pomarli.

Posuwali się wolno do przodu. Dwight z trudem panował nad koniem, a Jud dyszał ciężko, usiłując za nim nadażyć. Dwight miał dostarczyć do wioski słoiczek z maścią, więc skręcił, a później znów wyprzedził Juda, gdy ten dotarł do swojej chaty. Przy drzwiach czekała Prudie.

– W końcuś wrócił, szpotawa świnio! – zawołała i w tej chwili poznała jeźdźca.

– Witajta, doktorze Enys! – dodała potulnie.

– Witaj, Prudie! Na pewno się cieszysz, że twój mąż wrócił bezpiecznie do domu.

– Domu, tak? Nie widziałam skurczybyka pare dni. Pewnikiem myśli, co może se

odchodzić i wracać, jak mu się spodoba. Plugawy stary dziad.

– Wiesz, gdzie byłem – rzekł Jud. – Dobrze wiesz, babo. Zarabiam pieniądze, cobyś leżała do góry brzuchem. Doktor wi tak samo jak ty, choć może udawać niewiniątko.

– Dobry rejs, co? – spytał Dwight.

– Bywało gorzej.

– Czy to dlatego śledzili cię ci ludzie?

– Co za ludzie? – spytała Prudie, wycierając rękawem czerwony nos.

Jud miał niewyraźną minę, gdy Dwight wyjaśniał, o co chodzi.

– To się rejsu nie dotyczy – powiedział. – Jest tak, jakem panu gadał. Opryszki szukają starego, bezbronno człeka, by go oskubać. Jak na świecie ni ma prawa i porzondku, powiadam...

– Nie wim, co on taki – rzekła Prudie. – Jak wrócił z Bodmin, lęka się wychodzić z chałupy po ciemku, lęka się swojego cienia. Krzykniesz „hu, ha”, a skacze jak wiewiórka.

– To nieprawda! To niesłuszne! Nie lękam się niczego, jeno tego, co trza się lękać! Nie jestem żadna wiewiórka, babo!

– To się dotyczy sądu – rzekła Prudie. – Bóg jeden wie, o co chodzi, ale pan tam był, syneczku, i może pan zmiarkuje. Jud był pijany, jak szedł na świadka, i dziwota, co go nie wtrącili do lochu!

– Ale co to ma wspólnego z tym, że teraz się boi?

– Właśnieżem to gadał, com się mało nie rozpękał od gadania! – powiedział gwałtownie Jud. – Co masz do żarcia, babo? Już mam dosyć tego trajkotu. Jakbyś się bardziej krzontała przy garach, a mniej trzepała ozorem, świat byłby lepsiejszy! Człek nie ma w chałupie ani chwili spokoju!

Dwight zrozumiał aluzję i pojechał dalej. Ściagał go głos Prudie, który przypominał trąby jerychońskie.

– Prawo nie prawo, wszystko przez ten sąd! Nie oszukasz mnie, stary capie! Jak jeno zachodzi słońce, skaczesz jak pchła na gorącej blasze! Coś się za tym kryje i jeszcze się wszystkiego dowim!

Kiedy Dwight po raz ostatni zobaczył Juda, dawny służący Poldarka wchodził z ponurą miną do chaty. Pośród zmierzchu płynęły groźby i upomnienia Prudie.

Rozdział trzeci

Broszka przyniosła siedemdziesiąt funtów. Właściciel lombardu oświadczył, że ceny spadły od chwili zakupu; poza tym w Kornwalii nie ma popytu na kosztowną biżuterię. Ross uznał, że nie mogą liczyć na lepszą cenę. Koń Demelzy, Caerhays, poszedł za trzydzieści pięć gwinei, a dywan za dziesięć. Ross się uparł, że nie sprzedadzą sukni. Bardzo dobrze, on trafi do więzienia, ona nigdy jej nie włoży, suknię zjedzą mole, aż wreszcie wyjdzie z mody, a poza tym jest już za szeroka w talii, bo Demelza schudła. Ross odpowiedział, że pójdzie do więzienia, ale nie sprzedaje sukni. Demelza poczuła z tego powodu ciepło i zadowolenie.

Później pozbyli się inwentarza. Sprzedali dwuletnie źrebię, Sikha, za dziesięć gwinei i dwie najlepsze krowy po czternaście gwinei za sztukę. Nie była to dobra pora roku na sprzedaż zwierząt gospodarczych. Ross dobijał targu z gorzką świadomością, że za trzy miesiące nabywcy będą mogli odsprzedać konia i krowy z zyskiem. Dostali dwa funty, dwanaście szylingów i sześć pensów za każde z dwumiesięcznych cieląt. Bez wołów orka stałaby się praktycznie niemożliwa, więc nie mogli się ich pozbyć. Sprzedali świnię i prawie cały drób. Jane Gimlett zalewała się łzami, a Jack Cobbledick unikał Rossa i Demelzy. Ross musiał zdobyć jeszcze dwadzieścia pięć funtów i wybrał się z Demelzą na spacer po majątku. Z całego żywego inwentarza, starannie gromadzonego przez siedem lat, została teraz jedna krowa, która miała się ocielić w kwietniu, jeden koń, para wołów, sześcioro kurcząt i kilka kaczek. W czasie spaceru przyjechał do Nampary Dwight z zaproszeniem od Elizabeth.

– Powiedz im... – zaczął Ross i umilkł, czując narastający gniew – że jesteśmy tak zajęci smakowaniem słodczy...

– Powiedz im... – przerwała pośpiesznie Demelza. – Ale przecież Dwight nie powinien być naszym posłańcem, prawda? Przyjmiesz zaproszenie, Dwight?

– Chyba tak. Samotne spędzanie Bożego Narodzenia nie jest zbyt przyjemne.

– Są gorsze rzeczy – zauważył Ross.

– Oczywiście wizyta w Trenwith byłaby znacznie przyjemniejsza, gdybyście tam przyjechali – dodał po chwili Dwight.

– Dziękujemy za komplement, ale nie możesz na to liczyć.

– Mimo wszystko mam pewną nadzieję, że skorzystacie z zaproszenia.

– Nie skorzystamy.

Niezręczne milczenie przerwał Garrick, który nagle wybiegł z za dworu i popędził przez dziedziniec niczym gigantyczny francuski pudel, machając kikutem ogona i wystawiając czerwony jęzor. Jak zwykle zachowywał się niegrzecznie. Dwight musiał odskoczyć na bok, a Ross miał na koszuli ślady ubłoconych łap.

– Problem z Demelzą polega na tym, że przygarnia dziwne zwierzęta, a później ich nie tresuje – rzekł Ross, próbując się oczyścić. – Któregoś dnia odwiedził nas sir Hugh Bodrugan.

Dwight się roześmiał.

– Sir Hugh nigdy nie okazywał, że chce mnie polizać po twarzy.

– Ciebie nie.

– Och, Ross, dlaczego nie moglibyśmy pojechać do Trenwith? – spytała Demelza.

Ross popatrzył na pusty dziedziniec.

– Mówisz poważnie?

– Wiem, że nie powinnam, ale... Nie warto za dużo myśleć o przeszłości. Jak można się od tego powstrzymać, skoro tak bardzo wpływa na terażniejszość?

– Powiedz im, że przyjedziemy, kiedy zaproszą Verity i Blameya, ale nie wcześniej.

– Myślę, że to się może wkrótce zdarzyć – powiedziała Demelza. – Francis pogodził się w Bodmin z Verity.

– W takim razie możemy się spotkać wszyscy.

– Ja też bym tego chciała – rzekła po chwili Demelza. – Ale gdybyśmy mieli zrobić pierwszy krok...

O Boże, jeśli moje bankructwo to dzieło Francisa (zresztą prawdopodobnie i tak by do niego doszło), może Demelza ma rację, pomyślał Ross. Często miewa rację. Verity chce, byśmy się pogodzili. Demelza również. I Elizabeth.

Myśl o Elizabeth obudziła w nim pragnienie, niemal potrzebę, by znów ją zobaczyć. Nigdy nie wyzwoli się z uczuć do niej, to coś fundamentalnego, może słabość, zapomniana, lecz ciągle ukryta w głębi serca.

– Cóż, zastanowimy się nad tym – powiedział. – W tej chwili najważniejsze jest dwadzieścia czy trzydzieści funtów. Może chciałbyś udzielić pożyczki pod zastaw hipoteki mojego majątku, Dwight? Byłaby to trzecia hipoteka, oprocentowana na sto procent rocznie. Pożyczanie pieniędzy to najlepszy sposób osiągania dobrych zysków.

– Mogę pożyczyć dziesięć funtów, to wszystko, co mam. Nie mogłyby zostać wykorzystane na lepszy cel.

– Jeszcze nie wszystko stracone, choć mamy chwile wątplenia. Pamiętasz Tregeagle'a, który musiał wybierać muszlą wodę z jeziora Dozmare? Ja robię coś przeciwnego.

Ruszyli. Dwight mówił o odkryciu szkorbutu w Sawle i rozmawiali na ten temat aż do powrotu do domu, gdzie John Gimlett naprawiał zawias okiennicy bibliotece.

– Jeśli brakuje ci torfu, możemy ci trochę dać – powiedział Ross. – Mamy zapas na prawie dwa lata.

Garrick, który okazał już przepelniającą go radość, odbiegł pędem, po czym wrócił, trzymając coś w pysku. Okazało się, że to tylna połowa truchła królika, którą złożył u stóp Demelzy.

– Uciekaj! – zawołała z niesmakiem. – Okropny pies! Zabierz to stąd!

Ross podniósł szczątki zwierzęcia i cisnął je za strumień, a pies popędził za nimi.

– Zastanawiam się, ile można by dostać za Garricka na wolnym rynku – rzekł. – Wielki kundel. Mięsożerny. Walczy z bykami i pilnuje dzieci. Doskonale łamie sadzonki i wykopuje kwiaty. Skutecznie tłucze porcelanę. Czasem ma cuchnący oddech. Rezultaty gwarantowane.

Dwight się roześmiał.

– Będziesz mógł zatrzymać Gimlettów? – spytał, gdy weszli do dworu.

– Nie odejdą. Możemy ich żywić, a tylko na tym im zależy. I nie mogę pracować na farmie bez Cobbledicka.

– Moje dziesięć funtów należy do ciebie, jeśli na coś się przyda – powiedział Dwight. – Mówię poważnie.

– Mówiąc poważnie, musimy sprzedać zegar i kilka mebli, Demelzo – odparł Ross. – Są także pistolety ojca i stary teleskop.

A zatem wszystko zatoczyło krag, pomyślała Demelza. Trzy lata temu spędziliśmy Boże Narodzenie w Trenwith. Kolejny taki dzień, pochmurny i cichy. Byłam wtedy taka przerażona, że prawie nie wiedziałam, co mówię. Pomywaczka jadąca z wizytą do ziemian. Teraz wszystko się zmieniło. Jestem zdenerwowana, ale nie w taki sposób. Są biedni. Równie biedni jak my – Francis pracuje we własnym majątku, a Elizabeth... Elizabeth przestała być groźna, jest mi wdzięczna za to, co się stało w poprzednie Boże Narodzenie. Nie ma tam kochanej Verity. Nie boję się, że popełnię gafę albo zrobię z siebie idiotkę. A jednak nie jestem taka szczęśliwa jak wtedy. Dziwne, że spodziewam się kolejnego dziecka i znów ukrywam to przed Rossem, choć z innego powodu... To już czwarty miesiąc, tak samo jak ostatnim razem.

– Pamiętasz, jak kiedyś szliśmy tą drogą? – spytała. – Garrick biegł za nami i kładł się, gdy mu kazaliśmy, udając, że zamierza nas posłuchać.

– Tak – odrzekł Ross.

– A pamiętasz, jak spotkaliśmy Marka Daniela, który wziął Garricka za ucho i odprowadził do domu? Słyszałeś coś o Marku, Ross?

– Nie wiem, co się z nim dzieje po wybuchu rewolucji. Paul ostatni raz widział go w Roscoff.

– Nie sądzisz, że mógłby bezpiecznie wrócić do Anglii?

– Nie. Jeśli sytuacja we Francji się pogorszy, powinien popłynąć do Irlandii albo Ameryki. W Anglii nie miałby spokoju nawet pod przybranym nazwiskiem.

Poprzednim razem przy drzwiach powitała ich Verity. Dziś Demelza zauważyła chwasty rosnące na podjeździe, wysoką trawę pod drzewami, załatane okno i niepomalowaną bramę prowadzącą do sadu. Tabb wprowadził ich do wielkiej, pustej sieni, z której ścian chłodno spoglądały stare, wyblakłe oblicza Trenwithów w szkarłatnych i brązowych szatach. Kiedy zdjęli płaszcze, z salonu zimowego wyszła Elizabeth.

Demelza z zaskoczeniem spostrzegła, że żona Francisa nosi suknię z jaskrawoczerwonego aksamitu z kaskadami pięknych koronek. Poprzednio miała ją na sobie na chrzcinach Julii. Nie wspomniano, że ma to być przyjęcie, a Demelza czuła, że w obecnej sytuacji ci dobrze wychowani ludzie uznają wszelką ostentację za oznakę złych manier, toteż przyszła w sukni popołudniowej.

Zatem ciągle jest zainteresowana Rossem, pomyślała, czując ukłucie zazdrości. Wdzięczność dla mnie absolutnie niczego nie zmieniła. Powinnam się tego domyślić. Mimo to podeszła z uśmiechem do Elizabeth, a ta serdecznie ją powitała. Zbyt serdecznie, natychmiast pomyślała Demelza. Nie była tak samo szczerą jak rok wcześniej, gdy chorowała. Jakaż byłam głupia...

Francis nie powitał ich w holu, ale kiedy zdjęli peleryny, wyszedł z wielkiego salonu. Na jego twarzy malowało się lekkie wahanie. Dwaj mężczyźni spojłali na siebie przez chwilę.

– Cóż, Ross... a więc przyszedłeś – zaczął Francis.

– Przyszedłem.

– To chyba dobrze. Cieszę się.

Wyciągnął niepewnie rękę. Ross ujął ją, lecz uścisk nie trwał długo.

– W przeszłości zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi – powiedział Francis.

– Najlepiej zapomnieć o przeszłości – odparł Ross.

– Bardzo tego pragnę. To gorzki temat.

Wymienili kilka pierwszych zdań, co oznaczało oficjalne wznowienie stosunków, i wydawało się, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Znowu pojawiło się skrępowanie.

– Przyszliście na piechotę?

– Tak. – Bolesny problem po sprzedaży Caerhaysa. – Zauważyłem, że Odgers w końcu zaczął remontować kościół w Sawle.

– Tylko dach. W ciągu ostatnich kilku miesięcy tak mocno padało, że członkom chóru woda kapała na głowy. Marzę, by ta przeklęta wieża w końcu się przewróciła. Kiedy stoję od strony północno-zachodniej, zawsze mi się wydaje, że jestem pijany.

– W przyszłości, gdy jeden z Poldarków znowu się wzbogaci, postaramy się coś z tym zrobić.

– Moim zdaniem przedtem kościół się zawali.

– Moja droga – rzekła Elizabeth, biorąc Demelzę pod rękę – bałam się, że nie zdołasz skłonić Rossa do przyjścia. Jak coś sobie postanowi, są niewielkie szanse, że zmieni zdanie. Ale może jesteś dostatecznie przebiegła, by na niego wpłynąć.

– Nie, nie jestem przebiegła – odparła Demelza. Rzeczywiście, nie jestem, pomyślała. Czy potrafię wspierać Rossa w czasie świąt, jak to robiłam przed trzema laty? Tym razem nie mam serca. Jestem zbyt nieszczęśliwa i zboląa, by o niego walczyć, skoro tego nie chce.

– Na kolacji będą moi rodzice, a także Dwight Enys – ciągnęła Elizabeth. –

Obawiam się, że nie będzie żadnych innych gości. Poprzednim razem, jak pamiętasz, pojawili się George Warleggan i Treneglosowie, a ty śpiewałaś urocze pieśni.

– Nie widziałam Treneglosów od wieków – odparła Demelza. Weszły do wielkiego salonu.

– Ruth spodziewa się w przyszłym miesiącu pierwszego dziecka. Jeśli urodzi się chłopiec, wszyscy będą bardzo podekscytowani. Podobno stary Horace Treneglos już planuje, jak zaopatrzyć wnuka. W dzisiejszych czasach nikt nie ma za dużo pieniędzy, ale kiedy ród istnieje od przeszło sześciuset lat... Oczywiście nasz ród jest starszy.

– Poldarkowie?

Elizabeth się uśmiechnęła.

– Nie, przepraszam. Miałam na myśli własną rodzinę, Chynowethów. Nasza genealogia sięga dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Ross, kiedy widzę cię w tym salonie, przypominają mi się dawne czasy.

– Czuję się jak w dawnych czasach – odparł enigmatycznie Ross.

– Najlepiej, żebyśmy zapomnieli o przeszłości – rzekł Francis, zbliżając się z kieliszkiem w ręce. – Wypijmy za przyszłość. Na pewno nie może być gorsza od tego, co było. A przeszłość niechaj idzie do diabła. – Uśmiechnął się, patrząc Demelzie w oczy.

Demelza powoli pokręciła głową i również się uśmiechnęła.

– W przeszłości było mi dobrze – odpowiedziała.

Posiłek również nie był taki jak dawniej, choć od dwóch lat nie jedli nic równie dobrego. Podano szynkę, ptactwo i gotowaną baraninę z sosem kaparowym, a na deser ciasto, galaretkę porzeczkową, placek z mirabelkami, babeczki z kremem, budyniem i dżemem.

Demelza nigdy wcześniej nie widziała rodziców Elizabeth i była zdumiona. Jeśli tak wyglądają ludzie o genealogii sięgającej 971 roku, lepiej pochodzić z rodziny, o której przodkach można zapomnieć. Pan Chynoweth, chudy i żylasty, miał skłonność do dziwnych, pompatycznych manier, które sugerowały przesadne pretensje. Pani Chynoweth wyglądała okropnie – korpulentna, z grubą szyją

i jednym okiem pokrytym bielmem. Demelza nie widziała jej przed chorobą i nie miała pojęcia, skąd wzięła się olśniewająca uroda Elizabeth. Szybko się domyśliła, że państwo Chynowethowie są niezadowoleni z życia. Ułożyło się nie po ich myśli i mieli o to pretensje do losu. Demelza wolała ciotkę Agathę, mimo jej wąsików i śliny cieknącej z kącików ust. Staruszka nie tolerowała sprzeciwu, ale jej rozmowy miały w sobie witalność i energię. Szkoda, że nikt nie spisał jej wspomnień i przypadną po jej śmierci, na zawsze zagubione w otchłani przeszłości.

Po obiedzie, ku przerażeniu Demelzy, choć powinna była pamiętać, że to powszechny zwyczaj, damy opuściły jadalnię, pozostawiając mężczyzn, by gawędzili i pili porto. Demelza nie wyobrażała sobie bardziej przerażających towarzyszek niż Elizabeth w jej obecnym nastroju, ciotka Agatha i pani Chynoweth. Poszły schodami na górę do sypialni Elizabeth, paplały przed lustrem, poprawiały włosy i po kolei odwiedziły hałaśliwy przybytek w korytarzu – Demelza uważała go za znacznie gorszy od wygodki w Namparze. Elizabeth poprawiła koronkowy czepek ciotki Agathy, a pani Chynoweth zauważyła, że nowa londyńska moda jest przyzwrotna. Ciotka Agatha powiedziała, że ciągle ma gdzieś receptury na kosmetyki do pielęgnacji twarzy, pomadki, szminki do ust, bielidła i wodę perłową; może je znaleźć dla Demelzy przed jej odejściem. Elizabeth zauważyła, że Demelza jest bardzo milcząca; czy dobrze się czuje? Demelza odparła, że doskonale. Pani Chynoweth zerknęła na nią od niechcienia, jakby domyśliła się sekretu, i powiedziała, że według nowej mody talia powinna być podwyższona prawie pod pachy, a suknia opadać pionowo do podłogi; im mniej nosi się pod spodem, tym lepiej. Demelza usiadła na łożu z drzewa różanego z różowymi pikowanymi kotarami z satyny, poprawiła podwiązki i pomyślała, że Ross miał rację, nie powinni tu przychodzić bez Verity. Z nią wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, to moja maskotka, przynosi mi szczęście. Jestem dziś nudna i nie pomaga nawet porto, więc Elizabeth wygląda lepiej. Ma śliczne lśniące włosy, szczupłą kibić, wielkie szare oczy, wykształcony głos, wdzięk i dumę. Jak wytrzymam resztę wieczoru i cały jutrzejszy dzień?

Na parterze wypito dwie kolejki porto, a Jonathan Chynoweth, człowiek z upokarzająco słabą głową, wydawał się senny i mówił niewyraźnie. Dwight, który nigdy nie miał dość pieniędzy, by regularnie pić, był świadomy swoich słabych stron, toteż sączył wino po kropelce. Oczywiście dwaj bracia stryjeczni nawet nie zauważyli, że zdążyli już coś wypić.

– To ostatnie trzy butelki porto z osiemdziesiątego trzeciego roku – rzekł Francis do Rossa. – Dużo ich wtedy kupiłeś?

– Nie miałem wtedy pieniędzy. Dopiero co wróciłem z Ameryki, a dwór był w ruinie. Moje najstarsze porto pochodzi z zeszłego roku. Kiedy się skończy, będziemy się musieli zadowolić tanim ginem.

Francis prychnął z niezadowoleniem.

– Pieniądze... Ich brak zatruwa nam obu życie. Czasami mam ochotę obrabować bank. Zrobiłbym to, gdyby należał do Warlegganów i gdybym zdołał uniknąć szubienicy.

Ross zerknął od niechcienia na kuzyna.

– Dlaczego się z nimi pokłóciłeś?

Było to pierwsze pytanie, które dotykało natury ich stosunków. Francis natychmiast zdał sobie sprawę z jego wagi i niemożności udzielenia wyczerpującej odpowiedzi. Jednak nie mógł stworzyć wrażenia, że się wykręca.

– Zrozumiałem, że trafnie ich oceniasz.

Zapadło milczenie. Zegar wybijał godzinę. Metaliczne wibracje rozlegały się w salonie jeszcze przez długi czas, jakby szukały drogi wyjścia.

Francis narysował zębami widelca trzy linie na obrusie.

– To... dociera do człowieka powoli. Prawie nie zauważa się pewnych rzeczy, aż nagle budzi się rankiem i wie, że ktoś, z kim od wielu lat się przyjaźni, to... szubrawiec i... – Machnął ręką. – To wszystko!

– Przeniosłeś swoje rachunki do innego banku?

– Nie. Muszę przyznać, że zachowali się przyzwoicie. Byłem na tyle nieprzyjemny, że George się wściekł, ale nie podjął żadnych kroków.

– Na twoim miejscu przeniósłbym rachunki.

– Wykluczone. Nikt nie przyjmie moich długów.

– Posłuchajcie – rzekł z zażenowaniem Dwight. – Wypiłem trochę wina, ale jeśli chcecie dyskutować o prywatnych sprawach finansowych...

– Na Boga, długi nie mają w sobie nic prywatnego! – przerwał Francis. – Są własnością publiczną. To jedyna pociecha... Tak czy inaczej, nie mam przed panem tajemnic, doktorze.

Butelka przechodziła z rąk do rąk.

– Ale, ale, co właściwie zrobiła Demelza z kłaczą Bodrugana? – spytał Francis.

– Zrobiła z nią coś? – odezwał się ostrożnie Ross.

– Tak. Spotkałem go dziś rano i był w siódmym niebie, bo jego ukochana Saba zdrowieje. Nie wiedziałem nawet, że choruje. Powiedział, że to zasługa Demelzy. Mam na myśli powrót do zdrowia, a nie chorobę.

Butelka dotarła do Rossa.

– Demelza ma szczęśliwą rękę do zwierząt – rzekł wyniośle. – Bodrugan przyjechał i poprosił ją o pomoc.

– Co dolegało kłaczy? – zapytał Dwight.

– Musisz spytać Demelzę – odparł Ross. – Na pewno wytłumaczy.

– Kłótnie z War... Warlegganami to kiepski interes – zauważył pan Chynoweth. – Bardzo wpływ... wpływowi ludzie... Macki...

– Jakiej elokwencji nabrałeś ostatnio, teściu... – rzucił Francis.

– Co?

- Należę ci jeszcze jeden kieliszek, a później możesz się wygodnie zdrzemnąć.
- Od roku usiłują kupić udziały w Wheal Leisure – powiedział Ross.
- Nie wątpię. Interesują się każdym zyskownym przedsięwzięciem, zwłaszcza należącym do ciebie.
- Wheal Leisure nie należy do mnie. Bardzo tego żałuję.
- Jesteś największym udziałowcem. Udało ci się połączyć Wheal Leisure ze starymi wyrobiskami kopalni Trevorgie?
- Nie. Przestaliśmy drążyć tunel w czasie deszczów, a potem wznowiliśmy pracę. Myślę, że pozostali udziałowcy nie zgodzą się na dalsze wydatki.
- Są tam gdzieś bogate żyły.
- Wiem. Ale płace górników rosną. W księdze kosztów robi się z tego duża suma.
- Pamiętasz, jak kiedyś zeszliśmy razem do starej kopalni, Ross? Mam wrażenie, jakby to było wczoraj. W Trevorgie i Wheal Grace są pieniądze. Czułem to tego dnia.
- Zanim zarobi się pieniądze, trzeba je najpierw zainwestować. To jedna z podstawowych zasad górnictwa.
- Miedź i cyna znów podrożały – zauważył Dwight. Wziął podaną butelkę i z przyjemnością dotykał jej zimnych ścianek. – Myślicie, że jest jakaś szansa na ponowne otwarcie kopalni Grambler?
- Absolutnie żadnej – odparł Francis. – Niech pan opróżni swój kieliszek, nie dotrzymuje pan nam kroku. – Popatrzył na Rossa, którego szczupła, niespokojna twarz nawet się nie zaczerwieniła. – Znasz starego Freda Pendarvesa. Od miesiąca prowadzi poszukiwania w moim majątku. Pomaga mu Ellery. Nawet gdyby Ellery miał dożyć osiemdziesiątki, nikt nie zrobi z niego farmera ani nie nauczy go odróżniać, gdzie krowa ma pysk, a gdzie zad. To urodzony górnik, podobnie jak terier to urodzony myśliwy. Mam nadzieję, że we dwóch znajdą jakieś złoża, które da się eksploatować. W głębi duszy jestem taki sam jak Ellery: mam górnictwo we krwi. Chcę znów prowadzić kopalnię, a nie zajmować się orką albo pędzeniem świń na targ. Potrzebne mi to do życia.
- Jonathan Chynoweth, śpiący z głową opartą o fotel, chrapnął lekko.
- Pędzeniem świń na targ, o tak – powtórzył Francis.
- Ross pomyślał, że od chwili powrotu z Ameryki stale miał jakieś powody do kłótni z Francisem, ale gdy go spotykał, mimo woli zastanawiał się, czy warto się kłócić. Kuzyn potrafił go ująć, zawsze tak było – jego ironiczne poczucie humoru sprawiało, że zapominał o goryczy i podejrzeniu zdrady. Może sympatia w dalszym ciągu była obopólna, bo po jego przybyciu Francis wyraźnie się rozpogodził.
- Nie chcę cię zniechęcać – odezwał się Ross – ale nawet dziura w ziemi kosztuje pieniądze. Chyba że można zbierać rudę miedzi z powierzchni ziemi, jak to robiono na wyspie Anglesea...

– Ja... mam trochę gotówki – odparł Francis. – Kilkaset funtów. Może wystarczyć. Tak czy inaczej, właśnie na to je przeznaczam.

Kiedy Francis zaproponował Demelzie pomoc finansową w razie wyroku skazującego w Bodmin, Ross uznał to za figurę retoryczną. Ale prawda okazała się inna. Człowiek bliski bankructwa dysponował gotówką.

– Czy zdołali już coś znaleźć?

– Och, mnóstwo śladów. Ruda jest wszędzie, jak sam wiesz. Ale nie mogę ryzykować. Potrzebuję rozsądnego planu. Co sądzisz o *virgula divinatoria*? To podobno pewny sposób sprawdzenia, gdzie pod ziemią jest metal.

– Nazwa robi wrażenie. Znasz angielski odpowiednik, Dwight?

Pan Chynoweth poruszył się i obudził.

– Gdzie ja jestem?

– W łóżku ze swoją żoną, staruszką – odpowiedział Francis. – Uważaj, żebyśmy nie wykorzystali sytuacji.

Pan Chynoweth zamrugnął, ale był zbyt oszołomiony, by się obrazić. Wyciągnął rękę w stronę kieliszka, lecz zanim go ujął, głowa znów opadła mu na piersi.

– Rozumiem, że to coś w rodzaju różdżki do poszukiwania wody – wyjaśnił Dwight. – Nawet gdyby coś wskazała, można by wydrążyć sztolnię i znaleźć ołów zamiast miedzi. Myślę, że byłoby to duże rozczarowanie.

– Albo stary cynowy kocioł – dodał Ross.

– Masz szczęście, że w twoim majątku jest Wheal Grace i Wheal Maiden – zauważył Francis. – My mieliśmy tylko kopalnię Grambler. Pochłonęła całą naszą energię i wszystkie pieniądze.

– Dwie zrujnowane kopalnie – odparł Ross i przypomniał sobie to, co Mark Daniel powiedział o Grace: „Bardzo zasobna kopalnia... Nigdy nie widziałem lepszej żyły”. – Ich ponowne otwarcie kosztowałyby więcej niż założenie nowej kopalni – dodał.

Francis westchnął.

– Cóż, przypuszczam, że zajmujesz się teraz tylko Wheal Leisure.

– Ulokowałem w niej wszystkie pieniądze.

– A zatem skupiasz na niej całą uwagę, prawda? Wykorzystam *virgula divinatoria* albo mądrość starego Freda Pendarvesa. Niech pan mi poda porto, Enys. Nie korzystaj pan z jego dobrodziejstw.

Rozległo się pukanie do drzwi i do salonu wszedł Tabb.

– Za przeproszeniem, panie, jest tu człowiek, który pyta o doktora Enysa.

– Jaki człowiek?

– Z Killewarren, panie. Myślę, że chce, by doktor Enys pojechał do chorego.

– Och, niech przekaże Penvenenom, że powinni chorować w bardziej dogodny dzień!

Dwight odsunął krzesło.

– Gdyby zechcieli mi panowie wybaczyć...

– Nonsens! – przerwał Francis, dolewając sobie porto z taką energią, że w kieliszku utworzyła się piana. – Jeśli musi pan porozmawiać z tym jegomościem, proszę go tu zaprosić. Zobaczmy, czego chce.

Tabb zerknął na Dwighta, po czym wyszedł i przyprowadził niskiego człowieka w czarnym stroju. Wyglądał na oficjalistę. Nie zorientowali się, że zaczęło padać, z płaszcza gościa kapłała na dywan woda.

– Och, Myners – odezwał się Francis. – Co się stało w Killewarren? Niski mężczyzna spojrzał na Dwighta.

– Doktor Enys? Pojechałem do pańskiego domu, ale powiedziano mi, że jest pan tutaj. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Chce się z panem zobaczyć panna Penvenen i wysłała mnie, bym pana sprowadził.

– Panna Caroline Penvenen?

– Tak, panie.

Więc jest ciągle w Kornwalii... Na pewno jej mops znowu dostał konwulsji.

– Nie ma własnego lekarza?

– Ma, panie, ale prosiła, żebym sprowadził pana. Choruje od blisko trzech dni. Ma kłopoty z gardłem, które przysparza jej wielkich cierpień.

Przy stole zapadła cisza. Wiadomość zmroziła wszystkim krew w żyłach. Francis zapomniał o swojej niefrasobliwości, a Dwighta opuściło zniecierpliwienie. Krup, który zaatakował w zeszłym roku obie rodziny, prawie przestał się pojawiać w okręgu. Jeśli znowu wybuchnie epidemia...

– Jakie są objawy? – spytał Dwight.

– Dobrze nie wiem, panie. Jestem tylko rządcą. Ale pan Ray Penvenen powiedział, że jest śmiertelnie chora i że muszę pana sprowadzić.

Dwight wstał.

– Pojadę natychmiast. Zaczekaj i wskaż mi drogę.

Rozdział czwarty

Majątek Penvenenów rozciągał się na tyłach wioski Grambler, ale dwór, Killewarren, miał główną bramę w pobliżu Goon Prince i znajdował się w odległości pięciu kilometrów od Trenwith.

W salonie nie było słyhać deszczu, bo padała bezszelestna mżawka niesiona lekkim południowo-zachodnim wiatrem. Jednak moczyła jeźdźców bardziej niż zwyczajny deszcz, a noc była tak ciemna, jakby znajdowali się w zamkniętym pomieszczeniu, a nie na otwartej przestrzeni. Nawet Myners z trudem odnajdywał trawiastą drogę prowadzącą do domu.

Prawie nie rozmawiali, bo droga często była zbyt wąska, by jechać obok siebie, i tak nierówna, że nieostrożny krok konia mógł oznaczać upadek. Perspektywa spotkania wysokiej dziewczyny budziła w Dwighcie mieszane uczucia: niepokój i lęk nie były wywołane tylko jej chorobą. Był bardzo zadowolony, że nie wypił dużo porto.

Nigdy nie widział domu Caroline – domu jej stryja – i kiedy skręcili w stronę bramy, spodziewał się ujrzeć kolejną elegancką rezydencję z epoki Tudorów, podobną do Trenwith, albo niewielki, lecz solidny dwór w stylu palladiańskim, jaki miał sir John Trevaunance, toteż zdziwił się na widok źle oświetlonego, brzydkiego, nieforemnego budynku przypominającego ogromną wiejską zagrodę. Przeszli przez ganek, wspięli się po schodach i podążyli wąskim korytarzem do dużego, zagraconego salonu, gdzie jasnowłosa, tęgi mężczyzna w zbyt obszernym surducie czytał książkę. Zdjął okulary, gdy wprowadzono Dwighta. Młody lekarz podszedł bliżej i zauważył, że czerwone powieki gospodarza są prawie pozbawione rzęs i że ma dłonie pokryte kurzajkami. Ray Penvenen, kawaler, niegdyś jedna z najlepszych partii hrabstwa, nigdy się nie ożenił.

– Doktor Enys? – spytał cienkim, dość melodyjnym głosem.

– Tak.

– Moja bratanica jest chora. Od dwóch dni zajmuje się nią doktor Choake, ale jej stan się pogorszył i nalegała, by posłano po pana.

Penvenen niezgrabnie schował okulary, a Dwight zastanawiał się, czy kiedykolwiek miewa czyste ręce.

– Czy doktor Choake wie, że mnie wezwano?

– Nie. Ostatnio widzieliśmy go dziś rano.
– Naturalnie zdaje pan sobie sprawę, że to bardzo utrudnia... – zaczął Dwight.
– Dobrze znam zasady etykiety lekarskiej, doktorze Enys, i nie ponoszę odpowiedzialności za ich naruszenie. Posłała po pana moja bratanica. Muszę przyznać, że jestem zaniepokojony. Bardzo cierpi, a choroby gardła mogą być takie niebezpieczne.

– Czy doktor Choake zdiagnozował chorobę?

– Tak. Ropień.

– Czy chora ma gorączkę?

– Niczego takiego nie zauważyliśmy. Ale prawie nie może łykać.

Poszli korytarzem, pokonali sześć stopni i skręcili w stronę południowego krańca domu. Penvenen zbliżył się do drzwi, przystanął i zapukał.

Znaleźli się w dużym, wyłożonym boazerią pokoju z kominkiem, w którym płonął ogień. Wiatr wiejący przez komin rozpraszał dym, a ozdobione chwościami kotary z błękitnego adamaszku poruszały się lekko od przeciągu wiejącego przez drzwi. Kiedy weszli, służąca, która siedziała przy chorej, wstała. Dwight zbliżył się do łóżka.

Jasnobrązowe włosy Caroline były rozpuszczone i opadały na ramiona. W lśniących szarzielonych oczach malował się lekki ból, ale uśmiechnęła się do Dwighta sardonicznie. Później skinęła dłonią, uniosła kołdrę i pokazała, że na niebieskiej poduszce śpi obok niej Horacy.

Dwight odwzajemnił uśmiech Caroline i zajął miejsce w fotelu, z którego wstała służąca. Zbadał puls dziewczyny. Był szybki, lecz nie na tyle, by sugerować poważny atak febry. Zadał kilka pytań, na które odpowiadała potakującymi lub przeczącymi ruchami głowy. Zauważył drżenie mięśni na szyi – połykanie sprawiało jej wyraźną trudność.

– Czy zechciałaby pani otworzyć usta, panno

Penvenen? Spełniła prośbę i zajrzał jej do gardła.

– Mogłabyś przynieść łyżeczkę? – zwrócił się do pokojówki. – łyżeczkę do herbaty. – Kiedy wyszła, spytał Penvenena: – Jaką kurację zlecił doktor Choake?

– Dwa razy puścił Caroline krew, prawda, moja droga? Duża dawka środków przeczyszczających i jakiś napar. Stoi tutaj. Poważna kuracja, co?

Caroline dotknęła swojego karku.

– Och, i duży kompres. To wszystko. Powiedział, że po prostu należy rozproszyć złe humory.

Dwight powąchał miksturę. Była to prawdopodobnie woda cynamonowa z dodatkiem szczypty proszku gaskońskiego oraz kilku innych składników. Pokojówka wróciła, a Dwight wziął łyżeczkę i usiadł na łóżku.

Lewa strona jamy ustnej była bardzo zaczerwieniona, lecz nie zauważył ropy. Stan zapalny obejmował języczek, podniebienie miękkie i gardło. Przynajmniej nie

było żadnych oznak choroby, której wszyscy się obawiali. Wyglądało to na typowy przypadek ropnia i nie mógł zrobić dużo więcej niż Choake. Dłonie i czoło Caroline wydawały się dość chłodne, co było jedyną nietypową oznaką. Wyraźnie czuła ból.

– Panie Penvenen, czy zechciałby pan przynieść świecę i potrzymać ją nieruchomo? Tu, w tym miejscu. Właśnie tak. Dziękuję. – Znow naciśnął język łyżeczką.

Penvenen miał świszczący, nieświeży oddech, jego gruzłowata dłoń leciutko drżała. Ze świecy spływały jedna po drugiej krople wosku i zastygały na srebrnej profitce lichtarza.

Po chwili Dwight puścił Caroline i wstał. Zauważył coś i poczuł dreszcz podniecenia. Penvenen również się wyprostował, zadowolony, że może zmienić pozycję. Poprawił surdut. Wszyscy patrzyli na Dwighta, który skupiał całą uwagę na zielonookiej dziewczynie w łóżku.

Odwrócił się plecami i powoli podszedł do kominka. Na gzymsie leżały rzeczy należące do Caroline. Aksamitna haftowana i zamykana na sprężynowy zatrzask szaszetka, złoty zegarek kieszonkowy, prawdopodobnie francuski, koronkowa chusteczka z jej monogramem w rogu, para nieprzemakalnych rękawiczek z psiej skórki. Sięgnął do kieszeni i wyjął etui, z którym nigdy się nie rozstawał. Kleszcze do wrywania zębów, szczypczyki, skalpel, małe nożyce. Wyjął szczypczyki. Za krótkie. Ale zdobycie narzędzia, którego potrzebował, zajęłoby półtorej godziny. Może się udać. Ma długie palce. A za godzinę opuchlizna może się powiększyć do tego stopnia, że nie da się nic zrobić.

Wrócił do łóżka.

– Czy zechciałby pan znow potrzymać świecę, panie Penvenen? Panno Penvenen, proszę się wyprostować i oprzeć głowę o drewniany zagłówek łóżka, a nie o poduszkę. Dziękuję. – Przez chwilę spoglądał jej prosto w oczy. Miał wrażenie, że patrzy w głąb dalekiego jeziora w pierwszych chwilach wiosny. – Pomogę pani, jeśli będzie pani siedzieć zupełnie nieruchomo. Nie wolno pani wykonywać gwałtownych ruchów. Może trochę boleć, ale postaram się zrobić wszystko bardzo szybko.

– O co chodzi? – spytał Penvenen. – Co pan chce zrobić?

– Naciąć mi gardło... – szepnęła Caroline.

– Nie, nie naciąć. Proszę, by siedziała pani nieruchomo. Czy to możliwe? Skinęła głową.

– Oczywiście.

Penvenen nie potrafił trzymać świecy nieruchomo. Płomień migotał i kołysał się; Dwightowi przeszkadzały kotary łóżka. Powstrzymał nagłą chęć, by je zedrzeć. W końcu światło znalazło się tam, gdzie chciał, i naciśnął język łyżeczką. Wsunął szczypczyki do ust. Czuł, że Caroline ma do niego całkowite zaufanie – otworzyła

szeroko usta i nie poruszała się.

Mimo wszystko okazało się to niezbyt trudne. Szczypczyki dotarły głęboko i przy trzeciej próbie mocno je na czymś zacisnął. Starał się nie zranić spuchniętego migdałka i po chwili wyjął obce ciało. W miejscu gdzie się znajdowało, pojawił się maleńki strumyczek krwi.

Wstał, omal nie wytrącając Penvenenowi świecy.

– Proszę teraz wypłukać usta. – Cofnął się, wezwał skinieniem pokojówkę, po czym podszedł do kominka, by obejrzeć to, co wyjął z gardła Caroline. Ciepłe, rozkoszne poczucie triumfu. Absolutne zadowolenie. Ale nie należało go okazywać.

Odwrócił się. Caroline wypluła trochę krwi i ropy.

– Lepiej? – spytał, mimo woli trochę zarumieniony.

Skinęła głową.

– Teraz pani stan zacznie się poprawiać. Nie mam przy sobie żadnych lekarstw, ale jeśli pójdzie ze mną pani służący, przygotuję płyn do płukania ust. Albo każdy aptekarz da pani jutro miksturę z miodu różanego.

– Co pan... – zaczął Penvenen i odchrząknął. – Co pan właściwie wyjął?

– Kiedy ostatnio jadła pani ryby, panno Penvenen? – spytał Dwight.

– Ja... – Zmarszczyła nos. – W środę.

– Powinna pani być bardziej ostrożna. – Pokazał kawałek ostrej ości, którą wyjął z gardła. – Utkwiła pani w podniebieniu i mogłoby dojść do komplikacji, gdyby pozostała tam dłużej.

Spędzili spokojny wieczór w Trenwith. Było przytulnie, lecz czuli się nieco osamotnieni. Deszcz odstraszył nawet kolędników. Grali przez jakiś czas w kadryla przy akompaniamencie pochrapywania pana Chynowetha. Po powrocie Dwight przebrał się w bryczesy Francisa, zasiadł do gry i wygrał wszystkie pieniądze. Nie opowiadał o wizycie w Killewarren, lecz Demelza widziała, że jest podekscytowany lub zadowolony. Podczas rozdawania kart bębnił palcami w poręcz fotela i miał dziwnie zarumienioną twarz.

Przez cały wieczór Francis starał się być szczególnie miły dla Demelzy, a kiedy postanowił zachowywać się sympatycznie, nikt nie potrafił być przyjemniejszym kompanem. Wydawało się, że próbuje zatrzeć wspomnienie dnia, gdy wyrzucił ją z domu. Demelza okazała wyrozumiałość i dobrą wolę, ale trochę niepokoiła się o Rossa, który w naturalny sposób poświęcał więcej czasu Elizabeth.

Gdyby Dwight nie był zajęty własnymi myślami i obserwował dwie rodziny Poldarków, taki rozwój sytuacji wydałby mu się wyjątkowo szczęśliwy. Psotny charakter Demelzy współgrał z ironicznym poczuciem humoru Francisa – towarzysko doskonale do siebie pasowali. A Ross i Elizabeth mieli ze sobą wiele wspólnego, co ułatwiło im nawiązanie romansu w młodości.

Tuż przed jedenastą pani Chynoweth pomogła swojemu ziewającemu małżonkowi położyć się do łóżka. Ciotka Agatha poszła spać wkrótce potem, lecz

Poldarkowie i Dwight Enys siedzieli w salonie aż do północy. Później policzyli sześciopensówki, wypili po szklaneczce gorącego ponczu i bezładnie ruszyli szerokimi schodami na górę. Demelza czuła się zmęczona i przejeżdżona. Szybko się rozebrała i weszła do łóżka, usiłując nie snuć sentymentalnych wspomnień na temat swojej ostatniej wizyty w tym domu. Ross siedział przez chwilę na łóżku, mówiąc o wspólnie spędzonym wieczorze, po czym przypomniał sobie, że zostawił fajkę w salonie zimowym, gdzie jedli kolację. Wziął świecę i podążył przez ciemny dom, rozpraszając mrok panujący wśród starych murów. W szparze pod drzwiami salonu zimowego lśniło światło. Kiedy wszedł do środka, zobaczył Elizabeth sprząającą resztki wieczornego posiłku.

Wytłumaczył, po co przyszedł.

– Myślałem, że wszyscy są już na górze – dodał.

– Emily Tabb boli ręka, a Tabb źle się poczuł. Nie możemy oczekiwać, że coś zrobią.

– Powinnaś poprosić gości. Tabbowie są pełni dobrej woli, ale nie mają pojęcia, jak prowadzić dom. – Zaczął zbierać talerze.

– Nie – odpowiedziała. – Nie chciałam zawracać wam głowy. Zajmie mi to tylko pół godziny.

– A zatem kwadrans, jeśli ci pomogę. Nie martw się, znam drogę do kuchni.

Uśmiechnęła się, ale dyskretnie, intymnie, po czym się odwróciła. Przez cały wieczór jej widok budził w nim niepokój. Delikatna biel ramion i szyi kontrastowała z głęboką czerwienią sukni, oczy miały nowy blask. Nie wykonała żadnego prowokującego gestu, ale w chłodny, wyrafinowany sposób rzuciła Rossowi wyzwanie.

Podążył za nią do dużej kuchni.

– Co się stało z Bartle'ami, kiedy od was odeszli?

– Mary jest na służbie w Truro. Bartle próbował znaleźć pracę w browarze, ale nie wiem, czy ją dostał.

– Poldarkowie nisko upadli – powiedział. – Na pewno żałujesz, że weszłaś do takiej rodziny.

Podniosła pustą tacę.

– Myślisz, że powinnam odpowiedzieć na to pytanie?

– Może uważasz, że nie powinienem tego mówić.

– Ach... Możesz mówić, co chcesz, Ross. Jeśli ktoś ma do tego prawo, to właśnie ty. Teraz nie obrażam się tak łatwo.

Wrócili do jadalni i ustawiali naczynia na tacy.

– Jestem zaskoczony, że Francis ma odłożone pieniądze – powiedział. – Dziwię się, że ich nie wydał na codzienne potrzeby.

– Nie chce ich wydawać na dom. To duża suma. Sześćset funtów.

– Warlegganowie o tym wiedzą?

– Dali mu te pieniądze.

– Co takiego?!

– To symboliczne zadośćuczynienie za to, co stracił, grając w karty z Sansonem. Uznali, że kompromitacja Sansona rzuca cień na ich rodzinę, i zaproponowali mu tę kwotę. Nie chce jej w tej chwili naruszyć. Nie wydał ani pensa.

Ross przesunął dłonią po włosach.

– To bardzo dziwne.

Kontynuowali sprzątanie. Kiedy ostatnie naczynia znalazły się w kuchni, Elizabeth powiedziała:

– Dziękuję za pomoc, Ross. Jesteś bardzo szlachetny i potrafisz wiele wybaczyć. Nie spodziewałam się...

– Wybaczyć?

Nie wyjaśniła, co miała na myśli.

– Ale oczywiście to już przeszłość, prawda? Jesteś bardzo szczęśliwy z Demelzą.

Zrozumiał, że postanowiła zmienić temat rozmowy. Oparł się o stojący z tyłu stół i patrzył na Elizabeth układającą talerze.

– Podoba mi się twoja suknia.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Trochę dorostaś od czasu, gdy się poznaliśmy – dodał.

– Trochę? Czuję się stara... stara.

– Wątpię, czy mówisz szczerze.

– Dlaczego?

– Masz lustro. Moje zapewnienia nie są potrzebne.

– Och, twoje zapewnienia nie byłyby niemiłe – odpowiedziała. Odwróciła się i zaniósła do kuchni jeden z półmisków.

Czekał, aż wróci.

– Gdybyś poprosiła Demelzę, chętnie by ci pomogła.

– Demelzę... Oczywiście. Tak, na pewno.

Chowała do szuflady czyste noże i widelce. Później wyciągnęła rękę w stronę szafki wiszącej na ścianie i próbowała ją otworzyć, ale drzwiczki się zaklinowały.

– Poczekał, pomogę ci – powiedział Ross i stanął za jej plecami. Położył dłoń na gałce i otworzył drzwiczki, a Elizabeth się cofnęła i wpadła na niego. Dotykali się przez chwilę, jej włosy musnęły mu policzek. Objął ją, jego ręka zatrzymała się na aksamitnej skórze ramienia. Czas stanął, oboje chłonęli to samo uczucie. Później Ross się cofnął.

– Dziękuję – powiedziała. Wzięła stół i wstawiła go do szafki. – Drewno pęcznieje od deszczu i wilgoci.

– Już skończyłaś? Musi być około pierwszej.

– Prawie. Możesz iść, Ross. Nie będziesz mi więcej potrzebny.

– Nigdy?

Zaśmiała się, choć trochę niepewnie.

– Cóż, nie przy sprzątanu.

Nie popatrzyła mu w oczy.

Kiedy Ross wrócił na górę, Demelza siedziała na łóżku i cerowała rozdarty koronkowy mankiet jednej z jego koszul. Poczł lekłą, absurdalną irytację, że nie śpi ani nie próbuje zasnąć, bo wtedy nie zauważyłaby, jak długo go nie było.

W istocie spostrzegła coś więcej, subtelną zmianę w jego twarzy. Natychmiast prawidłowo ją zinterpretowała i błędnie nadała jej zbyt duże znaczenie.

Ross przeszedł przez pokój, położył fajkę na stole i rozpiął surdut.

– Orka się opóźni od tych deszczów – powiedziała. – Ziemia jest wilgotna ciężka.

– Och, w przyszłym miesiącu może być kilka ładnych dni. – Ponieważ nie pytała, zmusił się, by dodać: – Elizabeth sprzątała jadalnię po posiłku. Pomogłem jej trochę.

– Powinna była mnie poprosić. Nie chciałam się narzucać.

– Sam jej to powiedziałem.

Naprawdę, Ross? Naprawdę? I co jeszcze?

– Kiedy zobaczyłam Elizabeth, żalowałam, że nie włożyłam lepszej sukni. Nie wiedziałam, że trzeba się wystroić.

– I tak wyglądałaś bardzo ładnie.

Jednak Elizabeth wyglądała ładniej.

– Cóż, cieszę się, że wasza rodzina się pogodziła. Ale będę zadowolona dopiero wtedy, gdy przyjadą także Verity i Andrew.

– Ja też. – Szybko się rozebrał i położył w łóżku obok Demelzy, która dalej cerowała.

Chyba musiało to kiedyś nastąpić, pomyślała. Elizabeth kokietowała Rossa, choć poślubiła Francisa. Później pojawił się ja i odebrałam go jej. Ale zawsze istniały jakieś więzy, niewidzialne nici, których nie można zerwać, a gdy jego zainteresowanie mną zaczęło słabnąć, było jasne jak słońce, że znowu będzie o niej myśleć. Elizabeth nie kocha już Francisa. Jej serce jest wolne, choć ciągle wiąże ją małżeństwo. Co teraz? Ross pobiegnie do niej na pierwsze skinienie. Nie chce mnie ani mojego dziecka. Chyba chcę umrzeć.

– Mam zgasić świecę? – spytała.

– Nie... światło mi nie przeszkadza. Zgaś ją, jak skończysz.

– Jeszcze tylko jedna nitka. Musiałeś o coś zacześć.

– Moje koszule są koszmarnie znoszone.

Sto drzwi zamkniętych miłość w lot przebywa ⁴, pomyślał. Gdyby Elizabeth pojechała do Londynu albo do Bath, miałaby u stóp połowę tamtejszej śmietanki towarzyskiej. A zamiast tego tkwi ze zbankrutowanym mężem w starodawnym dworze w Trenwith i nie ma nawet służby. Na pewno jest wściekła, że życie

przecieka jej między palcami. Skończyła dwadzieścia sześć lat. Może właśnie dlatego coś się zmieniło? Myśli o mnie.

– O czym myślisz, Ross?

– Hm? Och, o deszczu. Mellinsey bardzo szybko przybierze.

Co by się stało, gdyby Elizabeth mnie poślubiła? – pomyślał. Czy wszystko potoczyłoby się inaczej? Czy skończyłoby się inaczej? Jesteśmy niewolnikami swoich charakterów. Czy byłbym wtedy szczęśliwszy? Czy Elizabeth byłaby szczęśliwsza? Może nasze życie byłoby trudne, bo się różnimy.

– Cieszę się, że w Killewarren nie pojawił się krup – powiedziała Demelza.

– Zawsze będę się go śmiertelnie bała.

– Tak jak wszyscy.

– Poznałam w Bodmin pannę Penvenen. Ładna dziewczyna.

– Naprawdę? Gdzie ją spotkałaś?

– Była... przedstawiono nas któregoś dnia... Po powrocie Dwight wydawał się trochę wytrącony z równowagi. Myślę, że wpadła mu w oko.

– Nie jest przypadkiem zaręczona z Unwinem Trevaunance'em?

– Nie wiem. Szkoda, gdyby Dwight znów się w coś wpakował. To znaczy gdyby znów dokonał złego wyboru.

– Tak...

A co z młodą kobietą siedzącą obok niego, którą kochał z oddaniem przez cztery lata i w dalszym ciągu kocha? Dała mu więcej, niż mogłaby ofiarować Elizabeth: miesiące idealnego szczęścia, bezwzględne zaufanie (którego teraz nadużywał w myślach). Och, bzdury... Który mężczyzna czasem nie zerka w bok i czy można go za to winić, skoro to tylko zerknięcia? (Szansa była dobrą rzeczą). A skoro między nim a Demelzą pojawił się chłód, to ona wykonała pierwszy ruch, a nie on.

– Jak spędzałaś czas w Bodmin? – spytał. – Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Demelza się zawahała, lecz czuła, że to najgorszy moment na zwierzenia.

– Tak się martwiłam, że prawie nie pamiętam... Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie Verity, naprawdę.

– Tak – odparł sucho Ross. A zatem Demelza coś ukrywa. Dziwne, jeśli ona również kogoś poznała. Tylko kogo? W tym kipiącym tyglu prawie każdego w Kornwalii. Jednego z Trevaunance'ów? Odwiedzała ich przed procesem w jakiejś tajemniczej sprawie. Tłumaczyłoby to jej zainteresowanie Caroline Penvenen, to, że nie chce zdradzić, gdzie się poznały. Och, niemożliwe. Trevaunance'owie to nie tacy ludzie, z którymi lubiłaby się zadawać, oni z nią też nie... Poruszył się niespokojnie.

– Już skończyłam – powiedziała Demelza, położyła koszulę na stole i zdmuchnęła świecę.

Leżeli w milczeniu, słuchając plusku deszczu uderzającego o szyby. Demelza splotła dłonie na karku, ale nie było jej wygodnie, więc ułożyła je wzdłuż ciała. Jak

długo będę mogła to ukrywać? – pomyślała. Chyba jeszcze nic nie widać, ale wydawało się, że pani Chynoweth ma tak dobre oko, że wszystkiego się domyśla. Ross nie zwraca uwagi na takie rzeczy, ale jeśli pani Ch. coś podejrzewa, powie Elizabeth, która powie Francisowi, a ten może szepnąć słówko Rossowi. Tak czy inaczej, kiedyś musi się dowiedzieć. Trzeba poczekać, poczekać...

Pomyśl o tym, co dobre. Rossowi nie grozi katastrofa, w ciągu najbliższego roku nie trafi do więzienia dla dłużników, a jeśli będzie postępował zgodnie z prawem, nie grozi mu szubienica ani deportacja. Nie może uciec z Elizabeth. Nawet jeśli okaże się niewierny, jakie to ma znaczenie? Znudzi się nią, to kwestia kilku miesięcy albo lat. Elizabeth się zestarzeje, pomarszczy jej się twarz, będzie gruba i brzydka. Mnie też może to spotkać, to nawet bardziej prawdopodobne.

– Śpisz? – spytał.

– Nie.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Dobranoc, kochanie.

– Dobranoc, Ross – odpowiedziała.

Później znów zapadła cisza. Nikt jej nie przerywał. Demelza pograżyła się w myślach, próbując zapomnieć o bólu głowy. Jeśli urodzi się chłopiec, może się to okazać ważne, zmienić uczucia Rossa. Nazwiemy go Jan albo Humphrey – a nawet Ross.

Ale jeśli dziewczynka... wtedy nie będziemy mieć gotowego imienia.

Rozdział piąty

W ostatnim dniu starego roku Myners przywiózł wiadomość do stróżówki, gdzie Dwight eksperymentował z truciznami, by się przekonać, czy niewielkie dawki mogą mieć działanie lecznicze.

List, napisany na zielonym papierze, zapieczętowano arystokratycznym herbem. Brzmiał następująco:

Drogi Doktorze Dwight!

Ocaliwszy mi życie w Wigilię, zdaje się Pan nie interesować moim stanem zdrowia. Może zaciekawi Pana wiadomość, że całkowicie przyszedłam do siebie. Stryj i ja bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby zechciał nas Pan łaskawie odwiedzić w najbliższej przyszłości, by się o tym osobiście przekonać, oraz przyjąć honorarium i wyrazy wdzięczności za zręczność okazaną tydzień temu.

Pozostaję z szacunkiem

Caroline Penvenen

Dwight wpatrywał się w list, a później, po krótkich zmaganiach wewnętrznych, podszedł do sekretarzyka i napisał odpowiedź, by ją przekazać czekającemu rządcy.

Droga Panno Penvenen!

Bardzo się ucieszyłem na wieść o Pani wyzdrowieniu i chciałbym przekazać wyrazy zadowolenia. Prawdę mówiąc, po usunięciu ości spodziewałem się takiego rozwoju wypadków. Z pewnością odwiedziłbym Panią i prosił o wybaczenie, że wcześniej tego nie zrobiłem, ale jest Pani pacjentką mojego kolegi, doktora Choake'a, i byłoby to z mojej strony naruszeniem etykiety lekarskiej, gdybym w dalszym ciągu opiekował się Panią bez jego wiedzy i zgody. W tych okolicznościach nie mam wyboru i z żalem muszę zachowywać się tak, jakby Pani stan zdrowia był mi obojętny, choć tak nie jest.

Jeśli chodzi o kwestię honorarium, sama Pani wdzięczność byłaby hojną rekompensatą za niewielką usługę, którą miałem zaszczyt Pani wyświadczyć.

Pozostaję Pani posłusznym sługą

Dwight Enys

Kiedy Myners odjechał z listem, Dwight wrócił do swoich mikstur, lecz stracił zainteresowanie eksperymentami. Tak czy inaczej, mógł próbować tylko na własnym żołądku i czuł się niezbyt dobrze po zażyciu ostatniego lekarstwa, wyszedł więc do ogrodu, by się przekonać, czy pomoże mu świeże powietrze.

Po godzinie, gdy poczuł się lepiej, wrócił Myners z kolejnym listem, który brzmiał:

Drogi Doktorze Enys!

Uratowanie mi życia może się Panu wydawać drobnostką, lecz dla mnie, jak z pewnością Pan rozumie, sprawa jest znacznie istotniejsza. Naturalnie nie spodziewam się, by zmienił Pan zdanie, ale chciałabym Pana poinformować, że gdy nazajutrz przybył do nas doktor Choake, stryj go odprawił i od tego czasu jestem pozbawiona opieki lekarskiej.

Byłabym zobowiązana, gdyby zechciał Pan nas dzisiaj odwiedzić, i załączam gwineę, co jest najskromniejszą zapłatą, jaką mogę wynagrodzić Pańską wizytę w Wigilię Bożego Narodzenia.

Pozostaję z szacunkiem etc.

Caroline Penvenen

Dwight podszedł do sekretarzyka. Siedział przy nim, postukując w blat gęsim piórem. Dlaczego nie napisać prawdy? Zakochał się w tej dziewczynie – rozpaczliwie się zakochał. Ale ciąg wydarzeń był niepokojąco podobny do sprawy Keren, choć obie kobiety całkowicie się od siebie różniły. Jedna z pacjentek Choake'a – pilne wezwanie do nagłego przypadku – dziwne zauroczenie – nazajutrz zwolnienie Choake'a i wybór doktora Enysa na stałego lekarza. Jak dotąd wszystko rozwija się tak samo. Oczywiście Keren była mężatką, ale wszyscy wiedzieli, że Caroline obiecano młodszemu Trevaunance'owi. W pewnym sensie tym razem sytuacja jest groźniejsza, bo chociaż w końcu zakochał się w Keren, to ona pierwsza zaczęła go uwodzić. Teraz wszystko wygląda inaczej. Zbyt szybko angażuje się emocjonalnie – to on zakochał się w Caroline. Stwarza to wiele niebezpieczeństw, nie miał co do tego złudzeń. Chociaż był wykształconym lekarzem, dobrze wychowanym człowiekiem, Caroline górowała nad nim statusem społecznym, podobnie jak on górował nad Keren. Ray Penvenen miał majątek i pozycję. Bracia bywają swoimi przeciwieństwami i krążyły pogłoski, że Unwin Trevaunance, poseł do Izby Gmin i brat bezdietnego baroneta, jest wyjątkowym kobieciarzem. Stąd zwłoka w małżeństwie.

Czy powinien się wplątywać w romans z Caroline, świadomy własnych uczuć, pełen lęku i nieśmiałej nadziei, że ona czuje coś podobnego?

Ale jak się uwolnić, nie zachowując się jak gbur? Coś mu podszeptywało, że może to tylko jedna wizyta – Caroline wydawała się zdrową, młodą kobietą, która rzadko choruje. Miło byłoby znów ją zobaczyć i przyjąć podziękowania. Skoro nie

miął wstępu do wielu dworów w okolicy, bo ich właściciele korzystali z usług innych lekarzy; skoro nie dysponował reputacją ani doświadczeniem, by wzywano go w charakterze konsultanta – czy nie postąpiłby rozsądnie, zapominając o swoich uczuciach i przyjmując ofertę jednej z najbogatszych rodzin w hrabstwie? Czy inny lekarz wahałby się na jego miejscu?

On również by się nie wahał, gdyby nie pamięć o tragicznej śmierci Keren. Uświadomiła mu własne słabości i nierozważnie byłoby je lekceważyć.

Znów wziął do ręki pióro i napisał:

Droga Panno Penvenen!

Bardzo dziękuję za Pani drugi list. Przede wszystkim chciałbym Panią zapewnić, że jest mało prawdopodobne, iż uratowałem Pani życie. Z medycznego punktu widzenia można oczekiwać, że obce ciało z czasem samoistnie opuści krtań po pęknięciu czopu ropnego, choć sprawiłoby to Pani znaczny ból i przykrość. Ponadto pragnę Panią zapewnić, iż nie ośmieliłbym się przeliczać Pani dolegliwości na pieniądze, a udzielenie Pani pomocy stanowiło bardzo drobną niedogodność.

Poza tym wartość Pani życia lub zdrowia w tak oczywisty sposób nie da się wymierzyć w kategoriach materialnych, że pozwalam sobie zwrócić gwineę, którą łaskawie raczyła Pani dołączyć do listu.

Przybędę do Pani w sobotę przed południem.

Pozostaję Pani posłusznym sługą

Dwight Enys

Po nadejściu 1791 roku pogoda wcale się nie zmieniła i nic nie wskazywało, że zaczął się nowy rok. Sobota nie różniła się od piątku: niebo było szare, nie padało, lecz stale zanosilo się na deszcz. W piątek Dwight uległ nierozważnemu impulsowi, a w sobotę musiał dotrzymać słowa. Pojechał do Killewarren, ciągle targany wątpliwościami.

W świetle dnia dwór wyglądał równie brzydko jak w nocy. Chociaż Ray Penvenen był znacznie lepiej sytuowany od swoich sąsiadów, nie odwiedzał ani nie upiększał domu, by im zaimponować.

Caroline czekała w dużym salonie na piętrze. W pokoju wisały ciężkie kotary z czerwonego pluszu, a podłogę pokrywały ładne tureckie dywany. Caroline wydawała się bardzo wysoka, miała na sobie wciętą w talii bluzkę z dekoltem i szeroką, zieloną spódnicę. Horacy zaszczekał na Dwighta, lecz go uciszyła. Młody lekarz podszedł do okna, przy którym stała Caroline, i ucałował jej dłoń.

– Doktorze Enys, jak to miło, że wreszcie pan przybył – powiedziała. – Czekam od dwóch godzin, ale czas minął szybko, bo patrzyłam na ogród. Szczęśliwego Nowego Roku!

– Dziękuję... Ja również życzę pani szczęśliwego Nowego Roku, panno Penvenen. – Jak zwykle się zarumienił. – Przepraszam, że musiała pani czekać.

Kilku innych chorych zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Ale obiecałem przybyć przed południem, a jest dopiero jedenasta.

– Oczywiście inni chorzy okazali się ważniejsi ode mnie – rzekła słodko.

– Tylko dlatego, że to ciężkie przypadki.

– Był pan pewny, że ja nie jestem ciężko chora?

– Pani list na to nie wskazywał.

– Mogłam dzielnie ukrywać poważną chorobę, nie przyszło to panu do głowy?

Och, Boże, może nie jest pan jednak tak dobrym lekarzem, jak sądziłam.

– Nie jestem dobrym lekarzem. W tych stronach jest niewielu dobrych lekarzy, jeśli w ogóle jacyś są...

– Sądzi pan, że powinnam dalej korzystać z usług doktora Choake'a?

– Wolałbym nie rozmawiać na ten temat.

– Bardzo dobrze, wobec tego porozmawiajmy o mnie. Chciałby pan znowu zbadać moje gardło?

– Tak...

Przysunął się bliżej, a Caroline otworzyła usta. Ich twarze znajdowały się na tej samej wysokości i Dwight pomyślał, że ma co najmniej sto siedemdziesiąt cztery centymetry wzrostu. Obrócił jej twarz w stronę światła. Znow zauważył jasne piegi na nosie. Czuł pod palcami ciepłą, jędrną skórę.

– Proszę powiedzieć: „A”.

– Aaa... – powtórzyła Caroline.

– Tak, bardzo dobrze. Gardło jest już zdrowe. – Cofnął dłonie, ciągle zażenowany, ona zaś zamknęła usta i wybuchnęła śmiechem. – Co się stało? – spytał.

– Nic. – Wzruszyła nagimi ramionami, odwracając głowę. – Czasem zachowuje się pan zupełnie inaczej niż inni ludzie. Dziś dotyka mnie pan tak ostrożnie, jakbym była ostrzem szpady. Poprzednim razem zachowywał się pan bardzo obcesowo. „Proszę obrócić głowę w lewo”. „Proszę obrócić głowę w prawo”. „Proszę się nie ruszać!” „Proszę otworzyć usta i nie zamykać!” „Proszę mi podać łyżeczkę! Proszę poświecić! Teraz!”

Uśmiechnął się lekko, oblewając się rumieńcem.

– Była pani wtedy chora.

– Zatem trzeba być chorym, by wezwać lekarza, tak? Powinnam zemdleć albo dostać migreny?

Na parterze coś szurało i tupąło.

– Woli pani szorstkie zachowania lekarzy od zwykłej grzeczności?

Spojrzała przez okno, mrużąc oczy.

– Muszę przyznać, że lubię mężczyzn, którzy wiedzą, czego chcą. Dwightowi mocno zabiło serce.

– Mężczyzna może wiedzieć, czego chce, a jednocześnie znać swoje miejsce.

Nie odwróciła wzroku.

– Nie podejrzewałam, że może pan cierpieć na tę przypadłość.

– Cóż, teraz, gdy pani to odkryła, jaką kurację by mi pani zaleciła? Caroline odwróciła się od okna.

– Ach, coś do picia, naturalnie. Dobre wino to remedium na wszelkiego rodzaju kłopotliwe sytuacje. Proszę się nie niepokoić dźwiękami dochodzącymi z dołu. Pokój znajduje się nad stajnią, a nasze konie są niespokojne z powodu braku treningu.

Obserwował ją, gdy napełniała winem dwa kieliszki. Dziękował jej w duchu, że ma okazję, by zebrać myśli.

– Sądzę, że człowiek, którego pan podziwia, Ross Poldark, zawsze doskonale wie, czego chce – rzekła, wróciwszy z kieliszkami. – Kiedy podejmuje jakąś decyzję, wciela ją w życie z absolutną bezwzględnością i determinacją. Napije się pan madery?

– Ma pani rację co do Rossa. – Wziął kieliszek. – Dziękuję. Trafnie zwraca pani uwagę na jego determinację. Moim zdaniem jego żona wcale mu nie ustępuje pod tym względem.

– Poznałam ją. – Caroline westchnęła. – Na swój sposób dość urodziwa istota. Ale nie ma w sobie twardości męża, którego twarz sugeruje, że nie cofnąłby się przed niczym. Musi go pan kiedyś do mnie przyprowadzić. Moim zdaniem dostarczyłby mi rozrywki.

– Obawiam się, że będzie to trudne.

– Nie przybywa na każde skinienie jak lokaj. Albo lekarz. To chce pan powiedzieć? Cóż, nie spodziewałam się tego. Ale może uda się to zaaranżować. Ciasteczko?

– Nie, dziękuję.

Konie znów hałasowały. Caroline pochyliła głowę.

– To Świetlik. Poznaję jego tupanie. Lubi pan jeździć konno, doktorze Enys? Oczywiście dla przyjemności.

– Spędzam tyle czasu w siodle, jeżdżąc do chorych, że mam mało czasu...

– Musimy się któregoś dnia wybrać na przejażdżkę. – Dotknęła dłonią włosów. –

Dam panu znać. Mogę nawet spróbować oderwać pana od chorego. Jakiegoś naprawdę ciężkiego przypadku, a nie rybiej ości lub innej banalnej sprawy.

– Z pewnością pani rozumie – odparł niespokojnie Dwight – że zajmuję się ludźmi cierpiącymi na naprawdę poważne choroby, którzy budzą wiele współczucia. Skrofuły wśród niedożywionych dzieci, gruźlica wśród dorosłych, w tym roku wszędzie panuje malaria trzeciaczka, a w Sawle szerzy się szkorbut. Thomas Choake interesuje się głównie polowaniami i zamożnymi pacjentami, którzy mogą mu płacić. Leczę tylu ludzi, ilu mogę przyjąć, a reszta korzysta z porad niedouczonej, nieuczciwej aptekarzy albo starych kobiet, które gotują

szczurze ogony i sprzedają wywar jako eliksir. Czasami trudno zachować proporcję, proszę to zrozumieć.

– Tak, chyba mimo wszystko pana lubię – odezwała się z lekkim zdziwieniem po dłuższej chwili.

– To bardzo miłe. Doceniam ten zaszczyt. A teraz obawiam się, że muszę odjechać, bo powinienem odwiedzić jeszcze kilku pacjentów w okolicy. Czy mogłaby pani przekazać wyrazy uszanowania mojemu stryjowi?

– Proszę poczekać. Niech pan nie będzie taki oficjalny. Chciałabym zająć panu jeszcze pięć minut. Co to za choroby, o których pan wspominał? Interesują mnie. Co pan robi, gdy się pojawiają? Potrafi je pan leczyć? Myślę, że sama powinnam zostać lekarzem lub cyrulikiem. Nigdy nie czułam najmniejszej awersji do krwi.

– W przypadku skrofułów nie mogę prawie nic zrobić. Kiedy pojawiają się trujące humory, człowiek jest skazany na powolną śmierć. Dwóch chorych na gruźlicę zdrowieje, a czterdziestu umiera. Niewielu ludzi umiera na trzeciaczkę, ale często padają ofiarą innych dolegliwości wywołanych osłabieniem. W przypadku skorbutu mogę zrobić wszystko i nic. Lekarstwa są bezużyteczne, ale niektóre produkty dają prawie natychmiastowe wyleczenie. Jednak mieszkańcy Sawle nie mogą zdobyć tych rzeczy, więc krwawią i umierają.

– Jakie produkty? Owoce chlebowca z mórz południowych?

– Nie, podstawowe produkty żywnościowe. Świeże warzywa, owoce, mięso w dostatecznej ilości.

– Dlaczego ich nie kupują? Przypuszczam, że są zbyt biedni. Skorbut zdarza się na statkach, prawda? Tysiące marynarzy choruje na skorbut i po powrocie do kraju czuje się zupełnie dobrze.

– To zależy od długości rejsu. Wielu umiera.

– Nie mogą jakoś zdobyć tych produktów żywnościowych? Dlaczego mieszkańcy Sawle nie wydają mniej na gin? Mimo biedy oddają się pijaństwu. Dlaczego nie przemycają pomarańczy zamiast brandy, gdy płyną do Francji?

– Pomarańcze, jeśli w ogóle można je dostać, kosztują dwa i pół pensa lub trzy pensy za sztukę. Mięso jest bardzo drogie. Gin kosztuje sześć pensów za kwartę lub mniej. Są w końcu tylko ludźmi. Mimo to wielu nie pije, podobnie jak pani lub ja.

Skłoniła głowę.

– Dziękuję panu. Porównanie z tymi ludźmi to dla mnie wielki komplement... Ale, doktorze Enys, czy ratowanie biedoty ma jakiś sens? Mnożą się i mnożą, więc jest coraz więcej ludzi do wykarmienia. Przyznaję, że to smutne, gdy umierają, ale dzięki temu ich liczebność jest pod kontrolą i zostaje zachowana równowaga. Jeśli pojawia się nadmiar jedzenia, liczba ludności wzrasta, aż zaczyna go brakować. Kiedy dochodzi do takiej sytuacji, część umiera, by żywności wystarczyło dla reszty. Czy powinniśmy ingerować w naturalne procesy? Ach, widzę, że pana zaszokowałam.

– Tylko tym, że zakłada pani swoją odmienność od reszty ludzi i że stawia się pani ponad nimi.

Uśmiechnęła się słodko.

– Cóż, naturalnie, że różnię się od reszty ludzi! To nie cnota, tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Urodziłam się w rodzinie Penvenenów, więc jestem bogata i wykształcona. Gdybym była uboga i słaba, niewątpliwie umarłabym na jedną z pańskich wstrętnych chorób. Ale niech się pan nie spodziewa, że będę żałować, że tak się nie stało!

– Wygodne, ale niebezpieczne rozumowanie – odparł Dwight. – Czy to właśnie nie taka filozofia doprowadziła do rewolucji we Francji?

Nim Caroline zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do salonu wszedł Ray Penvenen. Dość serdecznie pozdrowił młodego lekarza, choć nie tak swobodnie jak bratanica. Dwight wyszedł po kilku minutach, zadowolony, że może odejść i wszystko przemyśleć. Przez cały dzień czuł nieznaną zapach Caroline, może bardziej w pamięci niż w nozdrzach. Nawet smak wina wydawał się obcy, wywoływał przyspieszone bicie serca. Pomyślał, że filozofia Caroline doskonale pasuje do kawalera w średnim wieku z wrażliwością stępioną przez pieniądze, lecz nie do dziewiętnasto- lub dwudziestoletniej dziewczyny. Potworne. Mówiła okropne rzeczy, ale nie mógł się uwolnić od jej obrazu. Nie było żadnej drogi ucieczki oprócz nadziei, że wkrótce zostanie żoną posła do Izby Gmin, przeniesie się do Londynu i zacznie prowadzić w stolicy dom otwarty. Nie zapomni o Caroline po jej wyjeździe, ale przynajmniej zniknie niebezpieczeństwo.

Ray Penvenen poprawił surdut, by lepiej leżał na ramionach.

– Słyszałem, że jutro przyjeżdża Unwin.

– Tak – odparła Caroline. – Na jakieś dwa tygodnie.

– Nie uprzedziłaś mnie.

– Myślałam, że zrobi to dziś rano sir John.

– W czasie swojego pobytu Unwin będzie oczekiwał od ciebie jasnej deklaracji.

– Sir John tak powiedział?

– Nie wprost. Dał to do zrozumienia.

Caroline z niezadowoloną miną uniosła spódnicę i usiadła w fotelu przy oknie.

– Petycji jeszcze nie rozpatrzono. Nie może się spodziewać, że poślubię posła do Izby Gmin, który nie wie, czy naprawdę jest posłem. Ma zbyt duże wymagania.

– Moja droga, oficjalnie nie wychodzisz za Unwina dla prestiżu i pozycji – odrzekł sucho Ray. – Małżeństwa zawiera się z miłości.

– Ach, miłości, tak. Słyszałam to słowo. Ale czy Unwin chce się ze mną ożenić, bo mnie kocha, czy dlatego, że pożąda dwudziestu tysięcy funtów, które ty i stryj William przeznaczycie na mój posąg? Spytaj go o to.

– Moja droga, to ty powinnaś go o to spytać, jeśli chcesz. – Penvenen zerknął na bratanicę, a później, przypomniawszy sobie jej charakter, dodał pośpiesznie: –

Może lepiej nie. Uprzedziłem cię tylko, że podczas jego wizyty może się pojawić pytanie o datę ślubu, i powinnaś się zastanowić, co odpowiesz.

– Ojej, ojej, to brzmi bardzo pompatycznie... Stryju, jestem bogata, ale dysponuję bardzo niewielką gotówką. Mam ochotę poczuć ciężar pieniędzy, ich brzęk w sakiewce, patrzeć na kolor złota. Przypuśćmy, że dałbyś mi trochę gotówki. Hm? Co ty na to?

Twarz Penvenena zawsze się zmieniała, gdy mówiono o sprawach finansowych.

– Nie mam nic przeciwko temu, by wypłacić ci jakąś kwotę, choć nie miałabyś na co jej wydać. Masz piękne stroje, doskonale się odżywasz i mieszkasz w ładnym domu, dysponujesz własną pokojówką i trzema dojeżdżaczami. Nie sądziłem... Ile chciałabyś dostać?

– Och... może pięćdziesiąt funtów?

Zabrzęczało szkło, gdy Penvenen chował maderę.

– Nie mówisz poważnie.

– Och, oczywiście, że poważnie. Dlaczego nie? To okrągła sumka, która wystarczy mi na pewien okres. W końcu jaki jest sens być bogatym, skoro nie można poszaleć od czasu do czasu?

– Nie mogę ci dać tak wielkiej sumy. Byłaby to ogromna strata, gdybyś zmarnotrawiła pieniądze na hazard. Wiesz, że jestem przeciwnikiem gry w karty; wystarczy kilka losów na loterii. Jeden może wygrać tak samo jak wiele.

Caroline uśmiechnęła się, spoglądając na swoje dłonie.

– Och, to nowy rodzaj hazardu, stryju. Wciągnął mnie i mam ochotę ulec kaprynowi.

Rozdział szósty

W następnym tygodniu przypadło kwartalne zgromadzenie wspólników kopalni Wheal Leisure i tym razem miał ich gościć w Mongoose Treneglos. Dywidenda na poziomie piętnastu procent kapitału oznaczała zyski w wysokości sześćdziesięciu procent rocznie, co mogło budzić satysfakcję. Trzy lata wcześniej kopalnia zatrudniała pięćdziesięciu sześciu ludzi. Teraz pracowało w niej przeszło stu i była doskonale prosperującym zakładem w ubogiej okolicy.

Ross nie był jednak całkowicie zaskoczony, gdy Renfrew znów zaproponował, by przestać drążyć chodnik poszukiwawczy w stronę starych wyrobisk kopalni Trevorgie i wykorzystać górników do bardziej produktywnej pracy. Takie propozycje padały już wcześniej, lecz głównie ze strony Pearce'a i jak dotąd je odrzucano. Ross zdawał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu część wspólników zaczyna się przychylić do opinii Pearce'a, więc teraz czekał i milczał, choć miał ochotę zabrać głos. Pearce również się nie odzywał i wydawało się, jakby obaj czekali na zdanie akcjonariuszy, którzy wcześniej zachowywali neutralność.

– Moim zdaniem powinniśmy kontynuować prace jeszcze przez miesiąc albo dwa – rzekł Henshawe. – Dotarliśmy tak daleko, że szkoda teraz rezygnować.

– Sądzę, że minęliśmy wyrobiska Trevorgie – powiedział Renfrew. – Nie trafiliśmy na nie. Możemy kopać tunel przez lata i nigdy ich nie znaleźć.

– Nie według starej mapy – zawołał Trenglos, usiłując przekrzyczeć hałasy w swojej głowie. – Pamiętajcie, że na mapie chodniki Trevorgie skręcają w stronę Marasanvose, a potem się rozwidlają. Nie dotarliśmy jeszcze do tego miejsca. W każdym razie jestem rozczarowany. Nigdy nie przypuszczałem, że to tak długo potrwa. Przez cały czas zmniejsza to nasze zyski.

– To sposób na znalezienie drugiej żyły – powiedział Ross. – Mogłoby się opłacać.

– Tak – odezwał się Pearce, również stając w szranki. – Ale najlepsze złoża są po przeciwnej stronie. Uważam, że powinniśmy kopać na północnym wschodzie, gdzie praca jest łatwiejsza i można znaleźć rudę lepszego gatunku. – Podrapał się.

Trenglos rozpiął górny guzik spodni.

– Cóż, zgadzam się z większością przedmówców. Nie ma wątpliwości, że nas na to stać, prawda? Osiągamy przyzwoite zyski i mamy doskonałe perspektywy. Ale,

do licha, zaczynam się skłaniać do zmiany poglądu na kwestię połączenia Wheal Leisure z Trevorgie. To nie tunel odpływowy, który pomoże usunąć wodę. Najpierw kopaliśmy chodnik pod doliną, a teraz kopujemy pod wzgórzem. Co pan o tym sądzi, Pearce? Niech pan się wypowie.

Pearce pokręcił głową w peruce, dając znak, że nie chce zabierać głosu.

– Już dwa razy przekonywałem akcjonariuszy do kontynuacji prac, ale nie chcę znów tego robić, jeśli większość obecnych jest przeciwna – odezwał się Ross. – W dalszym ciągu uważam, że powinniśmy szukać wyrobisk Trevorgie, ale to ja wysunąłem tę propozycję, a łączne wynagrodzenia górników w ciągu kilku miesięcy tworzą znaczną kwotę. Nie powiem nic więcej, rozstrzygnijmy sprawę poprzez głosowanie.

Przystąpiono do głosowania. Dziewięćdziesiąt udziałów za kontynuacją prac (Ross i Henshawe), sto pięćdziesiąt przeciw.

– Zapomniałem poruszyć jedną kwestię – odezwał się Ross. – Zakładam, że górnicy drążący chodnik poszukiwawczy nie zostaną zwolnieni, ale przeniesieni do innej pracy.

Renfrew zmrużył oczy.

– Uważam, że powinniśmy poszerzyć główny szyb. Powietrze jest ciągle złe. Moglibyśmy ich wykorzystać w ten sposób.

Udziałowcy dyskutowali przez kilka minut. Kwestia została uzgodniona i spotkanie zbliżało się do końca.

Później Pearce odkaslnął i powiedział z przeproszającym uśmiechem:

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą powinienem poruszyć wcześniej. Oczekiwałem na stosowny moment. Chodzi o to, że jeden z udziałowców – ten, którego reprezentuję – pan Benjamin Aukett, sprzedał swoje udziały w kopalni panu Henry'emu Coke'owi. Nie mam jeszcze pewności, czy pan Coke zechce uczestniczyć w naszych spotkaniach, ale... hm... rozumiem, że mam reprezentować jego interesy, podobnie jak w przypadku pana Auketta. Tak czy inaczej, sprzedaż nastąpiła niedawno i w kwietniu będę mógł udzielić bliższych informacji.

Mówił dalej, od czasu do czasu podciągając brzuch i unikając wzroku Rossa.

– Kto taki?! – zawołał Treneglos. – Jak się nazywa? Nigdy o nim nie słyszałem. Zdaje się, że to wig. Gdzie mieszka? Czym się zajmuje? Och, dżentelmen. Cóż, to dobry znak. Mam nadzieję, że będzie równie potulny jak Aukett. Niech pan go kiedyś przyprowadzi, jeśli zechce przyjść. Nie mamy nic do ukrycia. Rozumiem, że to opinia wszystkich zgromadzonych, prawda?

Udziałowcy potwierdzili.

– Ciekawe, czy zna pan cenę sprzedaży akcji – odezwał się nadsztygar Henshawe.

– Nie, drogi panie – odparł prawnik. – Nic mi o tym nie wiadomo.

– W zeszłym miesiącu proponowano mi za moje udziały czterysta pięćdziesiąt funtów – powiedział Renfrew. – Piętnaście funtów za każdą akcję o nominale pięciu

funtów. Oznacza to kuszący zysk. I dowodzi, jak usilnie ludzie poszukują korzystnych inwestycji.

– Jak się nazywał człowiek, który się do pana zwrócił? – spytał Ross.

– Garth. Nigdy o nim nie słyszałem. Grzeczny jegomość, ale nie nazwałbym go dżentelmenem.

– Rozumiem, że nie zamierza pan sprzedawać udziałów?

– Nie – odparł Renfrew, patrząc z niejakim zdziwieniem na wyraz twarzy Rossa.

– Bardziej mi się opłaca pozostać w spółce, niezależnie od zysków, które czerpię z dostaw wyposażenia i materiałów.

Wkrótce potem spotkanie się skończyło, a Ross i nadsztygar Henshawe, jak to mieli w zwyczaju, wrócili razem pieszo do domów w popołudniowej mgle.

– Niespełna trzy lata temu zapłacił pan czterysta pięćdziesiąt funtów za udziały doktora Choake'a – rzekł Henshawe, próbując mówić swobodnym tonem. – Proszę mi wybaczyć, że to mówię, ale w owym czasie uważałem, że są warte znacznie mniej. Jednak pana ocena się potwierdziła. Moim zdaniem stary Aukett dostał za swoje udziały przeszło pięćset funtów, skoro zgodził się je sprzedać.

– Ja też tak sędzę.

Henshawe nigdy nie lubił, gdy Ross stał zwrócony w jego stronę policzkiem z blizną. Ponad połowę szramy zakrywały włosy, ale część widoczna na policzku była oznaką dzikiego, nieokiełznanego charakteru Poldarka. Henshawe nie lubił tych cech, gdyż był spokojnym, uprzejmym człowiekiem.

– Nie wydaje mi się, by ta sytuacja wpłynęła na prowadzenie kopalni – powiedział. – To zresztą niemożliwe, bo ów tajemniczy nabywca będzie musiał głosować tak jak większość udziałowców. Tak czy inaczej, nie ma się na co skarżyć, skoro zyski są takie wysokie.

– Tak – odparł Ross.

– Szkoda, że przerwaliśmy w połowie tunel w stronę Trevorgie, ale może będziemy mogli wznowić pracę za kilka miesięcy.

Szli w milczeniu. W końcu Ross rzekł:

– Zastanawiam się, czy pani Trenwith okaże silną wolę.

– Pani Trenwith? Ma pan na myśli to, czy nie sprzeda swoich udziałów? Na pewno nie. Moim zdaniem ma zbyt dobry nos do zysków, by się z nimi łatwo rozstać.

– Istnieją różne rodzaje zysków.

– Tak, cóż, jednak nawet gdyby sprzedała udziały, nie byłoby to nic poważnego, prawda? Udziały w innych kopalniach codziennie zmieniają właścicieli, jeśli są na nie kupcy. Zgadzam się, że jesteśmy w bardzo dobrej sytuacji, ale moim zdaniem jeden nowy udziałowiec, a nawet dwóch niczego nie zmienia.

– Tak – odpowiedział Ross. Dotarli do rozstaju dróg. – Napije się pan ze mną przed pójściem do domu?

– Nie, dziękuję, kapitanie. Sporo już wypilem. Chcę wrócić przed zmrokiem.

Ross ruszył między jabłoniemi w stronę Nampary. Dojeżdżając do domu, zobaczył przed drzwiami frontowymi nieznanego konia.

Jane Gimlett spotkała go w sieni.

– Bardzo przepraszam, panie, jest tu dżentelmen, który chciałby z panem porozmawiać. Czeka od pół godziny. Nazywa się Trencrom. Prosił pan, żebym zawsze uprzedzała o gościach, by mógł pan zdecydować, czy ich przyjąć.

– Gdzie jest pani Poldark?

– Z panem Trencromem, panie.

Ross zdjął kapelusz i przygładził włosy. Obecność Trencroma wyjaśniała, skąd przed domem wziął się wielki koń, ale po co Trencrom przyjechał do Nampary? Ross nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki. Wolałby zostać sam na sam z Demelzą, z nikim innym. Wszedł do salonu.

Demelza, ubrana w jedną ze swoich muślinowych sukienek, stała odwrócona plecami i nalewała herbatę. Gość siedział naprzeciwko drzwi w największym fotelu.

Trencrom był jednym z tych szczególnych ludzi, którzy angażują się w różnorodne przedsięwzięcia. Podobnie jak Warlegganowie miał talent do robienia pieniędzy, lecz w odróżnieniu od nich nie zależało mu na udawaniu arystokraty. Przyszedł na świat jako syn robotnika z tartaku i zawsze miał nim pozostać. Posiadał niewielkie udziały w maszoperiach, zakładach foluszniczych, stemplowniach cyny, niewielkich warsztatach w małych miasteczkach. Każdy interes przynosił zyski, które później udawało się pomnożyć. Inwestycja w Carnmore Copper Company była niemal jedyną większą stratą, jaką poniósł w swojej karierze, i Ross nie widział go od bankructwa odlewni. Wszyscy, łącznie z radnymi miejskimi z Truro, doskonale wiedzieli, jakie jest jego główne źródło dochodów.

Był bardzo grubym mężczyzną. Miał na świecie tylko dwóch wrogów: celników i własne płuca.

– Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję, kapitanie Poldark – rzekł, dysząc ciężko. – Byłem chory przez całą zimę. Wilgotne powietrze mi nie służy. Pana małżonka jest czarująca. Powiedziałem, że nie piję mocnych trunków, więc zaparzyła herbatę. Pyszna. Jak się pan miewa, drogi panie?

– Pogoda jest wyjątkowo przykra – odparł Ross.

Demelza zerknęła na męża i od razu się zorientowała, że zbliżają się kłopoty.

– Napijesz się czegoś, Ross?

– Czegoś mocniejszego – odpowiedział. – Spędziłem nudne popołudnie w siodle, panie Trencrom.

– Tak, zgadzam się z panem co do pogody. Od kilku lat nie odwiedzałem tych stron. Z Francji dobiegają niepokojące wieści, kapitanie Poldark. Podobno Mirabeau znów ciężko zachorował i jest prawie ślepy. Jeśli umrze...

– Ostatnio nie śledzę bardzo uważnie wydarzeń politycznych we Francji.

– Ja też bym ich nie śledził, gdybym nie musiał. Ale kiedy jest się w stałym kontakcie... Pozycja króla. Bardzo niebezpieczna. Anglia nie może stać z boku i patrzeć, co się dzieje.

– Moim zdaniem to, co się stanie z Ludwikiem, to nie nasza sprawa.

– Cóż, w pewnym sensie to prawda. Ale są jakieś granice.

– Granice po obu stronach. Nie mamy armii ani marynarki wojennej.

– Tak, tak, oczywiście ma pan rację. Tak czy inaczej, poważnie się lękam o przyszłość.

Ross siedział na fotelu, opierając łokcie na poręczach. Zapadło milczenie.

– Jednak nie przyjechałem do pana tylko po to, by dyskutować o sytuacji we Francji – rzekł Trencrom. – Niewątpliwie się pan tego domyśla. – Zakasłał. Był to zdumiewający dźwięk jak na tak potężnego mężczyznę: ogromne ciało Trencroma zdrzało i w końcu z jego płuc dobiegł cienki, świszczący pisk, jakby dusił się mały piesek. Później otarł usta i ciągnął: – Cel pierwszy, odnowić naszą starą znajomość. To już osiągnąłem. Cel drugi, spytać o pańskie sprawy. Dowiedzieć się, czy dobrze panu idzie. Cel trzeci, porozmawiać o moich kłopotach. A teraz, jeśli...

– Proponuję, żebyśmy najpierw porozmawiali o pańskich kłopotach – przerwał Ross. – Jeśli to zrobimy, możemy szybciej dojść do porozumienia i potraktować moje sprawy pobieżnie.

Trencrom uśmiechnął się do Demelzy.

– Pani mąż lubi od razu przechodzić do rzeczy. Lubię bezpośredniość. Oczywiście. Ale to, czy jest zainteresowany moimi interesami, w jakiś sposób zależy od tego, czy dobrze mu się wiedzie. Jednak...

– Tym, czy dobrze się panu wiedzie, jest zainteresowana połowa okolicznych wieśniaków – odrzekł Ross.

Gruby mężczyzna zaśmiał się lekko, a potem odkaszlnął.

– Niewykluczone. Mogą mieć powody, by się tym interesować, kapitanie. Handel nie idzie zbyt dobrze. Nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł go prowadzić na obecną skalę.

– Myślałem, że handel rozkwitnie jak nigdy wcześniej.

– Ach, wręcz przeciwnie. Interesy nie idą dobrze. Zaraz wytłumaczę.

Trencrom zaczął wyjaśniać, dysząc ciężko, jakby wspinał się na strome wzgórze. Przerażona Demelza, która domyśliła się, o co chodzi, nalala Rossowi filiżankę herbaty. Wypił ją, zapomniawszy, że wcześniej prosił o coś mocniejszego. Trencrom stwierdził, że w kwestii popytu sytuacja wygląda doskonale. Ludzie bardzo dużo piją i chociaż brak im pieniędzy, zawsze jest zapotrzebowanie na trunki dobrej jakości w korzystnej cenie. Rozmawiał z Rossem i Demelzą szczerze; nie każdemu opisałby sytuację w ten sposób. Mówił w zaufaniu i wiedział, że to uszanują.

W salonie zapadł półmrok, lecz nikt tego nie zauważył. Gdzieś z tyłu domu Gimlett rąbał drewno. Każda seria uderzeń rozpoczynała się od lekkich stuknięć, które stawały się coraz mocniejsze i bardziej energiczne, aż wreszcie rozlegał się trzask pękającego polana. Przez okno widać było zachmurzone wieczorne niebo, szare jak ołów.

Trencrom wyjaśnił, że główna trudność związana z prowadzeniem handlu to przykra kwestia wyładunku. Vercoe, szef celników z St Ann's, i jego pomocnik Coppard to twardzi mężczyźni, zawsze czujni i gotowi do akcji. Próbowano ich zmiękczyć, skłonić, by stali się bardziej wyrozumiali, lecz jedyną odpowiedzią była prośba o dodatkowych ludzi. Krążą plotki, że mogą ich dostać. Trencrom zauważył, że wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby Vercoe i Coppard byli równie rozsądni jak celnicy z Newquay i Falmouth, którzy pobierają procent od zysków z kontrabandy i nie zadają żadnych pytań.

Trencrom dopił herbatę i uśmiechnął się przyjaźnie do Demelzy, która wstała, by wziąć jego filiżankę. Oznajmił, że sytuacja jest koszmarna; stała się taka cztery lata temu, gdy w hrabstwie pojawił się Vercoe. Co najgorsze, wśród wieśniaków jest szpicel lub szpicle. Kłopoty zaczęły się w zeszłym roku w St Ann's, dlatego towary wyładowywano w Sawle, gdzie jest to bardzo trudne. W ciągu ostatniego półrocza kłopoty powtórzyły się w Sawle i handel prawie zamarł. Taka sytuacja byłaby do zniesienia na południu, gdzie istnieje wiele zatoczek i rzek nadających się do żeglugi. Ale na północnym wybrzeżu oznacza ruinę, a nawet coś gorszego. W zeszłym miesiącu, gdy nagle rozpętał się sztorm, kuter Trencroma, One and All, nie mógł przybić do brzegu, ponieważ na miejscu czekali celnicy. Później dryfował w stronę Land's End, nie mając gdzie się schronić, i groziło mu zniszczenie. Dopłynął do wysp Scilly i następnej nocy dotarł do brzegu, ale mógł zatonać z całą załogą i cennym ładunkiem. Nie wolno pozwalać na takie ryzyko.

– Współczuję panu – rzekł Ross. – Ale jaki jest morał tej historii?

– Morał, kapitanie Poldark, sprowadza się do tego, że muszę znaleźć nową zatokę, gdzie mógłby wpłynąć mój statek. A pan jest właścicielem jedynej zatoki na przestrzeni wielu kilometrów.

Demelza zamarła z filiżanką w ręce, spoglądając na obu mężczyzn.

– Moim zdaniem przecenia pan zalety zatoki Nampara – powiedział cicho Ross.

– Jest dość płytka, a przy wejściu znajduje się kilka niebezpiecznych skał.

Dobrze o tym wiem, pomyślała Demelza. Wczoraj o mało nie rozbiłam łodzi na jednej z nich.

Trencrom znów zaświszczał jak duszony piesek.

– Niczego nie przeceniam, kapitanie Poldark. Zatoka Nampara nie jest idealna. Ale w spokojną noc moglibyśmy tam bardzo wygodnie przybić do brzegu. Nie jest zbyt daleko od miejsca, gdzie sprzedajemy towar. I nie jest strzeżona. Wszystko mogłoby się odbyć w sekrecie.

– Dopóki nie dowie się o tym jakiś szpicel.

– Cóż, wprowadzimy surowe zasady bezpieczeństwa. Przyplływamy tylko dwa lub trzy razy do roku. Nie musiałby pan o niczym wiedzieć.

Ross wstał i podszedł do okna. Demelza wciąż stała bez ruchu z filiżanką w ręce.

– Jeśli chodzi o mnie, byłoby oczywiste, że o wszystkim wiem – rzekł Ross. – Ale zostawmy to na razie. Co pan proponuje, by mnie zachęcić do udziału w tym przedsięwzięciu?

– Ross... – zaczęła Demelza, lecz nie spojrzał na nią.

– Och, na pewno dałoby się to załatwić po przyjacielsku – odpowiedział Trencrom. – Procent od zysku. Albo ustalona suma po każdym przybiciu do brzegu. Robiliśmy wcześniej interesy. Na pewno się dogadamy.

Ross popatrzył na ogród, dbając, by gość nie zauważył błysku w jego oczach.

– Przykro mi, ale chciałbym znać konkretną kwotę. Propozycję można rozważyć tylko wtedy, gdy zna się ryzyko i korzyści. W tej chwili znamy tylko ryzyko...

– Hm... ach... No cóż... – Trencrom wyciągnął pulchną dłoń i wziął filiżankę trzymaną przez Demelzę. – Dziękuję pani. To bardzo trudna kwestia między przyjaciółmi. Chciałbym być hojny, ale czasy się zmieniły. Coraz trudniej prowadzić handel. Ma pan jakiś pomysł? Czy pięć procent zysku wydaje się panu rozsądną propozycją?

– Mógłby pan podać konkretną kwotę za jeden ładunek?

– Cóż... pięćdziesiąt funtów. Co pan na to?

– Sądziłem, że przyjechał pan rozmawiać o interesach, Trencrom – rzekł Ross.

Gruby mężczyzna kichnął nad filiżanką z herbatą, aż na powierzchni płynu pojawiły się bąbelki.

– Czy to zła propozycja? Nie sędzę. Pięćdziesiąt funtów to duża suma. Co pan sugeruje?

– Dwieście pięćdziesiąt funtów za każdy ładunek.

– Drogi panie! Niemożliwe! Niczego pan nie rozumie... – Trencrom wydawał się urażony. – Cała wyprawa stałaby się praktycznie nieopła...

– Mam pewne doświadczenia w handlu tego rodzaju – przerwał Ross. – Piętnaście lat temu, gdy byłem chłopcem, dwa razy do roku pływałem z ojcem na wyspę Guernsey. Wypełnialiśmy naszą maleńką łódź brandy, ginem i herbatą za sto funtów. Gdybyśmy chcieli, i czasem tak było, mogliśmy sprzedać ładunek natychmiast po wylądowaniu za dwukrotnie większą kwotę. Pański kuter One and All zabiera dziesięć razy więcej towarów, o większej wartości, bo ceny wzrosły. Łatwo obliczyć zysk.

Trencrom lekko wyduł wargi.

– Ach, te małe prywatne łodzie! Zawsze przynoszą wielkie zyski... Rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Małe łodzie nie mają dodatkowych kosztów. Nie muszą opłacać wielu ludzi. Utrzymywać całej organizacji. To coś

zupełnie innego niż poważne przedsięwzięcie handlowe. Ja muszę finansować duży statek. Płacić załadze. Zwykle procent od ceny ładunku. Muszę przekupywać urzędników, załatwiać odbiór towaru. Opłacać kupców, którzy go rozprawdają. Magazyny, muły, liny, sieci, takielunek. Wszystko wygląda zupełnie inaczej, mój drogi panie. Wie pan, ile muszę płacić przewoźnikom za samo zabranie towarów z brzegu?! Pół gwinei za noc oraz wszystkie koszty jedzenia i trunków! Do tego pół worka herbaty o wadze czterdziestu funtów albo towary o tej samej wartości, które mogą odsprzedać, jeśli chcą dostać dwadzieścia pięć szylingów gotówką! Albo więcej! Wszystko odlicza się od zysków! Nie stać mnie, by płacić panu więcej niż sto funtów za ładunek. Będzie pan spokojnie siedział w domu za zaciągniętymi zasłonami, a inni wykonają całą pracę. To tylko opłata za wykorzystanie pańskiej zatoczki.

Ross pokręcił głową.

– Bardzo mi przykro. Nie mam ochoty tego robić za taką kwotę.

– W ogóle tego nie rób, Ross – odezwała się Demelza.

– Ale dlaczego? – spytał Trencrom, zwracając się w jej stronę. – Na pewno się pani zgodzi, że w tym rodzaju handlu nie ma nic haniebnego. Łamiemy ludzkie, a nie boskie prawa. To niesprawiedliwe, że trzeba płacić cło za podstawowe artykuły niezbędne do życia. Zarobiliby państwo dwieście lub trzysta funtów rocznie. Te pieniądze na pewno by się przydały.

– Zatoka Nampara leży na mojej ziemi – odrzekł Ross. – Jeśli wyładuje pan towary w St Ann's, Sawle albo na plaży Hendrawna, odpowiedzialność poniosą tylko ludzie, którzy je przewożą. Jeśli wyładuje je pan tutaj i pojawią się celnicy, trudno mi będzie udawać niewinnego, bo muły musiałyby chodzić tuż pod moimi oknami. Stałem już raz przed sądem. Nie chcę pojawić się tam znowu. Abyśm zechciał podjąć takie ryzyko, zachęta musiałaby być wystarczająco duża. Zasugerowałem panu, jaka powinna być.

– Nie, Ross! – jęknęła Demelza. – Nie!

Ross spojrzał na żonę.

– Nie ukrywam przed panem Trencromem, że w tej chwili pieniądze byłyby szczególnie użyteczne. Inaczej w ogóle nie rozważałbym tej propozycji. Decyzja należy do niego.

Okolo pół godziny później w górę doliny ruszył wielki gniady koń niosący wielkiego, grubego mężczyznę w wielkiej brązowej pelerynie. Zapadł zmrok, lecz drogę oświetlał księżyc, który wyglądał zza chmur. St Ann's znajdowało się daleko i wielu ludzi ze strachu nie zdecydowałoby się na taką podróż, ale Trencrom nie był tak wrażliwy, na jakiego wyglądał. Poza tym miał przy sobie dwa pistolety. Jechał między drzewami, a widok jego zgarbionej sylwetki sprawiał, że wydawał się pokonany.

Kiedy zniknął z pola widzenia, Ross zamknął drzwi i przez chwilę stał

niezdecydowany w sieni, po czym wrócił do salonu.

Demelza zapalała świece. Jej ciało było napięte. Ross podszedł do kredensu i nalał sobie brandy.

– Warlegganowie wreszcie zdobyli przyczółek w Wheal Leisure – odezwał się. – Pearce przywiózł dziś wiadomość, że Benjamin Aukett sprzedał swoje udziały. Ich reprezentantem jest człowiek o nazwisku Coke.

Demelza nie odpowiedziała.

– Podejrzewałem, że to tylko kwestia czasu – ciągnął. – Kiedy jest siedmiu akcjonariuszy, jeden lub dwóch prędzej czy później ulegnie pokusie realizacji dużych zysków. Nie byłbym zdziwiony, gdyby Pearce również sprzedał swoje udziały. Teraz na zebraniach będziemy mieli do czynienia z George'em.

– Czy to ważne? – spytała.

– Słucham? – Popatrzył na nią ponuro.

– Czy to ważne? Och, nie lubię Warlegganów tak samo jak ty, ale jeśli mają mieć akcje twojej kopalni, nie możemy nic w tej sprawie zrobić. Nie ukradną twoich udziałów, to najważniejsze. To nie powód, by ściągać do naszego majątku przemytników.

– Dwieście funtów to wystarczający powód – odpowiedział ostro. – Zależy mi tylko na pieniądzach.

– Nie wykupisz się za nie z więzienia.

– Nie trafię tam, możesz być pewna.

– Nie będziesz miał wyboru, jeśli celnicy nakryją łódź.

– Nonsens. To ryzykowne, wiem, ale nie tak bardzo, jak to przedstawiłem Trencromowi. Moglibyśmy twierdzić, że o niczym nie wiedzieliśmy. Nikt by nam nie uwierzył, ale nie byłoby żadnych dowodów.

Demelza oparła dłoń na gzymsie kominka.

– Nie wytrzymam tego po raz drugi! Przed rozprawą przez cały czas się martwiłam, nie mogłam spać, wisały nade mną czarne chmury. Wyobrażałam sobie różne rzeczy. Deportacja, szubienica, więzienie. Wszystko, co próbowałam zrobić w Bodmin... To niesprawiedliwe! Nie znowu, nie tak szybko. To niesprawiedliwe wobec ciebie... wobec wszystkich!

Spojrzał na nią jeszcze raz i zrozumiał, że jest bardzo zdenerwowana.

– Widzisz strachy w ciemności – powiedział łagodniejszym tonem. – Nie ma się czego obawiać, to nieduży przemyt. Lękałem się tylko, że podam zbyt wygórowaną cenę. Dlatego zmniejszyłem żądania o pięćdziesiąt funtów. Dziś, gdy dowiedziałem się o Warlegganach, miałem wrażenie, że Trencrom jak anioł spadł mi z nieba.

– Jak diabeł! – rzuciła gwałtownie Demelza.

– Może powinienem siedzieć cicho i patrzeć, jak George rozpycha się łokciami, ale to nie w moim stylu. Poza tym... może o tym zapomniałaś, ale niedawno sprzedaliśmy cały twój inwentarz, broszkę i konia, zegar i nowsze wyposażenie

domu. Nie po to, zauważ, by spłacić długi, ale by odsunąć termin ich spłaty zaledwie o rok. Nie pozbyliśmy się kłopotów, nawet jeśli latem siedzimy w ciepłych promieniach słońca i pleciemy wianki ze stokrotek. Bardzo łatwo mogę trafić do więzienia za długi.

– Nic nie mogę na to poradzić – odpowiedziała Demelza. – Chcę, by twoje dziecko było wolne od lęku.

Ross odstawił kieliszek.

– Co takiego?!

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Jane Gimlett.

– Przepraszam, czy zjedzą państwo kolację o zwykłej porze? Na wszelki wypadek podgrzewam zapiekankę.

– O zwykłej porze – odparła Demelza.

– A szynka? Jest jeszcze spory kawałek, chociaż bardzo tłusty.

– Dołóż go na półmisek – powiedziała Demelza.

– Ciastka się udały. Pomyślałam sobie, że pani powiem. – Jane wyszła.

W salonie brakowało tykania zegara. Na kominku płonęło z sykiem nowe polano, niezupełnie suche. Na jego końcu pojawiały się kropelki wody, próbując uciec przed ogniem.

– Kiedy się zorientowałaś? – spytał Ross.

– We wrześniu.

Skinął ręką.

– Wielki Boże! I nic mi nie powiedziałaś?!

– Nie chciałam.

– Czego?

– Powiedziałaś, że nie chcesz mieć drugiego dziecka. Po Julii.

– Nie chciałam i nie chcę. – Uniósł kieliszek i odstawił go, nie wypiwszy ani łyeczka. Po chwili dodał: – Stać się częścią naszych serc, a potem umrzeć. Ale jeśli dziecko jest w drodze, to zupełnie inna sprawa.

– Jak inna?

– Cóż... inna.

– Chciałabym w to wierzyć.

– Dlaczego miałabyś nie wierzyć? – Odwrócił się. – Nie wiem, co powiedzieć, jak powiedzieć... Po prostu cię nie rozumiem. Trzymałaś to w jeszcze większej tajemnicy niż poprzednim razem. Kiedy się spodziewasz rozwiązania?

– W maju.

Zmarszczył brwi, usiłując odpędzić wspomnienia.

– Wiem, że to ten sam miesiąc – powiedziała z desperacją Demelza. – Wolalabym inny, ale tak się złożyło. I nie powinnam być zdziwiona, gdy urodzi się tego samego dnia trzy lata później. Jak dotąd wszystko było takie samo: wizyta w Trenwith i to, co nastąpiło potem. Ale historia nie zawsze się powtarza. Nie wydaje mi się, że to

możliwe. Tak czy inaczej, jest mi przykro.

– Przykro? Z jakiego powodu?

– Że to się zdarzyło. Że musiało się stać. Że będziesz dźwigał ten dodatkowy ciężar, kiedy tego nie chcesz.

Podszedł i stanął obok niej przy kominku.

– Przestań płakać i zachowuj się rozsądnie.

– Nie płaczę!

– Jesteś bliska płaczu. Czy to właśnie cię dręczy przez całą zimę?

– Nie dręczy – odpowiedziała.

– Jak chcesz. Od września chowasz się przede mną, wystawiasz od czasu do czasu głowę jak owca zza ogrodzenia. Nie mogłem do ciebie dotrzeć. Czy przyczyną jest dziecko?

– Możliwe.

– Bo myślałaś, że go nie chcę?

– Tak powiedziałaś.

– Do licha, powinnaś wiedzieć, że nie jestem przyzwyczajony do kontaktów z kobietami! Wynajdujesz jakąś tajemną kobiecą zgryzotę i dręczysz się przez wiele miesięcy, a później opowiadasz o wszystkim spokojnie, by mi wyjaśnić, dlaczego nierozważnie unikałaś mnie przez całą zimę...

– Nie wynalazłam żadnej zgryzoty!

– Cóż, myślałem, że potrafisz odróżnić sprawy teoretyczne od praktycznych. Najwyraźniej tak nie jest.

– Nie jestem starannie wykształcona...

– Ja też nie. Posłuchaj. – Uderzył dłonią w gzyms kominka. – Posłuchaj. Gdybyś mnie spytała, czy chcę mieć następne dzieci, odpowiedziałbym, że nie. Jesteśmy prawie nędzarzami, świat wariuje, straciliśmy Julię. Nie możesz temu zaprzeczyć, prawda? To sprawa teoretyczna. Jeśli mówisz, że spodziewasz się dziecka, w dalszym ciągu nie podobają mi się takie widoki, z tych samych powodów. Ale owe widoki to nie żywe dziecko i potrafię się z niego cieszyć. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie – odpowiedziała.

Popatrzył na słój z tytoniem stojący na kominku. Protesty wyczerpały jego siły i zastanawiał się, co oznacza ta wiadomość. Natychmiast powróciły wspomnienia

o Julii. Niepokój w chwili jej narodzin, dwa przyjęcia z okazji chrzcin, pijani

Paynterowie w dniu, gdy Demelza opuściła Namparę, wielkie nadzieje, miłość – i rozpacz, gdy umarła. Życie zatoczyło krąg, potoczyło się według stałego

schematu jak grecka tragedia napisana przez cynika. Znowu urodzi się dziecko. Pierwszy etap historii musi się powtórzyć, cokolwiek przyniesie przyszłość. Zerknął

na Demelzę. Co to dla niej znaczy? Tygodnie pełne niewygody, w końcu

ból, a później miesiące ciągłej troski. Darowała Julii całą swoją miłość, a jednak

wszystko poszło na marne. Czy wolno mu było rościć sobie wyłączne prawo do żałoby? Nigdy nie uważał, że tylko on naprawdę cierpi, mimo to...

- Nie zauważyłem, by zmieniła ci się figura – rzekł łagodniejszym tonem.
- W kwietniu będę wyglądała jak pan Trencrom.

Roześmiali się po raz pierwszy od długiego czasu, lecz Demelza była ciągle niebezpiecznie bliska płaczu, a Ross jeszcze nie wyzbył się irytacji.

Położył dłoń na jej ramieniu, usiłując wyrazić coś, czego nie potrafił na razie powiedzieć. Kontakt fizyczny ma w sobie coś niezwykłego! Dotyk ukochanej osoby wydawał się znajomy i przyjemny, choć wywoływał niepokój. Kiedy w czasie świąt Bożego Narodzenia dotknął ręki Elizabeth, było w tym coś elektryzującego. Czy dlatego, że kochał Elizabeth bardziej od Demelzy, czy może dlatego, że mniej ją znał?

– Jeśli chcesz się troszczyć o to, co się z nami stanie... musisz zwracać większą uwagę na to, co robisz – powiedziała Demelza.

– Zwracam uwagę na wszystko, co robię, wierz mi. Stanowczo zamierzam przestrzegać prawa. – Puścił jej rękę. – Albo przynajmniej wierzyć w jego ślepotę... Bogu dzięki, że mamy w okolicy dobrego lekarza.

- I tak wolę panią Martin – stwierdziła Demelza.

Rozdział siódmy

Nazajutrz Ross wstał przed świtem i spędził rano w kopalni, uzgadniając z Zackym Martinem przeniesienie w inne miejsce górników, którzy drążyli chodnik w stronę Wheal Trevorgie. Spędził w kopalni zbyt dużo czasu i zszedł na dół, by sprawdzić, jak idzie robota. Miał wrażenie, że w Wheal Leisure wyczuwa się już zaborczą obecność Warlegganów. Źle spał w nocy, gdyż nieustannie myślał o wszystkich wydarzeniach wczorajszego dnia.

Jeśli chodzi o nowiny przekazane przez Demelzę, nie potrafił jeszcze określić swoich uczuć, ale refleksja nie mogła stłumić irytacji, że tak długo trzymała to w tajemnicy. Wydawało mu się, że celowo źle zrozumiała jego punkt widzenia – a przynajmniej okazała bolesny brak zaufania do jego rozsądku. Tuż po południu wrócił z Zackym, który szedł do domu coś zjeść przed następną szychtą. W końcu pojawiła się jakaś oznaka zmiany pogody: ciężkie chmury, które od tak dawna wisały nad ziemią, zaczęły rzednąć, rozpraszać się i odpływać, niesione północno-wschodnim wiatrem. Zarysy wybrzeża stały się wyraźniejsze, a chłodne niebo pojaśniało.

– Szkoda, że przerwaliśmy robotę – rzekł Zacky. – Czułem, że jesteśmy blisko bogatej żyły. Ale może to tylko bajka.

– Dokąd dotarliśmy, jak sądzisz?

Zacky przystanął i podrapał się po podbródku.

– Łatwo byłoby dokładnie wymierzyć. Bez tego trudno mieć pewność. Na oko, kapitanie, gdzieś do tamtej kępy drzew.

Ross ocenił odległość między zabudowaniami Wheal Leisure rysującymi się na tle nieba a zrujnowanym murem i kominem Wheal Grace na wzniesieniu w pobliżu Mellin.

– Połowa drogi?

– Tak mi się zdaje. Zdaje się, że nie ma żadnej mapy starych chodników kopalni Trevorgie.

– Nie ma dokładnego planu. Ale siedem lat temu zszedłem tam z bratem stryjecznym i w tę stronę biegły długie korytarze. Jedyny znak szybu wentylacyjnego; podejrzewam, że kilka innych zasypano. Mój ojciec kopał w Wheal Grace w kierunku południowo-zachodnim. Nigdy nie byłeś w Wheal

Grace?

– Przybyłem tu dopiero w wieku dwudziestu lat i od razu poszedłem do pracy w kopalni Grambler. Oczywiście często myślałem, że nikomu by nie zaszkodziło zbadanie Trevorgie od tej strony. Pod warunkiem, że nie będzie złego powietrza.

– Kiedy tam zeszliśmy, nie było takie złe. Ale nie szliśmy daleko. Widzieliśmy tylko wyczerpane wyrobiska cyny, i to kiepskie. Naturalnie Mark Daniel...

– Mark Daniel? – spytał ostrożnie Zacky.

Ruszyli dalej. Znajdowali się zaledwie kilkaset metrów od chaty zbudowanej przez Marka. Część dachu już się zapadła. Wspominanie jego imienia w tym miejscu wydawało się nietaktowne – tak blisko domu, gdzie zabił głupią, niewierną, kapryśną żonę.

– Nie wiem, czy Paul kiedyś ci o tym powiedział – ciągnął Ross. – W przeddzień ucieczki do Francji Mark ukrył się w Grace. Przypadkiem go spotkałem, nim odpłynął, i mówił, że są tam wyjątkowo bogate złoża.

– Paul nigdy mi o tym nie wspominał. Ale potrafię dodać dwa do dwóch. Powiedział, gdzie jest złożo?

– Nie... Wydaje mi się, że bąknął coś o wschodnim skraju.

– Czyli Trevorgie. To brzmi rozsądnie, bo pański ojciec nigdy nie porzuciłby bogatej żyły. Kiedy kopano w Trevorgie, wszystko mogło się zdarzyć.

– Tak – odparł Ross, patrząc na komin Wheal Grace. Rozdzielili się tuż przed chatą w Reath i poszedł do starego budynku kopalni. Pozostało z niego bardzo niewiele. Opuszczony przed dwudziestu laty, rozgrabiony z maszyn, zarastał trawą i mchem. Ross usiadł i oparł podbródek na dłoni.

Przyjemnie było siedzieć wśród szeleszczącej trawy. Ross przez pół godziny prawie się nie poruszał. Czuł jakąś więź duchową z otaczającym go krajobrazem. Przychodziły mu do głowy dziwne myśli, przynajmniej dwie z nich zainspirowane rozmową z Trencromem. Wszystkie były skutkiem wczorajszych wydarzeń i zmierzały do jednego celu. W końcu wstał i ruszył powoli w stronę chaty w Reath, otworzył drzwi i wszedł do środka. W chacie panował półmrok, jak zawsze oprócz poranków, bo Mark wybudował dom z oknem wychodzącym na złą stronę. Nocą ludzie unikali tego miejsca, mówili, że w oknie pojawia się zjawa wiszącej Keren ze złamanym karkiem. Na klepisku rosły jeżyny i kolcolist, między kamieniami zapuściły korzenie pleniące się wszędzie, niezdrowe cuchnące chwasty o białawych łodygach. W kącie stał stary stołek, a koło paleniska leżało kilka gałęzi. Ross wyszedł na dwór, śmiejąc się z siebie w duchu, że to miejsce budzi w nim lęk.

Za korytem wyschniętego potoku widać było nad drzewami wieżyczkę stróżówki. Kiedy Enys jechał konno do pacjentów, zawsze mijał zrujnowaną chatę. Nic dziwnego, że ciągle nosił w sobie blizny po tamtych wydarzeniach, nie mógł ich zapomnieć. Ross ruszył w stronę stróżówki. Zbliżając się, zobaczył przy drzwiach Dwighta obok osiodłanego konia. Młody lekarz spostrzegł go, uśmiechnął się

i wyszedł mu na spotkanie.

– Mam nadzieję, że nie potrzebujesz pomocy lekarskiej? Nie? Pojawiasz się tak rzadko, że trochę się zaniepokoiłem.

– Uprzejmości trzeba wyciskać ze mnie z trudem, jak krople soku z suchej cytryny. Ale czasem warto być miłym, choćby dla odmiany.

Dwight się roześmiał.

– Uważaj, nie chwal się za bardzo. A może to ty jesteś odpowiedzialny za to, co dziś spadło mi z nieba? Zdumiewający podarunek. Nagle wspomniałeś o cytrynach.

– W tej chwili modłę się, by to mnie coś spadło z nieba. Co dostałeś?

– Te worki. Są w nich pomarańcze. Pojawiły się dziś rano, w sumie tuzin, dostarczone na trzech mułach przez ponurego jegomościa, który prawie nie otwierał ust. Przyjechały aż z Falmouth. Jestem zdumiony.

– Ja też byłbym zdumiony.

– Och, nie są dla mnie, tylko dla chorych z Sawle, jak się domyślam. Usiłuję sobie przypomnieć, komu wspominałem, że są potrzebne. Byłeś pośród tych osób.

– Przykro mi. Musisz szukać wśród swoich zamożnych przyjaciół, Dwight.

– Nie wiedziałem, że mam zamożnych przyjaciół – odparł Enys, doskonale wiedząc, że jest jedna taka osoba. – Musi być blisko tysiąc dwieście pomarańczy. Jeśli zostaną umiejętnie spożytkowane, wystarczy, by przynajmniej powstrzymać epidemię szkorbutu. Wysłałem Bone'a, by pożyczył dwa stare muły kopalniane od Nanfanów. Czekam na jego powrót, a później zawiozę owoce do wioski. Dziś po południu trzeba trochę rozdać.

Ross zerknął na ożywioną twarz lekarza. Łatwo było się zorientować, co czuje Enys: walczył z wrogiem gołymi rękami i nagle otrzymał oręż.

– Przyszedłem spytać, czy otrzymujesz może jakieś czasopisma z Londynu – spytał. – „Sherborne Mercury” podaje niezbyt wiele wiadomości.

– Nie, z wyjątkiem „Medical Facts and Observations” wydawanych przez doktora Simmonsa. Dostaję je co miesiąc pocztą. Czasem widywałem gazety z Londynu u Harrisa Pascoe'a.

– Przez pół roku wisiał nade mną proces, a później musiałem się przystosować do normalnego życia. Miałem niewiele czasu, by się zajmować ważnymi wydarzeniami. Co sądzisz o ostatnich wypadkach w Europie?

Pytanie nieco zaskoczyło Dwighta, bo zwykle uważał Rossa za znacznie lepiej poinformowanego od siebie.

– Masz na myśli Francję? Czytałeś *Rozważania o rewolucji we Francji*?

– Nie.

– Ja też. Ale sprzedano bardzo wiele tej książki, oczywiście o tym wiesz. Rozumiem, że Burke dowodzi, że rewolucjoniści są w gruncie rzeczy wrogami wolności, choć robią wszystko w jej imieniu.

– To dość prawdopodobne. W Anglii wszystko to budzi silne emocje, ale jeśli

chodzi o mnie, jakkolwiek nie chwalebę rewolucjonistów, mam pewne zrozumienie dla ich pierwotnych celów.

Dwight spojrział na Rossa.

– Wiem. Wielu miało na początku zrozumienie dla ich celów, ale stopniowo je straciło.

W oddali pojawił się Bone. Czekali, aż do nich dojdzie. Will Nanfan mógł pożyczyć muły i odebrać je wczesnym popołudniem. Ross odwrócił się, by odejść. Nie powiedział Dwightowi jednej z rzeczy, o której zamierzał z nim porozmawiać, bo stracił na to ochotę po przybyciu do stróżówki. Dwight i tak szybko się domyśli, ale będzie potrzebny dopiero w maju.

Kiedy młody lekarz dotarł do bramy Killewarren, świeciło jasne słońce, a wiatr kołysał zwiędłymi liśćmi młodych dębów. Żwir przed domem zaścielały gałązki jodeł odgryzione przez wiewiórki. Dwight zastukał do drzwi i spytał, czy panna Penvenen jest w domu, po czym wprowadzono go do niewielkiego pomieszczenia obok holu. Pokojówka po chwili wróciła i oznajmiła, że panna Penvenen go przyjmie.

Caroline była w salonie, miała na sobie czarny strój do jazdy konnej. Jej rude włosy opadające na ramiona przypominały nieokiełznany płomień. Kiedy Dwight wszedł, jadła kanapki przy kominku. Na gzymsie stał kieliszek z winem. Roześmiała się na widok lekarza.

– Dzień dobry, panie aptekarzu! Komu przyjechał pan puścić krew? Stryj jest w Redruth i wróci do domu dopiero o czwartej.

– Przyjechałem do pani, panno Penvenen – odparł Dwight. – Proszę o wybaczenie, jeśli pani przeszkadzam, ale nie zajmie to dużo czasu.

Zerknęła na zegar.

– Mogę dać panu pięć minut, bo muszę jeszcze zjeść kanapki. Ten dobry wschodni wiatr nie będzie trwał wiecznie. Spędziłam miły poranek. O świcie wykurzyliśmy lisa. Był piękny i pobiegł prosto jak strzelił do Ponsanooth. Dogoniłam go jako druga i mieliśmy świetną zabawę. Około południa przeczesaliśmy las Killevreth i znaleźliśmy drugiego lisa, ale kiedy uciekał, mój koń okulał, więc wróciłam do domu na krótki odpoczynek. Za chwilę osiodłają mi Młota. Czy pan kiedykolwiek poluje, Panie Poważny?

– Czy przysłała dziś pani do mojego domu pomarańcze? – spytał Dwight.

– Pomarańcze? Powiedział pan „pomarańcze”? Gdybym miała coś panu podarować, byłoby to lepsze narzędzie do usuwania rybich ości. Ranił mi pan wargi palcami, pamięta pan?

– Tak – odrzekł. – Pamiętam.

Popatrzyli na siebie. Dwight stał na tyle blisko, że poczuł dziwny zapach używanych przez nią perfum. Męski strój sprawiał, że wyglądała bardziej kobieco.

– Zatem to pani – ciągnął. – Doszedłem do wniosku, że nie może to być nikt inny.

- Doprawdy?
- Jestem... wdzięczny. Uratują życie wielu ludziom.
- Sądzi pan, że przejmuję się losem kilku handlarek rybami? Boże, cóż za nonsens!
- Więc dlaczego pani to zrobiła?
- Spojrzała na niego i wydawało się, że zaprzeczy, po czym nagle zmieniła zdanie.
- Żeby z pana zadrwić.
- Oblał się rumieńcem.
- Kosztowna forma drwiny, nie sądzi pani? Dopłało wino.
- Nie lubię mieć zobowiązań, zwłaszcza wobec mężczyzn, zwłaszcza wobec pana. Nie chciał pan wziąć ode mnie pieniędzy. Cisnął mi je pan w twarz.
- Nie chcę pani pieniędzy...
- Dlatego uznałam, że pańskie sumienie nie pozwoli panu być na tyle dumnym, by nie przyjąć podarunku dla pańskich ubogich, głodujących rybaków. Tak się stało. Teraz to pan ma wobec mnie dług wdzięczności.
- Jestem bardzo zobowiązany za protekcjonalność.
- Bardzo mnie pan bawi – zauważyła.
- Ja również bardzo panią lubię.
- Po raz pierwszy zauważył lekki rumieniec na policzkach Caroline.
- Proszę nie zachowywać się impertynencko.
- Czyż nie powiedziała pani, że podziwiałam moją impertynencję? Zapomniałem.
- Zapomina pan o wielu rzeczach.
- Nie zapomnę o tym hojnym darze, choćby próbowała pani go bagatelizować...

Odwróciła się, ponieważ otworzyły się drzwi i do salonu wszedł Unwin Trevaunance.

- Och, tu jesteś! Boże, wszędzie cię szukałem! Mogłabyś przynajmniej... – Urwał na widok Dwighta.
- Złapaliście go? – spytała.
- Nie... Zmylił trop i uciekł. Co się stało?
- Świetlik okulał. Znowu pęcina, więc wróciłam do domu. Będę gotowa do wyjazdu za pół minuty.
- Nic nie jadłem od śniadania. Jestem niesamowicie głodny.
- Weź do kieszeni kanapkę. Jeśli będziemy dalej zwlekać, stracimy polowanie. Och... znasz doktora Enysa?

Unwin skłonił łwią głowę. Nie sprawiał wrażenia zbyt zadowolonego, że Caroline opuściła go w trakcie łowów i po powrocie do domu zastał ją żywo rozmawiającą z zarumienionym na twarzy, lecz przystojnym młodym człowiekiem, który wydawał się dumny i inteligentny, choć był tylko wiejskim lekarzem.

- Chyba nie miałem jeszcze przyjemności.

– Przyjemność to właściwe słowo – rzekła Caroline, zapinając płaszcz. – Doktor Enys zręcznie leczy psy z niepokojących konwulsji. Horacy czuje się znacznie lepiej, odkąd pije miksturę, którą mu pan przepisał, doktorze. Ma niewielką plamkę na uchu. Czy mógłby go pan obejrzeć po naszym odjeździe?

Dwight nie dał się sprowokować.

– Za tuzin worków pomarańczy otoczę go najlepszą opieką, pani.

Unwin zrobił zirytowaną minę. Wziął ze stołu kilka kanapek, a Caroline owinęła je w serwetkę.

– Byłoby lepiej, gdyby zajął się pan nim teraz – powiedziała, wskazując Horacego, który kręcił się w swoim koszyku, próbując znaleźć najwygodniejsze miejsce. – W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy.

– Wyjeżdżamy? – spytał Unwin, patrząc na Caroline. – Dokąd?

– Och, nie mówiłam ci? Bardzo przepraszam, drogi Unwinie. Stryj William mówił, że powinnam wrócić w lutym. W końcu jestem tu od września, a w Oxfordshire polowania są znacznie ciekawsze.

– Z pewnością nic mi nie wspomniałaś. Ja... – Unwin wpatrywał się w Dwighta, wyraźnie pragnąc, by młody lekarz został strącony do Hadesu.

– Zamierza pani wyjechać na długo, panno Penvenen? – spytał Dwight.

– To zależy, jakie będą tam rozrywki. Zwykle jest ich mnóstwo. Ale niech się pan nie martwi. Zamówiłam dla pana trochę pomarańczy również na przyszły tydzień.

– Pomarańczy, pomarańczy – rzekł niecierpliwie Trevaunance. – Daj spokój, Caroline, mam nadzieję, że cię przekonam do odłożenia wyjazdu, a tymczasem postarajmy się jak najlepiej wykorzystać piękną pogodę. – Podeszedł do drzwi i otworzył je, by ją przepuścić.

– Nie, nie, nie możesz iść, najłodszy! – Caroline odezwała się czule do Horacego, który błyskawicznie wyskoczył z koszyka. – Przestraszyłbyś się większych piesków. Zostań w domu z miłym panem doktorem, który wyleczy twoje uszko i konwulsję, a poza tym może wyjmie ci z pyszczka jakieś kości, które połknąłeś. Proszę, proszę! – Wręczyła psa Dwightowi i uśmiechnęła się do niego. Ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Perwersyjnie, zdając sobie sprawę, że w obecności Unwina jest całkowicie bezpieczna, pozwoliła sobie okazać zainteresowanie Dwightem. Jej źrenice miały bursztynowe cętki, a długie rzęsy, tak często zasłaniające oczy, na chwilę się uniosły, ukazując szarozielone głębie.

Później się roześmiała.

– Do widzenia, Dwight. Mogę pana nazywać Dwightem? Dziwne imię. Kojarzy się z kimś nieśmiałym i niezbyt postępowym. Pana matka na pewno miała inne intencje, prawda? Kto ma rację? Zupełnie nie wiem. Może znów się spotkamy któregoś dnia.

– Będę czekał na tę chwilę – odparł Dwight.

Wyszła, zostawiając go z niesfornym mopsem. Unwin obrzucił młodego lekarza

nieprzyjaznym, taksującym wzrokiem i podążył za Caroline. Dwight słyszał, jak idą korytarzem, Unwin wypowiedział kilka słów, a Caroline się roześmiała. Po chwili ich kroki ucichły.

Rozdział ósmy

Ross nie mógł zapomnieć o swoim pomysle. Przez długi czas nikomu o nim nie wspominał, nawet Demelzie, która ze swoim bystrym umysłem pomogłaby mu podjąć decyzję. Decyzja ta miała jednak tak wielkie znaczenie, że nie mógł oczekiwać, by ktokolwiek podzielił z nim odpowiedzialność. Poza tym Demelza, mimo swojej inteligencji, była kobietą i mogłaby brać pod uwagę argumenty, które nie mają nic wspólnego z interesami.

Spędzał więcej czasu niż wcześniej na lekturze „Sherborne Mercury” i innych czasopism, które kupował i pożyczał, gdzie tylko mógł. Przed zrobieniem pierwszego ruchu przeczytał również książkę Pryce’a *Mineralogia Cornubiensis* oraz kilka traktatów o historii i praktyce górnictwa.

Najpierw zwrócił się do prostolinijnego, inteligentnego Henshawe’a, najlepszego górnika w hrabstwie, człowieka potrafiącego dochować tajemnicy.

Pewnego dnia na początku marca, po godzinnej rozmowie w bibliotece w Namparze, gdy oglądali próbki rudy i ślęczeli nad starymi mapami, Henshawe i Ross przymocowali świece do kasków, zarzucili na ramiona zwoje lin i ruszyli wolnym krokiem pod górę w stronę kamiennego komina Wheal Grace. Zniknęli na trzy godziny. Kiedy wrócili do dworu, zabłoceni i zmęczeni, Demelza, która w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu minut bardzo się denerwowała, miała ochotę zrobić im wymówki, lecz się powstrzymała. Podała herbatę z brandy i spoglądała na twarze mężczyzn, usiłując z nich coś wyczytać. Dziwne, że ludzie uważają twarz Rossa za nieprzeniknioną, pomyślała. Nie miała pojęcia, o czym myśli – podobnie jak nie miała pojęcia, co naprawdę kryje się pod uśmiechami wielu ludzi – lecz zwykle wiedziała, co czuje. Teraz rozumiała, że jest zadowolony z wyników popołudniowej wyprawy.

Po wyjściu Henshawe’a był wyjątkowo wesoły i przypominał sobie z dawnych lat. Jeszcze nigdy tak dobrze nie rozumiała, że Ross potrzebuje ciągłego działania w sferze fizycznej i umysłowej. Był człowiekiem, który chce snuć plany i wcielać je w życie. Dobre strony życia ziemianina sprawiały mu przyjemność, ale z trudem znosił biedę i frustrację. Niewidoczne, lecz męczące intrygi Warlegganów musiały prędzej czy później doprowadzić do wybuchu. Była zadowolona, że nowe przedsięwzięcie górnicze może stać się czymś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa.

W ciągu następných dni spędzał dużo czasu w przewiewnej starej bibliotece. Pewnego wieczoru wezwano Zacky'ego Martina, który od tamtej pory stale towarzyszył Rossowi. Później Ross i Henshawe pojechali do Camborne, a innym razem do Redruth, by omówić z kimś pewne sprawy. Ale do Nampary nie przyjeżdżali żadni goście. Dwudziestego trzeciego marca, w środę, Ross pojechał do Truro i odwiedził Harrisa Pascoe'a. Poinformował go, że postanowił sprzedać połowę swoich udziałów w Wheal Leisure.

Bankier, zanim się odezwał, zdjął okulary i uważnie spojrzął na Rossa.

– Myślę, że to mądre posunięcie. Na pewnym etapie należy stawić czoło rzeczywistości i ograniczyć straty. Naturalnie, w pewnym sensie, to nie strata, tylko pokaźny zysk i to może budzić zadowolenie. Tak czy inaczej, proszę przyjąć ode mnie wyrazy najszczerzego współczucia. Wiem, ile znaczy dla pana to przedsięwzięcie. Spodziewam się, że zamierza pan spłacić połowę długu zaciągniętego u Pearce'a. Doprawdy, bardzo rozsądne.

Ross spojrzął na nowiutki zegar nad kontuarem i zmarszczył brwi.

– Ten zegar to jedyna nowa rzecz, jaką widzę. Czy to wkład pana Tresize'a, czy pana Sprya?

Pascoe się uśmiechnął.

– Zmiany jeszcze nie są zakończone. Ale jestem pewien, że polubi pan moich nowych współników, gdy ich pan pozna. A teraz proszę powiedzieć, ile pan chce za swoje udziały w Wheal Leisure?

– Dwadzieścia funtów za akcję.

Bankier gwizdnął.

– Czy ktokolwiek tyle zapłaci? To bardzo wysoka cena. Wie pan, jak ostrożni są teraz ludzie, gdy chodzi o inwestowanie pieniędzy.

– Nie w zyskowne przedsięwzięcia.

– Tak... Może ma pan rację. Cóż, mogę rozpuścić pogłoski, że udziały są na sprzedaż. – Harris Pascoe znów spojrzął na swojego klienta, przypominając sobie incydent, który wydarzył się nie tak dawno temu. – Rozumiem, że nie ma pan żadnych szczególnych zastrzeżeń co do potencjalnych kupców?

Ross wziął gęsie pióro i powoli przesunął po nim palcem.

– Zebracy nie mogą być zanadto wybredni, prawda?

– N-nie.

– Lecz mają prawo targować się o cenę. Naturalnie nie chcę, by wiadano, że zależy mi na sprzedaży, bo ktoś mógłby złożyć niższą ofertę.

– Przed panem wielkie zmiany, kapitanie Poldark. Ale myślę, że jest pan mądrym człowiekiem.

Wkrótce potem w zatoce Nampara pojawił się pierwszy ładunek kontrabandy.

Późnym popołudniem spokojnego, wilgotnego dnia do dworu przybiegł na krzywych nogach Jud Paynter z listem od Trencroma. Uniósł dłoń do czoła,

pozdrawiając Rossa w dawny sposób. Gwizdał prawie niedosłyszalnie przez przednie zęby i rozglądał się ze smutkiem i ciekawością, patrząc na dom, w którym spędził wiele lat.

Ross przeczytał list i rzekł:

– To mi pasuje. Czy Trencrom oczekuje odpowiedzi?

– Gadał, coby nie na piśmie. Powim, że wszyściuchno załatwione. Pan Trencrom polega na mnie. Jestem tera jego prawo ręko, można rzec. Nie może sie beze mnie obejść. Mam dobro robote.

– Umiesz prowadzić kuter – zgodził się Ross. – Zawsze lubieś pływać pod wiatr, prawda, Jud?

– Wiatr czy nie wiatr, ni ma różnicy – odparł Jud i zamrugał oczami. Nigdy nie czuł się swobodnie w obecności Rossa. Zdziorny, z pretensjami, chciał mówić do niego jak do równego sobie, lecz brakowało mu odwagi. Nie mógł zapomnieć, że Poldark wyrzucił go z domu, ale czuł oburzenie, a nie złość.

Podobne myśli przebiegały przez głowę Rossa.

– Nie podziękowałem ci za twoje osobliwe zeznania w czasie rozprawy – powiedział. – Nie wiem, co zamierzałeś powiedzieć, gdy po raz pierwszy stanąłeś na miejscu dla świadków, ale w końcu nikt nie wiedział, czy jesteś po mojej stronie, czy przeciwko mnie, i nawet sędzia nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Niełatwo oszukać wymiar sprawiedliwości. To duży wyczyn.

Natura nie nadała Judowi rysów, które mogłyby wyrażać zadowolenie, ale sposób, w jaki otarł nos wierzchem dłoni, sugerował, że słowa Rossa sprawiły mu przyjemność.

– Eee... Zawsze gadam Prudie: jak człek wpada w kabale, to poznaje swoich sąsiadów. Trudno było stać przed syndzio niby jaki grzesznik. Ale znam pana kapitana od czasu, jak pan kapitan był szkrab nie większy od dzbanka, to co miałem robić?

– Dziwi mnie, jak się tam znalazłeś. Krążą plotki, że wzięłeś pieniądze za zeznawanie przeciwko mnie. To oczywiście nieprawda?

– Wierutne łgarstwo! To naprzeciw prawdzie, naprzeciw sprawiedliwości, naprzeciw naturze! Wstrętne, kłamliwe języki chco nas skłócić! Pan kapitan nie wierzy w ani jedno słowo! Po prawdzie...

Jud umilkł, ssąc przednie zęby.

– Po prawdzie... – poddał Ross.

– Po prawdzie tożem jest za dobry. Ni mam serca odmawiać. Ludzie przychodzo i proszo, to sie zgadzam, coby im dobrze było. Pobratajo sie z człekiem, wypijajo kapke ginu i nim splunie, gadajo takie rzeczy, co to we łbie sie nie mieści. To pewne jak amen w pacierzu. A jak jest czas na sund, co trza robić? Poczynać należycie, ot co! To szczerza prawda, jakem Jud Paynter!

Ross spojrział na fałszywą twarz Juda, przypominającą pysk buldoga. Nie wierzył

mu, ale się roześmiał.

– Idź powiedzieć swojemu nowemu panu, że jestem gotów zasłonić okna.

Podczas pierwszego przybicia do brzegu, z powodu niepokoju Demelzy i jej stanu, Ross starannie przestrzegał wszelkich środków ostrożności, choć było to wbrew jego naturze. Kiedy zapadł zmrok, zapalili świece i zaciągnęli zasłony, po czym siedzieli pogrążeni w lekturze, aż usłyszeli stukot końskich kopyt koło strumienia. Potem Demelza grała na szpinecie, nuciła i śpiewała. Zjedli kolację i znów usłyszeli stukot kopyt, choć wydawało się, że tym razem konie stąpają ciężiej. Od czasu do czasu rozlegał się szorstki głos, krok lub brzęk metalu.

Mimo wszystkich środków ostrożności zaniepokojonej Demelzie mocno biło serce. Natychmiast po kolacji wróciła do szpinetu i zagłuszała grą dźwięki rozlegające się na dworze. Gimlettom powiedziano wystarczająco dużo, by domyślili się prawdy, więc siedzieli spokojnie w kuchni i nie wychodzili z domu. Ross kilka razy uniósł głowę znad książki i zerknął na Demelzę. Chwilami myślał o szpiclach i zastanawiał się, czy przedsięwzięcie przebiegnie szczęśliwie. Trencrom zapewnił go, że podejmie wszelkie niezbędne kroki, by zachować przybicie do brzegu w tajemnicy; towary miało transportować tylko dwudziestu jeźdźców, choć zwykle było ich więcej. Obserwatorzy stojący wzdłuż klifu i w dolinie powinni z dostatecznym wyprzedzeniem wszcząć alarm, gdyby w pobliżu pojawili się celnicy. Mimo to o przedsięwzięciu wiedziało wielu ludzi. Potencjalny szpieg musiał się orientować, że łódź wypłynęła przed kilkoma dniami i wkrótce powinna wrócić. Czy domyśli się, gdzie wyładują kontrabandę?

O dziesiątej dźwięki zaczęły słabnąć i o jedenastej zapadła cisza. O północy poszli spać, lecz oboje spali niespokojnie, wyobrażając sobie od czasu do czasu, że słyszą hałasy w pobliżu dworu. Nikt jednak nie zakłócał ich spokoju i tuż przed świtem Ross wstał i poszedł do zatoki.

Ziemię zasnuwała biała mgła. Pomyślał, że mieli szczęście, że nie utrudniła wyładunku towarów. Bardzo starannie usunięto wszelkie ślady. Powyżej miejsca, gdzie w czasie przyływu docierało morze, piasek wyrównano deskami, by nikt nie zauważył śladów. Odcisków kopyt w miękkiej ziemi prowadzących do zatoki nie dało się ukryć w tak prosty sposób, lecz w ciągu dnia powinien je usunąć deszcz, na który akurat się zanosilo. Ross zauważył gdzieś tam podeptane krzaki. Na bezbarwnym porannym niebie kwilił kulik.

Poszedł do jaskini, gdzie przechowywał łódź. Lekka, płaskodenna szalupa kupiona w St Ann's tuż przed bankructwem odlewni zastąpiła łódź, którą uciekł Mark Daniel. Kiedy Ross pochylił się nad łodzią, z tyłu zaskrzypiały na wodorostach czyjeś stopy. Odwrócił się szybko i zobaczył, że przyszła za nim Demelza. Miała na sobie ciemny płaszcz, a jej drobna, spokojna twarz okoloną ciemnymi włosami wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu.

– Nie powinnaś wychodzić tak rano – rzekł. – Jest jeszcze zimno.

– Lubię poranne powietrze. Mam wrażenie, że przez tydzień siedziałam w domu za zaciągniętymi zasłonami.

– Nasi goście byli bardzo ostrożni. Nie ma prawie żadnych śladów. Chyba przestawili łódź. A może zrobił to ktoś inny? W czwartek zostawiłem ją głębiej w jaskini.

– Naprawdę, Ross?

Dlaczego nie miałabym mu powiedzieć, że wczoraj wypłynęłam sama w morze, że po raz pierwszy udało mi się to bez pomocy Gimletta i że złapałam osiem makreli i płastugę? Bo wiem, że by mi zabronił, a chcę dalej łowić ryby. Ross bardzo się o nią troszczył, lecz ograniczenia i zakazy stawały się niekiedy męczące – czuła się uwięziona, zamknięta w klatce. Gimlettowie byli wiernymi strażnikami – zbyt wiernymi. Och, troska Rossa sprawiała Demelzie przyjemność, a jednak jeszcze zupełnie nie przekonał jej, że naprawdę pragnie dziecka. Miała wrażenie, że w dniu powrotu do domu po procesie mówił od serca. Kiedy się dowiedział, że Demelza jest brzemienna, okazał jej miłość, lecz wyczuwała jego niepokój wewnętrzny. Mogła się mylić, ale tak jej się wydawało.

– Miło, że noc już się skończyła – powiedziała.

– Miło, że jesteśmy bogatsi o dwieście funtów.

– Ciągłe się boję. Obiecuj, że nie będziesz w tym uczestniczył ani chwili dłużej, niż to konieczne.

– Cóż, nie mam ochoty zmieniać naszej małej zatoczki w port. Dobrze się czujesz? Wstałaś bardzo wcześnie. Nic ci nie dolega?

– Chciałam po prostu sprawdzić, czy wszystko w porządku. Popatrz, mgła się unosi!

W porannym świetle widać było obłoki mgły wirujące nad powierzchnią wody. Wyglądało to tak, jakby na przestrzeni półtora kilometra ktoś rozpałił na morzu ognisko. W ciemniejszej mgle unoszącej się wyżej zalśniły pierwsze promienie słońca, a na czystym niebie w górze płynęła chmura o jaskrawej barwie kadmowej żółci. Patrzyli, jak krańce mlecznego tumanu powoli stają się świetliste, a później ukazał się znajomy widok plaży i klifów, jakby uniesiono kurtynę w teatrze. Morze cicho lizało piasek, milcząc, nie wspominając nocy.

Ross się poruszył.

– Wiesz, że wczoraj rano Ruth Treneglos szczęśliwie urodziła dziecko?

– Nie! Nareszcie. Dobrze się czuje?

– Tak, ale doszło do awantury. Podobno są straszliwie rozczarowani, że po długim oczekiwaniu przyszła na świat dziewczynka. Stary Horace jest wściekły, że nie ma wnuka, i przestał się odzywać do Johna.

– Biedna Ruth!

– Zachowałbym litość dla dziewczynki. Może jej potrzebować.

– Kto ci o tym mówił, Ross?

– Dwight. Oczywiście nie odbierał porodu, ale to bardzo blisko niego.

Prawie niezauważalnie wstał świt, tak że nagle przestali być ukrytymi w cieniu postaciami rozmawiającymi o nocy i zdali sobie sprawę, że mogliby zostać zauważeni pod różowym niebem. Instynktownie cofnęli się w głąb jaskini.

– Rozmawiałem z Dwightem o Francisie – powiedział Ross.

– Tak?

– Dwight twierdzi, że Francis pokłócił się z George'em Warlegganem o mnie.

– Skąd to wie?

– Nocowali razem w Bodmin. Francis chciał się zastrzelić. To ma związek z tym, o czym pisała Verity. Jest jeszcze dużo innych spraw.

– Cieszę się, że się pogodziliśmy na Boże Narodzenie.

– Teraz i ja się cieszę.

Kiedy ruszyli ciężko po piasku, Demelza powiedziała:

– Mam ochotę zamoczyć stopy w wodzie.

– O tej porze byś zamarzła. Pamiętaj, że jesteś w ciąży.

– Masz rację – odparła. – Może lepiej nie ryzykować.

Tego dnia Ross pojechał do Truro i dowiedział się, że znalazł się nabywca na akcje. Kupił je Coke i zapłacił żadaną cenę. Nowy gracz, nieznany Coke, stał się teraz największym udziałowcem kopalni. Kiedy Ross usłyszał, że nieodwołalnie stracił swoje udziały, poczuł ukłucie żalu. Wracając do domu, skręcił i pojechał do Trenwith.

Znalazł Francisca nad jeziorem, gdzie brat stryjeczny piłował drzewo. To zajęcie dziwnie do niego nie pasowało. Los nigdy nie mógł uczynić Francisca tym, do czego był stworzony.

– Nie lubię palić jesionem – rzekł Ross, zsiadłszy z konia. – Ma się wrażenie, że jest przeznaczony do lepszych celów.

– Może właśnie dlatego nie znosi piły – odparł Francis, którego twarz zaczerwieniła się bardziej na widok Rossa niż z wysiłku. Jeszcze nie czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. – Zdaje się, że Elizabeth jest w domu. Ucieszy się z twojej wizyty. Przyjdę za dwie lub trzy minuty.

– Nie, chcę z tobą porozmawiać. Możemy to zrobić tutaj.

– Każdy powód jest dobry, by przestać piłować. – Francis wytarł dłoń. – Jak się czuje Demelza?

– Całkiem nieźle, dziękuję. Lepiej niż poprzednio.

– Co mógłbym dla ciebie zrobić, Ross?

Ross przywiązał Czarnulkę do młodego drzewa i usiadł na pniu. Podniósł cienką gałąź i w zamyśleniu rysował kwadraty i koła na piaszczystej ścieżce.

– Czy Ellery i Pendarves znaleźli ukryte skarby?

– Raczej nie. Obiecujące miejsce znajduje się na granicy mojego majątku, tuż obok kotliny Sawle. Ale to przed frontowymi drzwiami Choake'a, który byłby

niezadowolony. Poza tym wygląda to na cynę, a ja jestem szczególnie przywiązany do miedzi.

– Otwieram Wheal Grace – powiedział Ross.

– Co takiego?! Mówisz poważnie?! To świetna nowina! Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

– Okoliczności. Mam nadzieję, że zaczniemy za trzy miesiące. Oczywiście to ryzyko.

Francis włożył surdut.

– Chcesz się przebić do kopalni Trevorgie?

– Kilka razy schodziłem na dół z Henshawe'em. Bóg jeden wie, kto tam kiedyś kopał, ale to miejsce przypomina plaster miodu. Roboty są dość płytkie, dolny poziom jest zalany i nie mogliśmy go zbadać. Zamierzamy sprowadzić maszynę parową. Uważamy, że na wyższych poziomach jest dość rudy, by przedsięwzięcie się opłaciło.

– Kto inwestuje pieniądze?

– Ja. Sprzedałem połowę udziałów Wheal Leisure i mam sześćset funtów.

– Ross zdjął rękawiczki. Obie były starannie zacerowane przez Demelzę i przez chwilę spoglądał na nie z niesmakiem, myśląc o konieczności takich napraw. – Spotykasz się czasem z George'em? – spytał.

– Nie widziałem go od września. Nasza kłótnia należała do takich, po których zgoda jest mało prawdopodobna.

– Nigdy się nie pogodzicie?

Francis spojrzał na kuzyna.

– Nie wiem, co się stanie w niebie.

– Nikomu nie opłaca się włączać w wojnę między George'em a mną – rzekł ostrożnie Ross. – Zajmowanie stanowiska innego niż, powiedzmy, neutralne byłoby szczególnie szkodliwe dla ciebie. Chociaż jak dotąd George nie wykonał żadnego ruchu skierowanego przeciwko tobie, może to zrobić w każdej chwili.

– Mój drogi, zupełnie przestałem być neutralny. Może ci się nie podobać, że staję się twoim towarzyszem broni, ale obawiam się, że nie mam wyboru.

Czarnulka uderzyła kopytem w ziemię i zarżała.

– Kilkakrotnie wspominałeś o zaoszczędzonych pieniądzach, które zamierzasz zainwestować w kopalnię. Ile ich jest? Sześćset funtów czy coś koło tego?

– Coś koło tego.

– Mając tysiąc dwieście funtów, moglibyśmy wiele zdziałać.

– Tak?

– Tak sądzę.

– Sugerujesz, że powinniśmy zostać wspólnikami?

– Tak.

– O niczym innym nie marzę. Ale przyznam, że zaparło mi dech. Jesteś pewien,

że tego chcesz?

– Gdybym tego nie chciał, nigdy bym tego nie sugerował.

– Nie... Boże, świat jest naprawdę dziwny. – Francis znów otarł czoło, schował chusteczkę i wyciągnął piłę z w połowie przeciętego pnia.

– Może dojść do walki – rzekł Ross. – Postąpiłbyś rozsądnie, trzymając się od tego z daleka. George ma długie ręce.

– Do diabła z George'em!

– Jeśli kopalnia zacznie przynosić zyski, nie chcę w spółce obcych, którzy mogliby sprzedawać udziały, kiedy im przyjdzie ochota. Ale możesz stracić pieniądze.

– Lubię ryzyko... Gdyby ktoś mi powiedział sześć miesięcy temu...

– Można stawiać nie tylko na karty, ale również na kopalnię.

Francis poruszył stopą trociny leżące na ziemi.

– Chcę zainwestować w kopalnię...

– Skoro tak uważasz, to najważniejsze.

– Tak uważam.

– Zapomnij o przeszłości – powiedział Ross. – Przyjmij propozycję albo ją odrzuć, jeśli uważasz ją za zbyt ryzykowną.

– Przyjmuję, oczywiście. Chodź do domu. Przypieczętuujemy umowę szklaneczką dobrej brandy.

Idąc do dworu, nie zamienili słowa. Propozycja Rossa zdumiała i podekscytowała Francisa, ale coś go gnębiło. Kilka razy zerknął na brata stryjecznego i zatrzymał się tuż przed drzwiami domu.

– Posłuchaj, Ross, ja...

– Co takiego?

– Nie myśl, że mi na tym nie zależy. To... może wiele dla mnie znaczyć. Ale zanim... zanim zawrzemy umowę, muszę ci coś powiedzieć. Gdyby nie twoja oferta, nie miałbym ochoty tego mówić, ale w tej sytuacji... Nie możemy zostać współnikami, dopóki o tym nie wiesz...

Ross patrzył na twarz kuzyna, na której malowało się zawstydzenie.

– Czy to coś związanego z przeszłością?

– O Boże, tak. Ale mimo wszystko...

– Skoro chodzi o przeszłość, to o niej zapomnijmy. Chyba nie chcę usłyszeć tego, co zamierzasz mi powiedzieć.

Francis oblał się rumieńcem.

– Jeśli tak, ja też nie chcę tego mówić.

Popatrzyli na siebie.

– A zatem wypijmy za Poldarków – powiedział

Francis. Ross skinął powoli głową.

– Za Poldarków.

Rozdział dziewiąty

W szynku wdowy Tregothnan w Sawle panował straszliwy tłok.

Dwa nieomylnie znaki świadczyły o tym, że niedawno udało się z powodzeniem przemycić ładunek kontrabandy – ludzie żyli w mniejszym napięciu i częściej oddawali się pijaństwu. Chwilowo mieli więcej pieniędzy, a gin i rum były tanie. Niewielka fala zamożności przetaczała się przez wioski, rozpoczynała się od mężczyzn biorących udział w przemyśle i traciła na sile, oddalając się od nich.

Za ladą służącą jako szynkwas stała Sally Tregothnan, hałaśliwa, wesola kobieta w wieku czterdziestu kilku lat. Podawała gościom swoje najlepsze trunki. Wszystkie cztery szynki w Sawle cieszyły się powodzeniem, ale w gospodzie należącej do wdowy Tregothnan spotykali się ludzie bardziej wybredni. Często nazywano ją Sally-Na-Rozgrzewkę. Zgodnie z prawem nie mogła sprzedawać niczego mocniejszego niż piwo, ale w całej historii wsi nigdy nie zdarzyło się, by nie dodała do piwa „czegoś na rozgrzewkę”, nawet gdy goście chwiali się na nogach. Przyływ pieniędzy sprawił, że szynk Sally się zapełnił. Wśród obecnych byli Ned Bottrell, Jud Paynter, Charlie Kempthorne, Paul Daniel, Jacka Hoblyn i Ted Carkeek. Pally Rogers i Will Nanfan, przywódcy przemytników, potępiali alkohol jako sprzeczny z zasadami metodystów.

Jud Paynter był w swoim żywiole. Dzban ginu pod ręką, żołądek pełen ginu i zasłuchana publiczność.

– A tera – rzekł – a tera, jak chceta wiedzieć, jak to było, jakem stał w sundzie i mówił słowa prawdy, a syndzia, przysięgłe i adwokaty słuchały z otwartymi gębami, wszystko wam opowiem. Przysięgłe siedzieli rzędami jak wróble na gałęzi, obok prawnicy w czarnych koszulach nocnych, jakby szli spać, eleganckie damulki z parasolkami, całe mrowie publiki, człek przy człeku. Piękny widok, powiadam wam!

– Mów dalej – westchnęła Sally Tregothnan. – Mów dalej.

– To prawda, każde słowo. Jakem tam stał, pocilem sie jak mysz, alem sie rozkręcił i ładnieżem im wszystko powiedział, jakbym był pastor, a oni owieczki. Do licha, szkoda, żeśta nie mogli posłuchać. Dobrze by to wam zrobiło.

– Szkoda, że nie zostałeś kaznodzieją – zauważył Charlie Kempthorne i mrugnął do Neda Bottrela.

Jacka Hoblyn wypił szklaneczkę i spojrzał na Juda spod krzaczastych brwi.

– Rzygać mi się chce od słuchania tych bzdur. Minęło już parę miesięcy i sprawa jest zakończona. Kto wie, co gadałeś w sądzie, jak tylko ty o tym opowiadasz?

– A tak, opowiadam! – rzucił z irytacją Jud, ukazując dwa zęby. – Jak masz uszy, możesz słuchać tego, co opowiadam! Tu, gdzie stoi dzban, stałem ja, a syndzia siedział tam, gdzie Paul Daniel, jeno nie szczyrzył zębisków jak kocur, a tu, gdzie siedzi Jacka Hoblyn, siedział na ławie oskarżonych Ross Poldark i nie wyglądał jak kura, co wysiaduje jaja. Syndzia gada do mnie: „Panie Paynter, czy ten człowiek popełnił jakieś przestępstwo?”. A ja na to: „Ten człowiek onegdaj zrobił mi krzywdę, ale nie nosze urazy, gdy nie trza jej nosić, bo Jud Paynter dobrze wie, co mówi Biblia, a mówi: jak Pan Bóg uderzy cie w jedno oko, nadstaw drugie i zbytnio nie ubolewaj. Gadam samiuśko prawdę bez krzty kłamstwa, jak mówie, że ten tu oto Jacka Hoblyn, to znaczy Ross Poldark, jest niewinny jak nowo narodzona dziecina. Ni mam urazy do nikogo, żywego ani umarłego, panie syndzio, powiadam, bo wierze we wszystko, co napisano. Nie przesuniesz znaku granicznego sąsiada. Nie bedziesz pożądał żony sąsiada ani jego konia, ani siekiery, ani niczego, co jego jest!

– Hej, uważaj! Nie machaj tymi wielkimi łapskami! – przerwała mu Sally Tregothnan.

– I tak gadam i gadam, a prawie wszystkie ludzie płaczo jak bobry, nawet grzeszniki i damulki. A potem syndzia odwraca się do przysięgłych i rozwiera ręce jak rybak na klifie, co zobaczył sardynki, i mówi: „Moi przyjaciele, moi przyjaciele, moi przyjaciele, moi przyjaciele...” – Jud umilkł, szukając dłonią szklaneczki. Odnalazł ją i uniósł chybotliwie do warg.

– Głupoty! – rzucił z niezadowoleniem Jacka Hoblyn. – Żaden syndzia niczego takiego nie gadał.

– Trzymaj się, stary! – szepnął Paul Daniel. – Daj mu jeszcze trochę sznura, to kto wie, może się sam na nim powiesi.

Ale Jud stracił wątek. Próbował odstawić szklaneczkę, aż wreszcie wzięła ją od niego Sally. Otarł rękawem pot z czoła, rozejrzał się szklistym wzrokiem i zaśpiewał drżącym tenorem:

– Baba stara i dziad stary, razem biedę klepali. O, ho, ho! O, ho, ho! Żyli razem se w oborze. Hej pod więzem, pod zielonym!

– Do kata, dłużej nie wytrzymam tych ryków! – mruknął Jacka. – Wyje jak ciotka Sally na jarmarku na Boże Narodzenie!

Charlie Kempthorne zbliżył się ukradkiem do Hoblyna i zakasłał. Dym i alkohol źle działały na jego płuca.

– Widziałem dziś rano Rosinę – szepnął konfidencjonalnie. – Wyrosła na ładną dziewczuchę.

– Co? – mruknął Jacka, patrząc na niego podejrzliwie.

– Niedługo chyba wyjdzie za mąż? Chociaż może trochę się to odwlecze, bo kuleje.

Jacka prychnął i dopił szklaneczkę ginu. Charlie zamrugnął i spojrzał na marsową twarz sąsiada.

– Niedobrze by było, jakby została starą panną, bo trochę utyka.

– Ma dopiero siedemnaście lat – rzekł Jacka, nabijając fajkę. – Niedługo młodziki będą się za nią uganiać.

– Może bardziej by się nadał jaki starszy – zauważył Kempthorne i oblizał wargi.

– Starzy złota nie mieli – śpiewał Jud. – O, ho, ho! O, ho, ho! Żyli biednie niby myszy. Hej pod wiązem, pod zielonym!

– Na przykład ja – ciągnął Kempthorne. – Dobrze zarabiam na szyciu żagli. Mielibyśmy miłe gniazdko. Ale, zauważ, mam dwoje dzieciaków, jedno...

– Tak, biedne bachory – przerwał Jacka.

– Nic im nie brakuje. Potrzebują tylko kobiecej ręki. Myślałem o Mary Ann Tregaskis, ale...

– Kazałaby ci iść precz. – Kiedy Jacka Hoblyn zaczynał pić, psuł mu się humor.

– No, może. Nie pytałem. Ale dużo bab nie wypuściłoby takiej okazji. Mam trochę ziemi za Andrewartha, na brukiew, a w następnym miesiącu oprosi mi się maciora. I kto wie, może nie tylko żagle będę szyć? W zeszłym tygodniu kupiłem w Redruth dziesięć metrów czarnego aksamitu i chcę z nich uszyć ładne spodnie. Sprzedam je ludziom, co chcą wyglądać jak państwo, a może nawet samym panom. Mam jeszcze inne rzeczy, tu i tam, i byś się zdziwił, jakbyś je zobaczył.

– Tak? – mruknął Jacka, dolewając sobie ginu.

– Tak. I pomyślałem sobie, że dziewczynie, która umie robić igłą, pasowałoby wyjść za mężczyznę, który też zręcznie robi igłą. Takem pomyślał.

– Naprawdę? – spytał Jacka, taksując wzrokiem Kempthorne'a. Zastanawiał się przez chwilę. – Ile ty masz właściwie lat, Charlie? Chyba jesteś prawie w moim wieku?

– Tylko trzydzieści dziewięć – odparł Charlie.

– I ciągle plujesz krwią?

– Nie. Od roku albo dwóch już nie. Słuchaj, Jacka, nieźle mi się powodzi, niejedna dziewczucha mogłaby dużo gorzej...

– Może dziewczucha też powinna mieć coś do powiedzenia w tej sprawie?

– Nie, Rosina ma łagodny charakter, wrodziła się w matkę. No i w ciebie, Jacka. I w ciebie. Jestem pewien, że robi to, czego życzy sobie ojciec.

– Tak, może – mruknął Jacka. – Może jest potulna, ale nie lubię robić niczego w pośpiechu, chyba że trzeba się śpieszyć. A teraz lepiej się nie śpieszyć.

– Nie ma żadnego pośpiechu! Po prostu zastanów się nad tym w wolnej chwili. Może wpadłbym od czasu do czasu do Rosiny, jeśli ci to nie przeszkadza, by zobaczyć, co ona na to...

– Baba stara i dziad stary – śpiewał Jud. – O, ho, ho! O, ho, ho! Obaczyli kuternoge, co spod ziemi wylazł! Hej pod wiązem, pod zielonym!

Późnym wieczorem Jud ruszył zygzakiem w stronę wioski Grambler w słabym świetle księżycy, który wyglądał zza białych chmur płynących wysoko na niebie. Zrobiło się zimno i gdyby nie to, że była już druga połowa kwietnia, można by się spodziewać przymrozku. Jud był ciągle w radosnym nastroju, choć psuło go przekonanie, że świat jest skazany na wieczyste potępienie. Od czasu do czasu zapominał o tym i śpiewał swoją niekończącą się piosenkę, do której zawsze dodawał nowe zwrotki; od czasu do czasu potykał się w koleinie i przeklinał, skazując ludzkość na ogień piekielny, od którego od dawna próbował ją ocalić.

W jednej z rzadkich chwil ciszy usłyszał za sobą kroki.

Niepokój, jaki Paynter odczuwał jesienią i w okresie Bożego Narodzenia, z czasem się zmniejszył, a tego dnia trunek rozgrzał go i dodał mu otuchy. Szybko się odwrócił, włosy zjeżyły mu się na głowie ze strachu i sięgnął po nóż. Znajdował się na pustkowiu tuż przed pierwszymi chatami wioski Grambler; wokół rosły wrzosy, kolcolist i nieliczne karłowate drzewa.

Zobaczył w półmroku dwóch mężczyzn i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to obcy. Jeden był wysoki i miał stary kapelusz nasunięty na oczy.

– Panie Paynter! – odezwał się niski mężczyzna, a Jud pomyślał, że gdzieś już słyszał ten głos.

– Czego chceta?

– Niczego. Po prostu porozmawiać.

– Nie chce mi się z wami gadać. Nie zbliżajta się abo dziabne was kozikiem!

– Och, doprawdy? Zrobiłeś się bardzo wojowniczy, co? We wrześniu nie byłeś taki bojowy.

– Nie wim, o czym gadata... – odparł z lękiem Jud, cofając się. – Nic nie wim.

– Nie pamiętasz, jak wzięłeś pieniądze za zeznania w sądzie? Myślałeś, że możesz nakłamać i uda ci się wykręcić? Sprytne, co? Sprytny jesteś, cwaniaku. W porządku, Joe. Załatwmy go!

Niski mężczyzna rzucił się do przodu i w świetle księżycy błysnął nóż, wysoki mężczyzna uniósł trzymany w ręku ciężki łom i uderzył Juda w głowę. Jud zobaczył oślepiający blask, ugięły się pod nim kolana i runął w ciemną otchłań.

Kiedy wczesnym rankiem Prudie usłyszała, że jej męża zamordowano, wydała przesywający okrzyk i popędziła na spotkanie konduktu idącego przez wioskę. Ciało znaleźli Ezekeil Scawen i Sid Bunt, dwaj starcy zbierający odpadki. Jud leżał w przydrożnym rowie. Kilku górników przyniosło dużą deskę i zaniósł zwłoki do domu. To, czy napastnicy zamierzali zamordować Juda, czy potężny cios i nocne zimno okazały się zabójcze dla człowieka osłabionego wieloletnim pijaństwem, miało na zawsze pozostać tajemnicą. Uważano, że napaści dokonano na tle

rabunkowym i wieśniacy o mało nie pobili dwóch kalekich marynarzy wędrujących wzdłuż wybrzeża do St Ives, lecz zdołali oni udowodnić, że spędzili całą noc w skromnym domu wielebnego Clarence'a Odgersa.

Ross nie pozwolił Demelzie iść do wioski Grambler, ale sam odwiedził Prudie i przekazał jej wyrazy współczucia. W dziwny sposób Jud stał się ważną postacią, nie tylko w okolicy, lecz również w życiu Rossa. Chociaż ostatnio rzadko się widywali, Ross zawsze pamiętał o istnieniu dawnego służącego, gderliwego, zapijaczonego, świętoszkowatego i trochę ponurego. Wspomniał o tym Prudie, która wytarła nos w czerwoną szmatkę należącą poprzednio do męża i zwierzyła się Rossowi z podejrzenia, że śmierć Juda była rezultatem czegoś, co zdarzyło się w Bodmin, ponieważ od tamtej pory zawsze był niespokojny – wydawał się na coś czekać. Teraz jego obawy się sprawdziły. Ross nie odpowiedział. Stał, wyglądając w zamyśleniu przez okno, i zastanawiał się nad tą możliwością. Prudie czekała na jakąś jego reakcję, ale w końcu zrezygnowała i oznajmiła, że, niezależnie od przyczyny śmierci Juda, nie wie, jak sobie teraz poradzi. Jej kuzynka z Marasanvose, która przybyła dotrzymać jej towarzystwa, chlipała w kącie i ocierała nos rękawem.

Zanieśli ciało do przybudówki połączonej drzwiami z parterową budą złożoną z dwóch pomieszczeń. Ross spoglądał przez chwilę na dawnego służącego, po czym wrócił do dwóch płaczących kobiet i spytał, czy mógłby jakoś pomóc.

– Pochowamy go w czwartek – rzekła Prudie. Włosy opadające na jej twarz przypominały końską grzywę. – Chce mu sprawić ładny pogrzeb. Zawsze zasługiwał na piękny pochówek i będzie go miał, co, Tino?

– Tak – odparła Tina.

– Dobry był chłop – ciągnęła Prudie. – Było nam lepiej albo gorzej, co? Czasami był przekłętą małpa, ale ja się tym nie frasowałam. To był mój stary, a tera nie żyje, szkaradnie ubity w środku nocy. Straszne, straszne, jak podumać!

– Jeśli podacie mi termin pogrzebu, przyjdę do kościoła – powiedział Ross.

– Ned Bottrell zbija trumne. Chce, coby wszystko było porządne, jakby był ważny pan. Bedo psalmy i wszystko. Panie Ross...

– Tak?

– Pan powie, czy dobrze robie? Rano, jak go przynieśli, poszłam, coby oczyścić jego kapciuch na tytoń. Zawsze miał go przy sobie i cud, że nie zabrał go we wtorek, bo jak go czyściłam, po całej podłodze posypali się złote suwereny. Skakały jak myszy, co zobaczyły kota! Piętnaście tego było, a ja nic nie wiedziałam! Bóg jeden wie, skąd je wzion – pewnikiem z handlu – ale mam zgryzote, czy wydawać złoto na pogrzeb.

Ross wyjrzał na dwór przez otwarte drzwi.

– Pieniądze są teraz twoje, Prudie, i możesz z nimi zrobić, co zechcesz. Dziedzicysz wszystkie rzeczy Juda, ale mogłabyś wykorzystać pieniądze lepiej,

zamiast trwonić je na wystawny pogrzeb. Piętnaście funtów to spora suma, możesz się za to utrzymać przez długi czas.

Prudie podrapała się po głowie.

– Jud by chciał, coby go pochować z szacunkiem. To sprawa szacunku, panie. Niech mnie diabli porwo, o ile tak nie jest. Musim mu sprawić ładny pogrzeb, co, Tino?

– Tak – odpowiedziała Tina.

Rozdział dziesiąty

Godne pożegnanie Juda zaczęło się o drugiej w przeddzień pogrzebu. W trakcie przygotowań Prudie zapomniała o żalu. W większej z dwóch izb chaty ustawiono długi stół zbity ze starych skrzynek, a inne stare skrzynki stały przed domem, służąc za krzesła i stoły dla tych, którzy nie zdołają się wcisnąć do środka. Pojawiło się wielu żałobników, a rozeszli się dopiero pod wieczór, kiedy zaczął padać ulewny deszcz.

Prudie, małżonka zmarłego, zebrała dość czarnej odzieży, by wyglądać okazale. Kuzynka pożyczyła jej czarne pończochy i uszyła spódnicę z kawałka serży kupionej w sklepiku ciotki Mary Rogers. Starą czarną bluzkę Prudie ozdabiały paciorki i kawałek postrzępionej koronki, a Char Nanfan udało się zdobyć czarną woalkę. Prudie, ledwo rozpoznawalna w tym stroju, siedziała nieruchomo na honorowym miejscu u szczytu stołu. Usługiwały jej Tina, Char Nanfan, żona Zacky'ego Martina i kilka młodszych kobiet.

Na stypę zaproszono wielebnego Odgersa, lecz taktownie odmówił, toteż honorowe miejsce obok pogrążonej w żałobie wdowy zajmował Paul Daniel, najstarszy przyjaciel Juda Payntera. Po drugiej stronie siedział konstabl Vage, prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa. Poza tym w chacie znajdowali się Zacky Martin, Charlie Kempthorne, Scoble Biała Głowa i jego żona Jinny, Ned Bottrell, wuj Ben i ciotka Sarah Tregeagle, Jack Cobbledick, bracia Curnow, ciotka Betsy Triggs i piętnastu lub dwudziestu innych znajomych.

Tuż po drugiej zaczęto od poczęstunku mocną brandy, a później wszyscy goście przystąpili do jedzenia i picia. Robili to tak szybko, jakby nie było ani chwili do stracenia. Na początku dostojna wdowa, przysłonięta ciężką woalką, jadła dyskretniej niż reszta żałobników, ale gdy rozgrzała się brandy, odrzuciła symbol żałoby i zaczęła się opychać jak inni.

O piątej skończyła się pierwsza część stypy i o zachodzie słońca wiele kobiet wyszło, by zająć się dziećmi i domami, więc liczba żałobników w chacie spadła do około dwudziestu. Było to dwa razy więcej, niż mogło normalnie oddychać w ciasnym pomieszczeniu wypełnionym parą i dymem z paleniska i fajek. Wśród żałobników krążyły dzbany brandy, rumu i ginu, do których dolewano dla smaku gorącej wody z cukrem. W tym momencie zaczęto śpiewać psalmy. Prowadził wuj

Ben Tregeagle, przewodnik kościelnego chóru, a akompaniował Joe Permewan, rzępoląc na violi da gamba. Odśpiewali wszystkie psalmy i pieśni, które znali, i kilka, których nie znali, po czym przeszli do pieśni patriotycznych. Czterokrotnie odśpiewano *Boże, chroń Króla*, dwukrotnie *Niechaj Trelawney obróci się w proch*, a ponadto kilka piosenek, które formalista mógłby uznać za nieprzystojne.

Lecz w tej chwili wszyscy czuli się już bardzo swobodnie, zwłaszcza Prudie, z nosem czerwonym jak piwonia. Przekonano ją, by wstała i odśpiewała piosenkę z refrenem:

A kiedy umarł i zamknął oczy,

Pieniądzy już więcej nie zoczył.

Następnie wstała ciotka Betsy Triggs i odtańczyła swój słynny taniec, który zakończył się wskoczeniem na kolana konstabla Vage'a. Rozległ się ryk zachwytu, po czym zapadła zawstydzająca cisza, gdy wszyscy zdali sobie sprawę, że nie wypada okazywać wesołości w czasie stypy.

Prudie wsunęła stopy w postrzępione bawełniane pantofle i wstała.

– Kochani przyjaciele! – zaczęła. – Nie zwracajta na mnie uwagi. Nie frasujta sie mojo żałobo! I nie frasujta sie moim mężem, co to ma być jutro pochowany. To nasza oso... osobista sprawa. Nie ma potrzeby, cobyšta siedzieli cicho jak myszy jeno z tej przyczyny. Jedzta i pijta do woli, bo Juda już nie obchodzi jego piniendze.

– Zgarbiła masywne plecy i popatrzyła z urazą na zebranych. – Eee, nie moge dać wiary, że tyle lat skrywał przede mno złoto! Chował je przed własno żono! Albo kimś takim jak żona, że nie ma różnicy!

Charlie Kempthorne zachichotał, ale konstabl Vage z poważną miną szturchnął go łokciem i pokręcił głową. Nie wypadało okazywać prostackiego rozbawienia.

– Moje błogostawione życie... – ciągnęła Prudie i czknęła. – Mój mąż był obłudnikiem, grobem pobielanym, wszyscy winni znać prawdę! Starym, przebiegłym kocurem! Prędzej dałabym wiare bobrowi. Ale co robić, był moim mężem, nikt nie może temu zaprzeczyć, tak właśnie było...

Paul Daniel chlipnął. Gościom kręciło się w głowach od alkoholu i ogarnął ich sentymentalny nastrój.

– A jak sie napił, lubił gadać. Gęba mu sie nie zamykała, przegadałby nawet samego pastora, choćby w niedziele. Ale w ostatnich miesiącach widziałam, że słabuje. Zamordowali go chytre złodzieje i choroba. Właśnie tak było. Miał ciężkie życie i w końcu umarł.

Usiadła nagle, nie skończywszy przemowy, bo ugięły się pod nią kolana. Konstabl Vage wstał. Był z zawodu kołodziejem.

– Bracia i siostry! – rzekł. – Jak wszyscy dobrze wiecie, nie lubię gadać po próżnicy, ale nie powinniśmy kończyć tej uczyty, nie wspomniawszy naszego

drogiego brata Juda, który niedawno odszedł do kwiatnych pól i zielonych łąk raju. Zabili go źli ludzie, ale osiągnie ich sprawiedliwość, możecie być pewni. – Splótł dłonie na brzuchu.

– Słuchajta, słuchajta! – odezwała się Prudie.

– Nie wolno nam zapominać o pustym krześle przy tym stole. – Vage rozejrzał się, lecz nie zauważył ani jednej wolnej skrzynki. – Pustym krześle... – powtórzył. – I godzi się, byśmy wzniesli toast za naszego drogiego zmarłego brata.

– Tak – powiedziała Tina.

– Za naszego drogiego brata! – rzekła Prudie, wznosząc szklaneczkę.

Wypito toast.

– Niechaj spoczywa w pokoju! – dodał Joe Permewan.

– Amen! – zakończył wuj Ben Tregeagle, potrząsając grzywą włosów.

– Życie jest ciężkie – odezwała się ciotka Sarah. – Od kołyski do grobu jak z bicia trzasł. Widzę to codziennie. Odbieram porody i chowam umarłych. To moja praca i jest nad czym się frapować.

– Amen! – powtórzył wuj Ben.

– Wolałabym handlować rybami – wtrąciła Betsy.

– Wcale nie było tak trudno przygotować Juda do pogrzebu – ciągnęła Sarah. – Wydawał się gruby, ale nie miał takiego wielkiego brzucha, jak podejrzewałam.

– Amen! – wtrącił wuj Ben.

– Skończ z tymi amenami, staruszkule – powiedziała Prudie. – Jeszcześmy nie w kościele. Jutro bedziesz się modlił.

Charlie Kempthorne zachichotał. Śmiał się coraz głośniejsze, aż wszyscy zaczęli go uciszać z obawy, że obudzi żałobników śpiących na podłodze.

– Uczciwie zarabiam na życie, ale ciarki mnie przechodzą na widok zmarłych – ciągnęła Betsy. – Nie odważyłam się dotknąć nawet biednego Joego, choć przez pięćdziesiąt lat był moim bratem. – Cicho zapłakała.

– Hej, Ned, wybij szpunt z drugiej baryłki brandy! – zawołała Prudie. – Jestem spragniona jak kocica, co musi wykarmić dziewięć kociaków. Jeszcze wcześniej...

Bottrell mrugnął do niej i wyszedł do drugiego pomieszczenia, które służyło tego dnia za kuchnię. Prudie splótła grube ramiona, odchyliła się do tyłu i przyglądała się obecnym z zadowoloną miną. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Większość żałobników spędzi noc na miejscu, a jutro mogą zacząć wszystko od początku – była to przyjemna myśl. Pogrzeb miał się odbyć w południe, więc jeśli będzie ładna pogoda, postawią trumnę przed drzwiami na krzesłach i skrzynkach do pakowania. Pozostali żałobnicy wrócą tuż po śniadaniu i zaczną śpiewać psalmy. Jeden psalm i szklaneczka, kolejny psalm i kolejna szklaneczka aż do jedenastej rano. Później czterech mężczyzn dźwignie trumnę i przeniesie około stu metrów, a Ned Bottrell będzie szedł z tyłu z antałkiem brandy. Odśpiewają psalm i wypiją kolejkę, przejdą sto metrów i znów wypiją kolejkę, aż wreszcie dotrą do kościoła.

Powinni zdążyć przed dwunastą, jeśli w ogóle zdołają dojść. Prudie pamiętała naprawdę wspaniały pogrzeb Tommy'ego Joba, gdy mężczyźni niosący trumnę legli pokotem na ziemi, a do przejścia zostało jeszcze osiemset metrów.

– Kiedy zaczęłam się zajmować umarłymi, mnie też to przerażało, więc odmawiałam w duchu krótkie zaklęcie, którego nauczyłam się od babci Nanpusker, dobrej wiedźmy. Przed dotknięciem trupa zawsze powtarzałam: „Boże, zbaw nas od obłudy, spisku, jadu, zaklęć, zadymienia, potępienia i szataństwa. Amen. Rozmaryn, wrotycz, róża rdzawa, ziele cmentarne”. I nigdy nic mi się nie stało.

– Mój błogosławiony parlament... – wybełkotała Prudie.

– Amen! – powtórzył sennie wuj Ben.

Nagle do pokoju wpadł Ned Bottrell. Nie było w nim nic sennego. Nie przyniósł brandy i miał twarz bladą jak kreda.

– Zniknęły! – zawołał.

– Baryłki z brandy?! – wykrzyknęła Prudie, zrywając się na nogi. – Hej, kto je ukradł?! Były tam jeszcze godzinę temu!

– Wszystkie trzy?! – spytał konstabl Vage, nagle czujny.

– Dlaczegośmy tego nie słyszeli. Nie można wynieść trzech baryłek, co by nie zrobić...

– Nie! – zawołał Ned Bottrell, przekrzykując wrzawę. – Nie baryłki, tylko zwłoki!

Kawałek po kawałku wyciągnęli od niego wszystko. W pomieszczeniu panował coraz większy zgiełk. Pod wpływem niezdrowej ciekawości i zawodowej dumy Ned wziął latarnię z kuchni i zajrzał do przybudówki, by – jak to określił – sprawdzić, czy staruszkowi jest wygodnie w ładnej nowej trumnie. Była pusta – ciało zniknęło.

Część żałobników była równie wstrząśnięta jak Ned, lecz Prudie szybko opanowała sytuację. Najpierw powiedziała, że Ned jest kompletnie pijany i maści mu się we łbie; założyłaby się o gwineę, że Jud ciągle tam jest. Ale kiedy Ned zaproponował, by sama zobaczyła, powiedziała, że boją ją stopy, i wysłała konstabla Vage'a. Kiedy wrócił, odchrząknął kilkakrotnie, poklepał się po brzuchu i potwierdził słowa Neda. Prudie wypita kolejną szklaneczkę brandy i wstała.

– To złodzieje trupów! – rzekła tubalnie. – Wiecie, jak to jest! Po mojemu to te same rabusie i mordercy, co napadły Juda w poniedziałek wieczorem. Chodźta, synkowie!

Dwunastu żałobników prowadzonych przez wdowę wkroczyło z determinacją do przybudówki i popatrzyło na trumnę zbitą przez Neda Bottrella. Wyglądała na solidną i nawet w takiej chwili Ned nie mógł się powstrzymać od zerknięcia na nią z dumą. Ale była zupełnie pusta.

Prudie o mało jej nie przewróciła. Usiadła na skraju trumny i wybuchnęła płaczem.

– Spokojnie, tylko spokojnie! – odezwał się Paul Daniel, którego obudzono

z głębokiego snu i prawie bez żadnych wyjaśnień wciągnięto do przybudówki.

- Nie odszedł nagle. Wszyscy byliśmy przygotowani na najgorsze.
- Jasne, że odszedł nagle – odparł Joe Permewan. – Nie rozumiem tylko dokąd.
- Nie możemy urządzić pogrzebu bez zmarłego – zauważyła Betsy Triggs.

– To byłoby nieprzystojne.

- Spokojnie, tylko spokojnie! – powtórzył Paul Daniel, gładząc Prudie po długich, rzadkich włosach. – Musisz być dzielna, moja droga. Prędzej czy później wszystkich nas to czeka. Bogatych i biednych, uczonych i prostych, świętych i grzeszników. Wszyscy musimy być odważni.
- Mam w zadku odwagę! – zawołała Prudie, nie okazując wdzięczności. – Martw się o swoich umarłych, a ja chce wiedzieć, co zrobili z moim starym!

Przez chwilę panowała cisza.

- Musimy szukać – rzekł konstabl Vage. – Może nie zabrali go daleko.

Szukanie wydawało się lepsze niż bezczynność, toteż zapalono jeszcze dwie latarnie. Kiedy otworzono drzwi, na dworze lał deszcz i było ciemno choć oko wykol, lecz po chwili wahania i krzątania sformowano trzy niewielkie grupy poszukiwaczy, gdy tymczasem kobiety wróciły do chaty, by pocieszać Prudie.

Prudie była w rozpacz. Oznajmiła, że to hańba. Najpierw miała męża, a potem go straciła – tak postrzegala całą sytuację i mówiła, że nigdy tego nie przeżyje. Całkowicie podzielała pogląd Betsy Triggs, że nie można urządzić pogrzebu, gdy nie ma kogo pochować. Okrutni złodzieje i mordercy nie tylko zabili jej męża, lecz również pozbawili ją przyjemności sprawienia mu godnego pogrzebu. Wszyscy mieli przyjść jutro na cmentarz, zostały nietknięte trzy baryłki brandy oraz zapiekanki i ciastka. Zamówiono karczownicę, wykopano dół i nie było co do niego włożyć. To nie do wytrzymania!

Ciotka Sarah Tregeagle pomyślała, że dla zabicia czasu warto opowiedzieć historię jednego z pogrzebów, gdy pewien mężczyzna umarł z podniesionymi kolanami, nikt jednak nie chciał jej słuchać, toteż w końcu przerwała i zapadła cisza. Jak się okazało, było to jeszcze gorsze, więc wuj Ben, który nie uczestniczył w poszukiwaniach ze względu na wiek, zwrócił się do Joego Permewana, który nie uczestniczył w poszukiwaniach ze względu na reumatyzm, i poprosił, by zagrał jakąś melodię. Joe chętnie się zgodził, sam miał to zaproponować, i wziął violę da gamba, ale był tak pijany, że jego rzępolenie okazało się gorsze od ciszy. Miało się wrażenie, jakby jeździł smyczkiem po własnych bebechach, jak to określiła Prudie.

Później Ben zaproponował wspólne śpiewanie, lecz nikt nie miał na to ochoty, a Prudie obraziła się z powodu pochrapywania Jacka Cobbledicka w kącie pod oknem. Uznała to za wyjątkową zniewagę. Jednak walenie w ścianę nie zdołało go obudzić, więc w końcu zostawiono go w spokoju.

Potem Betsy Triggs usłyszała kroki za drzwiami. Wszyscy z zaciekawieniem czekali na wieści przyniesione przez poszukiwaczy.

Do chaty wszedł Jud Paynter. Miał na sobie swoją najlepszą bieliznę, był bardzo mokry i bardzo zły. Obrus pożyczony w przydrożnej gospodzie nie chronił przed deszczem.

– Co to za zbiegowisko?! – spytał wojowniczo. – I gdzie moja fajka?

Rozdział jedenasty

Cudowne zmartwychwstanie Juda wywołało zdumienie i skandal w całym okręgu. Lekarze i aptekarze, którzy nie poświęcali mu żadnej uwagi, gdy rzekomo umarł, przybywali konno z dalekich stron, by go zobaczyć. Oglądali go, badali, pobierali próbki i wypowiadali długie łacińskie nazwy. Zapisywali antymon i środki na febrę, stosowali tampony i lewatywy, a jeden chciał nawet strzelić z pistoletu obok ucha Juda, by spędzić resztki gorączki. Tylko przekleństwa Juda uchroniły go od tego. Po początkowej poprawie znów się rozchorował i leżał w łóżku z brudnym bandażem na głowie, patrząc wściekle na swoich dręczycieli.

Przychodzili go zobaczyć również zwykli mieszkańcy okręgu, a kiedy zaczął zdrowieć, ich obecność tak go denerwowała, że zabronił Prudie ich wpuszczać. Nawet wtedy zbierali się za oknem i zaglądali do środka przez popękane deski. Gdy Jud ich zauważał, krzyczał, przeklinał i ciskał tym, co wpadło mu w ręce, nawet najlepszymi butami Prudie, więc musiała je schować.

Nie czuł szczególnej wdzięczności z powodu powrotu do zdrowia. Przede wszystkim był wściekły na Prudie.

– Przeklęta krowa! – powiedział do Rossa w czasie jego wizyty. – Przeklęta durna baba! Wydaje wszystkie piniendze na mój pogrzeb, a ja dycham! Wszystkie piniendze! Przepite, zmarnowane! Tak samo mogła je rzucić krukowi!

– Kiedy się ocknąłeś?

Jud oświadczył z godnością, że leżał spokojnie w trumnie, aż wreszcie obudził go deszcz kapiący mu na twarz przez dziurawy dach. Powiedział, że śnił mu się gin, ale smak był nie taki jak trzeba. Gdy po raz pierwszy usiadł, pomyślał, że jest na morzu na pokładzie One and All. Wydawało się, że jest sztormowa pogoda, więc opuścił pryczę i wyszedł na dek. Kiedy się tam znalazł, padało jeszcze bardziej. Zobaczył drzewa i zrozumiał, że mimo wszystko jest w domu.

– Potem wzięło mnie pragnienie, to poszedłem do szynku Jake'a. Jakżem wlaź do środka i poprosił o kapkę trunku, wszystkie, do licha, wstali i podnieśli wrzask, jakby obaczyli ducha, a potem wylegli przez drzwi. Zostałem sam jak palec. Wypiłem trunki, co je zostawili, omotałem się obrusem ze stołu i poszedłem do domu, by szukać Prudie.

– Myślała, że pieniądze należą do niej – powiedział Ross. – Wszyscy uważali, że

nie żyjesz. Chciała ci urządzić piękny pogrzeb.

– Chciała urządzić sobie zabawę i dobrze wypić, ot co! Wszystkie były pijane! Pijane jak bele! Za moje piniendze! Jak mnie uderzyli, miałem piętnaście złotych gwinei. I co zostało?! Trzy gwinee, dwie baryłki brandy i drewniana trumna, co to stoi tera na sztorc jak stary zegar! To naprzeciwno sprawiedliwości, mówie panu, panie kapitanie!

W następnych tygodniach Jud powoli doszedł do zdrowia. Chodził, kulejąc, o lasce, powłóczył jedną nogą i do nikogo się nie odzywał. Nie podobały mu się również pytania przyjaciół. Gdy tylko wychodził do szynku się napić, wszyscy natychmiast pytali go, jak wygląda niebo, czy widział archanioła Gabriela i czy w raju jest gin albo brandy.

Zawsze był niezadowolony z życia, ale teraz stało się ono prawie niemożliwe do zniesienia, bo nie mógł nikomu wyjaśnić, co się wydarzyło. Naraził się na zemstę, by zdobyć złoto, a teraz nastąpił odwet i stracił złoto. Jeśli kiedykolwiek spotka archanioła Gabriela, będzie musiał mu dużo opowiedzieć.

W pierwszy piątek maja Ross i Francis pojechali załatwić ostatnie sprawy związane z uruchomieniem kopalni. Opisali część swoich planów Harrisowi Pascoe'owi w kantorku na tyłach banku. Pascoe popatrzył na braci stryjecznych i zastanawiał się, jak długo przetrwa ich spółka. Jako osoba spoza rodziny wiedział o ich nieporozumieniach, lecz nie miał pojęcia o długiej przyjaźni łączącej ich w młodości. Był jednak zadowolony, że nie musi im odmawiać kredytu.

– Jest pewna kwestia, którą wcześniej uzgodniłem z Rossem – powiedział Francis. – Chcę, by moje udziały w kopalni były zapisane na syna.

– Geoffreya Charlesa? To dopiero dziecko, prawda?

– Mam poważne długi wobec Warlegganów i ostatnio się z nimi pokłóciłem. Muszę przyznać, że jak dotąd nie wywierają na mnie żadnych nacisków, ale jeśli się dowiedzą, że mam spółkę z Rossem, mogą próbować uderzyć w niego za moim pośrednictwem. Jeśli udziały będą formalnie należeć do Geoffreya Charlesa, nikt ich nie tknie.

– Możemy to załatwić. Oczywiście kiedy kopalnia należy do osoby niepełnoletniej, pojawiają się dodatkowe problemy. Domyślam się, że woli pan nie zapisywać udziałów na żonę?

Francis spojrział na swoje palce.

– Tak. Wolę tego nie robić.

– Rozumiem. Bardzo dobrze. Kiedy zamierzacie rozpocząć roboty?

– Pierwszego czerwca – odpowiedział Ross. – Dostarczenie części maszyny parowej jeszcze sporo potrwa, ale na początku nie będziemy potrzebowali pomp.

– Przypuszczam, że zainstalujecie maszynę Boultona i Watta?

– Cóż, nie. Henshawe bardzo pozytywnie wyraża się o dwóch inżynierach z Redruth i uważamy, że zbudują wydajniejszą maszynę niższym kosztem.

– Tylko uważajcie, by nie wplątać się w proces sądowy. Watt ma ważny patent, który wygaśnie dopiero za kilka lat.

Wkrótce wezwali Nata Pearce'a, który miał sporządzić umowę spółki, a później zjedli posiłek w gospodzie Pod Czerwonym Lwem, gdzie zatrzymywały się dylizanse. Francis miał do załatwienia własne sprawy i zostawił Rossa rozmawiającego z Richardem Tonkinem, który dołączył do nich w czasie obiadu. Tonkin przekazał mu wiadomości o wielu dawnych wspólnikach, ale Ross chętniej słuchałby ich innego dnia, bo teraz z całych sił starał się zapomnieć o wydarzeniach sprzed roku.

Tonkin powiedział, że Margaret Vosper, poprzednio Cartland, wcześniej Bóg wie kto jeszcze, opuściła męża i próbuje uwieść sir Hugh Bodrugana. Cóż, bardzo dobrze, jeśli dzięki temu przestanie się kręcić wokół mojego domu niczym stary kocur, pomyślał Ross. Wstali od stołu, by zejść na dół. Znalazłszy się na szczycie schodów, spostrzegli wchodzącego George'a Warleggana.

Tonkin lekko się zawahał, zerknął na Rossa, nie zauważył żadnej zmiany w wyrazie jego twarzy i poszedł krok za nim. George już ich dojrzał, lecz nie próbował uniknąć spotkania. Było to zresztą niemożliwe, ponieważ musieli się minąć na zakręcie schodów.

Ross podążył w dół, jakby Warleggan nie istniał, ale George oparł swoją długą laskę z rattanu o poręcz, blokując przejście. Był to niebezpieczny gest.

– Witaj, Ross! – powiedział. – Szczęśliwe spotkanie! Dawno się nie widzieliśmy. Ross spojrzał na George'a.

– Skoro tak mówisz.

Na bardzo kosztownym halsztuku Warleggana lśnił wschodni rubin wielkości ziarna grochu. Ross miał na sobie stare, sfatygowane ubranie.

– Nie wyglądasz tak dobrze jak wtedy, gdy się ostatnio spotkaliśmy. Czy to troski związane z procesem?

– Ty też nie wyglądasz najlepiej – odparł Ross. – Przeżyłeś jakieś rozczarowanie?

George trącił laską poręcz.

– Nie spotkały mnie żadne rozczarowania. Jestem bardzo zadowolony ze swoich licznych interesów. Nawiasem mówiąc, słyszałem, że otwierasz następną kopalnię.

– Jak zwykle lubisz nadstawiać ucha, by wiedzieć, co w trawie piszczy – rzekł Ross. – A może w wolnych chwilach podglądasz ludzi przez dziurkę od klucza?

Ross miał wyjątkowy dar do wyzwalania w Warlegganie ukrytego poczucia niższości. Było ono jednym z głównych motywów żądzy władzy bankiera i źródłem jego nienawiści do Poldarków.

Inne, bardziej oczywiste przyczyny odgrywały mniejszą rolę. George opuścił laskę.

– Lubię hazardzistów. Zwłaszcza takich, co grają, gdy opuściło ich szczęście.

– Dobry hazardzista zawsze wie, kiedy opuściło go szczęście – odparował Ross.

– Zły hazardzista wierzy w swoją dobrą gwiazdę, choć ma pecha. – George się roześmiał. – Muszę przyznać, że rozbawił mnie twój wybór współnika. Że też akurat zaprosiłeś Francisa! Zapomniałeś, co zrobił z Carnmore Copper Company?

Ross zdawał sobie sprawę, że Richard Tonkin uważnie się przysłuchuje.

– Tak przy okazji, zaledwie trzy tygodnie temu jeden ze świadków zeznających na moim procesie został zaatakowany przez wynajętych opryszków i o mało nie umarł wskutek pobicia. Nie byłbym zadowolony, gdyby taka zemsta się powtórzyła.

Błysk zdziwienia w oczach George'a wyglądał szczerze. Warleggan oparł się o ścianę, by przepuścić Rossa i Tonkina.

– Ktoś, kto załatwia osobiste porachunki z wiejskimi szumowinami, musi się bardzo nudzić. Dlaczego uważasz, że chodzi o zemstę?

– Ktokolwiek za tym stoi, myli się, sądząc, że tego rodzaju ataki pozostaną bez odpowiedzi. Jak wiesz, górnicy mają szczególne sposoby okazywania niezadowolenia.

– Wszyscy mamy swoje zwyczaje – odpowiedział uprzejmie George. – Ach, słyszałem, że pozbyłeś się części swoich udziałów w Wheal Leisure, w jednej z nielicznych naprawdę opłacalnych kopalni w hrabstwie. Jestem pewien, że to poważny błąd.

– Czas pokaże.

– Z czterdziestu czterech kopalni zbudowanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat w Camborne i Illuggan pracują w tej chwili tylko cztery. W Wheal Leisure masz rzadkie połączenie korzystnych czynników: dobra ruda i łatwość odwadniania wyrobisk. W Wheal Grace z pewnością nie da się tak łatwo usunąć wody. Czego tam szukasz? Złota?

– Nie – odparł Ross. – Wolności. Chcę, by moja dusza należała do mnie.

George zaczerwienił się lekko i rzucił ze złością:

– Przypuszczam, że wiesz, skąd Francis ma pieniądze, które inwestuje w twoją kopalnię, prawda?

– W ogólnych zarysach. To bardzo uprzejmie z twojej strony.

– Tak, my, Warlegganowie, zapłaciliśmy za udzielone usługi. Sześćset funtów... albo trzydzieści srebrników.

Na dole, w sali gościnnej, dwóch mężczyzn kłóciło się przy piwie. Ich szorstkie, warkliwe głosy wydawały się Tonkinowi zgrzytami zużytego mechanizmu, lecz sprawiały wrażenie nie docierając do dwóch mężczyzn stojących na schodach. Później, nim zdążył cokolwiek zrobić, Ross i Warleggan się poruszyli.

Ross wyciągnął rękę i chwycił George'a za halsztuk, który od początku go irytował. Przyciągnął Warleggana do siebie i potrząsnął nim. Zaskoczony George przez chwilę nie reagował, czując zaciskający się na szyi materiał, a później uniósł laskę i uderzył Rossa w głowę. Ten złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę,

a George zacisnął drugą pięść i mocno uderzył Rossa w policzek. Stracili równowagę i polecili na poręcz schodów, która okazała się wyjątkowo solidna i się nie złamała.

Tonkin zrobił krok do przodu i próbował przemówić im do rozsądku, lecz nie zwrócili na niego uwagi. Na chwilę opuścił ich zdrowy rozsądek. Zauważył ich jakiś mężczyzna stojący na dole i zawołał oberżystę.

George, purpurowy na twarzy, znów zamachnął się wielką pięścią, ale był przechylony i cios okazał się częściowo niecelny. Laska upadła z grzechotem na podłogę, a Ross uderzył George'a w usta. Potem puścił halsztuk i objął przeciwnika w pasie. Zmagali się niczym dwaj zapaśnicy, odepchnęli Tonkina. Siły były mniej więcej wyrównane, lecz Ross prowadził surowszy tryb życia. George poczuł, że jego nogi odrywają się od podłoża. Rozwścieczony, próbował trafić Rossa kciukiem w oko, ale było za późno. Ross uniósł go i przerzucił przez poręcz. W ostatniej chwili Warleggan usiłował czegoś się chwycić, lecz zdołał tylko oderwać gors koszuli Rossa. Z wielkim trzaskiem upadł na podłogę poniżej. Wylądował na krześle i niewielkim stoliku, rozbijając je w drzazgi.

Ross chwiał się i dyszał. Splunął i zaczął schodzić po schodach. Czoło miał pokryte krwią, która spływała wzdłuż brwi na jeden z policzków. George wił się i jęczał na podłodze. Na korytarz wypadł gospodarz i stanął przerażony, po czym podbiegł do stóp schodów.

– Kapitanie Poldark, ależ... To niesłychane! Co to wszystko znaczy?! Panie Warleggan, co się stało?! Jest pan ranny?! Kapitanie Poldark, proszę o wyjaśnienie... Dżentelmeni nie powinni... Stół i dwa dobre krzesła... Poręcz też może być uszkodzona... Kapitanie Poldark...

Kiedy Ross zszedł z ostatniego stopnia, niski oberżysta zastąpił mu drogę. Ross zauważył czerwoną kamizelkę i w ostatnim przyptywie gniewu, jakiego nie czuł od lat, odepchnął go na bok. Był to tylko ruch ręki, lecz drobny mężczyzna zachwiał się i usiadł na podłodze, oparty plecami o boazerię. Ze ściany spadł talerz i rozbił się obok niego. Kiedy Ross wyszedł z gospody, George Warleggan wstawał na kolana.

W Namparze koszone trawę, która obrodziła w tym roku. John i Jane Gimlettowie pracowali wraz z dwoma młodszymi synami Martinów, nadzorowani przez nieco niezadowoloną Demelzę, której zabroniono im pomagać. Zabraniano jej obecnie wielu rzeczy i bardzo jej się to nie podobało. Czuła się świetnie i żałowała, że musi marnować czas, gdy jest tyle pracy.

Był słoneczny dzień i wiał silny południowo-wschodni wiatr. Po obiedzie Demelza nie poszła z kosiarzami na pole, lecz nakarmiła niewielkie stadko drobiu i wykonała kilka drobnych prac domowych. Czuła się podenerwowana, a praca nie dawała jej zadowolenia. W zeszłym tygodniu napisała Verity. Z wyraźnym niepokojem zawiadomiła Demelzę, że dwoje jej pasierbów ma ją w końcu

odwiedzić, lecz większość listu wypełniały rady oraz wyrazy miłości i troski. Naprawdę się nie przemęczam, pomyślała Demelza. Nie mam na to szans, bo Ross kazał Gimlettom nieustannie mnie pilnować. Nie zdziwię się, jeśli za chwilę rzuca kosa i przybiegną sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Przeszła przez frontowe drzwi i spojrzała na ogród. Łagodna zima dobrze podziała na rośliny i pojawiły się kwiaty. Ciekawe, czy kobiety są podobne, pomyślała – czy rozkwitają w cieple i więdną w zimnie. Wiatr poruszał tulipanami. Zerwała kilka uszkodzonych pąków i przeszła przez dom do niewielkiej spiżarni, gdzie dojrzewały sery. Uniosła płótno, by sprawdzić, czy nie pojawiła się pleśń, i ruszyła w stronę zabudowań gospodarczych. Stamtąd było już tylko kilka kroków do długiego pola i przylądka.

Tego dnia morze było dość wzburzone. Fale pędziły w stronę plaży Hendrawna niczym goście na wesele. Unoszący się nad nimi pył wodny przypominał welon panny młodej. W pobliżu skał fale zwalniały, welon pozostawał z tyłu. Na tle płytkiej zielonej wody pojawiała się biała koronka, a na granicy przyboju lśniła świetlista, cętkowana mgiełka. W dali widać było dwie łodzie rybackie z St Ann's. Demelza zeszła po klifie, deptąc wschodzące liście paproci, i dotarła do zatoki Nampara.

W osłoniętym miejscu było ciepło i cicho; morze pluskało zachęcająco. Demelza zdjęła buty i pończochy, po czym stanęła na brzegu. Woda opływała jej stopy w przyjemny, uspokajający sposób. Po chwili podeszła do łodzi i odkryła, że kiedy ostatni raz jej używała – tydzień temu, wraz z Gimlettami – zapomniała zanieść dulki do domu. Ross byłby niezadowolony, bo gdyby ktoś znalazł wiosła, mógłby wypłynąć łodzią w morze lub nawet ją ukraść. Na dnie znajdował się metalowy pojemnik z przynętą, która zaczęła już cuchnąć.

W zatoczce było bezwietrznie i ocean iskrzył się w świetle słońca jak kamea. Fale wydawały się stąd raczej niewielkie i Demelza pomyślała, że mogłaby bezpiecznie wypłynąć. Gdyby ktoś się dowiedział, że wzięła łódź, oczywiście wybuchłaby wielka awantura, ale Ross pojechał do Truro, a Gimlettami się nie przejmowała.

Potrafiła bez wysiłku pchać niewielką łódź po piasku – czynność wymagała zręczności. Udało jej się to bez trudu, choć zachowywała szczególną ostrożność, bo był już maj. Później podkasała suknię i zepchnęła łódź do wody. Po chwili wgramoliła się do środka i kilkakrotnie poruszyła wiosłami, by morze nie wyrzuciło łodzi bokiem na brzeg.

Wiosłowała, aż znalazła się w wylocie zatoczki, po czym rzuciła kotwicę, która natychmiast mocno zaczepiła o dno. Fale były tu wyższe, niż się spodziewała, ale kołysanie sprawiało przyjemność. Triumfalnie, choć marszcząc z niesmakiem nos, założyła przynętę.

Rozdział dwunasty

Po nagłej bójce z George'em Warlegganem Rossa dręczyły gniewne myśli. Nie pamiętał, by kiedykolwiek stracił w ten sposób panowanie nad sobą. Twarz George'a, jego szyderstwa, złowrogi wpływ Warlegganów na całe jego życie nagle doprowadziły do ataku niekontrolowanej furii. W przeszłości wyrażał swoje uczucia rozsądniej, lecz w końcu doszło do piekielnej awantury.

(Zdał sobie sprawę, że miał szczęście, że nie zabił George'a. Kiedy Warleggan wstawał wśród szczątków stołu, wydawało się, że nie jest nawet poważnie ranny). Ale wieści o bójce rozprzestrzeniły się jak pożar na suchym wrzosowisku. Za godzinę będzie o tym mówić całe Truro, za dzień... Nie miało to większego znaczenia, lecz ludzie będą plotkować o przyczynach awantury. Właśnie w tym kryła się trucizna.

Warleggan zatruł mu umysł i zwykła bójka nie mogła być antidotum. Kiedy się umył i kupił nową koszulę, próbował spojrzeć na wszystko rozsądnie.

W jakiś nieokreślony sposób pogodził się z myślą, że to Francis doprowadził do bankructwa odlewni miedzi. Należało o tym zapomnieć i wszystko wybaczyć. Francis miał z tego powodu wyrzuty sumienia, co było oczywiste dla każdego, kto stykał się z nim w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Cóż, to już przeszłość. Bez udziału Francisza przedsiębiorstwo prawdopodobnie i tak by zbankrutowało; jeśli dopuścił się zdrady, zrobił to w przypiływie nagłego gniewu po ucieczce Verity. Rossowi nigdy nie przyszło do głowy, że Francis mógłby celowo zdradzić ich dla pieniędzy. Nawet teraz odrzucał tę myśl, znając charakter Francisza. Właśnie impulsywne odrzucenie insynuacji George'a stało się powodem bójki – nie potrafił obalić jego tezy za pomocą argumentów, toteż musiał się posłużyć brutalną siłą fizyczną.

A zatem walczył w obronie Francisza, choć sam nie był pewien, czego właściwie broni. Dziwna sytuacja. Nie mógł zapomnieć o drobnych, przykrych szczegółach, które potwierdzały wersję George'a. Warlegganowie rzeczywiście zapłacili Francisowi. Czy wyjaśnienia Elizabeth – prawdopodobnie przekazane przez Francisza – są wiarygodne? Czy Warlegganowie zapłaciliby sześćset funtów z powodów honorowych? Francis nie wydał tych pieniędzy na utrzymanie – co mogło go przed tym powstrzymać oprócz pogardy dla samego siebie wywołanej

zdradą? Dlaczego nie dokonano koniecznej naprawy wielkiego okna w Trenwith?

Jeśli to prawda, co z tego wynika? Gdyby to była prawda, lepiej przejść przez ulicę i powiedzieć Pearce'owi, by nie marnował czasu na sporządzanie dokumentu, który nigdy nie zostanie podpisany. Ale jak uzyskać pewność? Tylko pytając Francisa wprost. Poruszenie tego tematu dowodziłoby, że Ross uważa zdradę za pieniądze za możliwą, i doprowadziło do całkowitego zerwania stosunków. Znał Francisa dostatecznie dobrze.

Chociaż był wytracony z równowagi, musiał zrobić zwyczajne sprawunki. Jego zły humor był utrapieniem dla sprzedawców. Rozkładając towary, spoglądali z ciekawością na posiniaczone czoło i zamyśloną twarz Rossa. Chwilami był przekonany, że George to kłamca i dostał to, na co zasłużył, lecz zaraz potem powracały wątpliwości zatruwające umysł. Czy to właśnie do tej okropności Francis zamierzał się przyznać w Trenwith w zeszłym miesiącu?

Jeśli rozejdą się plotki o przyczynach bójki i ludzie uwierzą w słowa George'a, Francis znajdzie się w nieprzyjemnej sytuacji. Ross zauważył wyraz twarzy Tonkina. Gdyby słowa George'a wzięto za dobrą monetę, Francis nie mógłby się pokazać w Truro.

Bogu dzięki, że Trencrom przynajmniej przekazał należne pieniądze i że w tym ważnym momencie jest trochę gotówki. Cztery metry różowej i cztery metry błękitnej wstążki po sześć pensów za metr. Siedem metrów koronkowej lamówki kosztowało pięć szylingów. Kiedy wróci do domu, prawdopodobnie okaże się, że to niewłaściwy rodzaj, ale Demelza dobrze ją wykorzysta, jak zawsze. Więcej samodziiałowych ręczników. Demelza sama kupiłaby te rzeczy, gdy mogła jeszcze jeździć konno, ale wcześniej po prostu nie mieli pieniędzy. Koce. Dwa kosztowały szesnaście szylingów, a jeden dwanaście. W nagłym przypływie oszczędności kupił jeden koc, po czym wydał różnicę na kilka metrów czerwonego aksamitu na szarfę dla Demelzy, gdy znowu będzie mogła ją nosić.

Lada dzień może zacząć rodzić. Im szybciej, tym lepiej. Nowy grzebień. To już kolejny raz. Ciągłe łamie grzebienie podczas czesania.

Co by powiedziała o sugestiach George'a? Zawsze chciała, żeby Ross pogodził się z Francisem, ale czy namawiałaby go, by przebaczył kuzynowi i zapomniał, gdyby to wszystko było prawdą? Mogłaby spytać, dlaczego szalone oskarżenia George'a miałyby teraz wszystko zniszczyć. Kłótnia między braćmi to coś, na czym mu najbardziej zależy.

To przynajmniej brzmiało rozsądnie. Gdyby pokłócił się z Francisem, kto sfinansowałby kopalnię? Rossowi nie wystarczyłoby pieniędzy. Czy plany przygotowywane przez ostatnie dwa miesiące miały spełznąć na niczym bez ostatecznego rzutu kośćmi? Właśnie tego pragnął George.

Kiedy Ross zrobił zakupy, zdał sobie sprawę, że umówił się z Francisem w gospodzie Pod Czerwonym Lwem. W tej chwili nie mogą się tam spotkać.

Żałował, że popchnął oberżystę. Należało mu jakoś wynagrodzić zniewagę i szkody, ale dziś nie chciał tam wracać. (Bójka mogła mieć oficjalne reperkusje, chociaż raczej w to wątpił – George chętnie stoczyłby z nim walkę na pięści w miejscu pozwalającym na większą swobodę ruchów niż podest schodów, ale mało prawdopodobne, że zaryzykuje pojedynek na pistolety z byłym oficerem. Tak czy inaczej, znaleźli się w stanie otwartej wojny).

Ross poszedł do gospody Pod Siedmioma Gwiazdami i posłał chłopca, który znał Francisa z widzenia, by czekał na niego przy wejściu do gospody Pod Czerwonym Lwem. Później usiadł w ciemnym kącie, zamówił brandy i usiłował podjąć decyzję przed pojawieniem się kuzyna. Miał całkowitą wolność wyboru; od tego, co postanowi, zależy przyszłość. Dzisiejsza decyzja sprawi, że coś się wydarzy albo nie wydarzy, będzie możliwe lub niemożliwe, żywe bądź jałowe. Wkrótce ukształtuje przyszłość. Miał do wyboru dwie możliwości, nie trzy. Mógł odrzucić słowa George'a na temat Francisa albo opowiedzieć Francisowi, co usłyszał – z nieuniknionym skutkiem. Mógł też wierzyć w uczciwość kuzyna. Nawet kompromis miałby fatalne skutki. Gdyby zignorował słowa George'a, a jednak pozwolił, by zatruwały mu umysł, byłoby to gorsze od zerwania stosunków z Francisem.

W rogu tykał wysoki zegar stojący. Na dworze, na wąskiej ulicy, ciepły, porywisty wiatr niósł wirujące tumany pyłu – zadarł poły surduta i rozczochrał perukę grubego, starego dżentelmena, który z wysiłkiem, na niepewnych nogach szedł obok gospody, wsparty o lasce. W pewnym momencie wiatr popchnął kulkę papieru pod nos siedzącego kota, wywołując jego żywe zainteresowanie. Piętnaście kilometrów dalej łódź lekko wlokła kotwicę, a wiatr rozwiewał włosy Demelzy, która wyciągała linkę z pustym haczykiem. W jednym z ciemnych kątów gospody wstał od stołu mężczyzna i podszedł do Rossa. Był to Andrew Blamey, mąż Verity.

Ross popatrzył na niego, usiłując zebrać myśli, a później, bardziej pod wpływem instynktu niż świadomej decyzji, wstał i ujął wyciągniętą dłoń.

– Cóż, minęły przeszło dwa lata, panie Poldark – rzekł szorstko Blamey.

– Moim zdaniem prawie trzy. Przysiądzie się pan? – spytał Ross z wyraźnym wahaniem.

– Rzadko przyjeżdżam teraz do Truro, ale przyplłynąłem szkunerem przyjaciela, który nie zna rzeki, i czekam na dyliżans do domu. Odjeżdża o piątej.

Rozmawiali przez kilka minut, choć nie swobodnie. Andrew Blamey spytał ze szczerą troską o zdrowie Demelzy. Ross zawsze się dziwił, jak łatwo Demelza zyskuje szacunek ludzi o trudnych charakterach. Francis skoczyłby za nią w ogień. W zeszłym tygodniu sir John Trevaunance przysłał trochę brzoskwiń z oranżerii. Nie byli to mężczyźni pokroju Bodrugana lub Treneglosa, którzy okazywali jej względy, bo podniecała ich fizycznie i odznaczała się dowcipem.

W odpowiedzi grzecznie spytał o Verity i zauważył cień przebiegający po twarzy

Blameya.

– Czy to znaczy, że coś jej dolega?

– Nie, była w doskonałym zdrowiu, gdy opuściłem ją dziś rano. – Blamey odchrząknął. – Jest pewna drobna kwestia, choć niewątpliwie dla człowieka spoza rodziny... Jutro po raz pierwszy spotka się z moimi dziećmi z pierwszego małżeństwa, a ja będę na morzu.

Ross zerknął w stronę drzwi. Dylemat, przed którym stał, nie pochłaniał już całej jego uwagi; starał się teraz skupić na słowach kapitana.

– HMS Thunderer ma zawinąć do Falmouth dziś wieczorem lub jutro wczesnym rankiem. James od dwóch lat nie był w domu... Spodziewałem się, że spędzę na lądzie cały tydzień, więc kazałem córce, która jak dotychczas nie chciała przyjechać – tylko z nieśmiałości, jak przypuszczam – złożyć nam wizytę w tym samym czasie. Ale zeszłej nocy Arwenack wszedł na stary wrak, gdy wpływał na redę, i wymaga remontu części dziobowej. Dlatego Caroline musi jutro popłynąć zamiast Arwenacka.

Czasu było coraz mniej – a Ross nie dokonał podstawowego wyboru. Z opóźnieniem, odzyskując ostrość wzroku i myśli, czując nagły lęk, zdał sobie sprawę, że pojawiła się groźba kolejnej awantury. Francis i Blamey spotkali się ostatni raz siedem lat temu, gdy o mało nie doszło do bójki. Powinien ostrzec Blameya, skłonić do odejścia. A jednak... jeśli miał wykonać gest zaufania, przebaczenia i zrozumienia, któż inny miałby zrobić to samo?

– W czasie rejsów odwiedza pan różne kraje europejskie – rzucił nagle ostrym tonem. – Uważa pan, że jest szansa na pokój?

Blamey umilkł, zdziwiony zmianą tematu.

– Słucham? Cóż, odwiedzam tylko Lizbonę. Ale słyszę mnóstwo plotek. Stolica Portugalii jest ich roznosicielem. Na kontynencie panuje nerwowość.

– Z powodu Francji?

– Z powodu klubów rewolucyjnych. Powstają wszędzie, wspierane przez Francuzów. Mniejszości narodowe w Niemczech, Austrii i Portugalii są lojalne wobec Paryża, chyba można tak to określić. To niebezpieczne, bo jeśli wybuchnie wojna, istnieje obawa, że staną po stronie Francji przeciwko własnym narodom.

– W Anglii też są kluby rewolucyjne, hałaśliwe, ale niewielkie. Moim zdaniem nie są groźne.

– Zgadza się co do Anglii. Nie jestem pewien innych krajów.

– A nastroje we Francji?

Blamey wzruszył ramionami.

– Oczywiście słyszy się relacje emigrantów. Jeśli sytuacja w kraju stanie się niemożliwa do zniesienia, wtedy nastąpi...

Przerwał. Do gospody wszedł Francis.

W niskim pomieszczeniu panował półmrok, a na dworze świeciło słońce, toteż

zauważył tylko Rossa siedzącego przy stole. Zbliżył się z uśmiechem.

– Ach, słyszałem, że biłeś się z George'em! Nie daruje ci tego. Podobno ma zwichnięte ramię i ledwo chodzi. Jakaż to iskra wywołała...

Zauważył Blameya i umilkł. Kapitan wstał najeżony jak pies szykujący się do walki.

I nagle wszystko stało się dla Rossa jasne. Rozproszone cząstki jego własnego problemu ułożyły się w całość w nowej sytuacji, gdy był zaledwie widzem. Pomyślał, że w przyszłości może się to wydać uproszczeniem, ale czas na myślenie minął. Nadeszła chwila, by Francis został poddany ostatecznej próbie. I wybacz nam nasze winy...

– Ty... – zaczął Francis.

Ross nie wstał.

– Siadaj, Francis. Każę ci podać coś do picia.

Na twarzy Francis'a pojawiła się dawna arogancja.

– Dziękuję, nie trudź się. W tym towarzystwie...

– To ostatnia szansa, by wymazać przeszłość.

Coś w głosie Rossa zwróciło uwagę Francis'a. Popatrzył na kuzyna, który odwzajemnił jego spojrzenie. Po chwili Francis zaczerwienił się i zawahał.

Blamey zmarszczył brwi i niepewnie zerknął na Rossa. Obaj w jakiś sposób rozumieli szczególne znaczenie tej chwili. Przez dłuższy moment się nie odzywali, a tymczasem obok stał chłopiec, który przyprowadził Francis'a, i czekał na napiwek. Ross dał mu monetę i zamówił brandy. Chłopiec odszedł i trzech mężczyźni zostali sami.

– Nigdy nie chciałem się kłócić – odezwał się

Blamey. Francis otrzepał mankiet i przełknął ślinę.

– Wydaje się, że mojej siostrze podoba się małżeństwo – powiedział gorzko.

– Nic dziwnego – odparł Ross. – Małżeństwo to rzecz naturalna, kobiety są do tego stworzone, a my nie możemy się wiecznie kłócić jak koguty na kupie gnoju.

– Ale nie zwraca uwagi na to, czy to aprobuję, czy nie...

– Byłaby znacznie szczęśliwsza, gdybyśmy się pogodzili – odezwał się Blamey. – Dlatego ja również chciałbym się pogodzić.

Ładnie powiedziane. Francis spojrział przez salę na wracającego chłopca i wsunął rękę do kieszeni, jakby czegoś szukał.

– Skoro tak...

Chłopiec postawił kieliszki na stole i odszedł. Ross spoglądał na Blameya i Francis'a. Świeży czerwony siniak na czole Rossa kontrastował z białą blizną. Więcej się nie odzywał. Teraz wszystko zależało od nich. Jeśli nie znajdą jakiegoś sposobu, zerwie z obydwoma.

W końcu Francis wykonał decydujący krok, podejmując słuszną decyzję.

– Warlegganowie są wściekli po tej awanturze, Ross. Ja sam miałem ochotę

przyłożyć George'owi, ale nigdy nie nadarzyła się sposobność. – Zerknął na Blameya i zmusił się do wyjaśnienia. – Może nie słyszał pan nowin. Dziś po południu Ross i George Warleggan spotkali się na schodach gospody Pod Czerwonym Lwem, po czym Ross chwycił George'a w niedźwiedzi uścisk, jakiego dawno nie widziano, i zrzucił go na dół. Mówi o tym całe miasto. – Spojrzał na Rossa. – To prawda, co?

– Trochę przesadzone, ale fakty się zgadzają.

Blamey usiadł w milczeniu. Obracał w dłoni kieliszek, lecz nie pił.

– Verity opowiadała mi o narastającym sporze. Ale jaka była przyczyna dzisiejszej kłótni?

Ross popatrzył obok dwóch mężczyzn na stary zegar stojący w rogu sali.

– Nie podobał mi się jego halsztuk.

Demelza złapała dwie młode płastugi, które połknęły haczyki z głupoty, lecz ryby raczej nie brały. Nie była zdziwiona. Przynęta śmierdziała, nie nadawała się nawet dla makreli. Po pewnym czasie postanowiła zakończyć połów i wyrzuciła dwie schwytane ryby z powrotem do wody – nie opłacało się ich smażyć, narażając się na pytania, uwagi czy wręcz reprimendę.

Po raz pierwszy od kilku minut spojrzała do tyłu i zauważyła, że łódź musiała wlec kotwicę, bo znalazła się prawie przy ujściu zatoczki, a brzeg znajdował się dalej niż zwykle. Widok był ładny: niskie czarne klify, zakrzywiona piaszczysta plaża, kamyki i karłowata roślinność w miejscu, gdzie strumień Mellingey wpadał do morza. Czuła i widziała fale płynące wzdłuż klifów w kierunku plaży Hendrawna.

Przeszła na rufę i wyciągnęła kotwicę, znów usiadła na ławce z twarzą zwróconą w stronę otwartego morza i zaczęła wiosłować. Wystarczy kilka ruchów i dopłynie do brzegu.

Zastanawiała się, jak poszły Rossowi interesy w Truro. Postanowił uruchomić Wheal Grace bez jej wiedzy. Chociaż nigdy nie krytykowała tej decyzji, nigdy nie spotkała się ona z jej pełną aprobatą. Grace była ryzykownym przedsięwzięciem, które mogło zakończyć się fiaskiem. Takie roboty można rozpoczynać, gdy ma się tysiąc funtów oszczędności, a nie gdy jest się pogrążonym w długach.

Na otwartym morzu wiatr był silniejszy, a płaskodenna łódź, prawie pozbawiona kilu, miała skłonność do zbaczania z kursu. Demelza dwukrotnie zerknęła przez ramię i korygowała kurs; za trzecim razem z lekkim niepokojem zauważyła, że klify nie są wcale bliżej. Do tej pory wiosłowała, posługując się tylko mięśniami ramion i nie angażując całego ciała, bo pamiętała, że powinna być ostrożna. Teraz jednak mocniej napała na wiosła i z zadowoleniem zauważyła, że łódź reaguje, kołysząc się na falach.

Czasami podejrzewała, wyrzucając sobie niełojalność, że Ross postanowił uruchomić nową kopalnię, ponieważ niechęć do Warlegganów odebrała mu

zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Pragnienie uniezależnienia się od wpływów rodziny George'a sprawiło, że traktował przesadnie optymistycznie perspektywy odkrycia bogatych złóż miedzi. Wiedziała, że Francis również jest urodzonym hazardzistą, lecz znacznie słabszym od Rossa, toteż jego udział w przedsięwzięciu nie był żadnym pocieszeniem. Reszta uczestników nie ponosiła żadnego ryzyka. Henshawe mógł sobie pozwolić na stratę stu funtów. Dwaj młodzi inżynierowie z Redruth mieli otrzymać uzgodnioną zapłatę za budowę maszyny parowej. Robotnicy zatrudnieni na akord i łupacze otrzymywali miesięczne pobory, sztygarzy inwestowali pracę i czas, a całe ryzyko ponosili Poldarkowie.

Demelza wiosłowała przez dwie lub trzy minuty, pewna, że zbliża się do brzegu, ale kiedy się obejrzała, spostrzegła, że popłynęła na ukos w stronę ostrych skał Damsel Point, które znajdowały się zaledwie pięć lub sześć metrów od łodzi. Chlupocząca wokół nich woda wydawała się spokojna, lecz gdyby łódź wpadła na skały, bez trudu wybiłyby dziurę w dnie. Demelza szybko skręciła, zmieniając kurs, ale nagle dziwnie się poczuła. Na początku myślała, że to choroba morska. Po chwili zrozumiała, że to coś innego.

Na szczycie klifu, na wpół w cieniu, na wpół w słońcu, walczyły ze sobą kawki i wrończyki. Roztrzepotane czarne skrzydła lśniły jak węgiel. Na jasnoniebieskim niebie widać było smugi oświetlonych słońcem obłoków, które nadpływały od południa. Demelza zaczęła wiosłować solidnie, wkładając w to wszystkie siły, wiedząc, że chodzi o życie. Na jej brwiach pojawiły się kropelki potu. Przygryzła dolną wargę, widziała jak przez mgłę.

Cóż, to moja wina, pomyślała, tylko moja. Albo sama sobie poradzę, albo utonę. Ross będzie zachwycony, gdy wróci do domu. Musiała przestać na chwilę wiosłować, siedziała dwie minuty z głową między kolanami, ale horyzont ciemniał i słyszała szum morza. Musi dalej wiosłować. Zaatakowała ją bestia, diabeł – umrze, jeśli się podda.

Kiedy miała wrażenie, że już nigdy nie zdoła wciągnąć powietrza do płuc, poczuła nagłą ulgę. Plaża wydawała się znacznie bliższa. Jeszcze tylko kilka, kilkanaście metrów. Trwała za plecami Demelzy jak miraż, kusząc suchym, bezpiecznym piaskiem i obietnicą powrotu do domu.

Pokonane wrończyki z czerwonymi nogami przeleciały dość nisko nad głową Demelzy, a wolne miejsce na urwisku triumfalnie zajęły kawki. Oddaliły się. Postęp. Ale bestia znajdowała się teraz bliżej i szykowała się do ataku. Demelza pomyślała, że Ross wróci do domu o siódmej, lecz jej nie zastanie, już nigdy nie zastanie jej w domu. Muszę się uratować. Nie będzie miał komu opowiadać o kopalni, o Wheal Grace, noszącej imię jego matki. Może przyniesie mu szczęście? Kiedyś przyniosła szczęście jego ojcu. Dwór wzniesiono za uzyskane z niej pieniądze. W dawnych czasach kopalnie dawały ogromne zyski. Trenwith zbudowano za pieniądze z kopalni Gambler, Tehidy z kopalni Dolcoath, powstała w ten sposób połowa

wielkich dworów w Kornwalii. Ale stracono również mnóstwo pieniędzy.

Wiatr przekornie, złośliwie przybrał na sile, odpływ popychał lekką łódź ku otwartemu morzu. Może na brzegu będzie ktoś, kto ją zauważy, może ktoś idący wzdłuż klifu. Jeśli Demelza pozwoli łodzi dryfować, z pewnością spostrzegą ją rybacy z St Ann's. „Zmarłym zostaje rozpacz, a żywym – nadzieja!”⁵

Nagle przełamała się pod nią fala i Demelza straciła rytm; wiosło wysunęło się z wody. Łódź poruszała się, jakby pchała ją ręka sześć razy silniejsza od rąk Demelzy naciskających na wiosła. Obejrzała się i zobaczyła, że jest prawie na brzegu. Znajdowała się na niewłaściwym krańcu zatoczki, koło strumienia, w nieosłoniętym miejscu, gdzie rozbijały się fale, ale powinna dać sobie radę. Usiłowała sterować łodzią, lecz następna fala ustawiła ją bokiem i prawie wyróciła. Później wyrzuciła łódź na kamienisty brzeg i zaczęła znowu wciągać do wody z grzechotem i trzaskiem. Demelza wyszła przez burtę, a gdy nadpłynęła następna fala, stanęła w wodzie i chwyciła łódź, instynktownie próbując wyciągnąć ją na brzeg. Poczula nagły skurcz, krzyknęła lekko i puściła. Czuła ból. Ruszyła w stronę klifu, walcząc z cofającą się wodą, i dotarła na czworakach do suchej ziemi. Bestia powróciła. Demelza kuliła się na brzegu sparaliżowana trwogą, nie mogąc się poruszyć.

Minęły trzy minuty. Fale w dalszym ciągu uderzały w skalisty brzeg w równym rytmie, ale słońce skryło się za niewielką chmurą. Pozbawiona kolorów zatoka wydała się nagle brzydka i zimna, a morze miało w sobie coś groźnego. W połowie zatoki dryfowała do góry dnem łódź, bez wiosła, z wyrwaną deską poszycia.

Demelza poruszyła się i wstała. Była przemoczona do suchej nitki i ledwo trzymała się na nogach. Wyjęła przednią część spódnicy i bluzki, po czym z trudem wspięła się doliną do domu.

Rozdział trzynasty

Po południu następnego dnia Verity stała w oknie swojego domu, patrząc na port w Falmouth i nasłuchując, czy nie nadjeżdża dyliżans z Plymouth. Bałaby się spotkania z pasierbami, nawet mając obok siebie Andrew. Jego nieobecność sprawiała, że w chwilach paniki, jaka ją niekiedy ogarniała, czuła, że może sobie nie poradzić. Potem odzyskiwała na pewien czas równowagę i zadawała sobie pytanie, czego może się obawiać ze strony dwojga młodych ludzi, ciągle nastolatków? Z pewnością mogą być trochę skrępowani, to wszystko.

Chociaż James musiał przebywać w mieście już od paru godzin, jeszcze się nie pojawił. Zerknęła na zegar znajdujący się za jej plecami i w tej samej chwili usłyszała wyraźny dźwięk trąbki pocztyliona. Nie widziała stąd dyliżansu, lecz wyobrażała sobie, jak skręca na dziedziniec przed gospodą: spienione konie, wysiadający pasażerowie, brzęk dzwonek, ziewający marynarze przy drzwiach. Człowiek, którego posłała po Esther, przygląda się twarzom pasażerów i widzi Esther, dziewczynę, w połowie kobietę, twarz z miniatury starszą o pięć lat.

Verity obróciła się w stronę niewielkiego okrągłego lustra i spojrzała na siebie. Córka Andrew uzna ją za staroświecką i niemodną uzurpatorkę. Młodość jest tak bezlitośnie surowa w swoich ocenach; ma własne niewzruszone standardy i nie nauczyła się jeszcze, że upływ czasu udowodni, jakie były bezwzględne. Stała przed lustrem, aż rozległ się dźwięk dzwonka, po czym odetchnęła głęboko i zeszła na dół. W drzwiach stali Masters i szczupła, dość wysoka dziewczyna.

– To ty jesteś Esther? Wejdz, moja droga. Od dawna pragnę cię poznać. Na pewno jesteś zmęczona. Czy mógłbyś od razu zabrać kufer na górę, Masters? Wiesz, do którego pokoju? Proszę, wejdz, moja droga.

Policzek był chłodny. Twarz lekko rozszerzająca się nad kośćmi policzkowymi, wyraziste szare oczy, uczciwe, lecz skupione na sobie, z odrobiną wrogości.

- Pani Stevens zaniemogła z powodu kłopotów żołądkowych – wyjaśniła Verity.
- Choruje z przerwami od kilku tygodni. Mam dla ciebie posiłek.
- Dziękuję, pani. Czy mogłabym najpierw iść do swojego pokoju?
- Oczywiście. Zejdz w dogodnej dla siebie chwili.

W salonie na piętrze Verity znów podeszła do okna. Ani odrobiny ciepła. Czy jej powitanie brzmiało fałszywie?

Trójmasztowy statek pocztowy stawiał żagle. Wykorzystywał odpływ i płynął powoli wśród innych statków w stronę otwartego morza. Kapitan Buckingham na Percuil zdążył do Indii Zachodnich. Verity zmusiła się, by usiąść, wzięła tamborek z haftem. Spokojna, niewymuszona przyjaźń. Jest dorosła, musi nadać ton ich relacjom.

Esther długo nie było, ale kiedy weszła bez kapelusika, wydawała się starsza. Verity wstała.

– Podam posiłek tutaj, Esther. Zawsze jadam w tym salonie, gdy jestem sama, bo uwielbiam patrzeć na statki.

– Tak, pani. – Te oczy. Takie małe i bezpośrednie. Może to strach, a nie wrogość?

– Twój ojciec był bardzo rozczarowany, że musi wypłynąć w morze. Długo czekał na tę chwilę.

– Powiedzieli mi, że go nie będzie, dopiero gdy zajęłam miejsce w dylizansie. W czasie kolacji dziewczyna jadła niewiele. Na policzkach kilka śladów po ospie.

– Wiesz, że twój brat jest na lądzie, Esther?

– Wiem, że miał przyплыnąć. Nie wiem, czy dotarł.

– Thunderer rzucił kotwicę dziś rano. W zeszłym miesiącu, gdy fregata przywiozła pocztę, twój ojciec dostał list od Jamesa.

– Tak, słyszałam o tym.

A zatem pisał do siostry.

– Zdaje się, że służył w Indiach Wschodnich... Jesteś zadowolona ze szkoły?

– Tak, pani. Opuszczę ją pod koniec roku.

Rozmawiały przez chwilę, lecz atmosfera się nie ocieplała. Esther odpowiadała na pytania jak szermierz parujący niebezpieczne ciosy. Nie można było się do niej zbliżyć. Verity wstała ze smutkiem w sercu i podeszła do bocznego stolika, by pokroić wołowinę. Wyobrażała sobie koszmarną sobotę i niedzielę, które zakończą się całkowitym fiaskiem.

– Wydaje mi się, że nie jesteś podobna do ojca, prawda, kochanie?

Do zadania tego pytania zmusił ją brak reakcji Esther. Czują na plecach wzrok dziewczyny.

– Nie, pani. Przypominam matkę.

– Och, nie wiedziałam... Cóż, myślę, że wyrośniesz na bardzo atrakcyjną kobietę.

– Matka była bardzo piękna – odpowiedziała Esther. – Chciałabym być taka jak ona.

Verity uniosła wzrok i nagle spostrzegła, że w owalnym wypukłym lustrze odbija się stół jadalny. Dziewczyna siedziała wyprostowana na krześle, jej ramiona opływała biała suknia ozdobiona falbankami. Na twarzy malował się niezwykle wyraz dumy zmieszanej z niechęcią. Nóż w ręku Verity zadrżał, gdy odkrajała plaster wołowiny. Spuściła wzrok.

– Oczywiście nigdy nie zastąpię ci matki, ale mam nadzieję, że zawsze będziesz

mnie uważać za kochającą, życzliwą przyjaciółkę.

– Wie pani, że to ojciec ją zabił, prawda? – spytała Esther. Zapadło milczenie. Verity się odwróciła.

– Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć. – Postawiła talerz przed pasierbicą. – Że doszło do strasznego wypadku i...

– Zabił ją. Ludzie zawsze próbowali mnie przekonać, że było inaczej, ale ja wiem! Trafił za to do więzienia, prawda? Nie miała bliskich krewnych. Wysłali mnie do jego rodziny. Próbowali zniszczyć pamięć o matce, ale nigdy im się to nie udało! Wiem, że była dobra, święta! Wiem!

Verity przyniosła swój talerz i usiadła. Zmartwienie i niechęć sprawiły, że odezwała się ostro:

– Uważam, że nie jest to odpowiedni temat do rozmów między nami. Proszę, dokończ kolację.

– Zatem nie wolno mi mówić o matce również w pani obecności?

– Oczywiście, że ci wolno. Chyba że oskarżasz przy tym ojca.

– Ojca popiera wielu ludzi. Matka ma tylko mnie.

Verity mocno biło serce.

– Powinnaś mówić o swojej matce. To słuszne i dobre. Ale roztrząsanie jej śmierci nie jest słuszne ani dobre. Wspominaj szczęśliwe chwile, które przeżyła, a nie...

– Nigdy nie była szczęśliwa!

Ich spojrzenia się spotkały.

– Skąd wiesz? – spytała gniewnie Verity. – Myślę, że powinniśmy dojść do porozumienia. Esther...

Urwała, słysząc głośne pukanie do drzwi frontowych. Nie wytrzymam spotkania z synem Andrew, pomyślała Verity. We dwoje... Nie mogę, nie mogę...

Esther w końcu spuściła wzrok.

– To James – powiedziała.

Siedziały w martwej ciszy i słuchały otwieranych i zamykanych drzwi, a później kroków na schodach. Gość zawahał się chwilę, po czym zastukał do drzwi, uchylił je i stanął na progu. Barczysty młodzieniec, o ciemniejszej karnacji niż siostra, w eleganckim mundurze kadeta marynarki wojennej, z kędzierzawymi włosami i brązowymi oczyma.

– Cóż, zastanawiałem się, czy ktoś jest na pokładzie – rzekł tubalnym głosem. – Kiedy wszedłem, myślałem, że na statku jest tylko nocna wachta. Dzień dobry, Essie. Urosłaś. – Spojrzył na drugą osobę obecną w salonie. – Podejrzewam, że jest pani...

Verity z wielkim wysiłkiem wstała.

– Wejdz, James. Czekał na ciebie cały dzień. Zatrzasnął za sobą drzwi.

– Czy panna Verity?

– Tak, kiedyś byłam panną. Teraz jestem...

– Ha, wiem! Mogę panią nazywać ciocią? Byłoby to coś w rodzaju kompromisu.

Szkoda, że nie zastałem ojca. Gdybym wiedział, ostro porozmawiałbym z kapitanem i kazałbym mu się śpieszyć. Jesteśmy w dobrych stosunkach, choć bez przerwy gada!

Wszedł do salonu, rzucił czapkę na fotel przy oknie, poklepał Esther po głowie, przeszedł wokół stołu do Verity i obejrzał ją od stóp do głów. Był od niej wyższy.

– Dużo o tobie słyszałem, ciociu.

Położył jej ręce na ramionach i pocałował tuż pod uchem. Później mocno ją uściskał, aż straciła oddech.

– Przepraszam za to swobodne zachowanie, ale nie codziennie poznaje się nową matkę! – rzekł, jakby przekrzykiwał wicher. – List dotarł do mnie na wyspie Penang, więc powiedziałem: „Chłopcy, musimy wznieść toast, bo mam nową matkę, a to lepsze niż żona, bo i miłe, i nie ma takiej odpowiedzialności”. Nie pisałem, bo nie mam wprawy w pisaniu, ale wypiliśmy twoje zdrowie, ciociu!

– Dziękuję – odpowiedziała Verity, czując nagły przyływ serdeczności. – To miło z twojej strony.

– Cóż, miło być znowu w domu. – Rozejrzał się po salonie. – Chociaż ściany są dziwnie nieruchome! Wiesz, ciociu, moim zdaniem właśnie dlatego marynarze natychmiast się upijają po zejściu na ląd. Chcą, żeby pokład znowu się kołysał, bo są do tego przyzwyczajeni. Esther, kochanie, nie patrz na mnie z taką kwaśną miną!

– Zupełnie się nie zmieniłeś – powiedziała Esther.

Młodzieniec odwrócił się i uśmiechnął do Verity.

– To nie był komplement, ciociu. Zostawiłaś dla mnie trochę kolacji?

– O tak! – odparła Verity. – Pani Stevens leży w łóżku, więc ja ją przyniosę.

– Sam zejść na dół! Oczywiście pod warunkiem, że wpuścisz mnie samego do kambuza. Pani Stevens się na to nie zgadza.

– Idź na dół i przynieś wszystko, na co masz ochotę – odrzekła Verity.

Jadły w zupełnym milczeniu aż do jego powrotu.

– Nigdy nie byłaś na pokładzie okrętu wojennego, ciociu? – spytał James, wyciągając z zadowoleniem nogi. – Zastanawiam się, czy mógłbym to załatwić. Ciekawe, czy mogłabyś udawać moją prawdziwą matkę. Nie, jesteś za młoda. Mimo to macochy też mają swoje prawa. Ha! Chyba dałoby się to załatwić.

– Może Esther też chciałaby iść.

– Nie, dziękuję.

– Essie nie lubi morza. Ma pecha. Ale czuję, że ty mogłabyś być dobrym żeglarzem, ciociu.

– Nie wiadomo, bo nigdy nie pływałam statkiem. Słodzisz herbatę, James?

– Sypię tyle cukru, żeby łyżka stała na sztorc. Jeśli chodzi o pływanie w czasie

złej pogody, nigdy nie wiedziałem, czym jest naprawdę zła pogoda, dopóki nie natknęliśmy się na huragan w pobliżu Nikobarów...

– Słodzisz, Esther?

– Dziękuję.

– Ścigaliśmy piratów malajskich, gdy nagle zaczął się sztorm...

James rozpoczął opowieść o swoich przygodach. Popijał herbatę, mówił i znów popijał herbatę. Esther nie okazywała bratu życzliwości, w dalszym ciągu była spięta. Miała zbolące, wrogie spojrzenie, jakby przed chwilą była świadkiem czegoś haniebnego, jakby świat sprzysiągł się przeciwko niej i tylko czekał na okazję, by ją ostatecznie upokorzyć.

– ...przywiązaliśmy bom, zabezpieczyliśmy szalupy, podwójnie przywiązaliśmy działa, a potem ściągnęliśmy bramstęgę na pokład, tak że okręt był bezpieczny. Rozumiesz, o czym mówię, ciociu, czy wyrażam się niejasno?

– Bardzo niejasno – odpowiedziała Verity – ale, proszę, mów dalej.

– Ha! Po czterech szklankach zerwał się huragan, morze oszalało, to było coś strasznego! Po jakiejś godzinie skończyłem wachtę, ale moja koja była zalana wodą, więc uznałem, że pokład będzie suchszy. – James się roześmiał, aż zabrzęczały ozdoby na środku stołu. Zaskoczona Verity również się roześmiała. – Teraz wydaje się to śmieszne, ale wtedy fale były tak ogromne, że mogłyby zatopić wyspę, a wicher wrzeszczał jak tysiąc głodnych papug! Wszystko wyglądało przerażająco!

– Chyba już się położę, jeśli nie macie nic przeciwko temu – odezwała się Esther.

– Musisz być zmęczona po podróży – odpowiedziała Verity. – Chciałabyś jutro pospać dłużej?

– Dziękuję, zawsze wcześniej się budzę. Dobranoc, Jamesie. Dobranoc, pani.

Verity znów dotknęła chłodnego policzka dziewczyny. Esther odeszła.

– Czy miałabyś coś przeciwko, gdybym zapalił, ciociu? – spytał James.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Cóż, wtedy kapitan wezwał mnie na rufę. Kiedy tam przyszedłem, usłyszałem, jak mówi do porucznika: „Okręt bardzo dobrze sobie radzi na tym halsie, ale musimy zrobić zwrot przez rufę. Proszę iść na dziób i kazać załodze czekać w pogotowiu”. „Nie wytrzymają tego żadne żagle”, odpowiada porucznik. Na to kapitan: „Musimy zaryzykować, bo wiatr zmienił kierunek i zbliżamy się do Sumatry”. Nie martwiłbym się o Essie, ciociu. Nie jest taka twarda, na jaką wygląda.

Zmiana tematu była tak nagła, że Verity lekko się uśmiechnęła. Nie odpowiedziała.

– Mój Boże, wszyscy myślą, że jest nieprzyjazna, ale w połowie to tylko maniera. Różni ludzie reagują na to samo w różny sposób, można powiedzieć. Oczywiście wiesz o matce. Ha! Można by sądzić, że było to dla nas okropne, ale to nieprawda. Kiedy to się zdarzyło, miałem osiem lat, a Essie dziewięć. Po roku podniosłem

kotwicę i ruszyłem na morze. Strząsnąłem z siebie wspomnienia jak fregata, która zalana przez wielką falę po chwili wynurza się z wody i płynie dalej. A Esther – ona była jak okręt bez żagli. Nabrała wody i od tamtej pory kolebie się ciężko w dolinie fali. Zamiast próbować zapomnieć, bez przerwy się dręczy i zrobiła z matki świętą. A wcale nie była taka święta, niechaj mi Bóg wybaczy, że to mówię. Kiedy Essie poznaje kogoś nowego, zwłaszcza związanego z rodziną jak ty, ciociu, wydaje się okropna, bo to wszystko zaraz z niej wychodzi. Mówiłem ojcu, że potrzeba jej karenażu, bo żaden okręt nie może dobrze pływać, kiedy go obrasta tyle wodorostów i pąkli – przepraszam, ciociu, jeśli to brzmi niedelikatnie, ale to prawda. Jednak z czasem wszystko jakoś się ułoży. Jestem tego pewien, naprawdę!

Verity uniosła filiżankę, znów ją odstawiła, spojrzała na swoje dłonie.

– Och, Jamesie, jestem taka szczęśliwa, że nas odwiedziłeś... Jestem szczęśliwa, że tak szybko zdobyłam nowego przyjaciela. Jestem taka szczęśliwa, że... – Urwała, słowa uwięzły jej w gardle.

Roześmiał się spontanicznym chłopięcym śmiechem.

– Wygląda na to, że przez większość urlopu będę się musiał tobą opiekować, ciociu!

Znów rozległo się pukanie do frontowych drzwi.

– Nie masz więcej braci ani sióstr, prawda? – spytała Verity.

– Nic o tym nie wiem, ale byłby to świetny kawał. Zostań na pokładzie, ciociu. Zobaczę, kto to.

Kiedy opuścił pokój, Verity podeszła do okna. Zbliżał się wieczór i nad portem zbierały się chmury. Do Falmouth wpływały trzy kutry, które z godnością sunęły po wodzie jak łabędzie powracające do gniazda. Jeden z kutrów miał czerwone żagle, reszta białe. Verity nie знаła mężczyzny stojącego przed drzwiami frontowymi. Przyjechał konno.

James wbiegł po schodach, pokonując po cztery stopnie naraz.

– To człowiek z listem. Chce go oddać tylko do rąk własnych. Mówi, że nazywa się Gimlett.

Gimlett. Służący Rossa. Demelza...

– Och... – westchnęła Verity i zbiegła po schodach.

– Pani Blamey?

– Tak. Masz wiadomość?

– List, pani. Kapitan Poldark kazał mi go oddać do rąk własnych.

Verity, drżąc z podniecenia i lęku, złamała pieczęć i otworzyła kopertę. Znajdujący się w środku list był bardzo krótki:

Droga Verity!

Mamy syna. Urodził się wczoraj wieczorem. Przeżyliśmy chwile niepokoju, ale matka i dziecko czują się dobrze. Nadaliśmy mu imię Jeremy. Chcemy, byś dowiedziała się o tym jako pierwsza.

Ros
s

Rozdział czternasty

W przyjęciu we dworze w Namparze uczestniczyło niewielu gości: Francis, Elizabeth, Andrew Blamey, Verity i Dwight Enys, który stał się teraz niemal członkiem rodziny. Nie była to uroczystość z okazji chrzcin Jeremy'ego, bo wszyscy w naturalny sposób unikali powtarzania wydarzeń z życia Julii, lecz z okazji otwarcia Wheal Grace – zatrudniono pierwszych górników, rozpoczęto pierwsze roboty. Demelza, ciągle słaba i mająca przy sobie delikatne dziecko, pozostawiła przygotowanie posiłku Gimlettom, którzy dobrze się sprawili. Gotowany dorsz w sosie ostrygowym, gotowana wołowina, pieczona karkówka wieprzowa, dwa niewielkie indyki nadziewane szynką, smażone króliki, budyń śliwkowy, szarlotka i paszteciki, a na deser jabłka, oliwki, migdały i rodzyнки. Demelza rozejrzała się i pomyślała: To znacznie więcej, niż nas stać, ale oczywiście nie należy skąpić na taką okazję.

Minał blisko miesiąc, odkąd wróciła do domu przemoczona i wyczerpana. Nie zastała wtedy nikogo. Gimlettowie, którzy mieli jej pilnować, zniknęli, gdy byli najbardziej potrzebni, pusty dom wydawał się przerażający, szumiały drzewa w ogrodzie, najbliżsi sąsiedzi znajdowali się w odległości kilometra. Miała wrażenie, że minął rok, nim przeszła z kuchni do salonu, niosąc w rękach papiery i trociny na podpałkę. Po kilku minutach Jane Gimlett odnalazła ją skuloną w fotelu w pomieszczeniu pełnym dymu, niezdolną do poruszania się, a Cobbledick pobiegł na długich nogach po doktora Enysa i na szczęście zastał go w stróżówce. Kiedy o siódmej wrócił Ross, Jeremy już się urodził. Dwight bardzo się obawiał o zdrowie chłopca i Demelzy.

Cóż, kłopoty minęły i oboje przeżyli, choć Jeremy w dalszym ciągu był bardzo słaby. Całkowicie różnił się od Julii, która od samego początku była silna i wydawało się, że nic jej nie grozi. To, że wątłe dziecko przeżyło, a silne zmarło, Demelza potraktowała jako omen.

W czasie posiłku mężczyźni rozmawiali o książce *Prawa człowieka*, której autor, ateista Tom Paine, proponował utworzenie parlamentu narodów, by nie dopuścić do wojen, i postulował wiele innych śmiałych reform, ale Demelza słuchała obojętnie. Myślała: Zatem Francis i Andrew Blamey siedzą w końcu przy jednym stole. Nie pogodzili się jeszcze całkowicie, ale tak się stanie, gdy spędzą więcej czasu

w swoim towarzystwie – podobnie jak było w przypadku Rossa i Francisa. Verity wreszcie będzie mogła odwiedzać Trenwith i zniknie napięcie wywołane wzajemnymi urazami.

A Elizabeth... Elizabeth kwitnie, wygląda jak anioł z obrazka. Miała dobry rok. W przeciwieństwie do niej jestem zaniedbana i nieporządna, blada jak prześcieradło z powodu siedzenia w domu, niezręczna jako gospodyni i nieatrakcyjna dla mężczyzn. Nic dziwnego, że Ross patrzy na Elizabeth z zainteresowaniem. Elizabeth nie kocha Francisa, ale wygląda na zadowoloną z życia.

A Dwight? Wydaje się szczęśliwy, że jest z nami. Dobrze, że Caroline Penvenen wyjechała, bo chyba coś między nimi było. Powinien poślubić Joan Pascoe, która otrzyma wielki posag, a jednak nie będzie uważać, że jest dla niego za dobrą partią.

A ja?

Wzniesli toast za nową kopalnię, a później znów usiedli i zapadła cisza. Od powodzenia robót w Wheal Grace zależał teraz los finansów całego rodu Poldarków. Była to otrzeźwiająca refleksja. Cóż, przynajmniej jesteśmy wreszcie wszyscy razem, pomyślała. Jeremy leży w sąsiednim pokoju, czeka na mnie, już mnie poznaje. Na razie Ross jest zadowolony, że rozpoczęto pracę w kopalni. Zastanawiała się, czy może wyjść, pozostawiając mężczyzn, by jak zwykle rozmawiali i pili. A jeśli tak, czy ma wstać i coś powiedzieć, czy odezwać się na siedząco.

Wstał Francis, uprzedzając Demelzę.

– Toasty to prawdziwy dopust boży nawet w najszcześniejszych czasach – rzekł. – Ale mam dziś kaprys, by wznieść toast, a zawsze ulegam swoim kaprysom. Chcę wznieść toast za zdrowie naszej gospodyni, Demelzy!

Demelza, całkowicie zaskoczona, po raz pierwszy w życiu oblała się rumieńcem aż po czubki włosów.

– Och, nie! – powiedziała. – To zupełnie nie na miejscu!

Rozległy się zakłopotane głosy, po czym usłyszała Andrew Blameya, który stanął po stronie swojego dawnego wroga.

– Doskonali pomysł! – rzekł i pozostali przytaknęli, Elizabeth sekundę później niż reszta. Po chwili wszyscy spojrzeli na Rossa, który uniósł wzrok i się uśmiechnął.

– Demelza się myli. To absolutnie na miejscu. Dziękuję ci, Francisie.

Francis, zachęcony przez gospodarza, obracał w palcach kieliszek. Spojrzał na Demelzę nad stołem, zażenowany, lecz pełen determinacji.

– Nigdy nie przepadałem za wygłaszaniem mów, ale przyszła i na mnie kolej. Demelza pojawiła się wśród nas, choć prawie nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Ale później wszystko się zmieniło. Nie ma tutaj ani jednej osoby – może z wyjątkiem młodego Enysa – która nie odniosła korzyści z jej obecności. To szczerza prawda, nic dodać, nic ująć! Gdyby nie Demelza, nie zebralibyśmy się tu

dzisiaj – a jeśli jedność rodziny to cnota, jej źródłem nie jesteśmy my, tylko Demelza! Nieważne, kim się człowiek urodził, ale co czyni. „Przystojny przystojnie postępuje”⁶. Dlatego wznoszę toast za Demelzę, prawdziwą damę...

Jak na Francisa było to bardzo dużo. Wstrząśnięta Demelza siedziała i patrzyła na gości wznoszących toast za jej zdrowie. Potem znów zapadła cisza, bardziej niezręczna niż poprzednio, ponieważ wszyscy czekali, żeby coś powiedziała.

Zamrugnęła, chcąc pozbyć się mgły przed oczami, i popatrzyła na ciemnoczerwone wino w swoim kieliszku.

– Jeśli zrobiłam coś dobrego dla rodziny, pomyślcie, co zrobiliście dla mnie – rzekła cicho. Przed domem czekał Garrick, goniąc mewę na trawniku. Mógł obudzić Jeremy’ego. Wydawało się, że czekają, by powiedziała coś jeszcze. W rozpaczę przypomniała sobie kilka słów słyszanych w czasie nabożeństwa w kościele w Bodmin i dodała: – Słuchałam po prostu myśli i pragnień swojego serca.

Verity poklepała ją po dłoni.

– Właśnie za to cię kochamy.

Po zakończeniu przyjęcia Ross pojechał z gośćmi w górę doliny. Demelza została w domu. Kiedy goście przejechali przez strumień w ukośnych promieniach zachodzącego słońca, weszła z powrotem do domu i popatrzyła na śpiącego syna.

Drobne dziecko, inne niż Julia, żywe, delikatne, ciemniejsze. Dziwna różnica. Może w jakiś sposób odzwierciedla to inną sytuację, w której został poczęty i przyszedł na świat? Demelza pomyślała: Jestem zadowolona. Może nie jest to takie głębokie szczęście jak dwa lata temu, bo Ross jest ciągle niewiadomą, ale jestem zadowolona. Czy można się spodziewać czegoś więcej? Mamy za sobą trudny okres. Naturalnie przyszłość jest niepewna, pełna niebezpieczeństw. Kopalnia może zbankrutować, Jeremy może umrzeć w konwulsjach jak ostatnie z dzieci Martinów. Ross może odejść do Elizabeth albo następny transport kontrabandy do zatoki Nampara może wpaść w zasadzkę zastawioną przez celników. Ale czy przyszłość nie wiąże się z niebezpieczeństwem? Bezpieczna jest tylko śmierć. Jeśli ktoś chce dalej żyć, musi się godzić na ryzyko. Cóż, Demelza się na nie godziła...

Ross odprowadził gości, po czym powoli wrócił pieszo do domu. W dolinie pluskał i szemrał strumień, dopowiadając satyryczny komentarz do myśli, które Ross snuł tego wieczoru.

Rozpoczęła się gra. Trwała walka. Zaczynali to przedsięwzięcie w niesprzyjających okolicznościach, rzucając wyzwanie Warlegganom, którzy zrobią wszystko, by ich pokonać. George przez tydzień siedział w domu, po tym jak Ross zrzucił go ze schodów, i mówiono o oskarżeniu za napaść. Ale skończyło się na niczym. George nie był dostatecznie szanowaną postacią, by omawiano tę sprawę publicznie. Ponadto przyczyna kłótni nie była tak powszechnie znana, jak myślał Ross. Z początku nie zdawał sobie sprawy, że rzuciłoby to bardzo złe światło na

moralność Warlegganów, gdyby oskarżyli Francisa o współdziałanie w doprowadzeniu odlewni do bankructwa. Nie chcieli tego zrobić ze względu na swoją reputację handlową. Również George stracił tego dnia panowanie nad sobą, usiłował zniszczyć na nowo zawiązaną przyjaźń między kuzynami za pomocą najbardziej jadowitych oskarżeń, jakie potrafił wymyślić. (I prawie mu się udało!)

Z pewnością Francis nie znał jeszcze przyczyn awantury – chociaż w zeszłym tygodniu skarżył się na szczególny chłód ze strony kilku ludzi, z którymi spotkał się w Truro. Złośliwe plotki, jeśli raz się pojawiają, nie znikają tak łatwo. Będą się tlić gdzieś w głębi, aż wreszcie wybuchną w najmniej oczekiwanym momencie. Jeśli dotrze to kiedykolwiek do uszu Francisa, może się okazać zagrożeniem dla ich spółki.

Ross zerknął na ruiny Wheal Grace, gdzie pojawiły się pierwsze oznaki aktywności: kilka brzydkich szop, stos kamieni, góra skoszonego ostrokrzewu, wóz, nowa droga na stoku wzgórza. Nic pięknego; za rok całe wzgórze zostanie oszpecone. Ale ta brzydota będzie mieć pewien urok dla człowieka mającego górnictwo we krwi. Problem polega na tym, co nastąpi po kolejnych dwunastu miesiącach. Kolejny martwy komin, opuszczone szopy, trawa zarastająca ścieżki dla mułów, zardzewiała, zepsuta maszyna parowa? Wszystko wydawało się na to wskazywać.

Poldarków i ich domy mogły ocalić dwie rzeczy. Pierwszą byłoby odkrycie bogatych złóż rudy miedzi na łatwo dostępnym poziomie. Drugą – nagły wzrost rynkowej ceny rudy o trzydzieści lub czterdzieści funtów za tonę. Ross założył, że nastąpi jedno i drugie. Oparł swoje kalkulacje na słowach Marka Daniela wypowiedzianych w sierpniową noc przed dwoma laty. Musiały istnieć ważne powody, że Mark był pod tak wielkim wrażeniem tego, co zobaczył – w tak trudnych okolicznościach.

Jeśli chodzi o drugą kwestię, Ross ryzykował jeszcze bardziej. We Francji, po drugiej stronie kanału La Manche, trwała rewolucja. Jak długo będzie się koncentrować na terytorium własnego kraju? Jeśli w Europie wybuchnie wojna, Anglia może pozostać neutralna. Kanał La Manche to najlepszy mur obronny. Jednak Anglia nie może pozostać bezbronna. Kraj pozbawiony armii nic nie znaczy. Kraj rozbudowujący armię potrzebuje miedzi, by wyposażyć wojsko w broń.

Na taki rozwój wypadków liczył Ross.

Powietrze było zamglone, ciężkie w wieczornym świetle. Mocno pachniała ziemia, na powalonym drzewie nieustannie ćwierkał kos. Było bezwietrznie i dym z komina dworu przypominał powoli pełznącą gąsienicę. W dali nad plażą Hendrawna kołowało, piszcząc, ogromne stado mew.

Właśnie na to liczył Ross.

Przeszedł powoli do ogrodu przed dworem. Przystanął przy drzwiach, by powąchać bez, którego kwiaty rozwiną się za dzień lub dwa. Ludzie to ślepe,

szalone istoty, pomyślał, nieustannie kroczące po napiętej linii terażniejszości, skazane na ciągłe balansowanie, by utrzymać równowagę, nie mając pojęcia, jakie konsekwencje dzisiejszych czynów przyniesie jutro. Jak planować na rok do przodu, jak wpływać na to, czego nie można przewidzieć?

Na kwiatostanie bzu usiadł motyl i trwał przez chwilę bez ruchu z rozłożonymi skrzydłami. Zewnętrzne okoliczności w najmniejszym stopniu nie pomogą Rossowi w realizacji planów – wiedział o tym. Równie dobrze mógłby prosić w imieniu motyla, by zachód słońca nastąpił później lub jutro nie zerwała się wichura. Wszystko może się zdarzyć. Godził się na ryzyko związane z podejmowanym przedsięwzięciem. W przyszłości może uznać ten dzień za początek okresu dobrobytu lub ostatni krok w stronę ruiny. Miał przed sobą linę rozpiętą nad przepaścią. Nikt nie potrafi przewidzieć, co się stanie po następnym kroku.

W domu coś się poruszyło i z miejsca, gdzie stał, widział, jak Demelza wchodzi do salonu. Niosła ubranka Jeremy'ego, które następnie rozłożyła przed kominkiem. Miała skupioną, napiętą twarz, lecz nie myślała o tym, co robi. Zdał sobie sprawę, że zmagania i niepokoje przyszłych miesięcy nie będą tylko jego udziałem. Demelza również będzie dźwigać ten ciężar. Już go dźwiga.

Poszedł do żony.

